

C. J. CHERRYH

Gasnące Słońce: Kesrith

Tłumaczył Michał Jakuszewski

The Faded Sun: Kesrith

Data wydania oryginalnego - 1978

Data wydania polskiego - 1994

Dla DONA WOLLHEIMA

z wyrazami szczególnego uznania

Rozdział 1

Dziecię wiatru, dziecię słońca, któż to Kath?

Dzieci rodzą, śmiech przynoszą, oto Kath

Była to gra, shon'a, polegająca na rzucaniu do siebie przedmiotami. Grano w nią

w

stylu Kel, w mrocznej, okrągłej komnacie tej kasty, w środkowej wieży Domu.

Mężczyźni w

czarnych szatach i jedna tak samo odziana kobieta siedzieli w dziesięcioosobowym

kręgu.

Wojownicy nie grali tak, jak dzieci - parą kamieni - lecz przy użyciu wirujących

sztyletów

as'ei, które mogły zranić bądź zabić. W takt padających nazw kast strzelano palcami, as'ei

frunęły ponad kręgami siedzących graczy i zręcznie dłonie chwyciły rękojeści

w

połowie obrotu, by zdążyć odrzucić noże w chwili, gdy padnie następne, wyznaczające

rytm

hasło.

Dziecię ognia, dziecię gwiazdy, któż to Kel?

Miecze noszą, pieśni snują, oto Kel.

Grali bez słów, kierując się jedynie rytmem swych dłoni i broni, ciała i stali.

Był on

stary jak czas i znajomy jak dzieciństwo. Gra posiadała znaczenie głębsze niż same ruchy czy

prosty tekst. Nazywano ją Grą Ludu.

Dziecię świtu, dziecię ziemi, któż to Sen?

Runy tworzą, domem rządzą, oto Sen.

Kel'en, który się wzdrygał, którego zawodził wzrok, lub który nie potrafił skupić

uwagi, nie miał wartości dla Domu. Chłopcy, dziewczęta i kobiety z Kath grali przy użyciu

kamieni, by opanować tę sztukę. Ci, którzy zostali kel'ein, grali od tej chwili

ostrą stalą.

Członkowie Kel, podobnie jak matki i dzieci z łagodnej kasty Kath, śmiali się podczas gry.

Wiedli życie krótkie i jasne, niczym ćmy. Wiedząc o tym, radowali się nim.

Dziecię wtedy, dziecię teraz, któż to my?

Snów szukamy, życie niesiemy, zwa nas...

Odgłos otwieranych drzwi poniósł się echem po pustych przestrzeniach i głębiach

wieży. Sen Sathell wtargnął pomiędzy nich nagle, bez ostrzeżenia czy wyrazów uprzejmości.

Rytm uległ przerwaniu. Noże spoczęły w dłoniach Niuna, najmłodszego kel'ena. Całe

Kel pochyliło głowy na znak szacunku dla Sathella s'Delas, przywódcy Sen - uczonych. Jego

złota szata wniosła światło do mrocznej komnaty wojowniczej kasty Kel. Był bardzo stary -

najstarszy mężczyzna w całym domu.

- Kel'anthu - odezwał się cichym głosem, zwracając się do Eddana, swego odpowiednika w Kel - i wy, kel'ain. Nadeszły wieści. Pogłoski, że wojna się skończyła.

Regule poprosili ludzi o pokój.

Zapadła absolutna cisza.

Nagły ruch. As'ei zafurkotały i zatopiły ostrza w malowanym tynku przeciwnieległej

ściany.

Najmłodszy kel'en podniósł się i zasłonił twarz, po czym oddalił się dumnym krokiem, pozostawiając za sobą wstrząśniętych zebranych.

Sen'anth i kel'anth popatrzyli na siebie nawzajem - starzy mężczyźni, kuzyni, bezradni w swej niedoli.

Jeden z dusei - brązowa bryła o pochyłych barkach, większa od mężczyzny - poruszył

się w najgłębszym mroku, podniósł i wyszedł powoli w światło, w posępny, roztargniony

sposób charakterystyczny dla swego gatunku. Przepchnął się lekceważąco między obydwojma

członkami starszyny i szturchnął swą masywną głową kel'antha, który był jego panem,

szukając pocieszenia.

Kel'anth Eddan poklepał zwierzę gładkimi ze starości palcami i podniósł wzrok na

starego uczonego, który - poza podziałami kasty i obowiązków - był jego przyrodnim bratem.

- Czy ta wiadomość jest na pewno prawdziwa? - zapytał z wyczuwalnym wciąż w głosie śladem nadziei.

- Tak jest. Jej źródłem są oficjalne środki przekazu reguli, a nie krążące po mieście

pogłoski. Wydaje się całkowicie pewna.

Sathell owinał się szatą, wepchnął sobie materię pomiędzy kolana i usiadł na podłodze

wśród kel'ain, którzy odsunęli się na bok, by zrobić dla niego miejsce w swym kręgu.

Tych dziesięcioro, i jeszcze jedna osoba, stanowiło starszyny Domu.

Byli mri.

W swym języku, gdy wypowiadali to zdanie, mówili po prostu, że należą do Ludu, a

więc są ludźmi. Słowo, którego używali na określenie innych gatunków, tsi'mri,

znaczyło

niehumaniczne. Była to kwintesencja filozofii i religii ich rasy, a zarazem osobistego nastawienia

starszyny.

Cały ich gatunek wyróżniał się barwą o złocistym odcieniu. Legendy mri opowiadały,

że Lud narodził się ze słońca. Ich skóra, oczy, szorstkie, sięgające ramion grzywy - wszystko

to było koloru brązu lub złota. Dłonie i stopy mieli wąskie i długie. Byli wysoką, smukłą rasą.

Zmysły, nawet w podeszłym wieku, mieli nadzwyczaj sprawne. Szczególną

wrażliwością
odznaczał się słuch. Złociste oczy chroniły powieki - dwie warstwy, gdyż migotka odruchowo osłaniała je przed nawiewanym pyłem.
Obcy uważali ich za gatunek wojowników i najemników, gdyż stykali się oni z Kel, rzadko z Sen, nigdy zaś z Kath. Mri wynajmowali się obcym na służbę. Służyli regulom - masywnym kupcom tsi'mri wywodzącym się z Nuragu, planety gwiazdy Mab. Przez wiele stuleci kel'ein z ich gatunku wynajmowali się jako ochrona dla międzyświatowego handlu reguli. Zwykle regulskie kompanie używały ich w charakterze obrony przed ambicjami i bezwzględnością konkurentów. Z tego powodu mri walczyli przeciwko mri. Owe lata i owa służba były dobre dla Ludu, gdyż kel'en służący jednym mierzył swe siły z kel'enem służącym drugim w zgodnej z zasadami i tradycją walce, tak jak działo się zawsze. Podobne bojowe próby doskonaliły siłę Ludu, eliminowały słabych i nieudolnych oraz oddawały honor silnym. W owych dniach będący tsi'mri regule rozumieli fakt, że nie nadają się do walki i nie potrafią planować strategii, i rozsądnie pozwalali, by kasta Kel rozwiązywała wszystkie konflikty na sposób swego gatunku.
Przez ostatnie czterdzieści lat jednak mri służyli wszystkim regulom w walce przeciwko wszystkim ludziom. Był to zawzięty, odrażający konflikt, w którym brak było honoru czy jakiegokolwiek satysfakcji czerpanej z walki z nieprzyjacielem. Starszyzna mri pamiętała jeszcze dawne życie i wiedziała, jakie zmiany przyniosła wojna. Nie była z nich zadowolona. Ludzie byli walczącymi w grupie zwierzętami stadnymi, które po prostu nie rozumiały żadnych innych metod prowadzenia wojny. Walczący w pojedynkę mri żywili takie podejrzenie już od początku, poddali je próbie, składając w ofierze własne życie, i ku swemu rozgoryczeniu przekonali się, że to prawda. Ludzie odrzucali a'ani, honorową walkę, nie przyjmowali wyzwania i nie rozumieli nic poza własną metodą polegającą na sianiu powszechnego zniszczenia.
Mri dostosowali się, nauczyli ludzkich zwyczajów, zaczęli rozumieć nieprzyjaciela i modyfikować odpowiednio swe działania oraz zasady służby u reguli. W sprawach walki byli zawodowcami. Innowacje w zakresie yin'ein, starożytnych broni używanych w a'ani, byłyby

niehonorowe i niewyobrażalne, lecz w obrębie zahen'ein, nowoczesnych broni, stanowiły po prostu zmianę narzędzi oraz dostosowanie metod - kwestia kompetencji w zawodzie, który stanowił źródło ich utrzymania. Niestety regule nie potrafili równie skutecznie przystosować się do nowej taktyki. Mieli oni rozległe i dokładne wspomnienia. Nie potrafili zapomnieć tego, co zawsze się wydarzało, i - z drugiej strony - niemal nie byli w stanie wyobrazić sobie tego, co nie wydarzyło się dotąd nigdy i nie układali planów z myślą o podobnej możliwości. Do tej pory całkowicie polegali na mri w sprawach dotyczących swego osobistego bezpieczeństwa i umiejętności przewidywania, która cechowała mri - gdyż ten gatunek posiadał wyobraźnię - chroniła ich i rekompensowała tę ślepotę reguli na nieoczekiwane. Ostatnio jednak, gdy wojna zaczęła pochłaniać także życie samych regulii i zagrażała ich własności, przejęli oni sprawy we własne, niewprawne ręce. Wydawali rozkazy - we własnym mniemaniu roztropne - podjęcia działań pod względem militarnym niemożliwych do zrealizowania. Mri próbowali je wykonać, w imię honoru. I ginęli tysiącami, w imię honoru. W Domu, na tym świecie, mieszkało ich tylko trzynaścioro. Dwoje było młodych, zaś resztę stanowili twórcy polityki, rada starszych, weterani. Wiele stuleci temu liczebność Domu wynosiła ponad dwa tysiące w samym Kel. We współczesnej epoce wszyscy z nich, oprócz tej garstki, wyruszyli na wojnę, by umrzeć. I wojna ta zakończyła się porażką, z winy reguli, którzy poprosili ludzi o pokój. Sathell rozejrzał się wokół, spoglądając na tych starców - kel'ein, których życie trwało dłużej niż ich lata służby i których wspomnienia dawały im pod niektórymi względami perspektywę sen'ein. Byli oni Mężami she'pan i nauczycielami sztuki walki, dopóki mieli jeszcze dzieci z Kath, które mogliby uczyć. Siedziała tam też Pasev, jedyna ocalała kel'e'en w Domu, której umiejętności w yin'ein ustępowały jedynie umiejętnościom samego Eddana. Byli tam Dahacha i Sirain z Nisrenu i Palazi, Quaras oraz Lieth z Guragenu, którego Dom był już martwy. Znaleźli oni azyl u Matki tego Domu i zostali zaadoptowani przez nią jako Mężowie. Z jeszcze innego martwego Domu pochodzili Liran i Debas - prawdziwi bracia. Stanowili oni część epoki, która już odeszła, czasów jakich Lud nigdy już nie zobaczy. Sathell

czuł ich smutek. Wyczuwał jego odbicie u zwierząt zbitych w gromadkę w mroku.
Dus
Eddana - którego gatunek podobno nigdy nie zaprzyjaźniał się z żadną kastą
poza
wojownikami z Kel - obwąchał krytycznie złote szaty uczonego i pozwolił mu
się
dotknąć, po
czym przysunął nieco bliżej swe wielkie cielsko - pomarszczone zwały tłuszczu
pokryte
delikatnym futerkiem - bezwstydnie akceptując wyrazy uczuć tam, gdzie mu je
okazywano.
- Eddanie - mówił Sathell, głaszcząc miękkie barki zwierzęcia - muszę ci
także
powiedzieć, iż jest bardzo prawdopodobne, że nasi pracodawcy oddadzą ten
świat,
jeśli ludzie
zażądata tego jako jednego z warunków pokoju.
- To byłoby - odrzekł Eddan - bardzo poważne ustępstwo.
- Zgodnie z tym, co słyszeliśmy, wcale nie. Krażą pogłoski, że regulscy
władcy
są w
pełnym odwrocie, zaś ludzie uzyskali przewagę na całym froncie i osiągnęli
teraz
pozycje, z
których mogą dotrzeć do wszystkich spornych terytoriów. Zdobyli Elag.
Zapadła cisza. Gdzieś w wieży trzasnęły drzwi. Wreszcie Eddan poruszył
szczupłymi
palcami w geście stanowiącym odpowiednik wzruszenia ramionami.
- W takim razie ludzie z pewnością zażądata tego świata. Jest bardzo niewiele
rzeczy,
do których się nie posuną w swym pragnieniu zemsty. A regule pozostawili nas
bez
osłony
przed nią.
- To niewiarygodne - stwierdziła Pasev. - Bogowie! Nie było potrzeby,
najmniejszej
potrzeby, by regule opuścili Elag. Lud mógłby go obronić, mógłby odeprzeć
ludzi,
gdyby
dano mu sprzęt.
Sathell wykonał bezradny gest.
- Być może. Ale obronić dla kogo? Regule wycofali się i zabrali wszystko, co
było
niezbędne do obrony. Wyprowadzili statki pod swoją eskortą. Teraz my - Kes-
rith -
staliśmy
się granicą. Masz rację. Jest bardzo prawdopodobne, że regule również tutaj
nie
będą stawiać
oporu. W gruncie rzeczy nie byłoby to rozsądne. Zrobiliśmy więc wszystko, co
mogliśmy.
Radziliśmy i ostrzegaliśmy, a jeśli nasi pracodawcy nie chcieli skorzystać z
tych rad, nie
możemy uczynić wiele więcej niż osłaniać ich odwrót, skoro nie możemy go
przed
nim
powstrzymać. Wbrew naszym radom sami przejęli dowodzenie działaniami wojen-
nymi.

To oni przegrali wojnę, nie my. Przestała ona być naszą już kilka lat temu. Nie jesteście niczemu winni, kel'ain. Macie prawo tak sądzić. Po prostu nie istnieje już nic, co moglibyśmy zrobić.

- Kiedyś coś takiego było - nie ustępowała Pasev.

- Sen wielokrotnie próbowali przemówić naszym pracodawcom do rozumu. Ofiarowaliśmy im swe usługi oraz rady zgodnie ze starożytnym traktatem. Nie mogliśmy... -

mówiąc, Sathell usłyszał dobiegający z dołu odgłos kroków młodzieńca i ten hałas zakłócił tok jego myśli. Mimowolnie spojrział w stronę korytarza, gdy drzwi na dole zamknęły się z wielką gwałtownością. Ich dźwięk poniósł się echem po całym Domu. Obrzucił Kel strapionym spojrzeniem. - Czy jeden z was nie powinien przynajmniej pójść spróbować z nim porozmawiać?

Eddan wzruszył ramionami, zakłopotany. Podważono jego autorytet. Sathell zdawał sobie z tego sprawę. Z uwagi na pokrewieństwo i przyjaźń pozwolił sobie, wypowiadając te słowa, na znaczne przekroczenie granic tego, co dopuszczalne. Kochał Niuna. Wszyscy oni go kochali. Jednakże autonomia Kel w sprawach dotyczących dyscypliny jego członków była święta, nawet gdy dochodziło do pomyłek. Jedynie Matka miała prawo ingerencji w zakres kompetencji Eddana.

- Niun miał pewien drobny powód, nie sądzisz? - zapytał cicho Eddan. - Ćwiczył przez całe życie z myślą o tej wojnie. Nie wychował się według starych zwyczajów, jak my, a teraz nie będzie również mógł żyć według nowych. Odebrałeś mu coś. Co, twoim zdaniem, powinien uczynić, senie Sathellu?

Sathell pochylił głowę. Nie mógł spierać się o to z Eddanem. Dostrzegał prawdę w jego słowach, gdy próbował spojrzeć na sprawy tak, jak patrzyłby na nie młody kel'ain.

Członkom Kel nie można było niczego wytłumaczyć, przekonać ich poprzez debatę, że się mylą, czy też oczekiwać od nich zdolności przewidywania. Kel'ain byli dziećmi dnia dzisiejszego, krótko żyjącymi i porywczymi. Nie znali wczoraj ani jutra. Ich ignorancja była ceną, jaką musieli płacić za swobodę opuszczania Domu i wędrowania pomiędzy tsi'mri.

Znali swe miejsce. Jeśli sen'en w rozmowie z nimi uciekał się do argumentów, musieli po prostu pochylić głowę i zachować milczenie. Brak im było wiedzy, by mu odpowiedzieć.

Ponadto zniszczenie spokoju ich ducha było czynem niegodziwym, gdyż wiedza połączona z bezsiłą była czymś szczególnie gorzkim.

- Myślę, że powiedziałem wam już - oznajmił wreszcie Sathell - wszystko, co w tej chwili wiem o dotyczących was sprawach. Jeśli nadejdą nowe wieści, powiadomię was natychmiast. Podniósł się w zupełnej ciszy i wygładził swe szaty, z uwagą unikając odruchowego uchwytu dusa. Zwierzę próbowało złapać go za kostkę. Choć nie zamierzało wyrzucić mu krzywdy, z łatwością mogło to uczynić. Nikt, kto nie był kel'ennem, nie powinien obchodzić się poufale z dusei. Zatrzymał się i spojrział na Eddana, który dotknięciem skarcił zwierzę i uwolnił kuzyna. Sathell ominął chyłkiem potężną łapę i po raz ostatni obrzucił spojrzeniem Eddana, ten jednak odwrócił wzrok, udając, że odejście sen'antha już go nie interesuje. Sathell nie chciał naciskać na niego publicznie. Znał swego przyrodniego brata i wiedział, że poczuł się on urażony właśnie ze względu na łączące ich uczucie. Oficjalnie dzieliła ich od siebie starannie wytyczona linia. Tak musiało być w przypadku, gdy kuzyni należeli do różnych kast. Chroniło to dumę niżej postawionego. Obdarzył pozostałych formalnym pokłonem, po czym wyszedł. Cieszył się, że opuścił tę ponurą komnatę, gdzie powietrze ciężkie było od gniewu sfrustrowanych mężczyzn oraz dusei, których wściekłość narastała wolniej, lecz była bardziej gwałtowna. Czuł jednak ulgę, że wysłuchali wszystkiego, co powiedział. Nie dojdzie do żadnych aktów przemocy, żadnych nierozsądnych postępów, które były najgorszym, czego należało się obawiać ze strony Kel. Byli starzy i dlatego mogli debatować w grupach i radzić się sobie nawzajem. Młody kel'en był samotnym wojownikiem, lekkomyślnym i pozbawionym perspektyw. Zastanowił się, czy nie pójść za Niunem, nie wiedział jednak, co mu powiedzieć, gdyby go znalazł. Jego obowiązkiem było zdać sprawę komu innemu. Gdy drzwi się zamknęły, postarzała Pasev, kel'e'en, weteranka Nisrenu i pierwszego zdobycia Elagu, wyciągnęła as'ei z roztrzaskanego tynku i zbyła słowa sen'antha wzruszeniem ramion. Przeżyła więcej lat i widziała więcej walk niż jakikolwiek żyjący wojownik oprócz samego Eddana. Mimo to brała udział w grze, podobnie jak oni wszyscy, w tym również kel'anth. Śmierć podczas shon'ai była równie honorowa, jak

poniesiona w
walce.

- Dokończmy grę - odezwała się.

- Nie - odparł stanowczo Eddan. - Nie. Nie w tej chwili.

Mówiąc, spojrział jej w oczy. Odwzajemniła otwarcie jego spojrzenie - postarzała

kochanka, postarzała rywalka, postarzała przyjaciółka. Jej szczupłe palce pogłaskały cienkie,
stalowe ostrze, przyjęła jednak rozkaz.

- Tak jest - odparła. As'ei przeniknęły obok barku Eddana, by wbić się w
namalowaną

mapę Kesrith ozdabiającą wschodnią ścianę.

- Kel'ein znieśli tę wiadomość - powiedział sen Sathell - z większą
powściągliwością

niż się spodziewałem. Niemniej jednak nie ucieszyli się z niej. Czują się
oszukani. Uważają to

za zniewagę dla swego honoru. A Niun wyszedł. Nie chciał nawet wysłuchać mnie
do

końca.

Nie wiem dokąd się udał. Jestem zaniepokojony.

She'pan Intel. Pani Matka Domu i Ludu odchyliła się do tyłu na swych licznych
poduszkach, nie zważając na ukłucie bólu. Był on jej starym znajomym.

Towarzyszył jej już

od czterdziestu trzech lat, od chwili, gdy utraciła jednocześnie siłę i urodę
w

płomieniach

ogarniętego pożarem Nisrenu. Już wtedy nie była młoda. Już wtedy była she'pan
ojczystego

świata, rządzącą wszystkimi trzema kastami Ludu. Miała najwyższą rangę pośród
Sen,

wyższą niż sam Sathell. Stała też ponad pozostałymi she'panei - tymi
nielicznymi, które żyły

jeszcze. Znała Tajemnice, które były niedostępne dla innych, oraz nazwę
Świętego

i Bogów.

Pod jej opieką znajdowały się Pana - Czczone Przedmioty. Znała swój naród na
wskroś.

Wiedziała, gdzie się narodził i jakie jest jego przeznaczenie.

Była she'pan umierającego Domu, najstarszą Matką umierającego gatunku. Kath -
kasta dzieci i tych, które je rodziły - była martwa. W jej zamkniętej od

dwunastu lat wieży

panowała ciemność. Ostatnią spośród kath'ein dawno już pochowano w urwiskach
skalnych

Sil'athen, zaś ostatnie dzieci, nie mające innej matki niż Intel, odeszły na
spotkanie

przeznaczenia. Liczebność jej Kel spadła do dziesięciu, zaś Sen...

Sen znajdowało się przed nią: Sathell, najstarszy, sen'anth, którego słabe
serce

wciąż

trzymało go o jedno uderzenie od Mroku, oraz dziewczyna siedząca w tej chwili
u

jej stóp.

Nosili złote szaty. To była najwyższa kasta - niosący światło. Jej własne
szaty

były białe, nie

splamione czarnymi, niebieskimi i złotymi obramowaniami noszonymi przez
niższe

ranga

she'panei. Ich wiedza była niemal kompletna, lecz jej była całkowita. Jeśli jej serce przestałoby w tej chwili bić, Lud utraciłby bardzo wiele, tak niewyobrażalnie wiele. Strasznie było myśleć, jak dużo zależało od każdego uderzenia jej pulsu i każdego oddechu, którym towarzyszył tak straszny ból. Uratowanie Domu i Ludu przed zagładą. Dziewczyna Melein podniosła ku niej wzrok - ostatnia ze wszystkich dzieci, Melein s'Intel Zain-Abrin, która ongiś była kel'e'en. Od czasu do czasu odzywała się w niej jeszcze gwałtowność Kel, choć nosiła szaty Sen i zachowywała cnotliwość oraz pogodę ducha cechujące tę kastę uczonych, choć lata przyniosły jej nowe umiejętności, jej umysł zaś daleko wykroczył poza prostotę kel'e'en. Intel strzepnęła w piieszczotliwym geście kurz z ramienia Melein.

- Cierpliwości - poradziła, widząc jej niepokój, wiedziała jednak, że jej rada pod każdym względem zostanie odrzucona.
- Pozwól mi odnaleźć Niuna i porozmawiać z nim - poprosiła Melein.

Brat i siostra - Niun i Melein - byli ze sobą blisko, mimo że rozdzielały ich prawo, rozkazy she'pan, kasta oraz obyczaj. Byli kel'enem i sen'e'en, mrokiem i jasnością, Ręką i Umysłem, lecz były w nich takie same serca i płynęła taka sama krew. Intel pamiętała parę, która obdarzyła ich życiem - jej najmłodszego i najbardziej ukochanego Męża oraz kel'e'en z Guragenu. Oboje już nie żyli. To jego twarz i jego oczy, które sprawiały, że żałowała cnotliwości she'pan, wróciły do niej w Melein i Niunie. Pamiętała, że on również był obdarzony silną wolą, porywczy oraz inteligentny. Być może Melein nienawidziła jej. Nie przyjęła z zadowoleniem rozkazu opuszczenia Kel i przejścia do Sen. W tej chwili jednak nie było w niej woli oporu, choć she'pan szukała jej oznak, a jedynie niepokój i naturalny smutek wywołany bólem brata.

- Nie - odparła ostro Intel. - Powiedziałam ci, żebyś zostawiła go w spokoju.
- Może zrobić sobie krzywdę, she'pan.
- Nie robi. Nie doceniasz go. On cię teraz nie potrzebuje. Nie jesteś już jedną z Kel, a wątpię, by chciał w tej chwili spotkać się z kimś spośród Sen. Co mogłabyś mu powiedzieć?

Jak byś mu odpowiedziała, gdyby zadawał ci pytania? Czy mogłabyś zachować milczenie?

To był dobrze wymierzony cios.

- Chciał opuścić Kesrith sześć lat temu - odparła Melein z oczyma jasnymi od nie

przelanych łez. Być może broniła teraz nie tylko sprawy brata, lecz również własnej. - Nie

pozwoliłaś mu na to, a teraz jest za późno, she'pan. Jedyna szansa umknęła.

Jaki

los może

sobie wyobrażać? Cóż może go czekać?

- Oddaj się rozmyślaniom nad tymi sprawami - odparła Intel - i przekaz mi wnioski,

do których dojdiesz, sen Melein s'Intel, po poświęceniu na medytację całego dnia i całej

nocy. Nie wtrącaj się jednak ze swymi radami w prywatne sprawy kel'ena. Nie traktuj go też

jak swego brata. Sen'e'en nie ma innych kuzynów, jak cały Dom i Lud.

Melein podniosła się i spojrzała w dół na Intel. Pierś falowała jej, gdy próbowała

zaczepnąć tchu. Piękna była ta jej córka. Ujrawszy ją w tym momencie, Intel zdumiała się,

jak bardzo Melein, która nie była z jej krwi, stała się tym, co ongiś obiecywała

jej własna

młodość. Dostrzegła lustrzane odbicie siebie z czasów przed upadkiem Nisrenu, przed

zniszczeniem Domu i jej nadziei. Ten widok zranił ją. W tej chwili dostrzegła sen'e'en

wyraźnie i poznała ją taką, jaką była naprawdę. Bała się jej i kochała ją zarazem.

Melein, której jej śmierć nie okryłaby raczej żałobą.

Stworzyła ją taką celowo, poprzez jedno wydarzenie za drugim - swą córkę nie wywodzącą się z jej ciała, swe dziecko, swą Wybrankę, uformowaną w Kath, Kel i

Sen,

mającą udział w Tajemnicach wszystkich kast Ludu.

Która jej nienawidziła.

- Naucz się cierpliwości - poradziła jej szczerze, spokojnym, cichym głosem, który z

trudem przebił się przez gniew jej rozmówczyni. - Naucz się być jedną z Sen, Melein. Spraw,

by stało się to dla ciebie ważniejsze niż wszystkie twoje pragnienia.

Młoda sen'e'en z drżeniem wypuściła z siebie powietrze. Łzy widoczne w jej oczach

wypłynęły na policzki. Na razie pokrzyżowano jej plany. Na chwilę znowu stała się

dzieckiem, lecz dziecko to było niebezpieczne.

Intel zadrzała. Przeczynała, że Melein ją przeżyje i wycisnie na świecie jej piętno.

Rozdział 2

Świat podzielony był na dwie części. Linię owego podziału wytyczała grobla z białej

skały. Po jednej stronie, u jej dolnego końca, przebywali kesrithańscy regule,

mieszkańcy

miast, znani z powolnych ruchów i długiej pamięci. Nizinne miasto w całości należało do

nich: spłaszczone, rozległe budynki, port, handel międzygwiazdny, kopalnie
pokrywające
bliznami ziemię oraz stacja uzdatniająca wodę z Morza Zasadowego. Kraj ten
nosił
nazwę
Dusowej Równiny, zanim jeszcze regule przybyli na Kesrith. Mri o tym pa-
miętali.
Z tego
właśnie powodu unikali go - ze względu na respekt dla dusei. Regule jednak
uparli się, że
wybudują swe miasto właśnie tam i dusei odeszły.
Wyżej, wśród dzikich wzgórz, na drugim końcu grobli, znajdowała się wieża
mri.
Wyglądała jak cztery przycięte od góry stożki wznoszące się z rogów podstawy
w
kształcie
trapezu. Pochyłe ściany zbudowano z jasnej ziemi nizin, poddanej obróbce i
utwardzonej. To
był Edun Kesrithun, Dom Kesrithański, będący domem mri z tej planety i - ze
względu na
Intel - również wszystkich mri w szerokim wszechświecie.
Z punktu obserwacyjnego, który zajął samotny i gniewny Niun, można było
dostrzec
większą część kesrithańskiej cywilizacji. Często przychodził na tę najwyższą
położoną część
grobli, do tej niedostępnej skalnej ambony, która oparła się drodze reguli i
sprawiła, że
zrezygnowali oni ze swych planów doprowadzenia traktu aż pomiędzy wysokie
wzgórza i
dokonali inwazji na sanktuarium Sil'athen. Niun lubił to miejsce ze względu
na
jego
znaczenie i piękny widok. Miasto reguli oraz edun mri - dwie bardzo małe
blizny
na ciele
białej ziemi - znajdowały się na dole. Wyżej, między wzgórzami i poza nimi,
można było
znaleźć jedynie regulskie automaty, które wydobywały z ziemi minerały i
dostarczały swym
budowniczym tego, co było powodem ich przebywania na Kesrith. Były tam też
dzikie
stworzenia - właściciele świata w czasach przed nadejściem reguli i mri -
oraz
dusei o
powolnych ruchach, które ongiś stanowiły najwyższą formę życia na Kesrith.
Niun usiadł na wznoszącej się ponad światem skale, pogrążony w ponurych
myślach.
Pałał do tsi'mri znacznie większą nienawiścią niż ta żywiona zwykle przez mri
dla obcych.
Miał dwadzieścia sześć lat według rachuby Ludu, której nie wyznaczały obroty
Kesrith wokół
Arain ani też Nisrenu czy dwóch pozostałych planet, które Lud nazywał świ-
atami
ojczystymi
w okresie objętym pamięcią przez pieśni Kel.
Niun był znacznego wzrostu, nawet jak na swój rodzaj. Na jego wysoko osadzo-
nych

kościach policzkowych widniały seta'al, potrójne blizny jego kasty, zabarwione na niebiesko i niemożliwe do usunięcia. Oznaczały one, że był pełnoprawnym członkiem Kel, ręki Ludu. Jako członek tej kasty chodził spowity od kołnierza aż po cholewy butów w szaty koloru niczym nie urozmaiconej czerni. Ponadto czarna zasłona oraz ozdobione chwastami nakrycie głowy - mez i zaidhe - ukrywały wszystko oprócz czoła i oczu przed wzrokiem obcych, jeśli postanowił się z nimi spotkać. Na zaidhe znajdowała się też czarna, przejrzysta chusta, która mogła połączyć się z zasłoną podczas burzy piaskowej lub w chwili, gdy czerwona Arain osiągała swój nieprzyjemnie gorący zenit. Był mężczyzną i jego twarz, podobnie jak myśli, uważano za element jego tożsamości, którego ukazywanie obcym byłoby nieprzyzwoite. Zasłony spowijały go podobnie jak szaty. Stanowiły one charakterystyczny znak jedynej kasty Ludu, której wolno było utrzymywać kontakty z obcymi. Czarną szatę, sigę, podtrzymywały w talii i na piersi pasy, za którymi spoczywało kilka sztuk rozmaitej broni. Powinny się tam też znajdować j'tai, medaliony, odznaczenia zdobyte za służbę Ludowi. Niun nie miał ani jednego i ów brak statusu dostrzegłby natychmiast każdy mii, który by go ujrzał. Jako członek Kel nie umiał czytać ani pisać. Potrafił jedynie posługiwać się oznaczonym cyframi pulpitem sterowniczym oraz znał matematykę - zarówno reguły, jak i mri. Miał głęboko wryte w duszy skomplikowane genealogie swego Domu, który wywodził się z Nisrenu. Wykonywanie pieśni imion napełniało go melancholią. Gdy się to robiło, mając przed oczyma popękane ściany Edun Kesrithun oraz garstkę tych, którzy jeszcze żyli, trudno było nie zdawać sobie sprawy, że przeżywają schyłek, autentyczny i groźny. Niun znał wszystkie pieśni. Wiedział, że nie spłodzi żadnego dziecka, które by je śpiewało. Nie na Kesrith. Nauczył się ich, podobnie jak języków, gdyż wchodziło to w zakres wiedzy Kel. Władał biegle czterema językami. Dwa z nich były jego własnymi, trzecim mówili regule, a czwartym nieprzyjaciele. Znakomicie władał bronią zarówno yin'ein, jak i zahen'ein. Miał

dziewięcioro mistrzów i wiedział, że jego umiejętności w tej dziedzinie są zawrotne.
Miały jednak pójść na marne, całkowicie na marne.
Regule.
Tsi'mri.
Rzucił w dół kamieniem, który wpadł z pluskiem do gorącej sadzawki. W górę wzbily się opary.
Pokój.
Zostanie on zawarty na postawionych przez ludzi warunkach. Regule zlekceważyli rady strategów mri we wszystkich kluczowych momentach wojny. Bez żalu poświęcali życie mri i płacili odszkodowanie edunei, które utraciły synów i córki z Kel, a wszystko dlatego, że jakiś regulski urzędnik kolonialny wpadł w panikę i rozkazał garstce służących mu osobiście mri dokonać samobójczego ataku celem osłony odwrotu jego i jego młodych. Ten sam regul jednak znacznie mniej chętnie naraziłby życie i własność swych współplemieńców.
Gdyby spowodował śmierć reguli, oznaczałoby to dla niego utratę statusu i spowodowało natychmiastowe postawienie w stan oskarżenia przez regulskie władze oraz odwołanie na świat ojczysty, gdzie dokonano by przesiewu jego wiedzy, a najprawdopodobniej również skazano by na śmierć jego i jego młode.
Było nieuniknione, że ludzie odkryli tę fundamentalną słabość w partnerstwie reguli z mri i nauczyli się, że zadawanie strat tym pierwszym przynosi znacznie lepsze efekty niż zadawanie takich samych strat tym drugim.
Łatwo było przewidzieć, że pod podobnym naciskiem regule wpadną w panikę, a ich reakcją będzie pochopny odwrót wbrew wszystkim radom mri i że pozostawia bezbronne wszystkie opuszczone światy w swej pośpiesznej rejteradzie do absolutnie bezpiecznego miejsca, a także to, że wskutek tych działań, takie miejsce nie będzie istniało.
Można też było uwierzyć w to, że regule zechcą później załagodzić skutki swej głupoty poprzez bezpośrednie konszachty z ludźmi. Kupowanie i sprzedawanie wojny pasowało do nich, tak jak i to, że wobec zagrożenia raczej wyprzedzą się pośpiesznie niż zaryzykują utratę zbyt wielkiej części swego drogiego dobytku.
W ich języku nie było słowa na oznaczenie odwagi.
Ani wyobraźni.
Wojna się kończyła, a Niun wciąż był uwięziony na powierzchni świata i nigdy nie zrobił użytku z rzeczy, których się nauczył. Bogowie wiedzieli, jakiego targu dobijali

handlarze, jak mieli zamiar rozporządzić jego życiem. Niun przewidywał, że mogą powrócić stosunki panujące przed wojną i mri znowu będą służyć poszczególnym regulom oraz toczyć pomiędzy sobą walki, w których będzie się liczyło doświadczenie. I bogowie tylko wiedzieli, jak długo możliwe będzie znalezienie reguli, którymi można by służyć. Wojna się kończyła i rozpoczynał się okres szybkich zmian. Bogowie jedynie mogli odpowiedzieć, jakie było prawdopodobieństwo, by jakiś regul wynajął do strzeżenia swego statku niedoświadczonego kel'ena, skoro miał pod ręką innych, znających sztukę wojenną. Całe życie ćwiczył, by walczyć z ludźmi, lecz polityka trzech gatunków sprzysięgła się, by mu to uniemożliwić. Podniósł się nagle. Jego umysłem owładnęła myśl, która tkwiła tam dłużej niż tylko ten jeden dzień. Zeskoczył na ziemię i ruszył traktem przed siebie. Nie obejrzał się, gdy minął edun, nie zatrzymany i nie zauważony. Nie posiadał niczego i niczego nie potrzebował. To, co miał na sobie oraz broń, którą nosił, mógł - zgodnie z prawem i obyczajem - zabrać ze sobą, nie mógł jednak żądać niczego więcej od swego edunu, nawet gdyby odchodził z jego błogosławieństwem i pomocą, a tak przecież nie było. W edunie Melein z pewnością pograży się w żalu z powodu tej cichej dezercji, lecz sama była kel'e'en wystarczająco długo, by poczuć również radość z tego, że Niun udał się na służbę. Kel'en w edunie był czymś równie przelotnym, jak sam wiatr. Gdy wyrastał już z wieku dziecięcego, nie powinny go łączyć bliskie więzy z nikim poza she'pan, Ludem oraz tym, kto go wynajął. Czuł się trochę winny również w stosunku do she'pan, która matkowała mu z serdecznością znacznie większą niż ta, jaką winna była synowi swych Mężów. Wiedział, że darzyła szczególną łaską jego ojca Zaina i wciąż nosiła w sercu żalobę po jego śmierci. Nie pochwaliliby podróży, w którą wyruszył, ani nie pozwoliłaby na nią. W gruncie rzeczy to uparta, zaborcza wola Intel zatrzymała go na Kesrith tak długo i sprawiła, że pozostał u jej boku, choć przyzwoitość wymagała, by dawno już wyswobodził się spod jej władzy i opieki nauczycieli. Czuł kiedyś do Intel głęboką, pełną szacunku miłość.

Nawet to uczucie jednak w ciągu długich lat, jakie upłynęły od chwili, gdy powinien był podążyć za innymi kel'ein z edunu i opuścić ją, zaczęło przeradzać się w rozgoryczenie. To przez nią jego umiejętności nie były wypróbowane, a jego życie bezużyteczne, a teraz być może całkowicie zmarnowane. Upłynęło dziewięć lat od chwili, gdy na jego twarzy wycięto i zabarwiono seta'al kasty Kel, dziewięć lat, podczas których siedział z doprowadzającą do gwałtownego bicia serca tęsknotą, gdy tylko jakiś regulski pracodawca zbliżał się drogą do edunu, by znaleźć kel'ena, który strzegłby jego statku, czy to do celów wojny czy choćby handlu. Z biegiem lat zgłaszało się ich coraz mniej, a teraz do edunu nie przybywał już żaden. Niun był ostatnim ze wszystkich braci i sióstr z Kel, ostatnim ze wszystkich dzieci edunu, nie licząc Melein. Wszyscy pozostali znaleźli służbę i większość z nich nie żyła, lecz Niun s'Intel, kel'en od dziewięciu lat, nie opuścił jeszcze opiekuńczych objęć she'pan. Matko, pozwól mi odejść! - błagał ją sześć lat temu, gdy odleciał statek jego kuzyna Medaia. Była to najgorsza, miażdżąca hańba - Medaia, pyszałka i fanfarona, nagrodzono najwyższym ze wszystkich zaszczytów, podczas gdy on musiał pozostać w domu, okryty wstydem. Nie - odpowiedziała wówczas she'pan kategorycznie, odwołując się do swej władzy, na jego powtarzające się prośby o zrozumienie, błagania o przyznanie wolności: - Nie. Jesteś ostatnim ze wszystkich moich synów, ostatnim. Ostatnim, jakiego będę kiedykolwiek miała. Dzieckiem Zaina. Jeśli życzę sobie, byś został ze mną, to mam do tego prawo. To moja ostateczna decyzja. Nie. Nie. Uciekł owego dnia na wysokie wzgórza, by obserwować - choć wolałby tego nie widzieć - jak Hazan, statek regulski dowództwa naczelnego, władający strefą, w której znajdowała się Kesrith, uniósł Medaia s'Intel Sov-Nelan do wieku męskiego, służby oraz najwyższego zaszczytu, jaki dotąd przypadł w udziale kel'enowi z Edun Kesrithun. Tego dnia Niun zalał się łzami, choć kel'ein nie wolno było płakać. Później, zawstydzony swą słabością, wyczyścił sobie twarz szorstkim, sypkim piaskiem i pozostał

wśród wzgórz, poszcząc następnym dzień i dwie noce, aż wreszcie musiał zejść na dół, by stawić czoło pozostałym kel'ein oraz niespokojnej, zaborczej miłości Matki. Wszyscy oni byli starzy. Oprócz niego nie było teraz żadnego kel'ena, który mógłby przyjąć służbę, gdyby otrzymali taką propozycję. Wszyscy posiadali wielkie umiejętności.

Niun podejrzewał, że byli największymi mistrzami yin'ein w całym Ludzie, choć nie przechwalali się niczym więcej niż znaczną znajomością rzeczy. Lata dokonały jednak swego trudno uchwytnego rabunku i nie pozostawiły im siły niezbędnej do zrobienia z ich sztuki użytku w walce. Ich Kel składało się z ośmiu mężczyzn i jednej kobiety, którzy nie mieli już powodu, by żyć, siłą, by walczyć, ani - po Niunie - dzieci, które mogliby uczyć: starcy, którym pozostały już jedynie sny o przeszłości.

Ukradli mu dziewięć lat, zamknęli w swym grobie, prowadząc zastępcze życie za pośrednictwem jego młodości. Maszerował traktem w kierunku nizin. Pozwalał, by grobla zaprowadziła go do reguli, skoro oni nie chcieli teraz przybywać do edunu. Nie była to najkrótsza droga, lecz za to najłatwiejsza. Kroczył po niej z butnym poczuciem bezpieczeństwa, gdyż starcy z Kel w żaden sposób nie mogli go doścignąć na tak długiej trasie. Nie zamierzał udawać się do portu, który znajdował się bezpośrednio przed nim, lecz do miejsca położonego na drugim końcu grobli, samego ośrodka regulskiej władzy - Nomu, piętrowego gmachu, który był najwyższą budowlą w jedynym mieście na Kesrith. Czuł się niepewnie, gdy jego stopy deptały po betonie i wszędzie wokół siebie widział brzydkie, spłaszczone budynki reguli. Był to świat odmienny od wysokich, czystych wzgórz. Nawet powietrze miało tu inną woń. Cierpki posmak zimnych kesrithańskich wichrów łagodziły ledwo wyczuwalne wyziewy oleju, maszynierii oraz pachnących piżmem ciał reguli.

Przyglądały mu się regulskie młode - ruchliwe osobniki tego gatunku. Gdy osiągną dojrzałość, ich przysadziste ciała staną się jeszcze grubsze, a szarobrazowa skóra pociemnieje i rozciągnie się. Tłuszcz będzie się gromadził, aż ich waga stanie się niemal zbyt wielka, by mogły ją podźwignąć zanikające mięśnie. Mri rzadko oglądali starszych reguli. Niun nigdy nie widział żadnego z nich. Słyszał tylko ich opis od swych nauczycieli z Kel.

Dorośli regule
trzymali się swego miasta, otoczeni noszącymi ich i oczyszczającymi dla nich
powietrze
maszynami. Towarzyszące im młode musiały nieustannie im usługiwać. Życie
owych
młodych było niepewne, dopóki nie udało im się osiągnąć dojrzałości. Regule
dopuszczali się
przemocy jedynie w stosunku do własnego potomstwa.
Młode osobniki zebrane na placu spoglądały na niego z ukosa, rozmawiając ze
sobą
konspiracyjnym szeptem, który jego wrażliwe uszy odbierały wyraźniej niż się
to
regulom
zdawało. W normalnej sytuacji ich złośliwość nie przeszkadzałyby mu w
najmniejszym
stopniu. Nauczono go, by ich nie lubił. Czuł pogardę dla nich i dla całej ich
rasy. Tutaj jednak
to on był petentem, który rozpaczliwie pragnął zostać przyjęty, a oni mieli
to,
czego chciał, i
mogli mu tego odmówić. Czuł powiew ich nienawiści, przywodzącej na myśl
zanieczyszczoną atmosferę miasta. Zasłonił twarz na długo, zanim wszedł na
jego
teren.
Niewiele brakowało, by opuścił również chustę zaidhe, tak jak to zrobił
podczas
swej
ostatniej wizyty w mieście. Był wtedy bardzo młodym kel'ennem i nie wiedział
zbyt
dobrze,
jak należy się zachować podczas spotkań między regulami a mri. Teraz jednak
był
już starszy
i jako samodzielny mężczyzna miał odwagę, by zostawić chustę na miejscu i
odwzajemnić
spojrzenia młodych, które gapiły się na niego zbyt śmiało. Większość z nich
nie
mogła znieść
bezpośredniego kontaktu wzrokowego i odwracała oczy. Nieliczne, starsze i
odważniejsze od
pozostałych, syczały cicho na znak niezadowolenia i ostrzeżenia. Ignorował
je.
Nie był
regulskim młodym i nie musiał się obawiać ich ataku.
Znał drogę. Wiedział, gdzie mieści się właściwe wejście do Nomu - na wielkim
placu,
wokół którego, na planie koncentrycznych kwadratów, było zbudowane całe mi-
asto.
Wrota
zwracały się w stronę wschodzącego słońca. Główne wejścia do centralnych
regulskich
budynków zawsze musiały być tak usytuowane. Niun pamiętał o tym. Był tu już
kiedyś.
Odprowadzał ojca, który miał wyruszyć na swą ostatnią służbę. Nie wszedł jed-
nak
wtedy do
środka.
Teraz przyszedł pod drzwi, przed którymi czekał tamtego dnia. Ujrzawszy go,

regulskie młode pełniące dyżur w przedsionku podniosło się zaniepokojone.
- Odejdź - nakazało mu prosto z mostu. Niun jednak nie zwrócił na nie uwagi.
Wszedł
prosto do głównego, pełnego ech holu. Natychmiast poczuł, że robi mu się
duszno
z powodu
gorąca oraz piźmowej woni powietrza. Znalazł się w wielkiej sali otoczonej
drzwiami oraz
okienkami, za którymi mieściły się gabinety. Wszystkie z nich zaopatrzone w
tabliczki z
napisami. Niun poczuł nagle mdłości i zawroty głowy. Stał pośrodku
pomieszczenia,
zawstydzony i zbity z tropu, gdyż musiałby jej przeczytać, by wiedzieć, dokąd
się teraz udać,
a on nie umiał czytać.
Regulskie młode zza biurka przy wejściu zbliżyło się do strapionego Niuna
krótkimi,
sztywnymi, muskającymi podłogę krokami. Pociemniało aż z gniewu czy z gorąca.
Dyszało
ciężko z wysiłku, jaki włożyło w dogonienie go.
- Odejdź - powtórzyło. - Zgodnie z traktatem i z prawem nie powinienes tu
przychodzić.
- Chcę porozmawiać ze starszymi - odpowiedział Niun. Jak go nauczono, była to
wśród reguły najwyższa i nieodwołalna apelacja. Żadne młode nie mogło podjąć
ostatecznej
decyzji. - Powiedz im, że kel'en przyszedł z nimi porozmawiać.
Młode wydmuchnęło powietrze przez nozdrza, podenerwowane.
- W takim razie chodź ze mną - powiedziało. Obrzuciło go pełnym dezaprobaty
spojrzeniem. Zatoczyło oczyma, ukazując w ich kącikach fragment pokrytych
czerwonymi
żyłkami białkówek. Miało ono - „ono” dlatego, że regule nie potrafili ok-
reślić
swej płci przed
osiągnięciem dojrzałości - podobnie jak wszyscy członkowie jego gatunku,
krępa
postać i
tułów dotykający niemal podłogi, nawet w pozycji stojącej. Było bardzo młode,
jak na
przyznany mu znaczny (wśród reguły) zaszczyt, jakim było strzeżenie drzwi
Nomu.
Zachowało jeszcze wyprostowaną postawę, a pod jego skórą - brązową, pokrytą
delikatnym,
granulkowatym deseniem oraz lśniąca łagodnym, beżowym metalicznym blaskiem -
wciąż
widoczne były kości. Podeszło do niego kołyszącym się krokiem, wymagającym
wiele
wolnej
przestrzeni.
- Jestem Hada Surag-gi - powiedziało - sekretarz i strażnik drzwi. Ty
niewątpliwie
należysz do grupy Intel.
Niun po prostu nie zareagował na to grubiaństwo strażnika tsi'mri, który naz-
wał
she'pan po imieniu z tak bezczelną poufałością. Wśród reguły do starszych
zwracano się
„wielebny”, „czcigodny” albo „panie”... Uznał tę poufałość za skalkulowaną
obelgę i

zapamiętał ją sobie z myślą o jakimś przyszłym dniu, w którym może się zdarzyć,
że będzie
posiadał coś, czego będzie pragnął Hada Surag-gi. W tej chwili młode robiło to,
czego Niun
od niego chciał, a w stosunkach pomiędzy mri a tsi'mri to wystarczało.
Wzdłuż zakrzywionych krawędzi ścian biegły stalowe szyny. Jakiś wehikuł
przeniknął, szmerząc, obok nich z prędkością tak wielką, że był widoczny
tylko
przez chwilę.
Szyny prowadziły do wszystkich miejsc, wzdłuż ściany znajdującej się naprzeciw
drzwi.
Minał ich następny wehikuł, a potem jeszcze jeden. Dzieliła je od siebie
odległość nie
większa niż szerokość dłoni. Niun nie pozwolił sobie na okazanie zdumienia na
widok
podobnych rzeczy.
Nie podziękował też młodemu, gdy wprowadziło go ono przez drzwi do poczekalni, w
której kolejny regul - jak się zdawało dorosły - siedział za metalowym biurkiem.
Po prostu
odwrócił się do młodego plecami, gdy przestało być dla niego użyteczne.
Usłyszał, że wyszło
z pokoju.
Urzędnik wychylił się zza biurka. Jego ciało spoczywało jak w kołysce w
ruchomym
krześle, które - co zdumiewające - posiadało napęd. Był to kolejny wehikuł.
Opowiadano mu,
że regule używają podobnych błyszczących, stalowych urządzeń, by móc poruszać
się bez
wstawania z miejsca.
- Znamy cię - oznajmił regul. - Jesteś Niun. Przybyłeś ze Wzgórza. Twoi przełożeni
skontaktowali się z nami. Rozkazano ci, byś natychmiast wrócił do swoich.
Gorąco napłynęło mu do twarzy. Było oczywiste, że zrobią właśnie to, by go ubiec.
Nawet nie przyszło mu to do głowy.
- To nie ma znaczenia - odparł, zachowując z uwagą odpowiedni ton. - Proszę o służbę
na jednym z waszych statków. Wyrzekam się swego edunu.
Regul był brązową masą pokrytą fałdami, nadmiarem fałd. Twarz widoczna wśród
jego cielska była zaskakująco gładka, niczym kość. Westchnął i spojrzał na Niuna
małymi
oczkami, w których kącikach widoczne były zmarszczki.
- Słyszemy, co mówisz - odparł - lecz traktat zawarty przez nas z twoim ludem
zabrania nam cię przyjąć, jeśli twoi przełożeni się sprzeciwiają. Proszę cię,
byś wrócił do nich
natychmiast. Nie chcemy wszczynać z nimi sporu.
- Czy masz zwierzchnika? - zapytał Niun ostrym tonem. Zabrakło mu już
cierpliwości.
Szybko tracił również nadzieję. - Chcę porozmawiać z kimś na wyższym stanowisku.
- Czy żadasz rozmowy z dyrektorem?
- Tak.

Reguł westchnął po raz kolejny i przekazał jego prośbę przez interkom. Głos o przykrym brzmieniu odmówił mu kategorycznie. Reguł podniósł wzrok i spojrzał z wyrazem twarzy raczej usatysfakcjonowanym i pełnym zadowolenia niż przepaszającym. - Sam widzisz - powiedział. Niun odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu, a następnie z holu, ignorując rozbawione spojrzenie młodego o imieniu Hada Surag-gi. Wychodząc z ciepłego wnętrza Nomu na publiczny plac, gdzie chłodny wiatr owiewał miasto, czuł, że twarz mu płonie i brakuje tchu w piersiach. Szedł szybko, jak gdyby miał dokąd iść i udawał się w owo miejsce przeznaczenia z własnej woli. Wyobrażał sobie, że każdy reguł w mieście wie o jego hańbie i śmieje się z niego potajemnie. Nie było to całkiem niemożliwe, gdyż regule często wiele wiedzieli o sprawach innych. Nie zwolnił kroku aż do momentu, gdy wkroczył na długą groblę prowadzącą od granicy miasta aż do edunu. Potem rzeczywiście zaczął iść wolno. Mało go obchodziło to, co działo się przed jego oczyma, czy co słyszał podczas wędrówki. Otwarta przestrzeń, nawet na grobli, nie była miejscem, w którym bezpiecznie było nie zwracać uwagi na otoczenie, lecz Niun tak właśnie robił, rzucając wyzwanie bogom i gniewowi she'pan. Żałował, że nic mu się nie przydarzyło i że mimo wszystko znalazł się wreszcie na znajomej glinianej ścieżce prowadzącej ku wejściu do edunu, a potem wszedł między jego cienie i echa. Nadal był w ponurym nastroju, gdy zbliżył się do schodów wieży Kel, wszedł po nich na górę, otworzył pchnięciem drzwi komnaty i zameldował się kel'anthowi Eddanowi, niczym sumienny więzień. - Wróciłem - oznajmił, nie zdejmując zasłony. Ranga i przekonanie o swej racji pozwoliły Eddanowi zwrócić ku gniewnemu Niunowi odsłoniętą twarz, dzięki zaś swemu opanowaniu pozostał nie poruszony. Starcze, starcze - nie mógł nie pomyśleć Niun - seta'al zlały się w jedno ze zmarszczkami na twojej twarzy, a oczy masz tak słabe, że spoglądają już w Mrok. Będziesz mnie tu trzymać tak długo, aż stanę się podobny do ciebie. Dziewięć lat, dziewięć lat, Eddanie, i doprowadziłeś do tego, że utraciłem godność. Cóż zdołasz mi odebrać w ciągu dziewięciu następnych? - Wróciłeś - powtórzył Eddan, który był jego głównym nauczycielem sztuki walki i przyzwyczał się odnosić do niego niczym do ucznia. - I co powiesz?

Niun zdjął ostrożnie zasłonę i usiadł po turecku na podłodze w pobliżu ciepłego, śpiącego w kącie dusa. Ten usunął się na bok z basowym pomrukiem skargi wywołanym zakłóceniem snu.

- Chciałem odejść - odparł.

- She'pan się martwiła - ciągnął Eddan. - Nie pójdziesz już więcej do miasta. Ona tego zabrania.

Niun podniósł wzrok, oburzony.

- Okryłeś wstydem Dom - dodał Eddan. - Zważ na to.

- Zważ na mnie - zawołał Niun w poczuciu bezsilności. Ujrzał, że jego wybuch przyprawił Eddana o szok i zaczął wyrzucać z siebie słowa z beztroską satysfakcją. - To nienaturalne, co ze mną zrobiliście, zatrzymując mnie tutaj. Należy mi się coś od życia. Chcę mieć wreszcie coś własnego.

- Należy ci się? - w cichym głosie Eddana kryła się groźba. - A kto cię tego nauczył?

Jakiś regul w mieście?

Eddan stał nieruchomo, z rękoma schowanymi za pas. Taka postawa starego mistrza yin'ein przeszywała dreszczem tych, którzy znali jej znaczenie: oto jest wyzwanie, jeśli go pragniesz. Niun kochał Eddana i fakt, że spojrzął on na niego w taki sposób, przeraził go, sprawił, że porównał on swe umiejętności z umiejętnościami kel'antha i przypomniał mu, że tamten wciąż może go upokorzyć. Między nim a starym mistrzem istniała różnica polegająca na tym, że jeśli ktoś sprawdziłby bluff Eddana, popłynęłaby krew. I Eddan zdawał sobie sprawę z tej różnicy. Żar napłynął do jego twarzy.

- Nigdy nie prosiłem, by traktowano mnie inaczej niż pozostałych - odezwał się Niun, odwracając oblicze od wyzwania rzuconego przez kel'antha.

- Co twoim zdaniem ci się należy?

Niun nie potrafił odpowiedzieć.

- W twojej obronie jest luka - stwierdził Eddan. - Ziejąca dziura. Idź i pomedytuj nad tym, Niunie s'Intel, a kiedy już zdecydujesz, co ci się należy od Ludu, przyjdź i powiedz to mnie, a wtedy udamy się do Matki i przedstawimy jej twoją prośbę.

Eddan drwił z niego. Gorycz potęgował fakt, że Niun na to zasługiwał. Zrozumiał, że jego nadmierna gorliwość okryła go wstydem przed regulami. Założył z powrotem zasłonę i podźwignął się na nogi, by wyjść na zewnątrz.

- Masz obowiązki, które na ciebie czekają - powiedział ostrym tonem Eddan. - Kolację wydano bez ciebie. Idź pomóc Liranowi w sprzątaniu. Wykonaj własne zadania, zanim zaczniesz myśleć o tym, co ci się należy.

- Tak jest - odparł cicho Niun, po czym ponownie odwrócił twarz i zszedł na dół.

Rozdział 3

Na statku odbywającym długą drogę z Elagu, zwanego też Przystanią, ponownie zapanowała nuda, taka sama jak przed przejściem. Sten Duncan po raz drugi spojrzął na ekran w głównej sali i ku swemu rozczarowaniu odkrył, że nie odnotował on jeszcze zmiany. Poświęcili najdłuższy okres, jaki kiedykolwiek musiał wytrzymać w normalnej przestrzeni, na wydostanie się z militarnie wrażliwej okolicy Przystani, podróżując na ślepo i w towarzystwie uciążliwego konwoju. Wszystko to nagle zniknęło, zastąpione przez następny etap drogi, zapewne równie nudny. Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Pachniało tu regulami. Wstrzymał oddech, gdy mijał automatyczną kuchnię, której drzwi były otwarte. Niemal nie zauważył ślizgu, który przemknął obok niego, gdyż trzymał się środka korytarza. Były one szerokie, wysokie w środkowej części, a niskie po bokach. W ich podłogę wbudowano błyszczące szyny kierujące ruchem ślizgów transportowych, których regule używali do poruszania się po długich korytarzach swego statku. Ani na chwilę nie sposób było zapomnieć, że jest to regulski gwiazdolot. Korytarze nie krzyżowały się ani nie zakręcały, jak miałyby to miejsce na statku ludzkiej konstrukcji, lecz wiły się i tworzyły spirale, by umożliwić poruszanie się trzymającym się blisko ścian ślizgom. Tylko nielicznymi z nich można było chodzić. W tych, które były do tego celu przystosowane, sufit na środku podwyższono z myślą o ludziach - albo mri, którzy często przebywali na regulskich statkach - na bokach jednak biegły szyny, przeznaczone dla pojazdów reguli. W całym gwiazdolocie unosiły się dziwne zapachy, niezwykle aromaty nies-trawnych dla ludzi potraw i przypraw. Słysząc było dziwne dźwięki, basowe odgłosy języka reguli, których ludzie - a zapewne nawet mri - nigdy nie potrafili wymówić tak jak oni. Nienawidził tego wszystkiego. Czuł bezgraniczną nienawiść do reguli. Wiedząc, że w jego sytuacji podobna reakcja jest nierozsądna i szkodliwa, nieustannie walczył ze swymi instynktami. Było zupełnie jasne, że regule odwzajemniają jego uczucia. Dali

swym ludzkim
gościom tylko sześć godzin, w czasie których mogli oni poruszać się swobodnie
po
strefach
przeznaczonych dla załogi, ile tylko dusza zapragnęła. Potem następował
dwudziestodwugodzinny okres uwięzienia.
Sten Duncan, adiutant czcigodnego George'a Stavrosa, przyszłego gubernatora
nowych terytoriów i obecnego łącznika między regulami a ludzkością, zawsze
korzystał z tej
sześciogodzinnej swobody. Czcigodny pan Stavros tego nie robił. W gruncie
rzeczy
w ogóle
nie wychodził z własnego pokoju. Duncan wędrował po korytarzach i przynosił
odpowiednie
materiały oraz teksty uzyskane z biblioteki, by czcigodny pan mógł je
przeczytać, a także
zanosił do pneumatycznej poczty komunikaty przepływające między Stavrosem a
jego
regulskim odpowiednikiem - baim Hulaghiem Alagn-ni.
Regulski protokół. Żaden starszy regul na pewnym stanowisku nie załatwiał
swych
spraw samodzielnie. Jedynie zdegradowani za niekompetencję nie posiadali mło-
dych
sług. W
związku z tym żaden człowiek w randze Stavrosa nie mógł postępować inaczej.
Dlatego
właśnie poseł wybrał sobie młodego adiutanta o dość wysokiej randze. Były to
kryteria,
których użyliby regule, wybierających przybocznych.
Praktycznie Duncan był służącym. Zapewniał Stavrosowi pewien status i wykony-
wał
jego polecenia. Podczas akcji zakończonej zdobyciem Przystani był w czynnej
służbie.
Regule wiedzieli o tym i ten fakt dodatkowo zwiększał prestiż Stavrosa.
Duncan zabrał dzisiejsze komunikaty i położył inne - pochodzące od Stavrosa -
na
odpowiednim stole, po czym wrzucił zamówienie na dzisiejszy posiłek do ot-
woru, z
którego
wcześniej czy później trafi ono do właściwego departamentu, co sprowadzi pod
ich
drzwi
automatyczny wózek z zamówionymi daniami - a przynajmniej z tym, co sobie
wyobrażali
regule - sporządzonymi z dostarczonych przez ludzi zapasów, które zabrali ze
sobą.
Jak egzotyczne zwierzęta - pomyślał poirytowany Duncan. Regule starali się -
tam,
gdzie im to nie przeszkadzało - podtrzymywać autentyczne środowisko. Podobnie
jak w
większości miejsc, gdzie pokazywano dzikie zwierzęta, widoczna była sztuc-
zność
całej
inscenizacji.
Wrócił tą samą drogą poprzez korytarz, rekreacyjny teren głównej sali oraz
bibliotekę.
Nigdy nie widział na oczy żadnego z reguli poza młodymi, które często od-
wiedzały

to główne pomieszczenie wypoczynkowe dla personelu. Co ciekawe, Stavros również nigdy nie spotkał Hulagha. Znowu protokół. Było prawdopodobne, że przez cały czas, jaki musieli jeszcze spędzić wśród reguli, nigdy nie zobaczą czcigodnego, wielebnego baia Hulagha Alagn-ni, a jedynie młode, które służyły mu jako załoga, adiutanci i posłańcy. Starsi regule praktycznie nie mogli się poruszać. To jedno było pewne. Hulagh podobno był w bardzo zaawansowanym wieku. Osobiście Duncan przypuszczał, że starzy regule wstydzili się tej bezradności, gdy stawali twarzą w twarz z nieregularni, i dlatego zaaranżowali sprawę tak, by zapewnić sobie całkowitą izolację od obcych. A może uważali ludzi i mri za niezdolne brzydkich. Było pewne, że ludzie nie znajdowali w regulach wiele piękna. Otworzył nie zamknięte na klucz drzwi prowadzące do dwuosobowego apartamentu, który dzielił ze Stavrosem. Przedpokój należał do niego. Służył mu jako sypialnia i miał też zaspokoić wszystkie jego pozostałe potrzeby w trakcie długiej podróży. Regulska zemsta - pomyślał skwaszony - za to, że ludzie upierali się przy długotrwałym locie w powolnym konwoju. Salon oraz właściwa sypialnia należały do Stavrosa, podobnie jak znajdujące się w sąsiednim pomieszczeniu urządzenia sanitarne. Ich również nie dostosowano do ludzkich potrzeb. Duncan zastanawiał się, jak stary już Stavros radził sobie z tą sprawą. Uznano jednak, że nie byłoby mądrze robić problemu z różnic dzielących ludzi od reguli pod tym względem. Przyjęto teorię, że ci drudzy czynili zaszczyt swym gościom, traktując ich dokładnie w ten sposób, jak gdyby byli ich pobratymcami, aż do tradycji utrzymywania kontaktów jedynie poprzez młodych pośredników oraz innej, która nakazywała umieścić kwaterę Duncana w tak niewygodnym miejscu - małym przedpokoju położonym pomiędzy mieszkaniem Stavrosa a zewnętrznym korytarzem. To wzbudza wielkie zaufanie do regulskiej cywilizacji - pomyślał Duncan z goryczą, zastanowiwszy się nad sprawą. Miał bronić czcigodnego ludzkiego pana przed niebezpieczeństwem, kontaktem z nieuprzejmymi nieznanymi i wszelkimi nieprzyjemnościami. Wydawało się, że założenie, iż należy się spodziewać podobnych incydentów, nie stanowi obelgi dla regulskiej gościnności. Stavros praktycznie pozostawał więźniem swej wysokiej rangi, zamkniętym w jednym pokoju i pozbawionym wszelkich możliwości kontaktu ze światem zewnętrznym, nie licząc

swego adiutanta.

Duncan zamknął drzwi zewnętrzne i zapukał do wewnętrznych. Przestrzeganie tej formalności było konieczne, po pierwsze dlatego, iż podsłuchujący regule (zakładając, że regule ich podsłuchiwali, o czym byli święcie przekonani) nie zrozumieliby żadnych poufałości pomiędzy starszym a młodym, a po drugie dlatego, że zbyt długo dzielili ze sobą ciasne pomieszczenia i obaj wysoko cenili możliwość odpoczynku od swego towarzystwa.

Drzwi otworzyły się automatycznie uruchomione przez Stavrosa. Człowiek - zwłaszcza drobny i wąły - wydawał się nie na miejscu na masywnym krzesłoidalnym skonstruowanym dla regulskich starszych. Było to biurko, ośrodek dowodzenia oraz środek transportu. Stavros nie zniżał się do jeżdżenia nim po pokoju. Duncan podszedł do niego i przekazał mu taśmy oraz papiery. Stavros wziął je w rękę i natychmiast zajął się nimi.

Wszystko to odbyło się bez uśmiechu czy słowa wyrażającego przywitanie lub choćby nakazującego mu odejść. Na początku ich znajomości Stavros uśmiechał się niekiedy. Teraz już tego nie robił. Żyli pod nieustanną obserwacją reguli i Duncan podejrzewał, że Stavros traktuje go tak, jak gdyby rzeczywiście był regulskim młodym, nie okazując mu uprzejmości i nie licząc się z nim jako osobą. Miał przynajmniej nadzieję, że takie są przyczyny okazywanego mu przez tamtego chłodu.

Wiedział, że wiele mu brakuje do zrozumienia człowieka takiego jak Stavros. Dostrzegał w nim pewne cechy, które szanował, na przykład odwagę. Uważał, że trzeba jej

było mieć wiele, by udać się na podobną misję w tak zaawansowanym wieku.

Potrzebny był

do niej starszy człowiek, dyplomata, który - poza swymi obowiązkami jako administratora

nowych terytoriów - potrafiłby zdobyć większy szacunek reguli - przyszłych sąsiadów

ludzkości. Stavros, choć był już na emeryturze, podjął się tego zadania. Nie był

to silny

mężczyzna. Jego fizyczna postać nie przedstawiała się imponująco. Jak się dowiedział

Duncan podczas ich jedynej osobistej rozmowy (a i ona miała miejsce przed wejściem na

pokład statku), pochodził on z Kiluwy, jednej z kilku ofiar wojny w ciągu jej pierwszych lat.

To mogło co nieco tłumaczyć. Kiluwanie słynęli z ekscentryczności. Ich

znajdującą się na

rubieżach kolonię zbyt długo pozostawiono samej sobie i rozwinęła się tam osobliwa religia,

filozofia oraz obyczaje. Podobnie jak regule, Kiluwanie gardzili pismem. W ciągu

lat, które
upłynęły od upadku Kiluwy, Stavros pracował w Urzędzie Ksenologii. W ostat-
nich
czasach
przeniósł się na uniwersytet. Miał dzieci. Stracił wnuka w wojnie o Elag,
zwany
teraz
Przystanią. Jeśli żywił nienawiść do reguli za Kiluwę lub z powodu wnuka,
nigdy
nie
zdradzał się z tym uczuciem. Rzadko okazywał jakiegokolwiek emocje z wyjątkiem
z
lekka
obsesyjnego zainteresowania regulami. Wszystko w nim było spokojne, lecz pod
tym
spokojem kryły się niezbadane głębie.
Jasne oczy starego mężczyzny rozbliły.
- Dzień dobry, Duncanie - powiedział, po czym natychmiast wrócił do nauki. -
Usiądź
- dodał. - Zaczekaj.
Duncan usiadł, rozczarowany, i czekał. Nie miał zresztą nic innego do roboty.
Do
tej
chwili postradałby już zmysły, gdyby nie jego zdolność znoszenia długich ok-
resów
ciszy i
bezczynności. Obserwował Stavrosa przy pracy, zastanawiając się po raz
kolejny,
dlaczego
stary z taką determinacją próbuje nauczyć się języka reguli. Zajmowało mu to
wiele godzin.
Byli przecież regule, którzy znakomicie mówili potocznym podstawowym. Nigdy
ich
nie
zabraknie. Stavros jednak osiągnął w czasie ich podróży wystarczająco wielkie
postępy, by
móc słuchać taśmy nagranej przez regulskiego kapitana statku, zawierającej
harmonogram
dnia oraz aktualne informacje. Jedyne od czasu do czasu musiał spoglądać na
pisemne
tłumaczenie, które do niej dołączano. Była to regulska propaganda wychwa-
lająca
starszych z
ojczystego świata, Nuragu, oraz kierownictwo sprawowane przez dyrektora
statku.
Duncanowi wszystko to wydawało się kompletnie jałowe, nie licząc przelotnych
uwag na
temat postępów czynionych przez statek w jego wędrówce.
Podobny materiał Stavros wykorzystywał jednak do nauki, aż wreszcie zdobył
umiejętność płynnego wypowiedziania przynajmniej uprzejmych banałów. Uczył się
w
tempie,
które zdumiewało Duncana. Naprawdę rozumiał tę gmatwaninę dźwięków, która
jego
młodszemu towarzyszeni wciąż wydawała się jedynie chaosem.
Tak, człowiek - wykształcony, inteligentny, mający wnuki i prawnuki - porzu-
cił

wszystko, co ludzkie i znajome, wszelkie owoce swego długiego życia i wyruszył w towarzystwie nieprzyjaciela w podróż w nieznaną przestrzeń. Choć stanowisko gubernatora stanowiło poważną zachętę, ryzyko, jakie podejmował Stavros, było więcej niż znaczne. Duncan nie wiedział, ile stary ma lat. Na Przystani krążyły na ten temat plotki ocierające się o granicę nie wiarygodności. Było mu jednak wiadomo, że jeden z prawników Stavrosa wstąpił właśnie do armii. Gdyby Duncan zdołał nawiązać ze swym przełożonym jakąkolwiek bliższą więź, zapytałby go, dlaczego zgodził się przyjąć to zadanie. Nie odważył się jednak tego zrobić. Każdorazowo, gdy odczuwał pokusę poddania się atmosferze uwięzienia oraz odczuwanego przez siebie strachu przed otaczającą ich niezwykłością, wspominał starego człowieka cierpliwie pogrążonego w swych lekcjach i myślał z rezygnacją, że musi to jakoś przetrzymać. Nie uważał, że przydaje się do czegokolwiek Stavrosowi, czy to jako towarzysz, czy jako służący. Potrzebny był jedynie do zachowania niezbędnych pozorów przyzwoitości w oczach reguli. Stavros poświęcał mu tak mało uwagi, że mógłby obejść się bez niego. Departament Składu Osobowego przedstawił pół tuzina ludzi, by Stavros przeprowadził z nimi wywiad, a ten wybrał Duncana, jednego z oficerów Naziemnych Sił Taktycznych z Przystani. Duncan nadal nie wiedział dlaczego. Sam przyznał, że brak mu kwalifikacji, by objąć podobną placówkę. W takim razie będzie wiedział, że musi słuchać rozkazów - wynioskował Stavros w jego obecności. - Ochotnik? - zapytał go następnie, jak gdyby był to powód, by podejrzewać go o chorobę umysłową. Nie, sir - odpowiedział Duncan zgodnie z prawdą. - Wezwali wszystkich żołnierzy NST znajdujących się niedaleko od Przystani. Specjalność pilot? - zapytał Stavros. Tak jest - odparł. Czy żywi pan jakąś urazę do reguli? - padło następne pytanie. Nie - odparł po prostu Duncan, co również było prawdą. Nie lubił ich, nie była to jednak kwestia urazy, lecz wojny. Było to wszystko, co wiedział na ten temat. Stavros przeczytał jego dossier po raz drugi w jego obecności i przyjął go. W owej chwili wydawało mu się to czymś korzystnym, fantastycznie atrakcyjnym.

Przeniesiono go ze strefy działań wojennych, gdzie przewidywana długość życia mierzona była liczbą lotów bojowych, a on zbliżał się do swego statystycznego limitu, i wyznaczono łatwe zadanie na dyplomatycznym statku z silną eskortą oraz zagwarantowano powrót do domu i zwolnienie ze służby po pięciu latach - przeniesienie w stan spoczynku przed trzydziestką z emeryturą tak wysoką, że żaden żołnierz NST nie mógłby o podobnej marzyć, nie przekraczając granic zdrowego rozsądku, bądź też - i to była rzecz, nad którą Duncan szczególnie często zastanawiał się - przeniesienie na stałe do zarządu nowej kolonii, stały przydział na terytorium Stavrosa, bogactwo i wpływy na nowo rozwijającym się świecie. Za podobną szansę ludzie byliby gotowi zabijać lub ginać. W obu przypadkach musiał jedynie przez pewien czas znosić towarzystwo reguli i zdobyć uznanie Stavrosa poprzez świadczone mu usługi. Miał pięć lat na osiągnięcie tego drugiego celu i zamierzał tego dokonać. Nie czuł zbyt wielkiego strachu, gdy wkraczał na pokład regulskiego statku. Zapoznał się z danymi, jakie ludzie posiadali na temat tego gatunku. Wiedział, że nie mają oni wojowniczych skłonności, wola unikać przemocy i są w zasadzie bojaźliwą rasą. Walczyli za nich wojownicy mii, którzy prowokowali coraz to nowe konflikty, aż wreszcie regule nakazali im wycofanie się i przejęli nad nimi ścisłą kontrolę. Na ich ojczystym świecie władzę przejęli teraz nowi regule, pacyfistycznie nastawione stronnictwo. Zarządzało ono również statkiem, którym podróżowali, oraz światem, ku któremu zmierzali. Podczas długiej, ciągnącej się podróży poznał jednak inny rodzaj strachu - posępny i wyczekujący. Zaczął się domyślać, dlaczego chciano, by towarzyszem Stavrosa został żołnierz NST. Przechodził szkolenie w obcych środowiskach, był przyzwyczajony do samotności i niepewnej sytuacji, a nade wszystko nie wiedział nic o zamiarach władz. Gdyby coś poszło nie tak, a zaczynał już dostrzegać ewentualności, które mogłyby do tego doprowadzić, jedyną dotkliwą stratę stanowiłby Stavros. Sten Duncan był nikim. Służył w wojsku i nie miał nawet rodziny, którą trzeba by zawiadomić. Można go było bez żalu spisać na straty. Jego niski numer klasyfikacyjny oznaczał, że mógłby wyśpiewać nieprzyjaciołom wszystko, co wiedział, nie czyniąc szkody żadnym istotnym instalacjom, sam

Stavros zaś od
dawna przebywał w izolacji, na uniwersytecie na Nowej Kiluwie.
Być może - przyszła mu do głowy i taka myśl - Stavros byłby w stanie
poświęcić
go
bez wahania, gdyby Duncan okazał się niewygodny. Był on dyplomata, z typu,
jakiemu
Duncan instynktownie nie ufał. Podobni jemu poświęcali w czasie wojny takich
jak
Sten
Duncan setkami i tysiącami. Być może to właśnie odbierało Stavrosowi ochotę
na
rozmowę z
nim, jak gdyby Duncan nie był niczym więcej niż częścią umeblowania. Regule
załatwiali się
ze zbuntowanymi - a nawet niewygodnymi - młodymi szybko i bez litości, jak
gdyby
były
one łatwym do zastąpienia artykułem.
Był to lęk zrodzony w nocy, jeden z tych, które narastają w ciemnościach.
Pojawiał się
podczas nazbyt długich godzin, gdy Duncan leżał w łóżku, myśląc o tym, że za
jednymi
drzwiami znajduje się obcy strażnik, u którego nie rozumiał nawet podsta-
wowych
procesów
życiowych, za drugimi zaś człowiek o nieprzeniknionym umyśle, starzec, który
uczył się
myśleć jak regul, a starzy regule byli dla młodych postrachem.
Gdy jednak przebywali razem, w czasie cyklu dziennego, gdy spoglądał Stav-
rosowi
w
twarz, nie był w stanie poważnie uwierzyć w rzeczy, o jakich myślał i jakie
sobie roił nocą.
Tak długo przebywał w zamknięciu, znosząc podobnie silne napięcie, że nie
było
nic
dziwnego w tym, że jego umysł zaczęły ogarniać bezimienne, irracjonalne
obawy.
Pragnął jedynie dowiedzieć się, co Stavros miał nadzieję osiągnąć i czego
oczekiwał
od niego.
Taśma o biegu zamkniętym zakończyła swój trzeci cykl. Duncan zrozumiał
przynajmniej przywitanie - kilka słów w języku reguli, które znał. Stavros
słuchał tekstu i
notował go w pamięci. Wkrótce będzie w stanie wyrecytować go w całości.
- Sir - przerwał ostrożnie myśli Stavrosa. - Sir, nasz... - taśma umilkła -
nasz
okres
swobody zaraz się skończy. Jeśli potrzebuje pan czegoś jeszcze z biblioteki
albo
apteki...
Pragnął, by Stavrosowi przyszło do głowy coś, co mogłoby mu się przydać.
Chciał
nacieszyć się bezcennym czasem, jaki mógł spędzić poza ich kwaterą. Chodzić.
Poruszać się.
Stavros jednak zabronił mu wałęsać się tam, gdzie mogli go dostrzec regule,
czy

też
próbować nawiązywania kontaktu z członkami załogi. Duncan rozumiał powody
kryjące się
za tym zakazem. Był to rozsądny środek ostrożności mający na celu zachowanie
tajemnicy
otaczającej ludzi w oczach reguli.
Niech, się zastanawiają, co też myślimy - powiedziała by Stavros w wielu
sytuacjach.
Duncan jednak nie mógł znieść siedzenia w zamknięciu, podczas gdy kończył się
ich okres
swobody, a statek niedawno dopiero przekroczył granice regulskiej
przestrzeni.
- Nie - odparł Stavros, niweczając jego nadzieje. Następnie, jak gdyby się
namyślił,
wręczył mu jedną z taśm. - Proszę. Oto pretekst. Sprawiaj wrażenie, że masz
coś
ważnego do
załatwienia i trzymaj się tej wersji. Znajdź mi następną z kolei i przynieś
obie. Przespaceruj
się trochę.
- Tak jest, sir. - Wstał i ruszył w stronę starego, by mu podziękować, wyra-
zić
wdzięczność za to, że zrozumiał jego cierpienia, lecz Stavros ponownie
włączył
taśmę i
spojrzał w innym kierunku, przez co Duncan poczuł się niezręcznie. Zawahał
się,
po czym
wyszedł, poprzez własny pokój, na zewnątrz.
Zaczerpnął kilka głębokich oddechów, by przyzwyczaić się do odoru powietrza.
Natychmiast poczuł się swobodniej, nawet w tych wąskich korytarzach.
Pomieszczenia
mieszkalne reguli były małe i nieciekawe. Było w nich tylko tyle miejsca, by
ślizg mógł
poruszać się swobodnie. Większość przedmiotów skupiona była w zasięgu ręki
osoby
siedzącej. Duncan stłumił pragnienie przeciągnięcia się i narzucił sobie
spokojne tempo,
kierując się w stronę głównej sali korytarzem, w którym nie widział ani jed-
nego
regula.
Sala ta służyła całej załodze do rekreacji i nauki. Mieścił się tam również
terminal
biblioteczny. Wygodniej, pomyślał Duncan, byłoby doprowadzić łącze bibliotec-
zne
do
konsoli znajdującej się już w ich kwaterze i w ten sposób sprawić, by w ogóle
nie
potrzebowali z niej wychodzić. Czuł jednak ogromną radość, że regule tego nie
uczynili.
Dostarczało mu to pretekstu, jak powiedział Stavros. Być może istniały
ograniczenia
odnoszące się do pewnych pasażerów, którzy potrafili przeczytać i zrozumieć
więcej niż oni.
Duncan tego nie wiedział. Popatrzył na wijące się regulskie cyfry na kasecie,
którą przyniósł,
i z uwagą wcisnął klawisze oznaczające kolejny numer.
Maszyna zaklekotała i po króciutkiej chwili kaseta, którą chciał otrzymać,

znalazła się na miejscu. Duncan przekazał bibliotece ich specjalny kod, który zmieniał moduł alfabetyczny. Ta, powiadomiona, iż to ludzie pragną otrzymać rzeczoną kasetę, sprawdziła pośpiesznie upoważnienia i zapewne przeszła przez następny proces, by podjąć decyzję, czy kasecie powinien towarzyszyć wydruk - w gruncie rzeczy zawsze otrzymywali trzy: dosłowny, transliterowany i tłumaczony - po czym wreszcie zaczęła pokrywać papier zawartością swej mikropamięci. Duncan spacerował po pokoju, podczas gdy maszyna wypuszczała z siebie stronę za stroną. Sprawdził czas. Zostało go niewiele. Wrócił do urządzenia, które wciąż jeszcze pracowało - wolniej niż jakikolwiek system przetwarzania danych ludzkiej produkcji, z jakim spotkał się Duncan. Reakcje maszyny były równie ospałe, jak reakcje samych reguli. By wypełnić czymś sekundy, zaczął liczyć zmiany zachodzące na makiecie ekranu panoramicznego, wypełniającej centrum ściany biblioteki. Ukazywała ona ich kurs poprzez opanowaną przez ludzi przestrzeń, co ciekawe nigdy nie ujawniając obecności konwojujących ich, uzbrojonych statków, które były źródłem tak wielu kontrowersji. Była nieaktualna. Pokazywała poranną sytuację. Z każdym impulsem przechodziła w cyklicznym obiegu do innych obrazów, widoków fascynujących w swym obcym charakterze (Duncan nie wątpił, że poddano je starannej cenzurze, by ludzie nie dowiedzieli się zbyt wiele o regulach, gdyż nie było na nich widać żadnych żywych istot ani miast czy konstrukcji). Następnie pojawiały się pola gwiazdne, a potem znowu schemat ich podróży. Obraz dominował nad pokojem. Duncan obserwował, jak zmieniał się on powoli dzień za dniem, podczas gdy zbliżali się do miejsca skoku. Przestał już myśleć o tym, że ich podróż ma jakikolwiek cel. Specyficzna izolacja, w której przebywali, stworzyła odrębne środowisko, trudne do połączenia w myślach z życiem, jakie wiódł przedtem. Nie potrafił też sobie wyobrazić życia, jakie go czekało w przyszłości. Cel swej podróży znali jedynie z zapewnień reguli. Duncan przyglądał się obrazowi przez trzy podobne cykle, po czym zwrócił się z powrotem w stronę maszyny, która zatrzymała się w środku wydruku, błyskając sygnałem

priorytetu. Ktoś ważny przerwał jej pracę, by otrzymać coś bardziej istotnego.

Materiały

Duncana zamarły bez ruchu w uścisku maszyny. Nacisnął przycisk anulowania, by odzyskać

kasetę, lecz nic się nie wydarzyło. Nadal migał sygnał priorytetu, a biblioteka

wykonywała to,

co jej nakazywało jakieś inne źródło. Zaklął i ponownie sprawdził czas.

Połowa

wydruku była

już gotowa, lecz jego część końcowa wciąż spoczywała w maszynie. Mógł odejść, trzymając

się ściśle rozkładu, lub poczekać krótką chwilę potrzebną urządzeniu do uporania

się z

zadaniem. Postanowił poczekać. Zapewne przyczyną zwłoki był wydruk. Jego

wykonanie

było trudną i niewygodną operacją, z którą, zapewne rzadko robiąca podobne rzeczy

biblioteka nie potrafiła się sprawnie uporać. Ogiś krażyły pogłoski, że regule

w ogóle nie

używają pisma, odkryto jednak, że nie jest to prawdą. Posiadali oni wyrafinowany

i

skomplikowany język pisany. Biblioteka jednak była przystosowana do odtwarzania

akustycznego. Większość regulskich materiałów przekazywano drogą ustną.

Mówiono

- i

zgodnie z ich obserwacjami wydawało się to prawdą - że regule nie muszą wysłuchiwać

żadnej taśmy więcej niż jeden raz.

Pamięć natychmiastowa i absolutna. Ejdetyczna. Duncan pamiętał, jak Stavros mu

mówił, że u reguli słowo „kłamstwo” jest ściśle związane z pokrewnymi

konceptami

perwersji i morderstwa.

Gatunek, który nie potrafił niczego zapomnieć ani się oduczyć. Jeśli

rzeczywiście tak

było, istniała możliwość, iż mogą być pewni, że regule każdorazowo mówią im jedynie

prawdę.

Było też jednak możliwe, że gatunek niezdolny do kłamstwa nauczył się metod wprowadzania w błąd bez uciekania się do tego środka.

Nie musiał się zastanawiać, co regule sądzą o ludziach, którzy przywiązywali wielką

wagę do słowa pisanego, dla których trzeba było przygotowywać specjalne,

odrębne

materiały, by byli w stanie pojąć powoli to, co regule mogli wchłonąć za

jednym

wysłuchaniem, i którzy nie potrafili nauczyć się ich języka, podczas gdy oni opanowali język

ludzi bardzo szybko, w miarę dostarczania im słów i nigdy nie musieli niczego

powtarzać

dwa razy.

Czuł niepokój, gdy myślał o tym, a także o regulskich młodych. Mimo że były one tak bezradnie powolne i ociężałe w swych ruchach, gdy spoglądały na człowieka, w ich małych, świńskich ślepiach przeblyskiwało jakieś uczucie wywołujące zmarszczki w kącikach ich oczek. Wiedział, że te młode, o ile nie zamorduje ich własny rodzic, mogą żyć kilkakrotnie dłużej niż człowiek i zapamiętać każdą chwilę swego życia, a także i to, że bai Hulagh, sprawujący władzę nad statkiem, na którym się znajdowali, oraz strefa, ku której zmierzali, dokonał właśnie tego. Miał im za złe zarówno długie życie, jak i dokładną pamięć, a także natarczywość ich wszechobecnych maszyn oraz zjadłość i bezczelność, z jaką trzymali ich w zamknięciu i narzucali ścisły rozkład dnia, podczas gdy otaczające ich automaty czyniły regule fizycznie więcej niż równymi ludziami. Nade wszystko jednak, z całą gromadzącą się frustracją wywołaną ich długim uwięzieniem, gniewały go drobne, irytujące przeszkody, jakie nieustannie stawiali na ich drodze regulscy gospodarze, którzy w wyraźny sposób gardzili ludźmi za słabe strony ich umysłu. Stavros zmierzał prostą drogą do klęski, jeśli szukał porozumienia z podobnymi sąsiadami. Było śmiertelnym błędem sądzić, że człowiek może stać się regulem i że uzyskał cokolwiek, imitując niewolniczo sposób zachowania istot, które nim gardziły. To był robak, który gryzł go już od pierwszych dni ich miękkiej jak jedwab niewoli w więzieniu z chromowych płyt. Zewsząd otaczały ich maszyny regule i sami regule - niezdarne bestie, bezradne bez swych automatów, przypominające wielkie, bezkształtne pasożyty, żyjące dzięki podłączeniu do urządzeń ze stali i chromu. Stavros popełniał totalny, niebezpieczny błąd, jeśli sądził, że zdobył szacunek regule, wyrzekając się nielicznych rzeczy, w których ludzie mieli nad nimi przewagę. Regule spoglądali z pogardą na gatunek, którego umysł zapominał i który uwieczniał swą wiedzę na filmach i papierze. Szukał okazji, by powiedzieć to Stavrosowi, nie mógł jednak zbliżyć się do niego na tyle, by przekazać mu swoje obawy. Stavros był wykształconym człowiekiem, a Duncan nie. Był on jedynie doświadczony i to doświadczenie ostrzegało go dobitnie, że

znajdują się w
niebezpiecznej sytuacji.
Uderzył dłonią w pulpit biblioteki. Czas dobiegł końca. Został pokonany przez
to
okropieństwo. Było niewiarygodne, że urządzenie mogło pracować tak powoli.
Jego
gest był
równie jałowy i bezmyślny, jak trzepnięcie maszyny wyprodukowanej przez
ludzi.
Już w
sekundę później Duncan zrozumiał jednak, że nie powinien tego robić. Gdy
natychmiast zgasł
sygnał priorytetu, przez chwilę był przerażony, sądząc, że to on w jakiś
sposób
to
spowodował i wzbudził wrogość jakiegoś wysoko postawionego reguła.
Maszyna zaczęła jednak wypuszczać z siebie resztę papieru, a potem w
przepisowy
sposób wystrzeliła kasetę. Duncan zatrzymał się, by zabrać to wszystko. Po-
tem,
gdy odwracał
się, by odejść, spojrział w górę na tablicę i zobaczył, że cały obraz się
zmienił
i że mieli teraz
przed sobą wizualną prezentację układu o siedmiu planetach, a kurs ich statku
przedstawiano
jako zmierzający ku drugiej z nich.
Miejscu ich przeznaczenia.
Gdy na to patrzył, dostrzegł na symulacji wyobrażenie następnego statku
zmierzającego na zewnątrz trasą nie przecinającą się z ich kursem. Znajdowali
się wewnątrz
układu, na zamieszkanym obszarach, gdzie panował intensywny ruch. Zbliżyli
się
do Kesrith.
Czas ponownie ruszył naprzód. Jego serce zaczęło bić szybciej pod wpływem
pokrępiającej
pewności, że rzeczywiście dotarli tam, gdzie mieli dotrzeć i że zbliżyli się
do
swego nowego
świata. Zgodnie z owym diagramem, zanim przybiją do doku na stacji Kesrith,
upłynie więcej
niż tydzień, niemniej jednak zbliżyli się.
Okres ich uwięzienia dobiegał końca.
Po lewej stronie w korytarzu rozległy się kroki. Przez chwilę ignorował je.
Wiedział,
że przekroczył czas i spodziewał się pełnego zgryźliwości upomnienia od
jakiegoś
młodego.
Dlatego nie dotarł do niego złowieszczy charakter dźwięku. Nagle zrozumiał,
że
jest on tu nie
na miejscu. Był to miarowy odgłos butów uderzających w podłogę, a nie powolne
człapanie
stóp reguła czy nawet dźwięk delikatnych kroków Stavrosa. Odwrócił się,
przerażony - zanim
go jeszcze zobaczył - obecnością kogoś, kto nie był jednym z nich ani
regulem.
Ujrzał postać, która podobnie jak on zatrzymała się bez ruchu. Odziana była w

czarne
szaty ozdobione mnóstwem małych, lśniących dysków. Mri. Kel'en. Złociste oczy
ponad
zasłoną wyrażały zdumienie. Szczupła, brązowa dłoń powędrowała do noża za
pasem
i
zastygła w tym miejscu.
Jeszcze przez chwilę żaden z nich się nie ruszał. Można było usłyszeć jedynie
powolne zmiany zachodzące w projektorze.
Nieprzyjaciel. Wróg, który zniszczył Kilwę, Talos i Asgard. Duncan nigdy nie
widział żadnego z mri z tak bliska. Jedynie oczy i dłonie były odsłonięte.
Wysoka postać
zachowywała całkowity bezruch, rozsiewając aurę groźby i gniewu.
Znalazł w sobie odwagę, by powiedzieć:
- Jestem Sten Duncan.
Wątpił, by mri zrozumiał cokolwiek, uważał jednak, że czas już, by słowa
dokonały
interwencji, zanim przemówi broń.
- Asystent posła Federacji - dokończył.
- Jestem kel Medai - odparł tamten w bezbłędnym podstawowym - i niedobrze się
stało, że się spotkaliśmy.
Powiedziawszy to, mri odwrócił się na pięcie i oddalił dumnym krokiem w
kierunku, z
którego przyszedł. Czarna postać zniknęła w mroku przy zakręcie korytarza.
Duncan
zauważył, że drży mu każdy mięsień. Widywał mri z tak bliska jedynie na
fotografiach i
wszyscy z nich byli martwi.
Piękny - to niezwykle określenie przyszło mu do głowy na widok wojownika mri.
Mógłby tak pomyśleć o jakimś zwierzęciu, wspaniałym, śmiertelnie groźnym
egzemplarzu
swego gatunku.
Odwrócił się i krew, która podjęła już w pewnym stopniu swe normalne
krażenie,
zastygła w jego żyłach po raz drugi. W głównej sali stało regulskie młode.
Jego
nozdrza
otwierały się i zamykały szybko pod wpływem podniecenia.
Zapiszczało do niego ostrzegawczo. Duncan nie wiedział czy ze strachu, czy z
gniewu. Przybrało odcień sinej bladości. - Idź do swojej kwatery - nalegało.
-
Czas upłynął.
Idź do kwatery. Natychmiast!
Duncan ruszył naprzód, przepchnął się obok młodego i pognał przed siebie, nie
ogładając się. Gdy osiągnął już azyl własnych drzwi, ręce mu drżały. Wpadł do
środka, zanim
jeszcze skończyły się one otwierać, po czym zamknął je natychmiast. Nie
uspokoił
się, nim
uszczelnienie nie zadziało z sykiem. Osunął się na łóżko. Wiedział, że już
za
chwilę będzie
musiał spotkać się ze Stavrosem i zdać mu relację z tego, co uczynił. Mate-
riały
z biblioteki
wypadły z jego chłodnych dłoni. Niektóre z papierów spadły na podłogę. Nachy-
lił
się i

podniósł je, nie czując palcami ich dotyku.
Popełnił olbrzymi błąd i wiedział, że to nie koniec tej sprawy.
Udawali się na planetę, która podobno była światem ojczystym mri - Kesrith
krążąca
wokół gwiazdy Arain.
Mimo to regule twierdzili, że prawo jej własności należy do nich i że mogą
odstąpić ją
ludziom. Utrzymywali, że są władni rozkazywać wszystkim mri oraz podpisywać
traktaty w
ich imieniu.
Zdradzili mri, a mimo to na statku, który przywiózł rozkazy oddające Kesrith
ludziom,
znajdował się kel'en.
„Niedobrze się stało, że się spotkaliśmy” - powiedział Duncanowi.
Było oczywiste, że przynajmniej regule - a być może również mri - nie
chcieli,
by
doszło do tego spotkania. Kogoś tu oszukiwano.
Podniósł się, głęboko odetchnął, zastukał do drzwi Stavrosa i tym razem
wszedł
do
środka, nie czekając na pozwolenie.
Rozdział 4
Tego wieczoru odlatywał kolejny statek, jeden z kilku wahadłowców prze-
wożących
pasażerów oraz towary z powierzchni Kesrith na stację, a stamtąd na gwi-
azdoloty:
frachtowce, liniowce i okręty wojenne - wszystko, co mogło usunąć spanikow-
anych
reguli z
drogi nadciągających ludzi.
Niun przyglądał się, co przyzwyczał się robić każdego wieczoru, z owej wy-
sokiej
skały, która wznosiła się ponad morzem, nizinami oraz miastem. To była
prawda.
Pogodził
się wreszcie z faktem, że wojna się skończyła, choć gdy obserwował odlatujące
statki, wciąż
ogarniało go poczucie nierealności. Nigdy za jego życia ani nawet - pomyślał
-
za życia
członków starszyny nie startowały tak często. Faktem było, że regulskie mi-
asto
umierało.
Ubywało w nim życia z każdym odlatującym statkiem. Niun był posłuszny rozka-
zowi
she'pan
i nie zbliżał się do miasta ani portu, sądził jednak, że gdyby udał się teraz
na
plac,
stwierdziłby, że wiele budynków jest opustoszałych i ogołoconych z wszyst-
kiego,
co
wartościowe. Każdego kolejnego dnia widział pojazdy zmierzające do miasta
drogą
wijącą się
wzdłuż brzegu morza, która z jego punktu obserwacyjnego była ledwo dostrze-
galna

linią.
Przywoziły one reguli z dalej leżących osiedli oraz stacji. Samoloty przylatywały do miasta, lecz coraz mniej z nich odlatywało na nowo. W jego umyśle ukształtował się obraz ogromnego usypiska porzuconych na granicy miasta regulskich wehikułów, a także statków w porcie. Będą je musieli zrzucić na stosy i zostawić na pastwę rdzy. Krażyły pogłoski - czego dowiedział się Sathell z regulskich środków przekazu - że główną cenę zapłaconą przez reguli za pokój, który kupili, było odstąpienie wszystkich kolonii w pobliżu Kesrith. Ekonomia tsi'mri okazała się na koniec potężniejsza niż broń Kel i z pewnością ważniejsza - zdaniem reguli - niż honor mri. Kesrith co prawda była dla nich poważną stratą, gdyż planeta ta stanowiła ośrodek górniczy i bazę transportową, pełną kosztownych automatów. Niewątpliwie utrata podobnej kolonii okryła wstydem regulskich starszych, niewątpliwie było to obciążeniem dla ich interesów i handlu i niewątpliwie dla przebywających w uciekających statkach reguli niedogodność ta graniczyła wręcz z tragedią. Członkowie tego gatunku wysoko cenili różne osobliwe przedmioty. Różnice w ilości i jakości tych błahostek, a także posiadane stroje i wygody wyznaczały w ich oczach wartość jednostki. Utrata domów oraz cennych drobiazgów, których nie zdołają zabrać na statki, będzie dla nich bolesna. Nie mieli oni jednak Czczonych Przedmiotów ani niczego, czego strata mogłaby być dla nich równie dotkliwa, jak strata ojczystego świata dla Ludu. Wyróżnienia, których pożąдали, będą mogli kupić na nowo, jeśli im się poszczęści, w przeciwieństwie do wyróżnień mri, na które trzeba było zasłużyć. W związku z tym Niun nie mógł się zdobyć na większe współczucie dla żadnego z nich. Sam poniósł wystarczająco wielką stratę. Życie, jakie planował i jakiego pragnął dla siebie, wychodziło poza zakres rzeczy realnych z całą gwałtownością i szybkością tych odlatujących statków. Odwrót zamienił się w paniczną ucieczkę, trwającą noc i dzień. Wypadki dowiodły, że osobiste plany Niuna s'Intel Zain-Abrin nie znaczą nic dla mocy rządzących światami. Jednakże zagrożenie dla Domu było czymś, czego wyobrażenie sobie nie leżało w jego mocy. Możliwość, że moce rządzące światami w najmniejszym

stopniu nie
dbają o los Ludu - to przekraczało wszelkie pojęcie.
Próbował już przystosować swój umysł do tej zmiany losu.
- Gdzie będziemy się bronić? - zapytał Eddana i kel'ain, zakładając, że jego
naród
zachował rozsądek i dojdzie do obrony ojczystego świata oraz Edunu Ludu.
Eddan jednak, usłyszawszy to pytanie, odwrócił twarz i gestem odmówił mu
odpowiedzi. Wobec nie podjęcia działania przez Kel, Niun odważył się zwrócić
z
tym
pytaniem do samej she'pan. Intel popatrzyła na niego z dziwnym smutkiem, jak
gdyby jej
ostatniemu synowi brak było jakichś zasadniczych zdolności pojmowania.
Odpowiedziała mu
jednak łagodnym tonem, wygłaszając ogólniki o cierpliwości i odwadze. Z uwagą
uchyliła się
przed udzieleniem bezpośredniej odpowiedzi na jego pytanie.
Dzień za dniem odlatywały regulskie statki. Na ich pokładach nie było kel'ain
mri.
She'pan zabroniła im tego.
Patrzył na koniec. Teraz to zrozumiał. Przynajmniej to. Czego koniec miał to
być, nie
był jeszcze pewien, znał jednak smak nieodwołalności i wiedział, że z tego,
czego pragnął
przez całe życie, nie pozostało nic. Regule odlecieli i odtąd mieli panować
tu
ludzie.
Żałował teraz z rozpaczliwą intensywnością, że nie poświęcił się jeszcze
gorliwiej
studium nad ich zwyczajami. Gdyby tak postąpił, mógłby zrozumieć, co
najprawdopodobniej
uczynią. Być może starsi kel'ain, którzy spotykali się z nimi tak często,
wiedzieli to. Być
może w związku z tym sądzili, że on również powinien to wiedzieć i nie
zamierzali nagradzać
go za ignorancję wyjaśnieniami. A może byli równie bezradni jak on i nie
chcieli
przyznać się
przed nim do oczywistej prawdy. Nie mógł mieć do nich o to pretensji. Rzecz w
tym, że po
prostu nie potrafił pogodzić się z myślą, iż nic się nie da zrobić i nie ma
sensu czynić żadnych
przygotowań, podczas gdy regule z takim niepokojem i desperacją uciekali w
bezpieczne
miejsce. Wierzył, z siłą całej wiary, jaka jeszcze pozostała w jego kurczącej
się skarbnicy
rzeczy zasługujących na zaufanie, że gdy nadejdzie koniec, członkowie Kel
będą
się bronić,
lecz - jeśli tak się stanie - zginą. Ich umiejętności były wielkie, jak
sądził -
większe niż
jakichkolwiek żyjących kel'ain, lecz dziewięciu spośród nich było bardzo
starych
i ich liczba
była o wiele za mała, by mogli przez dłuższy czas powstrzymać zmasowane
ataki
ludzi.

Raz za razem wyobrażał sobie - w wizji równie straszliwej i nierealnej, jak odejście reguli z jego życia - przybycie ludzi, ludzki język i echo ludzkich kroków rozlegających się w sanktuarium Kaplicy edunu, ogień i krew oraz dziesięcioro zdesperowanych kel'ain usiłujących obronić she'pan przed hordą pragnących ją zbezczęścić ludzi. Bracia, siostró - pragnął zapytać kel'ain - czy to możliwe, by istniała jakaś nadzieja, której nie potrafię dostrzec? Z drugiej strony jednak myślał: Albo, o bogowie, czy to możliwe, że mamy she'pan, która postradała zmysły? Bracia, siostró, spójrzcie, spójrzcie, statki! Nasza droga ucieczki z Kesrith. Przemówcie naszej she'pan do rozumu. Zapomniała, że są tu tacy, którzy pragną żyć. Nie mógł jednak powiedzieć podobnych rzeczy starszym kel'ain czy Eddanowi, a poza tym musiałby prędzej czy później wytłumaczyć się z nich przed samą Intel, a tego nie potrafiłby znieść. Nie mógł ich przekonać ani odbywać z nikim potajemnych dyskusji, jakie toczyli pomiędzy sobą. Zarówno oni, jak i ona - wszyscy poza nim i Melein - pamiętali czasy Nisrenu, życie takie, jakim było przed wojną. Przyjęli już raz pomoc reguli, gdy uciekali z ruin Nisrenu, teraz jednak odmówili skorzystania z niej. Zdecydowali o tym podczas narad, w których on, nie będący jednym z Mężów, nie mógł uczestniczyć. Uparcie chciał wierzyć, że jego przełożeni nie stracili rozumu. Byli zbyt spokojni i pewni siebie jak na szaleńców. Czterdzieści trzy lata temu podobne nieszczęście spadło na Nisren. Regulski statek, który uratował she'pan Intel, przewiózł święte Pana oraz ocalonych członków edunu na Kesrith. Nie mówili oni o tym dniu. Nawet w pieśniach niemal o nim nie wspominali. Ten ból zapisany był w ich widocznych bliznach oraz w tajemnicach, które kryło ich milczenie. Czy im wstyd? - zastanawiał się, choć złe myśli na ich temat rozdzierały mu serce. - Wstyd tego, co zrobili albo czego nie zrobili na Nisrenie? Czy wstydzą się, że żyją, i nie chcą przeżyć kolejnego upadku ojczystego świata? Czasami podejrzewał, z narastającym lękiem, który gryzł go niczym jakiś obcy pasożyt, że to właśnie było przyczyną, że należał do she'pan, która zmęczyła się już uciekaniem, i do edenu, który świadomie postanowił zginąć. Edenu, w którym znajdowały się Pana, Czczone Przedmioty, symbolizujące honor i historię mri, które oglądać wolno było jedynie Sen, których dotknięcie bez pozwolenia oznaczało śmierć, a których utrata...

Utrata zabytków Ludu...

Zapowiadało to zagładę, nie tylko edunu, lecz również Ludu jako gatunku.

Zatrzymał

na chwilę tę myśl, rozważył ją w swym umyśle, następnie pośpiesznie odrzucił na

bok, po

czym ze strachem podjął te rozważania ponownie.

O bogowie - pomyślał. Sam ten koncept sparaliżował jego umysł. Wystartował

kolejny wahadłowiec. Niun patrzył, jak wznosi się on wciąż w górę, niczym

ruchoma

gwiazda.

O bogowie, o bogowie.

To była shon'ai ich gra. Błysk noży w ciemności, śmiercionośna gra rytmu, blefu,

groźby oraz lekkomyślnego ryzyka.

Gra Ludu.

Noże zostały rzucone. Postawili na jedną kartę życie, licząc na szybkość, spryt

i zimną

krw, jedynie w tym celu, by zasłużyć na ocalenie.

Poczuł, że krew odpłynęła mu z twarzy do brzucha. Zrozumiał, dlaczego spojądali

na

niego niewidzącymi oczyma, gdy zadawał swe bezcelowe pytania.

Dołącz się do rytmu, dziecię Ludu. Stań się z nim jednością. Pogódź się z nim.

Pogódź. Pogódź.

Shon'ai!

Krzyknął na głos. W jednej chwili zrozumiał wszystko. W całym znanym kosmosie mri zareagują na rzut wykonany przez she'pan z Kesrith. Przylecą, przylecą ze wszystkich

stron przestrzeni, by walczyć, by stawić opór.

Pana powierzono opiece Edun Kesrithun.

Krąg był szeroki, a noże leciały w pozornie przypadkowych kierunkach, lecz każda

gra z reguły wykształcała własny, niepowtarzalny wzór, a najmądrzejsi gracze nie

pozwalali,

by ich on zahipnotyzował.

Intel dokonała rzutu. Teraz przyszła kolej na odpowiedź pozostałych.

Pierwszy z bliźniaczych księżyców Kesrith był już tak jasny, że można go było dostrzec. Zalśniły gwiazdy, tworząc mglisty pas przebiegający po niebie.

Powietrze stało się

zimne, Niun nie czuł jednak żadnej potrzeby, by wrócić do edunu i podjąć codzienną rutynę

swej egzystencji. Nie tego wieczoru. Nie gdy dręczyły go podobne myśli.

Prędzej

czy później

kel'ein zauważą jego brak, wyjdą go poszukać, znajdą w jego ulubionym miejscu i

zostawią

w spokoju. Spędził tu wiele wieczorów. O tej porze nie było w edunie nic do roboty poza

spaniem, jedzeniem oraz uczeniem się o rzeczach, które nie były już prawdą.

Nikt

z nich nie

zaśpiewał żadnej pieśni od dnia, w którym nadeszły wieści o końcu wojny.

Często

siedzieli
razem i rozmawiali ze sobą, wyłączając Niuna ze swego towarzystwa. Zapewne -
pomyślał -
poczuł ulgę, że sobie poszedł.
Gejzer zwany Sochau buchnął parą daleko z drugiej strony nizin, tworząc wy-
soką
fontannę. Jego rytm był równie przewidywalny, jak godziny na regularnych
zegarach. Podobne
cykle wyznaczały życie świata. Odmierzają czas dzielący ich od chwili
nadejścia
ludzi.
Po raz pierwszy w ciągu wszystkich tych dni, odkąd usłyszał o zakończeniu wo-
jny,
Niun poczuł ślad radości, gorące przecucie, że Lud jest jeszcze w stanie
czegoś
dokonać i że
ludzie mogą się przekonać, iż ich zwycięstwo nie jest na razie faktem dok-
onanym.
Gdy jedna z gwiazd wzbija się już w górę, na niebie pojawiła się inna, szybko
schodząca w dół i lśniąca niczym omen. Niun podniósł ku niej wzrok z rodzącym
się
zainteresowaniem, ożywiony przez coś - choćby i błahostkę - co nie było
częścią
codziennosci. Wahadłowce zwykle nie schodzą do lądowania przed porankiem.
Obserwował, jak statek rośnie, snując wizje zarówno przerażające, jak i pełne
nadziei.
Była to jedynie dziecinna zabawa, gdyż w gruncie rzeczy nie wierzył, by było
to
cokolwiek
innego niż zmiana w regularnych harmonogramach, dokonana ze znanych tylko
regulom
powodów, coś równie zwyczajnego, jak wszystko inne w zorganizowanej rutynie
umierania
Kesrith.
Przyglądając się schodzącemu w dół statkowi, dostrzegł nagle, że w
najodleglejszej
części portu rozjarzyły się światła. Zdał sobie raptownie sprawę, że nie kie-
ruje
się on do
obszaru przeznaczonego dla frachtowców i wahadłowców, lecz na teren
wydzielony
dla
okrętów wojennych. Ponadto nie był to wahadłowiec, lecz statek poważnych
rozmiarów, jaki
nie lądował w porcie na powierzchni planety od wielu lat.
Widoczny z oddali w ciemności gwiazdolot nie był niczym więcej niż plama
światła,
bez kształtu i nazwy. Nie było widać nic, co umożliwiłoby jego rozpoznanie.
Niun
nagle
zrozumiał, że jego współbracia z pewnością musieli o nim słyszeć, że na pewno
już ich o tym
powiadomiono, a tylko on o niczym nie wie.
Zerwał się ze swej skały i zaczął biec. Na początku trasy jego ręce nogi
zmieniały
niekiedy kierunek, w miejscach, gdzie krucha ziemia maskowała różne
niebezpieczeństwa.

Nie korzystał z drogi, lecz biegł na przełaj, starą ścieżką mri. Dotarł do drzwi edunu, z trudem łapiąc oddech.

W korytarzach panowała cisza. Zatrzymał się tylko na chwilę, po czym pognął po schodach w stronę wieży she'pan. Pierwszą kondygnację pokonał niemal biegiem. I tam spotkał się z cieniem - starym Dahachą, który schodził w dół. Jego wielki, skory do gniewu dus podążał za nim ociężałym krokiem. Obaj zatrzymali się nagle. Dus zsunął się jeszcze o jeden stopień i wydał z siebie chrapliwe ostrzeżenie.

- Niunie - powiedział stary. - Właśnie wybierałem się ciebie poszukać.
- Przyleciał statek - zaczął Niun.
- To żadna nowina - odparł Dahachą. - Wrócił Hazan. Yai! Chodź na górę, młodzieńcze. Brak nam było ciebie.

Niun poszedł za nim, przepełniony wielką radością. Hazan - okręt dowodzenia strefy.

Był już najwyższy czas, by wrócił, gdyż ogarnięci paniką regule wycofywali się w chaosie.

Wreszcie zdobyli się na jakąś decyzję, znalazł się wśród nich ktoś, kto był władny zapanować nad pogarszającą się gwałtownie sytuacją.

I to Hazan! Jeśli nadleciał ten statek, oznaczało to, że Medai, jego kuzyn i współkel'en wrócił do domu z wojen z ludźmi i przywiózł ze sobą oświadczenie oraz cały zdrowy rozsądek Kel z frontu.

Wspomniał też inne cechy Medaia, które mniej kochał, nie miało to jednak znaczenia po sześciu latach, w chwili gdy świat pogrążał się w chaosie. Podążył za Dahachą w górę po krętych schodach, ogarnięty totalnym uniesieniem.

Drugi kel'en.

Tego mężczyznę pozostali wysłuchają tak, jak nigdy nie wysłuchaliby Niuna, który dotąd nie opuścił ojczystego świata.

Medai, który służył przywódcom reguli i poznał ich myśli w stopniu, w jakim udało się to tylko nielicznym kel'ein. Kel'en ze statku baia strefy Kesrith.

Rozdział 5

Drzwi były zamknięte, jak działo się to zawsze w czasie, gdy nie wolno im było wychodzić. Sten Duncan po raz kolejny spróbował je otworzyć, choć wiedział, że to nic nie da. Walnął w nie pięścią i wrócił do swego towarzysza.

- Odmówili odpowiedzi - oznajmił Stavros. Siedział w swym biurkokrześle. Ekran konsoli przy jego lewym łokciu był koloru monotonnej szarości. Stavros wyglądał na zaniepokojonego, co było u niego rzadkością, nawet w najgorszych momentach. Znajdowali się na powierzchni planety. To nie budziło wątpliwości.

- Mieliśmy przybyć na stację - stwierdził wreszcie Duncan, dając wyraz najdrobniejszej ze spraw niepokojących jego umysł. Stavros nie zareagował na to spostrzeżenie. Gapił się tylko na niego bez wyrazu.

Duncan odczytał w jego wzroku zarzut.

- Jeśli doszło do zmiany planów, może to oznaczać, że coś poszło źle na niej albo na powierzchni świata - ciągnął Duncan, pragnąc otrzymać od starego najdrobniejsze pocieszenie, zaprzeczenie swych niepokojów, czy choćby wywołać jego otwarty gniew. Z tym potrafiłby sobie poradzić.

Gdy jednak Stavros nie udzielił mu żadnej odpowiedzi, Duncan osunął się na krzesło przy stole z głową skrytą w dłoniach, wyczerpany napięciem oczekiwania. Tak wyglądała ich noc. Upłynęła już jej połowa.

- Może regule śpią - odezwał się nieoczekiwanie Stavros, zaskakując Duncana tonem, w którym nie było śladu urazy. - Jeśli postanowili utrzymać po lądowaniu cykl czasowy statku albo akurat trwa lokalna noc, jest możliwe, że bai Hulagh śpi, a jego ordynansi nie chcą nam odpowiedzieć bez jego upoważnienia. Regule nie zwykli sprawiać kłopotów starszym o wysokiej randze.

Duncan spojrział na swego towarzysza. Nie uwierzył w to wyjaśnienie, cieszył się jednak, że Stavros wykonał ten gest, bez względu na to, czy w swym umyśle krył inną interpretację, o której nie mówił. W najmniejszym stopniu nie uspokajał Duncana fakt, że Stavros nigdy nie poruszył sprawy jego spotkania z mri. Zadawał jedynie ciche pytania o to, co wydarzyło się w głównej sali. Nie obwiniał go i niczym nie zdradzał, co na ten temat myśli. Nie zareagował też w żaden sposób, gdy wkrótce potem przedstawiono im nowy harmonogram, który skracał o połowę godziny ich wolności, a drzwi zaczęło nieustannie strzec regulskie młode, które zawsze podążało z dala za Duncanem, gdy ten opuszczał pokój.

Skutki tego odwetu, rzecz jasna, najciężej odczuł Duncan, którego swoboda ruchów uległa dalszemu ograniczeniu. Stavrosowi nie przeszkadzało to zbytnio, cała sprawa jednak źle wróżyła ich bezpieczeństwu oraz przyszłości regulsko-ludzkiej współpracy. Oficjalnie stosunek reguli do nich nie uległ zmianie. Wciąż przestrzegali wszelkich ceremonii i pozdrawiali ich w codziennych komunikatach. Co dla nich charakterystyczne, nie wspomnieli bezpośrednio o incydencie w korytarzu, a jedynie powiadomili ich, nie podając powodów, że rozkład uległ zmianie.

- Przykro mi, sir - odezwał się wreszcie Duncan, kierowany odczuwaną frustracją.
Stavros z początku zrobił zaskoczona minę, po czym zmarszczył brwi i wzruszył ramionami. - Najpewniej chodzi po prostu o regulską procedurę i jakąś drobną zmianę w planach. Nie przejmuj się tym. - Ponownie wzruszywszy ramionami, dodał: - Prześpij się trochę, Duncan. W tej chwili nie ma wiele więcej do roboty.
- Tak jest, sir - odparł. Wstał, wyszedł do przedpokoju, usiadł na własnym łóżku i podwinął nogi. Oparł łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach. Zaczął masować swe obolałe skronie. Dzięki niemu zostali więźniami. Stavros był zaniepokojony. Z pewnością wiedział, o co w tym wszystkim chodziło i był zaniepokojony. Być może, gdyby regule przyjęli podobną ofiarę, mógłby zademonstrować, że ukarał ludzkie młode będące przyczyną tych trudności. Być może nie zrobił tego przede wszystkim dlatego, że obaj byli ludźmi i czuł z nim więź, do której się nie przyznawał, a może dlatego, że regulski starszy również nie postąpiłby w ten sposób w podobnej sytuacji. Było jednak w wystarczającym stopniu jasne, że padł na nich mroczny cień niezadowolenia reguli, który utrzymywał się już od wielu dni i że nie znajdowali się teraz w miejscu, w którym - jak im powiedziano w chwili startu - mieli wylądować. Dotarł do niego jakiś dźwięk. Ktoś posuwał się korytarzem. Jeden ze ślizgów przemknął po przebiegających na zewnątrz szynach. Duncan podniósł wzrok, gdy wydało mu się, iż maszyna się zatrzymała. Wbrew rozsądkowi poczuł przypływ nadziei, że przywiozła ona wieści dla nich. Drzwi otworzyły się. Duncan poderwał się, natychmiast przybierając właściwą postawę. Ślizg rzeczywiście zatrzymał się przed wejściem. Siedział w nim najstarszy i najbardziej masywny regul, jakiego w życiu widział. Cały szereg zwałów pokrytego fałdami cielska oraz zaskorupiała skóra ukrywały wszelkie ślady struktury kryjącej się wewnątrz jego szaro-brązowej postaci, poza kościstą płytą twarzy, w której widniały zatopione w okrężnych zmarszczkach czarne i lśniące oczy. Nadawały jej one, wraz z płaskim nosem oraz szparą ust, złudnie ludzki wygląd. Było to oblicze człowieka połączone z ciałem bestii. Ciało to otulone było w brązowe,

lśniące szaty o srebrnych obszywkach - delikatna pajęczyna spowijająca wstrętą, pokryta zmarszczkami skóry. Nozdrza były skośnymi szparami, które mogły się otwierać bądź zamykać. Duncan wiedział, że u młodych ruch ten jest wyrazem emocji, jednym z nielicznych, do których były zdolne chronione kostną tarczą twarze reguli: wodzenie oczyma, rozchylenie lub zaciśnięcie warg oraz poruszenie nozdrzy. Gdyby jednak nie wiedział, że istota pochodzi z dokładnie tego samego gatunku co młode, wydawałoby mu się to wątpliwe.

Co niewiarygodne, stary regul podniósł się, dźwignął swe ciało do pozycji pionowej, a potem stanął wewnątrz ślizgu na niemal niewidocznych, zakrzywionych nogach.

- Stavros - powiedział chrapliwym basem.

Ludzie nie potrafili naśladować wyrazu twarzy reguli, a ci drudzy - być może - nie umieli odczytać z ludzkiej twarzy uprzejmości bądź jej braku, Duncan jednak wiedział, że teraz niezbędną jest uprzejmość. Pokłonił się.

- Jeśli łaska - powiedział w języku reguli - jestem młode Sten Duncan.

- Zawołaj Stavrosa.

Drzwi jednak już się otworzyły. Duncan odwrócił się z zamiarem wykonania rozkazu i nagle ujrzał Stavrosa, który stał w przejściu, nie posuwając się dalej. Nastąpiła chrapliwa wymiana regulskich uprzejmości. Duncan usunął się na bok pomieszczenia i oparł o ścianę, oszołomiony potokiem słów. Zdał sobie sprawę z tego, co podejrzewał już wcześniej. To sam bai złożył im wizytę. Bai Hulagh Alagn-ni, naczelny dowódca statku Hazan, następca Holn oraz tymczasowy gubernator strefy Kesrith na czas przekazywania przez reguli władzy ludziom.

Duncan robił wszystko, by go nie zauważono. Nie zamierzał popełnić drugiego wykroczenia przeciw regulskim dobrym manierom i komplikować spraw, których nie rozumiał.

Rozmowa była krótka. Zakończyła ją seria pokłonów oraz gestów, po której bai opadł na swój ślizg i zniknął. Stavros sam zamknął drzwi, zanim Duncan zdołał otrząsnąć się ze zmieszania na tyle, by to zrobić.

- Sir? - wydobył wreszcie z siebie głos Duncan.

Przez dłuższą chwilę Stavros milczał. Wreszcie rozejrzał się wokół z poważną, zakłopotaną miną.

- Wylądowaliśmy na Kesrith - oznajmił. - Bai zapewnia nas, że lądowanie bezpośrednio w porcie jest całkowicie naturalną opcją dla statku tego typu i że decyzję podjęto w ostatniej chwili z powodów, które nie muszą nas niepokoić. Wyczuwam jednak, że panuje tu jakaś niestabilna sytuacja, której nie rozumiem. Bai pragnie, byśmy

pozostali na statku. Tymczasowo, jak powiedział.

- Czy - zapytał Duncan - przyczyną kłopotów jest ta sprawa z mii? Stavros potrząsnął głową.

- Nie wiem. Myślę, że cała załoga ma pozostać na pokładzie, dopóki sprawy się nie wyjaśnią. Tak przynajmniej... - Oczy Stavrosa powędrowały ku sufitowi, odpowiedźnikom, źródłom światła oraz innym urządzeniom, których zasad działania nie rozumieli i do których nie mieli zaufania. To ostrzegawcze spojrzenie nie mówiło nic, niosło jednak jakąś obawę, której Stavros mógłby dać wyraz na głos, gdyby było to bezpieczne. - Bai zapewnia nas, że rankiem zostaniemy przeniesieni do centralnej kwatery głównej. W tej chwili panuje planetarna noc. Przeszliśmy już na podstawowy czas Kesrith. Bai twierdzi, że pogoda jest piękna, a niedogodności będą drobne. Mamy wyspać się dobrze i wstać późno, w oczekiwaniu na przyjemne spotkanie z nową planetą. Bai zachowuje się z ceremonialną uprzejmością - tak brzmiał właściwy, ukryty w słowach sens wypowiedzi Stavrosa. Regulowi nie można było wierzyć. Duncan skinął głową na znak zrozumienia.

- W takim razie, dobranoc - powiedział Stavros, jak gdyby ta wymiana słów odbyła się na głos. - Myślę, że możemy być pewni, iż zatrzymają nas na pokładzie przez wiele godzin i zapewne mamy czas na to, by porządnie się wyspać.

- Dobranoc, sir - odparł Duncan. Przyglądał się staremu, gdy ten wychodził do swej kwatery i zamykał drzwi. Nie po raz pierwszy żałował, że nie może zapytać Stavrosa bezpośrednio, co ten sądzi o sytuacji, ani domyślić się, na ile czcigodny Stavros pokładał wiarę w tym, co mu powiedziano.

W czasie, gdy regule nie darzyli ich szczególną łaską, Duncan zabrał się do poznawania ich języka z tą samą gorączkową, rozpaczliwą pilnością, z jaką kiedyś przykładał się do nauki sztuki walki i przeżycia w NST. Rozpoczął od wkuwania na pamięć zdań i przeszedł do poznawania struktury języka. Przychodziło mu to znacznie łatwiej, niż mógłby sobie wyobrazić. Nie posiadał wykształcenia. Zastępował mu je strach. Zaczął, z charakterystyczną dla koszmarów intensywnością, jaką przybrały jego lęki w samotności, zastanawiać się nad tym, że Stavros rzeczywiście jest bardzo stary, że musi

upłynąć wiele czasu, zanim przybędą tu ludzie, i że regule, którzy z taką łatwością pozbywają się własnych młodych, nie zawahają się przed zabiciem ludzkiego młodego, które przeżyło swego zwierzchnika, jeśli uznają, że to młode jest dla nich bezużyteczne. Wiek Stavrosa, będący powodem, dla którego wybrano go na tę misję, zmniejszył również prawdopodobieństwo jej powodzenia. Gdyby coś przydarzyło się czcigodnemu panu Stavrosowi, Duncan stałby się bezradny. Nie potrafiłby porozumieć się z przeciętnym młodym, a - jak wskazał ongiś Stavros - regulskie młode nie pozwoliłyby mu na kontakt z osobami o randze baia Hulagha, które były jedynymi regulami potrafiącymi płynnie posługiwać się ludzkim językiem. Wolał nie myśleć o możliwości, że któregoś dnia będzie musiał sam sobie radzić z regulami. Ponieważ zostały tylko godziny do zejścia z pokładu na powierzchnię Kesrith, a jego nerwy były zbyt napięte, by mógł zasnąć, Duncan wziął w rękę swe notatki i zaczął uczyć się z pilnością, która przyprawiła jego żołądek o skurcze. Dag - Jeśli łaska, proszę, uwaga. Ta sama sylaba, lecz wypowiedziana z intonacją gwizdka parowego oznaczała „czcigodny”, w piskliwym zaś tonie „krew”. Dag su-gl'inh-an-ant pruu nnu-gk - Czy mogę nawiązać pośredni kontakt z wielebnym... Dag nuc-ci - Jeśli łaska, panie. Uczył się tak długo, aż notatki wypadły z jego odrętwiałych rąk. Duncan osunął się na łóżko, korzystając z drogocennych chwil snu, zanim regulscy ordynarni bez ostrzeżenia otworzyli drzwi i zaczęli wydawać mu przenikliwym tonem rozkazy, po grubiańsku porywając ich bagaże, nie pokłoniwszy się uprzednio. Te regulskie młode nie okazały mu żadnych oznak uprzejmości nawet wtedy, gdy zaczął protestować przeciwko brutalnemu obchodzeniu się z ich rzeczami. Zachowywały w stosunku do niego grubiańskie milczenie. Z gorączkowym pośpiechem, paplając coś do siebie nawzajem, załadowały bagaże na ślizg transportowy, który miał je zabrać. Na nich czekał już następny wehikuł, ślizg pasażerski. - Szybko, szybko - powiedziało jedno z nich, wzywając do pośpiechu. Prawdopodobnie było to całe ludzkie słownictwo, jakie chciało mu się opanować. Dopiero, gdy pokazał się sam Stavros, młode zaczęły zachowywać się przyzwoicie. Jedynie człowieka w starszym wieku spotykał od reguli ten zaszczyt. Wydawało

się,
że młode spoglądają na Stavrosa z należytą dozą strachu.
Gdy jednak Duncan obejrzał się za siebie, kiedy wsiadali na ślizg, spojrział przypadkowo w twarz jednego z młodych, które nachyliło się, pomagając im wsiąść
do
wehikułu, nozdrza regula zamknęły się, a wargi zacisnęły. Wyrażona tą miną nienawiść była
łatwa do rozpoznania mimo różnic międzygatunkowych.
Znajdowali się na Kesrith, pomiędzy regulami, którzy mieli być ich towarzyszami
i
doradcami w sprawach dotyczących ewakuacji innych reguli, od stuleci mających tu
swój
dom. Przybyli tu jako zdobywcy, by odebrać im ten świat, jednakże przez co najmniej
trzydzieści dni tych zdobywców miało być tylko dwóch i byli oni narażeni na atak. Ten świat
należał dotąd do reguli i do mri. Było prawdopodobne, że niektórzy z członków załogi
Hazana zwali Kesrith swym domem.
Do Duncana dotarło natychmiast, że ich obecność na tej planecie może wzbudzać w
regulach coś więcej niż prostą nienawiść międzygatunkową czy polityczną. Być może istniało wielu mieszkańców Kesrith, którzy nigdy nie wyrazili zgody na
traktat odbierający im ich świat i przekazujący go ludziom.
„Niedogodności będą drobne.” Tak Stavros przetłumaczył zapewnienie baia. Być może w oczach regulskiego przywódcy tak było, gdyż jego gatunek podobno nie potrafił
posługiwać się kłamstwem. Jednakże oczy młodych, które im towarzyszyły, również
nie
mogły kłamać, a mówiły one coś całkiem innego.
Podczas pobytu na Kesrith mieli być zakwaterowani w budynku o nazwie Nom, w centrum głównego miasta planety, co miało przez pierwsze, najbardziej krytyczne
dni chronić
ich przed drażniącą naturalną atmosferą tego świata oraz innymi drobnymi niedogodnościami
miejscowego klimatu. Spodziewano się, że się zaaklimatyzują.
Widział też wyraz twarzy Stavrosa w chwili, gdy po raz pierwszy wydostali się z
ciepłego statku na wolną przestrzeń i ujrzeni na własne oczy ten świat:
wzgórza,
góry i białe
równiny oświetlone niezwykłym blaskiem czerwono-różowego słońca.
Dla Stavrosa było to miejsce, w którym miał spędzić resztę życia. Jego zadaniem
było
przygotować je dla innych ludzi, kierować nimi, gdy już przybędą, i odbudować cywilizację.
Duncan już w tej chwili zaczynał myśleć, że pięć lat spędzonych tutaj może się
okazać bardzo
długim okresem.

Regule i zasadowe niziny. Gejzery, piasek, kopalnie oraz słońce, które wyglądało na niezdrowe i zbyt wielkie. W czasie swych podróży w ramach służby Duncan odwiedził dziesięć światów, od nagich skalnych kuł aż po planety pokryte kwitnącą puszcza, nigdy jednak nie był na żadnym, który na pierwszy rzut oka wywoływałby bardziej obce wrażenie niż Kesrith. Odpychający i nieprzyjazny dla ludzi. Samo powietrze zdawało się tu trujące i było przesycone drażniącymi gazami. Jeśli Stavros żałował, że tu przybył, nie okazał tego po sobie. Pozwolił, by traktowano go jak regulskiego starszego. Już od pierwszej chwili zaczął odgrywać tę rolę. Młode przeniosły go na lądowy ślizg, który czekał na dole. Dawno już minął świt. Słońce pokonało jedną czwartą drogi w górę nieba. Zamiast przywitania, którego się spodziewali - jak większość regulskich ceremonii starannie kontrolowanego i zaaranżowanego - w porcie czekała na nich nieruchoma, upiorna cisza, jak gdyby oni dwaj oraz regulskie młode były jedynymi żywymi istotami na jego terenie. Daleko zaś, wśród wzniesień, widniało coś, co sprawiło, że serce Duncana zabiło szybciej. Poczul w żołądku skurcz strachu nie mający nic wspólnego z rozsądkiem. Ujrzał osobliwą sylwetkę złożoną z czterech pochyłych wież tworzących nieregularną piramidę o płaskim szczycie. Edun mri. Duncan wiedział, że na Kesrith znajduje się jeden z nich. Widział zdjęcia ruin edunu z Nisrenu. Nie był jednak przygotowany na to, że będzie on tutaj, tak blisko. Wznosił się nad miastem w sposób taki, że przed patrzącymi stamtąd nie można było ukryć niczego, co działo się na równinach. Jego posępna, złowieszcza, obca obecność przypominała im wszystkim, że istnieje jeszcze trzecia strona transakcji mającej przynieść pokój. - Szybko, szybko! - powtórzył regul, podenerwowany zwłoką bądź faktem, że człowiek zwrócił uwagę na edun. Duncan nie był pewien, co było powodem tego zachowania, nie chciał jednak wdawać się w spór, opuścił więc głowę i wszedł do ślizgu. Filtry oczyściły powietrze wewnątrz wehikułu z ostrego, gryzącego posmaku zatrującego atmosfery Kesrith.

Ślizg ruszył ociężale w stronę miasta po nawierzchni, która stała się wyboista z uwagi na ławice piasku naniesionego z nizin. W Duncanie narastała pewność, że pojazd wiezie ich do więzienia górującego nad poprzednim jedynie większą powierzchnią.

Rozdział 6

Słońce wspinało się w górę po nieboskłonie. Innego dnia Niun wyruszyłyby już między wzgórz, by spacerować, polować, ćwiczyć z bronią, czy robić inne rzeczy, którymi zwykli wypełniać godziny samotności celem urozmaicenia jakoś monotonii swych dni. Tego dnia jednak nic nie mogłoby go przekonać do oddalenia się od edunu.

Kręcił

się

w pobliżu stacji łączności mieszczącej się na szczycie wieży Sen, gdzie niekiedy

go

wpuszczano, gdyż w edunie ze względu na jego rozmiary nie przestrzegano zbyt ściśle

przepisów. Czaił się pod głównym wejściem, aż wreszcie, zżerany niecierpliwością, wybrał

się na skałę usytuowaną w najwyższym punkcie grobli i wpatrzył się w narastający

poblask

białych nizin, wytężając wzrok, by dostrzec, czy nic nie zbliża się od strony portu.

Od tak dawna już nie mógł oczekiwać żadnego przyjemnego wydarzenia. Teraz napawał się tym uczuciem. Nienawidził oczekiwania, lecz mimo to radował się faktem, że na

coś czeka. Żywił mieszane uczucia odnośnie do tego spotkania, pragnął jednak rozpaczliwie

braterstwa, które mu ono obiecywało. Nie kochał Medaia. Pamiętał swą rywalizację

z

kuzynem, a także - po tylu latach mógł być ze sobą szczery - zazdrość, jaką w stosunku do

niego żywił. Starał się zapomnieć o wszystkich swych negatywnych uczuciach.

Łaknął

obecności Medaia. Łaknął jej rozpaczliwie i gorączkowo. Wszystko byłoby lepsze

niż ta

długotrwała samotność, ta wiedza, że edun powoli, lecz w sposób nieodwołalny, ginie.

U podstawy jego myśli również minimalny cień nadziei, podejrzenie, że Medaia wezwano, że był on pierwszym z wielu, którzy mieli przybyć, że she'pan przystąpiła wreszcie

do akcji i coś zaczęło się zmieniać w sprawach dotyczących przyszłości Ludu.

Podczas tysiąca poprzednich dni siedział tu tak samo jak teraz, poszukując jakiegokolwiek drobnego odchylenia w biegu codziennych zdarzeń, które przyciągnęłoby

jego uwagę - wysiłków owada, powolnego, niebezpiecznego rozkwitania wietrznego

kwiatu,

startu czy lądowania statków w porcie. Ku tym ostatnim kierował swe złe życzenia.

Wyobrażał sobie katastrofy bądź też przybycie ważnych osób, które w jakiś sposób zmieniłyby kształt jego egzystencji. Robił to tak często, że trudno mu było sobie uzmysłwić, iż tym razem jest to prawda, że zabawa stała się rzeczywistością tego poranka tak podobnego do tysiąca innych poranków. Wydawało mu się, że nawet samo powietrze pełne jest życia. Serce biło mu tak mocno, a mięśnie miał tak napięte, że czuł ból w klatce piersiowej i żołądku. Niemal zapomniał o oddychaniu za każdym razem, gdy oczy wprowadzały go w błąd, przekonując, że widzi na dole jakieś poruszenie. W pełnym blasku południa dostrzegł jednak na nizinach pióropusz pyłu. U podnóża grobli pojawił się szereg ciemnych kształtów posuwających się powoli w górę. Niun usiadł na swej skale położonej w najwyższym punkcie grobli i opuścił chustę, by zasłonić oczy przed mgiełką wywołaną światłem dziennym, starając się rozróżnić poszczególne obiekty. Widywał już kiedyś, przed laty, pojazdy nadciągające drogą. Sądząc po rozmiarach przedmiotów widzianych z tej odległości oraz ilości wzbijanego przez nie pyłu, to właśnie miał przed oczyma. Narastało w nim poczucie, że coś tu jest nie w porządku. Ciężar leżący mu na żołądku pozostawał w równowadze z przyśpieszonym biciem serca. Zwarł ciasno wszystkie kończyny, oplatając długie ramiona wokół kolan, i obserwował wehikuły. Nie chciał zrywać się do biegu, by powiadomić innych. Regule. Nadciągali regule. Ongiś byłby zachwycony taką niezwykłą wizytą, lecz nie tego akurat dnia. Nie teraz. Nie w tej chwili, gdy ważyły się losy mri, istotniejsze niż regule. Losy, w które regule mogliby zapragnąć ingerować. Niun zdał sobie nagle sprawę, że she'pan rozpaczliwie potrzebna jest wiedza o tym, co zmierza w kierunku szczytu wzgórza. Teraz już je rozróżniał: sześć pojazdów oraz posuwająca się za nimi kropka, w której jego oczy nie mogły dostrzec żadnych szczegółów. Zapewne był to siódmy wehikuł. Nigdy za jego pamięci tylu reguli nie złożyło wizyty w edunie. Ześliznął się ze skały i ruszył w dół stoku. Jego długie kroki szybko przeszły w niekontrolowany bieg. Uchybiało to godności, lecz Niun był zbyt zaniepokojony, by dbać o pozory. Pognał w stronę edunu bez tchu w piersiach. Pozostali zaczęli wychodzić na zewnątrz, zanim zdążył przybyć do nich ze swym ostrzeżeniem. Widział czarne szaty Kel, lecz ani jednej złotej. Zwolnił kroku i

podszedł do
nich. Nie mógł złapać oddechu. Starał się ukryć swój ból. Jego skórę pokryła
warstewka potu,
która szybko wyschła, gdyż ukradło ją zgłodniałe wilgoci powietrze. Na Kes-
rith
nie można
było biegać. Powtarzano mu to setki razy - twarde realia świata narzucone
naturze młodości.
Płuca mu płonęły. W powietrzu, którym oddychał, czuł ostry posmak krwi. Żaden
z
Kel nie
udzielił mu reprimendy za jego nieroztropność. Niun wyczuwał ich nastrój.
Dostrzegął go też
w postawie towarzyszących im dusei, które wyszły z edunu razem z nimi. Jedno
ze
zwierząt
stało na tylnych łapach, wachając wiatr. Opadło ciężko z powrotem na cztery
kończyny, co
wzbilo w powietrze biały pył, wywołując parsknięcie niezadowolenia.
- Yai, yai! - skarcił kel Dahacha wszystkie dusei. To pozbawione znaczenia
słowo
miało pomiędzy dusem a kel'eniem tysiące znaczeń. Dziewięć zwierząt, którym
kazano
odejść, cofnęło się i zbiło w ciasną gromadkę w pobliżu edunu. Postawiły
uszy.
Niektóre z
dusei usiadły. Od czasu do czasu jeden - za każdym razem inny - podnosił się
i
obchodził
wkoło grupę, nieustannie spoglądając na zbliżającą się karawanę regulskich
pojazdów i
wydając z siebie ciche, ostrzegawcze sapnięcia.
Twarze Kel były zasłonięte, na spotkanie z obcymi. Niun podniósł mez na
przepisową
wysokość i umocował ją, po czym zajął miejsce w czarnym szeregu, jako jeden
wśród wielu.
Jednakże kel'anth Eddan ujął go za łokieć i wyprowadził przed grupę.
- Tutaj - powiedział. To było wszystko. Przy takim nastroju Kel nie można
było
zadawać czczych pytań. Niun zachowywał milczenie. Jego serce ogarnął skurcz
paniki
wywołany gestem Eddana. Mimo swego wieku był jeszcze nowicjuszem i nie pow-
inien
stać
przed szeregiem, w miejscu gdzie wymieniano z regulami pytania i odpowiedzi,
pomiędzy
Eddanem a kel Pasev, najstarszymi mistrzami Kel. Chyba że sprawa dotyczyła go
osobiście.
Albo jego kuzyna.
Nagle zrozumiał, że edun musiał otrzymać jakąś wiadomość za pośrednictwem
wieży
Sen i że posiadano tu pewną wiedzę o wypadkach, która do niego nie dotarła,
gdyż
siedział
sobie sam, daremnie oczekując, by wreszcie wydarzyło się coś przyjemnego.
Coś musiało być straszliwie nie w porządku, jeśli regule wtrącali się w
sprawy
rozgrywające się między kuzynami mri. Regulska karawana pięła się powoli, z

trudem, pod
górze. Słysząc już było odgłos silników. Słońce prażyło, blado-czerwonym
blaskiem. Na
nizinach trysnął gejzer Elu, jeden z tych niebezpiecznych, których nieoblic-
zalne
erupcje nie
przestrzegały żadnego rozkładu. Przez jakiś czas widoczna była fontanna,
dziesięciokrotnie
wyższa od mężczyzny i charakterystycznie pochylona. Potem rozproszyła się
szybko. Można
było poznać każdy gejzer na nizinach po specyficznym zachowaniu i położeniu.
Niun
pomyślał, że jeśli doszło do erupcji Elu, wkrótce nadejdzie kolej na Uchana.
Był
to cenny
moment, w którym mógł na chwilę oderwać myśli od złowieszczonego szeregu
ciemnych
wehikułów posuwających się z wysiłkiem w górę zbocza.
Jeden - dwa - trzy - cztery - pięć - sześć.
Sześć ślizgów lądowych. Nigdy dotąd do edunu nie przyjechały jednocześnie
więcej
niż dwa. Nie wypowiedział tego spostrzeżenia na głos. Członkowie Kel stojący
wokół niego
zachowywali absolutnie sztywną postawę, niczym posągi, na których powiewały
czarne szaty
unoszące się na silnym wietrze. Prawa dłoń każdego z nich dotykała pasa, za
którym
spoczywały skryte w pochwach as'ei. Palce mieli wsunięte pod spód. Było to
ostrzeżenie
używane pomiędzy kel'ein. Regułom, którzy byli tylko tsi'mri, brakowało
zapewne
rozsądku,
by je rozpoznać. Mimo to uprzejmie było powiadomić intruzów, że nie są mile
widziani, bez
względu na to, czy mieli oni wystarczająco wiele rozumu, by rozpoznać
ostrzeżenie.
Ślizgi przetoczyły się ponad ostatnimi koleinami prowadzącej w górę drogi i
zatrzymały wreszcie pośród pyłu na wprost frontowego wejścia do edunu,
naprzeciwko Kel.
Wyłączono silniki i zapanowała nagle cisza. Regule otworzyli drzwi i zaczęli
z
wysiłkiem
wydobywać się ze ślizgów: pełna dziesiątka młodych, poważnych i smutnych,
pozbawionych
wszelkiej widocznej arogancji. Jednym z nich był strażnik Nomu, Hada Surag-
gi.
Niun poznał
go po odznakach oraz szatach, co było najlepszym sposobem na identyfikację
danego regula.
Było też prawdopodobne, pomyślał z goryczą, że regul Hada Surag-gi rozpoznał
go
po
rzucającym się w oczy braku wszelkich odznak. Gdy jednak młode podeszło
bliżej,
by stanąć
twarzą w twarz z Eddanem, a co za tym idzie i z nim, nie okazało po sobie nic
takiego. Oczy

Hady nawet się na nim nie zatrzymały. Nie było widać ani śladu buty. Hada Surag-gi wessał powietrze do płuc i zakołysał się do przodu w regulskim ukłonie. Mri znali na to należyta odpowiedź - gest oznaczający obustronną dobrą wolę. Eddan nie wykonał go jednak i w związku z tym żaden z nich się nie poruszył. Dłonie wciąż spoczywały na as'ei.

- Jeśli łaska - odezwał się Hada Surag-gi. - Przynosimy nadzwyczaj tragiczne wieści.

- Jesteśmy przygotowani na wysłuchanie waszych słów - odparł Eddan.

- Mamy nadzieję, że nasz przełożony poinformował was...

- Czy przywieźliście nam Madaia? - zapytał ostrym tonem Eddan.

Hada odwrócił się, przestawiając stopy, co dla reguli nie było łatwe. Złożył razem dłonie i wykonał gest nakazujący jego pomocnikom wykonać swe obowiązki. Ci podeszli, szurając nogami, do drugiego ślizgu, otworzyli jego ładownię i wyciągnęli z niej biały, skryty w plastiku kształt spoczywający na noszach. Przynieśli go i położyli ostrożnie na ziemi u stóp Hady Surag-gi, naprzeciwko Kel.

- Przywieźliśmy szczątki Medaia - oznajmił Hada. Niun już wiedział. Poznał prawdę z pierwszych słów Hady. Nie poruszył się. Nawet nie opuścił chusty. Ten spokój niektórych z jego braci mogli mylnie wziąć za panowanie nad sobą. Było to odrętwienie. Słyszał dźwięki wydawane przez poruszających się obok reguli tak, jak gdyby znajdował się w innym miejscu niż oni i obserwował ich z daleka od sceny wydarzeń, a ciało Niuna s'Intel, podobnie jak należące do Medaia s'Intel, było pozbawienie czucia i nie brało udziału w wypadkach.

- Czy więc ludzie są już tak blisko? - zapytał Eddan. Było w zwyczaju, że tych spośród Ludu, którzy polegli na wojnie, oddawano zimnej przestrzeni w miejscu, gdzie zginęli, albo - jeszcze lepiej - ogniewi słońca, na pamiątkę narodzin ich rasy, zamiast odbywać długą, niedogodną podróż z frontu walk, by pochować ich w ziemi.

Wszyscy z Ludu woleliby, gdyby mieli wybór, uniknąć takiego pochówku. Było dziwne, że regule, którzy znali mri choćby i w niewielkim stopniu dostępnym dla ich gatunku, nie zrozumieli tego i popełnili podobny błąd, oddając martwego mri jego edunowi.

Regulskie młode, w których zachowaniu nie było teraz nawet krzty arogancji,

pozwoiliy, by ich nozdrza zatrzepotaly. Rowniez inne znaki zdradzalay, ze
czuja
sie
skrepowane swa misja.
Sa winne - brzmiala gorzka mysl, ktora nawiedzila Niuna w chwili, gdy sie im
przygladal. Wrocil do swego ciala i zaczal wpatrywac sie w oczy Hady Surag-
gi,
pragnac
zmusic mlode do odwzajemnienia jego spojrzenia. Hada uczynil to na krotka
chwile, po czym
odwracil wzrok.
Byli winni, czuli sie skrepowani calym tym spotkaniem i starali sie nie
powiedziec
nawet polowy z tego, co wiedzieli. Niun trzasl sie z gniewu. Brakowalo mu
tchu.
Wsród Kel
nikt sie nie poruszyl. Stali absolutnie nieruchomo, zjednoczeni z umyslem
Eddana, ktory nimi
dowodzil i ktory jednym slowem mogl ich sklonic do czynu, jakiego nigdy nie
dopuscil sie
zaden mri.
Hada Surag-gi przestapil z jednej krzywej nogi na druga i cofnal sie nieco od
spowitego w calun trupa lezacego pomiedzy nimi.
- Kel'anthu Eddanie - powiedzial. - Badz laskaw. Ten kel'en zranil sie sam i
nie
chcial
skorzystac z pomocy naszej medycyny, choc - byc moze - moglibysmy go ura-
towac.
Przykro
nam z tego powodu, lecz nigdy nie bylo naszym zamiarem gwalcenie waszych
przekonań.
Przynosimy wam rowniez wyrazy zalu baia Hulagha, w ktorego sluzbie ow kel'en
odznaczył
sie chwalebnie. Bai Hulagh wyrazal glębokie ubolewanie - swe najglębsze
ubolewanie - ze do
tego spotkania doszlo w tak niepomyslonych okolicznosciach i ze nawiazal
znajomosc z
Ludem w tak smutnym momencie. Przesyla swe kondolencje i zapewnia, ze jest w
najwyzszym stopniu zasmucony z powodu tego nadzwyczaj nieszczesliwego
wydarzenia... A
wiec bai Hulagh jest nowym komendantem tej strefy. Co z baiem Solgah? Co z
Holn?
- Odeszli. - Mlode niemal polknelo to slowo, szybko jednak odzyskalo rozpęd.
-
Ponadto bai pragnie cie zapewnic, kel'anthu...
- Przypuszczam - odrzekl Eddan - ze do smierci kela Madaia doszlo bardzo
niedawno.
- Tak - odparl Hada, odchodzac od przygotowanego tekstu. Jego usta poruszaly
sie,
jak gdyby szukaly slow.
- Samobójstwo. - Eddan uzył wulgarnego regulskiego slowa, choc regule znali
znaczenie terminu ika'a, uzywanego przez mri na okrešlenie rytualnej smierci
kel'ena.
- Zapewniamy... - Wydawalo sie, ze spojrzawszy bezposrednio na kel'antha,
stracilo
watek, co bylo niemozliwe u obdarzonych ejdetyczna pamiecia reguli. -
Zapewniamy
z calym

przekonaniem, kel'anthu, że ów kel'en był pogrążony w głębokiej melancholii, która nie miała nic wspólnego z objęciem stanowiska przez baia Hulagha, czy też utrata władzy przez Holn. Obawiamy się, że dochodzicie do błędnych konkluzji. Jeśli przypuszczacie...

- Nie formułowałem żadnych konkluzji - stwierdził Eddan. - Czy chcesz zasugerować, że można by to uczynić?

Reguł, któremu przerwano już więcej niż raz, był zdezorientowany dyskusją, która nie była dyskusją, a także zbity z tropu, co często przytrafiało się jego pobratymcom podczas kontaktów z mri. Zamrugał szybko powiekami i spróbował dokonać przegrupowania.

- Kel'anthu, bądź łaskaw, zapewniam cię, iż oświadczyliśmy jedynie, że przed swym czynem ów kel'en był pogrążony w głębokiej melancholii, z własnej woli zamknął się w swej kwaterze i nie reagował na żadne próby dowiedzenia się, czego mu trzeba. Nie miało to nic wspólnego z objęciem stanowiska przez baia Hulagha, żadną miarą, panie, żadną miarą. Bai Hulagh stał się pracodawcą owego kel'ena, który służył mu, odznaczając się chwalebnie podczas kilku akcji. Nie było żadnych uchybień. Gdy jednak obwieszczono zawarcie pokoju, kel Medai zaczął przejawiać narastającą melancholię.

- Jesteś z Nomu - przerwał mu Niun, który nie mógł już dłużej tego znieść. Hada Surag-gi spojrział w jego stronę, wytrzeszczając ze zdumienia czarne oczy, aż pokazały się ich białkówki. - Jak to możliwe, że potrafisz złożyć dokładny meldunek o stanie umysłu kel'ena, który przebywał na statku, daleko od ciebie? Nie powinien był się odzywać. Dla młodego kel'ena, w obecności obcych, podobny wybuch nie był możliwym do przyjęcia zachowaniem. Wszyscy w Kel jednak stali bez ruchu, co zaś do Hady Surag-gi, to jego usta rozwarły się szeroko, a potem zacisnęły, tworząc wąską linię.

- Starszy - zwrócił się ze sprzeciwem do Eddana.

- Czy rzecznik baia nie potrafi odpowiedzieć na pytanie? - odezwał się ten. Ta obrona wywołała przyływ gwałtownej wdzięczności.

- Z największą przyjemnością - odparł Hada. - Wiem, że to wszystko prawda, ponieważ dokładnie w ten sposób zrelacjonował mi to sam bai, twarzą w twarz, przez własne usta. Nie mieliśmy pojęcia, że ów kel'en zamierza popełnić podobny czyn. Przyczyną nie była żadna uraza wywołana jego służbą.

- Jest jednak aż nadto oczywiste - odparł Eddan - iż kel Medai sądził, że ma wystarczające powody, by porzucić służbę u was. Powody tak poważne, że zdecydował się na ika'al, by się od was uwolnić.

- Niewątpliwie spowodował to koniec wojny, którego ów kel'en nie pragnął.

- Jest ciekawe - zauważył Eddan - że wybrał ika'al, mimo że wiedział, iż wraca na świat ojczysty.

- Był w rozpacz - odparł Hada Surag-gi. Reguł najwyraźniej nie potrafił dostrzec faktu, że w jego słowach brak jest logiki. - Nie mógł odpowiadać za swe czyny.

- Przemawiasz przed jego kuzynem - powiedział ostrym tonem Eddan. - To był kel'en, nie dus, i nie mogło ogarnąć go szaleństwo. Leciał na swój ojczysty świat. To, co mówisz o jego postępowaniu, nie jest wiarygodne, chyba że bai obraził jego honor. Czy jest możliwe, by to właśnie się stało?

Regule, pod naciskiem ochryplego głosu Eddana, zaczęli wycofywać się ukradkiem, poczynając od ostatniego.

- Jeszcze nie skończyliśmy z pytaniami - ciągnął Eddan, przykuwając Hadę Surag-gi do miejsca swym spojrzeniem. - Powiedz nam, kiedy i gdzie nastąpiła śmierć kela Medaia.

Reguł nie miał najmniejszej ochoty odpowiedzieć na to pytanie. Wessał do płuc powietrze i w widoczny sposób zmienił kolor.

- Jeśli łaska, kel'anthu. To się stało poprzedniego wieczoru na statku baia.

- Na statku baia Hulagha.

- Kel'anthu, bai zapewnia...

- Czy doszło do jakiegokolwiek dyskusji pomiędzy baiem a kel'enem?

- Bądź łaskaw. Kel'en był w rozpacz. Koniec wojny...

- To bai doprowadził tego mri do rozpacz - stwierdził Eddan, ostatecznie krzyżując szyki młodemu.

- Bai - odparł Hada, którego nozdrza rozszerzyły się i kurczyły w rytm szybkich oddechów - zażądał od tego mri, by pozostał na statku i w jego służbie. Kel'en odmówił.

Pragnął odejść natychmiast, choć bai odmówił tego przywileju wszystkim, nawet samemu sobie. Pozostały jeszcze ważne sprawy, które należało załatwić. Jest możliwe...

- Gdy młode mówiło, jego skóra stawała się coraz bledsza. Jego wargi nie mogły się uporać ze słowami. - Kel'anthu, zdaję sobie sprawę, że w twoich oczach możemy wydawać się winni, ale nie rozumiemy postępków tego kel'ena. Bai rozkazał mu czekać. A jednak kel'en dopatrzył się w

tym rozkazie uchybienia wystarczająco wielkiego, by popełnić podobny czyn.
Nie
wiemy
dlaczego. Zapewniamy cię, że to smutne wydarzenie wielce nas zmartwiło. Jest
to
godzina
kryzysu dla Kesrith, w której ów kel'en mógłby się bardzo przydać baiowi, a z
pewnością
również i wam. Bai cenił sobie usługi kela Medaia. Po raz kolejny zapewniamy,
że
nie
rozumiemy powodów urazy, jaką do nas żywił.
- Być może go nie pytaliście lub nie chcieliście wysłuchać - rzekł kel'anth
Eddan.
- Bądź łaskaw. Kesrith została odstąpiona ludziom. Jesteśmy w trakcie ewa-
kuacji
wszystkich jej mieszkańców. Pomyślano również o tutejszych mri. Bai pragnie,
by
na jego
statku przez cały czas znajdowała się załoga i rzecz jasna chce, by była
ona...
- Młode
przesunęło się niespokojnie. Spojrzało na Eddana, który się nie poruszył. -
Na
te sprawy nie
mamy wpływu. Gdyby tylko kel'en poinformował baia, że aż tak gorąco pragnie,
by
uczyniono dla niego wyjątek...
- Kel Medai postanowił porzucić służbę - powiedział Eddan. - Zrobił to tak,
jak
należy. Nie chcemy więcej rozprawiać na ten temat z regulskimi młodymi.
Odejdźcie już.
Było to jasno powiedziane i regule, krok za krokiem, wycofali się. W miarę
jak
zbliżali się do ślizgów, posuwali się coraz szybciej. Hada nie był ani
pierwszym, ani ostatnim,
który zajął w nich miejsce. Zamknięto włązy i wyłączono silniki. Naziemne
ślizgi
dojechały
ciężko do zakrętu przesmyku i wskoczyły w koleiny drogi, po czym oddaliły się
po
długim
zboczu powoli, jak przybyły.
Nikt się nie poruszył. Teraz, gdy regule odjechali, pozostawiając ich sam na
sam
ze
zmarłym, w powietrzu czuło się aurę odrętwienia.
Nagle w drzwiach pojawiły się szaty złote i biała: sen'anth i Melein oraz
sama
she'pan
na ich ramionach.
- Medai nie żyje - powiedział Eddan - a świat ma być wkrótce przekazany
ludziom,
tak jak podejrzewaliśmy.
Uniósł skryte pod szatą ramiona, by osłonić she'pan przed widokiem zwłok. Me-
lein
postąpiła naprzód o krok, tylko o krok. Było to dla niej zabronione. Skryła
twarz za zasłoną i

odwróciła się, pochylając głowę. She'pan i sen'anth również zasłonili twarze, co robili wyłącznie w obliczu tego, z czym nie można się było pogodzić. Odeszli z powrotem do edunu. Śmierć stanowiła wyłączną domenę Kel, czy chodziło o jej zadawanie, czy o żałobę po niej. Wykonanie właściwych obrządków należało do obowiązków tej kasty. W stosunku do kuzyna z Kel było to zobowiązanie o charakterze osobistym. Niun wiedział, że oczekują od niego, iż to on pokieruje tą sprawą. Widział też, że inni pragną mu pomóc, zrobić cokolwiek. Rozpostarł dłonie, udzielając im pozwolenia. Dotąd przyglądał się jedynie obrządkom, sam nigdy ich nie wykonywał i nie chciał zawstydzić siebie ani Medaia z powodu swej ignorancji. Podźwignęli nosze - on i wszyscy, którzy zdołali się dopchać, by mu pomóc - i przenieśli je przez drzwi edunu w stronę Pana'drin, Kaplicy, by umieścić Medaia po powrocie do domu, tam, gdzie sam udałby się najpierw, gdyby żył. Dłonie Niuna poczuły ciepły metal ramy noszy. Spojrzał w dół, na spowity w biel przedmiot, który ongiś był jego kuzynem, i szok do tej chwili utrzymujący go w odrętwieniu zaczął się przeradzać w inne uczucia, w głęboką, bezsilną wściekłość. Nie było w porządku, że coś takiego się wydarzyło. Jeśli mogło do tego dojść, znaczyło to, że nie ma sprawiedliwości. Niun niemal drżał z gniewu, pasji tak wielkiej, że zdołałby zabić, gdyby tylko miał kogoś lub coś, przeciwko komu mógłby zwrócić swą wściekłość. Nie było nikogo takiego. Starał się nie czuć nic. Było to łatwiejsze niż próby znalezienia ujścia dla kipiącego w nim oburzenia. Do tej pory żywił nadzieję. Teraz postara się jej wyzbyć. Świat ogarnęło szaleństwo, a Medai z własnej woli został jednym z jego elementów.

„Mój ostatni syn.” Tak nazwała go she'pan. Teraz była to prawda.

Rozdział 7

W kaplicy Edunu Ludu znajdowała się wykonana z metali i szlachetnych kamieni bariera pokryta starożytnymi napisami. Była stara ponad wszelką rachubę. We wszystkich

Kaplicach, jakie kiedykolwiek istniały, ta właśnie bariera stała ongiś pomiędzy

lampami z

brązu, które dorównywały jej wiekiem. Za życia wyznaczała ona granicę między Kel

a Sen,

linię, której Kel nie wolno było przekraczać. Po śmierci również nie było to

dozwolone.

Przed barierą, u samej jej podstawy, położyli spowite w biały całun ciało Medaia

s'Intel Sov-Nelan. Kel'en nie mógł się bardziej zbliżyć do granicznej linii.

Woń

kadzidła

wznosiła się w górę z palników ustawionych po obu stronach bariery, ciężka i sycąca.

Wypełniała pomieszczenie i przesłaniała sufit niczym niematerialny baldachim.

U Niuna, który stanowił orszak swego kuzyna, ów zapach kadzidła wywoływał szczególne wspomnienia, z czasów gdy był z Kath i obserwował święte obrządki z

wewnętrznego, najmniej ważnego pomieszczenia. Był wtedy dzieckiem i u jego boku

stali

Melein oraz Medai, a także inni, którzy już odeszli i o których śmierci

wiedział. Z owego

zewnętrznego pomieszczenia mała kaplica Kel wydawała się tajemnicza i wspaniała

-

terytorium, na które nie mogli jeszcze wchodzić, gdzie wolno było przebywać tylko

wojownikom w ich sigai, gardzącym Kath.

Jego umysł przebiegł do późniejszego dnia, gdy ich troje przyjęto w skład noszących

czarne szaty, gdy stali się jednym z Kel i po raz pierwszy pozwolono im wejść do

środkowej

kaplicy. Zdali sobie wtedy sprawę, że pomiędzy nimi a Pana, Tajemnicami, leży jeszcze jedna

bariera. Wspomniawszy też jeszcze późniejszy dzień, gdy modlili się za pomyślność

Medaia,

który opuszczał edun, by wstąpić na służbę, obdarzony wielkim zaszczytem.

Owej

nocy Niun

umierał w skrytości ducha z zazdrości i rozgoryczenia. Jego modlitwy były

nieszczere, pełne

nienawiści i zmieszane z myślami, które powróciły teraz do niego niczym pełne winy duchy.

Jego uczucia były w tej chwili takie same jak wtedy. Medai po raz kolejny odszedł,

pozostawiając mu szpetotę i samotność Kesrith.

Medai nigdy nie musiał znosić tego co on, który pozostał tutaj jako ostatni strażnik

Domu i sługa pozostałych.

Medaia uznano za wielkiego kel'ena z uwagi na to, co zrobił.

Rozległ się szelest szat w świętej izbie, słabo widocznej za barierą, gdzie spotykali się

członkowie Sen, by doglądać Świętych Przedmiotów. Z pewnością byli tam Melein i

Sathell.

Cały wiek temu troje dzieci stało razem w wewnętrznej sali Kath, łaknąc zaszczytów.

Ich modlitwy zostały wysłuchane w niezwykle i przewrotny sposób: Niun stał wewnątrz

kaplicy Kel, gdzie wszyscy oni pragnęli się wówczas znaleźć, Medai zdobył odznaczenia

wojownika, lecz od niedawna wędrował przez Mrok, Melein zaś, Melein o lekkim sercu,
przeszła poprzez kaplicę Kel do leżącego dalej miejsca, ku Tajemnicom, których
kel'enowi
nigdy nie będzie wolno ujrzeć.
Pochylił głowę, drżąc z gniewu i frustracji. Pozostawał w tej pozycji przez pewien
czas, usiłując odzyskać dech w piersiach i uspokoić się.
Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Musnął go cień ciemnej szaty, gdy Eddan osunął
się na podłogę obok niego. - Niunie - powiedział kel'anth cichym głosem -
wzywa
cię
she'pan. Nie chce, byś musiał czuwać nad nim. Powiedziała, że pragnie, abys przyszedł i
przesiedział tę noc z nią, zamiast iść na pogrzeb.
Niun milczał przez chwilę, zanim był w stanie odpowiedzieć pewnym głosem.
- Nie mogę uwierzyć - stwierdził po chwili - że nie zwolni mnie nawet z takiego
powodu. Co powiedziała? Czy nie wyjaśniła tego w żaden sposób?
- Chce, żebyś przyszedł zaraz.
Oszołomiło go podobne nastawienie. On i Medai nie żywili do siebie miłości i
she'pan
dobrze o tym wiedziała, to jednak, co publicznie poleciła mu zrobić, było wręcz
nieprzyzwoite.
- Nie - powiedział. - Nie. Nie pójdę do niej.
Palce wpiły się w jego ramię. Gdy podniósł wzrok, spodziewał się reprimendy, lecz
stary zdjął zasłonę i ukazał mu nagą twarz, na której nie było widać gniewu.
- Spodziewałem się tego, że tak powiesz - rzekł Eddan. Było to niewiarygodne, gdyż
Niun sam o tym nie wiedział. Pokierował nim impuls. Stary znał go aż tak dobrze.
- Zrób, co uznasz za słuszne - dorzucił Eddan. - Zostań. Ja ci tego nie zabronię.
Stary wstał i rozkazał pozostałym zabrać się do wyznaczonych im zadań. Jeden z
nich
przyniósł naczynia rytualne, dane im przez Sen, które służyły do pochówku.
Położył je u stóp
Medaia. Pasev przyniosła wodę, Dahacha zaś szmatki do obmywania. Palazi napełnili lampy
z myślą o długim czuwaniu, a Debas zagwizdał cicho na dusei, wyprowadził je z zewnętrznej
sali i zagonił z powrotem do wieży Kel, by nie zakłócały powagi obrzędów.
Niun,
siedząc
pośrodku całego tego ruchu, zdał sobie wreszcie sprawę, że rozdarł swą szatę,
gdy
pośpiesznie zbiegał ze wzgórz, że cały jest zakurzony, a ręce ma obrzydliwie brudne. Wokół
niego słychać było tupot stóp. Przyszedł Sirain, na wpół ślepy Sirain, który podał mu
wilgotną szmatkę. Niun odsłonił twarz, obmył ją i zasłonił z powrotem,
wdzięczny
za tę

troskliwość. Liran przyniósł mu szatę i Niun zmienił swą sigę wewnątrz
Kaplicy,
gdyż
czuwanie przy zwłokach w nieporządnym stroju oznaczałoby brak szacunku. Usi-
adł
ponownie. Zaczął się uspokajać pod wpływem ich cichej, sprawnej dbałości.
Następnie, na szept Eddana, zaczęli zdejmować z Medaia paskudny, biały całun.
Cierpliwie, cierpliwie palce jednego czy drugiego z nich szarpały za taśmę,
która owijała
zwłoki ciasno jak kokon i była niemal nie do przebiccia. Przypominała jedwab
cho,
gdyż
trzeba ją było odwijać palcami. Pasev jednak wiedziała, że do regulskiego
włókna
należy
przytknąć płonący knot, by w ten sposób rozdzielić niezwykłą pajęczynę. Mate-
riał
palił się
opornie, ustąpił jednak. Jego chemiczna woń weszła w związek z unoszącym się
nad
nimi
zapachem kadzidła, tworząc przyprawiający o mdłości odór. Wszyscy bez słowa
zgodzili się,
że nie pochowają kel'ena w regulskim całunie, mimo niedogodności. Stopniowo
uwolnili
Medaia z oplatającej go pajęczyny. Ujrzeni twarz, którą pamiętali, oblicze
blade
i nieruchome.
Martwe ciało było żałośnie małe i chude. Ważyło bardzo niewiele, choć Medai
był
silnym
mężczyzną. Odznaczeń, które znaleźli przypięte do jego pasów, było dużo. Se-
ta'al
na jego
twarzy wyblakły, przybierając kolor bladoniebieski. Medai s'Intel był
młodzieńcem
przystojnym i pełnym życia, nadzieją edunu w jego szczęśliwych dniach. Nawet
teraz
przyjemnie było na niego popatrzeć. Szpeciła go jedynie krew, która splamiła
włókna pod
środkowymi żebrami, tam gdzie zadał sobie śmiertelną ranę. Samobójstwo.
Niun pracował, nie patrząc na twarz Medaia. Starał się nie myśleć o tym, co
robą jego
ręce, by nie zdradziły go drżeniem. Usiłował wspomnieć lepsze czasy, lecz nie
udało mu się
to. Zbyt dobrze znał Medaia. Jego kuzyn był w śmierci taki sam jak za życia:
samolubny,
arogancki jak sami regule i nade wszystko uparty. Nie należało żywić pre-
tensji
do zmarłych.
Było to czymś bezbożnym. Na koniec jednak Medai okazał się równie bezużytec-
zny
dla
swych współbraci jak zawsze. Żył dla siebie i umarł z własnych powodów, nie
zważając na
to, czego inni mogą od niego potrzebować, a - bez względu na szczytne tra-
dycje
Kel -

zimnego trupa mogło spotkać bardzo niewiele zaszczytów.
Rozstali się ze sobą w gniewie. Niun pamiętał o tym, pamiętał przez każdy dzień sześciu lat swego późniejszego życia. Wiedział dlaczego she'pan chciała, by poszedł na górę, i co z pewnością myśleli jego bracia kel'ein siedzący obok niego. Doszło wówczas między nimi do kłótni - av'ein-kel, z wyciągnięciem długich mieczy. Stało się to z jego winy. Niun sięgnął po broń jako pierwszy, w korytarzu Kaplicy, na zewnątrz. Było to dnia, gdy Medai położył swą dłoń na Melein. A ona się temu nie sprzeciwiła. She'pan osobiście położyła kres tej awanturze. Wtedy, sześć lat temu, była jeszcze sprawniejsza. Zeszła z wieży po schodach, by zainterweniować. Nazwała go eshai'i -
-
pozbawionym honoru, oraz tsi'daith'em - niesynem. Ponieważ Niun ją wtedy kochał, był zdruzgotany. Nigdy jednak nie udzieliła ani słowa reprimendy Medaiowi. Nie minęło pięć dni, a Medaia spotkał zaszczyt służby baiowi reguli, który mógł otrzymać jeden z Mężów, Melein zaś przypadała w udziale cnotliwość Sen. Tylko Niuna s'Intel nie czekało nic poza powrotem do nauki, długim, długim oczekiwaniem, przykuciem do boku Matki i pozbawieniem wszelkiej nadziei na opuszczenie Kesrith. Nigdy nie znalazł sposobu na odwrócenie skutków tego jednego, fatalnego dnia. Intel nie chciała pozwolić na jego odejście. Miał nadzieję, że teraz zawrze pokój i że w sprawach Ludu zajdzie zmiana. Medai jednak obrabował go również i z tej szansy. Służba na ojczystym świecie spoczęła wyłącznie na barkach Niuna. Nie było w tym wszystkim śladu sprawiedliwości. „Kiedy już zdecydujesz, co ci się należy od Ludu, przyjdź i powiedz to mnie” -
-
oznajmił mu Eddan. Niun zadowoliliby się połową tego, co otrzymał Medai. W tej chwili jednak, rozpoczynając od Eddana, członkowie Kel zaczęli mówić o Medaiu. Każdy wygłaszał mowę pochwalną. Był to rytuał lij'aiaa, początek Czuwania nad Zmarłym. Głosy starych kel'ein drżały podczas przemowy. - Najtrudniej jest - powiedział Liran - gdy starzy chowają młodych. Potem przyszła kolej na Pasev, ostatnią ze wszystkich, nie licząc Niuna. - Nie ma wątpliwości - zaczęła, dotykając medalionów, j'tai, które lśniły w złotym świetle lamp, odznaczeń zdobytych przez Medaia podczas jego służby - że choć był młody, zawędrował bardzo daleko i dobrze poznał wojnę. Widzę tu odznaki służby na Shoa,

Elagu,
Soghrune, Gezenie, Sagurze i Hadriu. Nie ma wątpliwości, że służył Ludowi. Z pewnością, z pewnością ten nasz brat, to dziecko z naszego domu zrobiło wystarczająco wiele.
Myślę, że na pewno był bardzo zmęczony. Myślę, że musiał już mieć serdecznie dosyć służby regulom i pragnął wrócić do domu w taki sposób, w jaki mógł, z takimi siłami, jakie mu pozostały.
Rozumiem to. Mnie również bardzo już zmęczyła służba regulom i gdybym wiedziała, że dobiega ona końca, wybrałabym tę samą drogę, co on.
Nadeszła kolej na Niuna. Teraz on powinien przemówić i wygłosić pochwałę swego kuzyna Medaia. Zebrał w sobie gniewne słowa, nie mógł jednak, po tym wszystkim, ich wypowiedzieć i zaprzeczyć uczuciom Pasev, do której żywił głęboką miłość. Osunął się w dół i skrył głowę w skrzyżowanych ramionach, dygocząc z emocji.
Członkowie Kel pozwolili mu na to. Najwyraźniej uznali, że wyraża w ten sposób żalobę po śmierci kuzyna. Oni jednak czuli prawdziwy, niesamolubny żal za dzieckiem, które kochali. Niun żałował samego siebie.
W ten sposób dowiedział się, ile jest wart. Zrozumiał, jest zdolny do nikczemności i wielkiego egoizmu i że nawet w tej chwili nie jest równy Medalowi. Po chwili, gdy stało się jasne, że Niun nie zechce wygłosić rytualnej przemowy, pozostali zaczęli szeptać pomiędzy sobą. Mówili i wysokich wzgórzach i o pochówku, którego muszą dokonać. W ich słowach i w ich planach dawało się wyczuć cichą desperację i wstyd. Byli starzy, wzgórza zaś leżały bardzo daleko, a szlak był bardzo stromy. Nawzajem pytali się tonem pełnym niepokoju, czy regule nie użyczyliby im zmotoryzowanego środka transportu, gdyby ich o to poprosili. Czuli jednak w swych sercach, że gdyby to uczynili, pohańbiliby Medaia. Dlatego więc nie chcieli tego zrobić. Zaczęli się zastanawiać nad tym, w jaki sposób mogą go tam zanieść.
- Nie martwcie się - odezwał się Niun, przerywając swe długie milczenie. - Dam sobie z tym radę sam.
Ujrzał w ich twarzach niedowierzanie. Gdy pomyślał stromych ścieżkach i srogiej pustyni, sam w to zwątpił.

- She'pan na to nie pozwoli - stwierdził Eddan. - Niunie, moglibyśmy go pochować niedaleko stąd.

- Nie - odparł Niun. - Nie - powtórzył, pomyślawszy o she'pan. Potem nie podsuwano mu już żadnych propozycji. Eddan nakazał pozostałym, by dali mu spokój. Zostawili go samego, gdy poprosił ich o to cichym głosem w należyty sposób. Wyszli gęsiego na zewnątrz z szelestem szat i miarowym pobrzękiwaniem przypiętych do nich odznaczeń. Ten cichy, wysoki dźwięk chwycił Niuna za serce. Młodzieniec zastanowił się nad swoim samolubstwem, którego zakres przed chwilą poznał, oraz odwagą starszych, którzy dokonali w życiu tak wiele. Poczul przeszywający go na wskroś wstyd. Podczas przedłużającego się początku swego całonocnego czuwania, gdy w edunie panowała cisza, a pozostali przebywali gdzie indziej, pogrążeni we własnej żałobie, zaczął się jednak zastanawiać i zrozumiał, że nie chce umrzeć, bez względu na tradycje swej kasty, a już nade wszystko nie chce umrzeć tak, jak Medai. Ta myśl go gryzła, gdyż pozostawała w sprzeczności ze wszystkim, czym powinien być. Medai potrafił zaakceptować podobne rzeczy, she'pan zaś zaakceptowała Medaia.

I oto jaka spotkała go za to nagroda. Podobne myśli w Kaplicy, w obecności bogów i zmarłych, były bluźnierstwem. Niun wstydził się za siebie. Pragnął uciec, jak to robił, gdy był dzieckiem, i skryć się wśród wzgórz, by zastanowić się w samotności i wypróbować swe siły w walce z żywiołami, aż wreszcie zdoła zapomnieć o małości innych i własnej. Teraz jednak był uważany za mężczyznę i dawno już minęły chwile, gdy mógł sobie pozwolić na podobne reakcje. Dla edunu nastały niebezpieczne, ciężkie czasy i nie była to godzina, w której Niun s'Intel mógłby zachować się jak dziecko. Istniała kwestia obowiązku oraz nakazów przyzwoitości. Medai żył i umarł zgodnie z tym prawem. Niun nie potrafił zapanować nad swą wewnętrzną jaźnią, mógł jednak przynajmniej sprawić, że na zewnątrz będzie wykonywał swe obowiązki względem tych, którzy na nim polegali. Nawet jeśli będzie to czystym fałszem.

- Niunie.

Za barierą coś się poruszyło. Rozległ się szelest, który Niun wziął za nieustannie wyczuwalny w Kaplicy powiew. Podniósł wzrok i ujrzał jak przez mgłę złocistą postać, przeświecającą przez pogmatwany wzór. Poznał głos siostry. Podeszła aż do samej bariery,

która oddzielała ich od siebie ze względów religijnych, choć mogli się spotykać
twarzą w
twarz w innych miejscach, w edunie i poza jego granicami.
- Odejdź - powiedział do Melein, gdyż gwałciła ona prawa swej kasty poprzez przebywanie w obecności zmarłego, nawet jeśli był to jej kuzyn. Jej kasta nie znała zobowiązań pokrewieństwa. Wyrzekła się ich wraz ze wszystkimi podobnymi obowiązkami.
Melein jednak nie poruszyła się. Niun podniósł się, zeszytniały od klęczenia na zimnej podłodze i podszedł do kraty. Nie widział siostry dokładnie. Dostrzegając jedynie cień jej dłoni na koronkowym okratowaniu. Pokrył go własną, większą dłonią w geście sympatii, nie mogąc jej dotknąć. Był nieczysty i znajdował się w obecności zmarłego. Nie będzie mogła do niego podejść, dopóki Niun nie pochowa kuzyna.
- Wolno mi tu być - odparła. - She'pan mi pozwoliła.
- Wszystko zrobiliśmy - zapewnił ją. Serce przeszło mu wspomnienie o tym, że Medaia i Melein wiązało uczucie, kuzynowskie, a na koniec może również silniejsze. - Zabierzemy go do Sil'athen. Zrobimy wszystko, co tylko zdołamy.
- Nie sądziłam, że będziesz tu czuwał - powiedziała. Nagle, z odcieniem najgłębszej goryczy, dodała: - A może zrobiłeś to tylko dlatego, że ci tego wyraźnie zabroniono?
Jej atak zbił go z tropu. Upłynęła chwila, zanim odpowiedział. Nie wiedział, przed jakim dokładnie podejrzeniem się broni.
- To mój kuzyn - odparł. - Wszystko, co było dawniej, teraz jest nieważne.
- Kiedyś sam chciałeś go zabić.
To była prawda. Usiłował dojrzeć twarz Melein poprzez barierę, widział jednak tylko jej zarys, złocisty cień za złotą kratą. Nie wiedział, jak jej odpowiedzieć.
- To było dawno - odrzekł. - Pojednałbym się z nim, gdyby żył. Chciałem to zrobić.
Bardzo chciałem to zrobić.
- Wierzę ci - powiedziała wreszcie.
Po tych jej słowach zapadła cisza. Czuł, jak opada ona na niego nieprzyjemnym ciężarem.
- To była zazdrość - przyznał. To, nad czym przemyślał, nabrało kształtu i narodziło się. Poród był bolesny, nie w takim stopniu, jak Niun się tego spodziewał. Na sprawę wreszcie padło światło. Melein była jego drugim ja. Był jej ongiś tak bliski jak własna myśl.
Wciąż jeszcze potrafił sobie wyobrazić ową bliskość pomiędzy nimi. - Melein, kiedy w Kel jest tylko dwóch młodych mężczyzn, jest niemożliwe, by nie porównywali się ze sobą i by inni również tego nie robili. On jako pierwszy osiągnął wszystko to, w czym chciałem celować. Byłem zazdrosny i rozżalony. Wtrąciłem się pomiędzy was. To był

najbardziej
małostkowy czyn, jaki w życiu popełniłem. Płaciłem za to przez sześć lat.
Przez chwilę Melein się nie odzywała. Niun nabrał pewności, że kochała Me-
daia.
Była
jedyną córką starzejącego się coraz bardziej edunu i w sposób nieunikniony
ona i
Medai -
jako kel'en i kel'e'en - wydawali się ongiś, gdy Melein również należała do
Kel,
naturalnie
dobraną parą.
Być może - ta myśl od dawna go dręczyła - byłaby szczęśliwa, gdyby pozostała
w
Kel.
- Wysłała mnie she'pan - oznajmiła wreszcie Melein, nie odpowiedziawszy na
wyznanie, które jej złożył. - Słyszała o zamiarach Kel. Nie chce, żebyś tam
szedł. W mieście
panuje niepokój. Sytuacja jest niepewna. To jest jej najbardziej stanowcze
życzenie, Niunie.
Zostań. Inni zajmą się Medaiem.
- Nie.
- Nie mogę jej przekazać takiej odpowiedzi.
- Powiedz jej, że nie chciałem cię wysłuchać. Powiedz, że Medaiowi należy się
od
niej
coś lepszego niż dziura w piasku, a ci starcy nie zdołają zanieść go do
Sil'athen, lecz umrą po
drodze z wysiłku.
- Nie mogę jej tego powiedzieć! - syknęła Melein. W jej głosie słychać było
strach i to
właśnie sprawiło, że postanowienie Niuna stało się niezłomne.
Nie było to bardziej rozsądne niż inne pragnienia Intel, she'pan, która mogła
stawiać
na szalę życie członków Ludu czy wypaczać i niszczyć przyszłość swych dzieci
z
tak
całkowitym lekceważeniem ich pragnień i nadziei. Przekazała mi swe cnoty -
zrozumiał nagle
z goryczą: zazdrość, samolubstwo, zaborczość... och, była zaborcza w stosunku
do
Melein i
do mnie, dzieci Zaina. Wysłała Melein do Sen, a Medaia do reguli, gdy zobac-
zyła,
ku czemu
zmierzają sprawy pomiędzy nimi. Zniszczyła nas. To wielka she'pan, wielka,
ale
jest w niej
skaza. Dusi nas, przyciska do siebie, aż wreszcie połamie nasze kości, stopi
nasze ciała i
tchnie w nas swój oddech.
Aż nie pozostanie z nas nic.
- Zrób to, co będziesz musiała - powiedział. - Co do mnie, wypełnię w
stosunku
do
niego obowiązek kuzyna, prawdziwa siostrze. Ale przecież ty jesteś sen'e'en i
nie
masz już

kuzynów. Wracaj i powiedz she'pan, co tylko zechcesz.
Żywił rozpaczliwą nadzieję, że zdoła ją rozgniewać, przebić się przez jej strach przed Intel. Chciał, by jego słowa ubodły ją na tyle silnie, aby tego dokonać. Jednakże jej dłoń cofnęła się z bariery, a cień oddalił się i zlał w jedno ze światłem po drugiej stronie.
- Melein - szepnął. - Melein! - powtórzył na głos.
- Nie obwiniaj mnie o niewypełnianie obowiązków - dotarł do niego jej głos, odległy i bezcielesny. - Kiedy żył, byłem dla niego kuzynką, a ty zazdrościłeś mu wszystkiego, co miał.
Teraz mam inne zobowiązania. Powiedz nad jego ciałem, że jego śmierć przyniosła radość she'pan. To właśnie miała do powiedzenia w tej sprawie. Co do mnie, nie mam wpływu na twoje postępowanie. Pochowaj go. Zrób, co zechcesz.
- Melein - powiedział. - Melein, wróć.
Usłyszał jednak odgłos jej kroków oddalających się w górę po niewidocznych schodach, a potem dźwięk kolejno zamykanych drzwi. Został na miejscu, z jedną dłonią wspartą na barierze. Aż do ostatniej chwili sądził, że Melein zmieni zdanie i wróci, zadając kłam odpowiedzi, której mu udzieliła. A jednak odeszła. Nie mógł nawet się gniewać, gdyż to właśnie nakazał jej zrobić.
Stworzyła ją Intel. I on również.
Miał nadzieję, że gdzieś w wieży Sen Melein odłoży na bok swą dumę i zapłaczę nad Medaiem, wątpił w to jednak. Chłód, starannie wypracowany chłód brzmiący w jej głosie wykluczał wszelką skruchę. Wyćwiczony obiektywizm Sen. Odszedł wreszcie od bariery i usiadł przy zwłokach Medaia. Złączył dłonie z tyłu szyi i pochylił głowę nad kolanami, ogarnięty podwójnym żalem.
Lampy skwierczały, a ich ogień migotał, gdyż drzwi do edunu pozostawiono dziś w nocy otwarte. Zgodnie ze starożytną tradycją był to wyraz szacunku dla zmarłego.
Cienie poruszały się, sprawiając, że wydawało się, iż napisy na ścianach wija się, obdarzone niezależnym życiem. She'pan mówiła, że zawierają one w sobie historię i mądrość Ludu.
Przez całe życie Niuna otaczały podobne rzeczy. Napisy pokrywały każdą ze ścian głównej komnaty, Kaplicy i wieży she'pan, a także wejścia do wież Kath i Kel. Zgodnie ze słowami she'pan, identyczne napisy znajdowały się w każdym edunie Ludu, jaki kiedykolwiek istniał,

skopiowane dokładnie i bez żadnych zmian. Za ich pośrednictwem sen'ain zdobywali wiedzę.

Kel'ain nie mogli tego zrobić. Niun wiedział tylko o tym, co zdarzyło się w czasie jego życia i

w zasięgu jego oczu oraz o tym, o czym usłyszał ze wspomnień starszych.

Melein jednak potrafiła je odczytać i wiedziała, jak brzmi prawda, podobnie jak

she'pan. Ta wiedza uczyniła ją chłodną i niezwykłą. Kiedyś, gdy Melein przeniesiono do Sen,

zapytał, czy nie mógłby podążyć w jej ślady, gdyż nigdy dotąd nie byli rozdzieleni. She'pan

jednak ujęła tylko jego dłonie i zwróciła je ku górze, ukazując ich szorstkość.

- To nie są

dłonie uczonego - orzekła i odrzuciła jego prośbę.

Coś poruszyło się w korytarzu. Rozległo się powolne szuranie stóp oraz stukot pazurów o kamienie. Jeden z dusei przybliżył się tutaj z wieży Kel. Z reguły chodziły one

tam, gdzie tylko chciały i nikt im tego nie zabraniał, nawet gdy przeskadzały

lub coś

niszczyły. Nie było nawet pewne, czy można by im tego zabronić, gdyż były tak silne, że nie

mogło być mowy o zastosowaniu przymusu. Wyczuwały, na specyficzny sposób dusei,

kiedy

ich obecność jest pożądana, a kiedy nie, i rzadko zostawały tam, gdzie ich nie

chciano.

Uważano powszechnie, że rozumieją one kel'ain, których myśli były wolne od strachu

i nieskomplikowane. Z tego powodu każdy dus wybierał sobie kel'ena lub kel'e'en

i zostawał

z nim przez całe życie. Żaden z nich nigdy nie obdarzył swymi uczuciami Niuna s'Intel, choć

ten raz spróbował - ogarnięty zawstydzającą desperacją - złapać w pułapkę młodego dusa i

zmusić go do tego. Zwierzę uciekło przed jego dziecinnymi zamiarami. Rozwaliło

pułapkę,

uderzając go tak mocno, że stracił przytomność.

Od tej chwili nigdy nie znalazł w sobie umiejętności niezbędnych, by zwabić go

do

siebie, jak gdyby tamten, którego oszukał, ostrzegał wszystkich swych pobratymców, jaka jest

prawdziwa natura Niuna s'Intel.

Starsi kel'ain mówili, że to dlatego, iż był zbyt zamknięty w sobie i nigdy prawdziwie

nie otworzył serca przed dusem.

Niun uważał, że to nieprawda, gdyż próbował to zrobić, podejrzewał też jednak,

że

mógł się wydać wrażliwym dusei zgorzkniały i niezadowolony, czego nie potrafiły

znieść.

Wierzył w to i miał nadzieję, że sytuacja się zmieni. W głębi serca jednak zastanawiał się, czy powodem mógł być fakt, że nie urodził się na kel'ena. Dla kobiety z Ludu otwarte były wszystkie kasty, lecz dla mężczyzny jedynie Kel i Sen, Niun zaś był pod jednym względem pokrzywdzony, a pod innym go rozpieszczano, z tego tylko powodu, że był ostatnim synem Domu. Oznaczało to, że wysiłki wszystkich nauczycieli skupiały się na nim i że pracowali oni z nim, aż wszystko zrozumiał, a jego umiejętności stały się wystarczające. Sądził jednak, że w edunie pełnym synów i córek mogłoby mu się nie udać przeżyć, gdyż jego doprowadziłby do tego, że szybko rzucono by mu wyzwanie, co uwolniłoby Lud i Dom od źródła irytacji, jakie stanowił. Myślał też, że mógłby zostać lepszym kel'enem, gdyby nie ingerencja Matki, ale z drugiej strony wiele spraw mogłoby wyglądać inaczej, gdyby Niun nie był ostatnim, w tym również i jej zachowanie. Medai podobał się Matce, ale Medai nie żył, on zaś - zbuntowany syn - siedział tutaj żywy. Intel będzie mu miała coś do powiedzenia po tym, jak już pochowają Medaia pośród wzgórz. Po powrocie będzie musiał stawić jej czoło. Padną gorzkie, gorzkie słowa, którym nie będzie mógł przeciwstawić żadnych argumentów, Melein zaś stanie po stronie she'pan. Wzdragał się na myśl o tym, co Intel może mu zarzucić. Będzie jednak musiała to zrobić. Niun nie mógł odwołać słów, które wyrzekł. Ponownie usłyszał drapanie pazurów. To był dus. Buchające sapanie oddechu oraz ciężkie kroki jasno świadczyły, że intruz się zbliża. Niun siłą swej woli nakazał mu oddalić się od Kaplicy, gdyż dusei nie były tu mile widziane. Mimo to zwierzę weszło do środka. Usłyszał, jak wkroczyło do zewnętrznej sali. Odwrócił się i ujrzał je w mroku - wielki cień o pochyłych barkach. Ponownie wydało z siebie ów osobliwy, rozpaczliwy głos i zbliżyło się powoli. - Yai! - odezwał się Niun, odwracając się na jednym kolanie. Z wściekłością nakazał mu w myślach odejść. Nagle ujrzał, że dus jest zakurzony, a jego skórę pokrywają zaskorupiałe rany. Serce zamarało mu w piersi. Wstrzymał oddech. Zdał sobie sprawę, że nie jest to jedno z ich

oswojonych zwierząt, lecz obcy przybysz.
Czasami dzikie dusei schodziły z wyżynnych równin, by kręcić się po terenach należących do edunu i siać spustoszenie wśród swych oswojonych pobratymców. Niun pamiętał, jak kel'ein ginęli, próbując zbliżyć się do podobnych zwierząt, mimo że byli uzbrojeni. Dusei wyczuwały intencje. Posiadały niesamowitą zdolność przewidywania. Niewiele było stworzeń bardziej niebezpiecznych w trakcie podchodzenia. Dus stał z pochyloną głową. Jego masywne barki wypełniały przejście. Kołysał się do tyłu i do przodu, wydając z siebie ów żałosny dźwięk. Wepchnął się siłą do środka, aż tynk poodpadał w niektórych miejscach, choć drzwi celowo zbudowano wąskie i niewygodne dla dusei, by uchronić Tajemnice przed ich nierozumnym brakiem szacunku. Zwierzę nadchodziło w niepowstrzymany sposób. Było chudsze niż dobrze odżywione dusei z edunu. Niun usunął się na bok. Jedna z lamp przewróciła się z trzaskiem, gdy dus tracił ją barkiem. Zwierzę skomlało i sapało, na szczęście jednak rozlana ciecz zgasła, choć gorący olej poparzył stopy intruza i sprawił, że ten się cofnął. Potem dus zbliżył się do ciała Medaia i tracił je pazurami długimi jak dłoń mężczyzny. Były one jadowite. W ostrogach znajdowały się przewody jadowe. Jeden ich cios, zadany od niechcienia, wystarczał, by rozpruć brzuch mri lub regula. Niun przykucnął w cieniu, obok przewróconej lampy, nieruchomy niczym mebel. Ciało zwierzęcia wypełniało większą część pomieszczenia i blokowało wyjście. Bił od niego przerażający, niezdrowy smród, który przebił się nawet przez woń kadzidła. Gdy odwróciło masywną głowę, by spojrzeć na wątłego mri skulonego w kącie, ukazały się jego kaprawe oczy, z których ropa skapywała na poświęconą podłogę. Miuk! Zwierzę było ogarnięte szaleństwem. Wydzieliny jego ciała utraciły równowagę. To miuk. Szaleństwo jego gatunku, było odpowiedzialne za zachowanie dusa i spowodowało, że wtargnął on do siedziby mri. Niun nie znał niczego - czy to zwierzęcia czy istoty rozumnej - czego należałoby obawiać się bardziej. Gdyby dusei z edunu nie były dziś w nocy zamknięte na górze, nigdy by nie pozwoliły, by dus będący miuk'ko zbliżył się do budynku. Prędzej zginęłyby w obronie wejścia, niż wpuściły zwierzę do środka. Niun s'Intel przygotował się na śmierć, najokropniejszą z możliwych, w

przeestrzeni
tak małej, że dus nie zdoła nawet wyrzucić jego ciała spod swych stóp. Bracia
odnajdą je
rozdarte na strzępy. Zwierzę szturchnęło zwłoki Medaia, jak gdyby miał to być
wstęp do tego
czynu, zawahało się jednak. Groteskowa, okropna bestia kołysała się w obie
strony, stojąc
okrakiem nad trupem. Z jej oczu wypływał oślepiający ją płyn. Gdzieś daleko,
w
wieży Kel,
rozległ się niski jęk. Jakiś nie przyzwyczajony do tego dus denerwował się,
że
go zamknięto,
lub też wyczuwał nastrój pogrążonego w żałobie Kel albo inwazję, do której
doszło na dole.
Zwierzę rozpaczliwie usiłowało się wydostać. Inne dołączyły do niego, lecz
ucichły nagle,
być może na rozkaz kel'ain.
Niun wstrzymał oddech, podczas gdy przybłęda podniósł swe oślepione przez
ropę
oczy ku źródłu owego dźwięku. Jego ruchliwe wargi zadrżały nerwowo. Zakłósał
się. Wydał
z siebie kolejne buchające parsknięcia, po czym odsunął się na bok. Jego bark
uderzył w
barierę, która przewróciła się z metalicznym brzękiem. Zwierzę odwróciło się
gwałtownie,
skąpane w blasku bijącym z wewnętrznej kaplicy. Przerażony Niun zasłonił so-
bie
oczy
ramieniem, by nie ujrzeć Zabronionego, po czym z pewnością w sercu sięgnął po
pistolet,
bezużyteczny przeciw dusowi.
Musiał atakować wszystko, co zagrażało Zabronionemu, zapobiec, jeśli zdoła,
wtargnięciu do kaplicy Sen. Wycelował w mózg, pierwszy z dwóch, wiedząc
doskonale, że
wskutek konwulsji, do których dojdzie, sam zginie wraz z dusem.
Zwierzę jednak nie przekroczyło granic. Pochyliło swą ociekającą ropą głowę i
szturchnęło nosem zwłoki, rozsuwając całun. Uczyniwszy to, zajęczało i
powoli, w
sposób
niemal roztargniony, obróciło głowę, przez co skryła się ona przed pistoletem
za
masywnym
barkiem. Następnie zaczęło wycofywać się z Kaplicy.
Gdy już to zrobiło i znalazło się w korytarzu na zewnątrz, wciąż wydając z
siebie swój
charakterystyczny odgłos zagubionego niemowlęcia, Niun rozpoznał je wreszcie.
To był dus Medaia.
Żaden mri nie mógł twierdzić, gdy brak mu było dodatkowych wskazówek, że po-
trafi
rozpoznać jakiegokolwiek dusa poza swym własnym, a i to nie było możliwe,
jeśli
upłynęło
wiele czasu. Dusei były zbyt podobne do siebie i zbyt szybko się zmieniały.
Można było co
najwyżej powiedzieć, że dany dus przypomina innego, którego się znało.
To akurat zwierzę nie zabiło jednak Niuna, było zainteresowane przede wszyst-
kim

zwłokami i odeszło nie usatysfakcjonowane. Rozumiał jego postępowanie. Dusei niepokoiła śmierć. Inne zwierzęta ignorowały zwłoki, lecz dusei nie potrafiły zrozumieć tej sprawy ani się z nią pogodzić. Zamartwiały się i gryzły. Nie przestawały szukać, aż wreszcie z reguły same umierały. Rzadko przeżywały swych panów, gdyż marniały, nie zaprzestając poszukiwań. Ten zaś szukał czegoś, czego nie znalazł. To był dus Medaia, który przyszedł go odnaleźć. Był schorowany, pokryty ranami oraz ogarnięty głębokim szaleństwem, które nie mogło rozwinąć się szybko, choć regule mówili, że Medai umarł nie dalej niż wczoraj. Był również chudy i wygłodzony, jak jego nieżyjący pan. W Niunie narastało przyprawiające o dreszcz uczucie. Wreszcie zaczął fizycznie dygotać, nie tylko ze strachu przed dusem. Schował pistolet do kabury i spojrzał z bojaźnią na nagość wewnętrznej kaplicy, której nigdy nie powinien oglądać. Niedobrze się stało, że do tego doszło. Niun umył ręce wodą z naczyń ofiarnych i nie przekraczając stopą zakazanej linii, ustawił barierę z powrotem na miejscu. Jego palce z czciami dotykały nieożywionego metalu. Ocalił życie. Bogowie, podobnie jak ludzie, mogli wybaczyć brak szacunku okazywany przez dusei, on zaś ujrzał wewnątrz kaplicy Sen i czuł się wstrząśnięty, ale nie w śmiertelnym stopniu. Widział jasność, lecz nie dostrzegł żadnego z Przedmiotów ani niczego, co potrafiłby zidentyfikować jako Święte. Starał się wyrzucić to wspomnienie ze swego umysłu. Kel'en nie powinien tego oglądać. Nie chciał tego zapamiętać. Medai zaś... Ustawił na nowo lampę, napełnił ją olejem i zapalił, przywracając jej przynoszący otuchę blask. Następnie opadł na kolana i wytarł rozlany olej, który dzięki miłosierdziu bogów zgasł. Przez cały czas, gdy pracował, drżąc z wyczerpania wywołanego czuwaniem, nie przestawał myśleć. Pielęgnował owo chłodne uczucie, które zagnieździło się pod jego sercem. Wreszcie umył dłonie na znak szacunku i położył je na ciele Medaia, by dopuścić się zbezczeszczenia. Musiał je popełnić, gdyż w przeciwnym razie myśl rodząca się w

jego
umyśle nie dałaby mu spokoju. Gdy zebrał się już na odwagę, zrobił to szybko.
Odwinął
ostrożnie tkaninę i przyjrzał się ranie. Stwierdził - co przyniosło wstyd
jego
podejrzeniu i jego
czynowi - że regule mówili prawdę.
Ika'al.
- Wybacz mi - powiedział do ducha Medaia, po czym z czcią zasunął na nowo
szaty,
umył oblicze trupa i przykrył je zasłonami. Następnie rzucił się na twarz
wewnątrz kaplicy i
odmówił odpowiednie modlitwy do kilku bogów-przodków swej kasty za spokój
duszy
Medaia. Były one bardziej szczere niż te, które odmawiał za swego kuzyna, gdy
ten jeszcze
żył.
To powinno go rozgrzeszyć i przynieść mu spokój, gdyż uczynił to, co było
słuszne i
uczciwe. Tak się jednak nie stało.
Narastała w nim pewność, że bez względu na świadectwo jego oczu oraz słowa
reguli,
Medai nie wyrzekł się życia dobrowolnie.
Dus, którego łączność z umysłem kel'ena była tak bliska, stał się miuk'ko i
schudł do
tego stopnia, że mógł się precyzyjnie przeczisnąć przez drzwi do kaplicy, a ciało Medaia,
ongiś nabite
mięśniami, było chude niczym mumia.
Kwatery Kel planowano na regulskich statkach jako wyłączone pomieszczenia, z
uwagi na dusei, których regule bali się ponad wszelką logikę, oraz surowe
prawa
kastowe,
jakich musiał przestrzegać kel'en podczas kontaktu z obcymi.
W rzeczywistości jednak był on zawsze zdany na łaskę i niełaskę reguli.
Dostarczali
oni do jego kwatery jedzenie i wodę, a nawet powietrze, którym oddychał.
Jedynym, co
kel'en mógł zrobić dla okazania swej niezależności, było zamknięcie drzwi.
Gdyby pragnęli jego śmierci, mogliby odciąć dopływ powietrza i wyrzucić go
potem
w zimną przestrzeń. To jednak byli tsi'mri, a co więcej, nie wiedzieli nic o
Ludzie. Mieli do
czynienia z nową, nieznaną grupą reguli, którym mogło brakować wiedzy o tym,
jak
sobie
poradzić z kel'eniem. Regule nie potrafili walczyć.
Nie bezpośrednio.
Trawiony myślą, która nabierała w nim kształtu, Niun podniósł się i wyszedł z
Kaplicy. Zabrawł ze sobą ofiarne naczynie z wodą oraz metalowy kubek, po czym
przeszedł
przez zewnętrzne pomieszczenie ku drzwiom do edunu, pod którym wciąż siedział
ogarnięty
szaleństwem dus.
Niun wiedział, że zwierzę z pewnością tam czeka. Znajdowało się niedaleko od
tego,
czego pragnęło, lecz nie potrafiło tego odnaleźć. Był pewien, że wciąż tam
tkwi,
w równym

stopniu jak tego, w jaki sposób doprowadzono je do szaleństwa. Fakt, że ongiś było oswojone, nie czynił go mniej niebezpiecznym. Mogło poderwać się z miejsca i zabić go pod wpływem impulsu. Gdy jednak Niun postawił przez nim naczynie z wodą, dus powąchał je z zainteresowaniem, co czym w końcu ruszył się z miejsca i wsadził nos do wody. Zawartość kubka zniknęła. Niun napełnił go po raz drugi, trzeci i czwarty. Dopiero za ostatnim razem zwierzę odwróciło nagle głowę na znak odmowy. Niun przykucnął i przyjrzał się stworzeniu. Było chude i w wielu miejscach wyliniało mu futro. Na jednym z jego boków widniała wielka, świeża, otwarta rana. To był dus Medaia, który zaznał regulskiej opieki, przemocy oraz głosu. Nie porzuciłby pana z własnej woli, nawet gdyby ten już nie żył. Regule nie postępowali na sposób mri. Byli zdolni do spisków, przekupstwa, oszustwa czy zabijania własnych młodych, lecz nie do zamordowania dorosłego osobnika. W żadnym wypadku. Nie potrafili kłamać ani zabijać z zimną krwią. Wynajmowali mri, by ci zajęli się ich wrogami. Tego zawsze uczyli go ci, którzy znali regule lepiej niż on i mieli z nimi do czynienia przez całe życie. Do tej pory wierzył w to bez zastrzeżeń. Podobnie jak Medai. Podniósł się i wszedł do środka. Wrócił do Kaplicy i usiadł przy zwłokach swego kuzyna. Otulił się ramionami i wbił nie rozumiejące spojrzenie w wijące się jak węże napisy, które opowiadały, a zarazem ukrywały, historię Ludu. W taki czy inny sposób dokonano morderstwa, bez względu na to, jak nazywali to regule. Pracodawcy zabili kel'ena, jego dusa zaś osłabili do tego stopnia, że mogli go przepędzić, by umarł śmiercią naturalną. Jedno ciało zwrócone Kel - uczynek regulskich ignorantów - drugie zaś oddane na pastwę drapieżników i padlinożerców, a w każdym razie niezdolne zdradzić prawdy o tym, co się wydarzyło. Regulskie ręce oraz sumienia z pewnością były czyste. Medai na koniec zrobił to, czego od niego chcieli. Niun rozpaczliwie pragnął wejść na górę i opowiedzieć o tym komuś. Chciał po- biec do Eddana po radę lub zaalarmować she'pan. Nie miał jednak żadnych dowodów poza zwierzęciem, które leżało przed drzwiami. Nie mógł na niczym wesprzeć podobnego oskarżenia. Jego podejrzenia nie były skonkretyzowane. Nie potrafił sobie wyobrazić żadnego motywu, który mógłby popchnąć regule do zmuszenia kel'ena do podobnego czynu. Jest w tym pewna ironia, pomyślał, że spośród wszystkich, na których pomstę

Medai

mógł liczyć, pozostał mu tylko odwieczny rywal, zaś jedynym świadkiem prawdy był miuk'ko.

Dusei, jak mówiono, żyły w czasie terażniejszym. Nie pamiętały tego, co się zdarzyło, a jedynie osoby i miejsca. Ten dus szukał domu, miejsca gdzie uprzednio żył, oraz Medaia.

Znalazł pierwsze, ale nie drugie.

Rozdział 8

Niun zaczął, zanim pozostali zdążyli choćby się poruszyć, przygotować się do podróży ku Sil'athen. Napompował wody i zgromadził rytualny zapas żywności - jedynie

symboliczny - a także prawdziwy prowiant, dla żywych.

Z wielkim wysiłkiem dźwignął ciało Medaia z małej Kaplicy i przywiązał je sznurami

do regulskich noszy, na których tu przybyło. Dus czekający u drzwi widział to,

lecz nie

zwracał uwagi na jego poczynania.

Zaczęli zjawiać się inni: Eddan, Pasev, Dahacha oraz reszta Kel. Dusei również

zeszły

na dół i miuk'ko u drzwi cofnął się nieco. Tam, w świetle słońca, osunął się na

ziemię.

Położył masywną głowę pomiędzy łapami. Był w głębokim szoku.

- Miuk - szepnął Debas, z przerażeniem ujrawszy to, co siedziało u ich bram. Jednakże Pasev, która - choć zabiła wielu ludzi - miała łagodną naturę, po-

deszła

i

spróbowała przemówić do zwierzęcia, pozostając poza jego zasięgiem. Dźwignęło się na tyle

łapy z lamentem wściekłości i odskoczyło na bok, po czym w niewielkiej odległości opadło z

powrotem na ziemię, wyczerpane tym wysiłkiem. Dusei z edunu cofnęły się od niego

podniecone. Wyczuwały niedolę swego towarzysza oraz zagrożenie, jakie stanowił.

Zbiły się

w ciasną grupkę wokół Kel i rozpoczęły swe charakterystyczne okrażanie przez dusa-

strażnika, chroniąc swych panów przed grożącym niebezpieczeństwem.

Wszystkie oczy spoczęły na Niunie z pytającym wyrazem. Ten wzruszył ramionami i

złapał za sznury improwizowanych sań Medaia.

- Przyszedł - wyjaśnił - dziś w nocy do kaplicy. - Spojrzał na Eddana. - Szukał

kogoś.

Ujrzał, jak paskudne przypuszczenie zalśniło w oczach kel'antha. Eddan był mądrym

człowiekiem, choć kel'ennem. Odwrócił się cicho i wskazał na Pasev, Lirana, Debasa i Lietha.

- Zostańcie tutaj - rozkazał. - Strzeżcie she'pna.

- Eddanie - odezwała się Pasev. - She'pan zabroniła...

- Każdy, oprócz wymienionych, który również chce zostać, może to zrobić.

Strzeż

she'pan, Pasev.

Niun, nie czekając na nich, ruszył naprzód. Opór stawiany przez sanie zdradził mu, że drogo zapłaci za swój upór. A przecież she'pan i wszyscy pozostali dali mu szansę na wymiganie się od tego kuzynowskiego obowiązku. Powoli, boleśnie, miuk'ko, dźwignął się na łapy i spróbował podążyć za saniami. Zdołał dotrzeć jedynie do traktu. Tam osunął się na ziemię, wyczerpany. Zabrakło mu sił. Inne dusei oskrzydliły go. Jeden z nich wciąż kroczył pomiędzy przybłądą a tymi kel'ein, którzy zostali na miejscu, obserwując tego pierwszego. Zwierzęta nie podążyły za konduktem pogrzebowym. Nie były tam potrzebne. Strzegły edunu. Eddan i pozostali kel'ein dogonili Nuina na stoku prowadzącym na wzgórze i wyciągnęli ręce po sznur. Niun nie sprzeciwił się temu. Sprawilo mu ból, że musieli wykonywać ten gest i okazywać mu swą solidarność, jak gdyby trzeba było jej dowodzić. Jedną ręką założył zasłonę i opuścił chustę. Zaczął już oszczędzać wilgoć, która marnotrawiły jego zdyszane oddechy. Zabrał ze sobą więcej niż zwykły przydział wody, gdyż wiedział, że podróż będzie ich kosztowała wiele wysiłku. Na Kesrith nie można było pracować. Pozostawiano to regulskim młodym i regulskim maszynom. Wysilek wyciskał z ciała wilgoć i jeśli nie zachowywało się należytej ostrożności, mógł doprowadzić do krwotoku. Nikt z nich jednak nie powiedział oczywistej prawdy, że ta podróż jest nierozważnym czynem. Nigdy dotąd Kel nie sprzeciwiło się otwarciu Matce. Niun pojął nagle, że miała ona wyjście z tej sytuacji: mogła wydać Eddanowi bezpośredni rozkaz. Nie uczyniła tego. Pełen urazy do niej, nie tłumaczył tego miłością, lecz tym, że znowu napila się komalu i dlatego nie można jej było dobudzić, gdy Melein przyniosła jej jego odmowę. Taka była Intel, she'pan z Kesrith. Zdarzało się to już wcześniej. Trzymał się tego uchybiającego jej gniewu, nie chcąc uwierzyć, że Intel zmiękła, gdyż nic takiego nie wydarzyło się nigdy dotąd przez te wszystkie lata, gdy występował do niej z prośbami. Nie sądził, by mogła to uczynić po raz pierwszy teraz, gdy się jej sprzeciwił. Nie chciał okazać skruchy za swój upór, nawet gdy ścieżka stała się jeszcze bardziej stroma, kamienie dręczyły jego stopy, a powietrze wypełniające mu płuca wydawało się

zimnym ogniem.

Po niebie wciąż przemykały regulskie statki. Ich szybkość wyglądała na drwinę z

męczarni maleńkich postaci mri. Unosiły one w bezpieczne miejsce coraz więcej swych

właścicieli, którzy uciekali przed ludźmi mającymi objąć panowanie nad tym światem.

Szlak wiodący do Sil'athen nie był właściwie szlakiem, lecz trasą pamiętaną przez

wszystkich mri, którzy kiedykolwiek ją pokonali. Wśród skał nie było widać żadnego jej

śladu, poza tym, że droga była wolna od większych przeszkód i zmierzała od jednego punktu

orientacyjnego do drugiego. Niun znał ją, gdyż pogrzeby były częstym wydarzeniem

w jego

życiu. Nigdy jednak nie widział ceremonii towarzyszących narodzinom. Gdy urodziła się

Melein, był za młody. Ciągnął teraz sam za sznury sań, podążając za wysoką, szczupłą

postacią Eddana. Wlókł za sobą sanie po małych kamieniach, aż wreszcie musiał owinać

fałdem szaty swe pocierane dłonie, by je ochronić. Oddychanie przychodziło mu z

trudem.

Czuł ból w płucach. Był przyzwyczajony do zajęć z bronią, a nie do fizycznej pracy, jak

tsi'mri. Za każdym razem gdy wspinał się o kilka kroków wyżej, oddychanie stawało się

jeszcze trudniejsze.

- Niunie - odzywał się od czasu do czasu któryś z jego braci. - Pozwól, niech ja

przez

chwilę pociągnę.

On jednak odtrącał ich pomocne dłonie. W tę podróż wyruszyli jedynie najstarsi,

poza

Pasev, której Eddan powierzył dowództwo nad pozostającymi w edunie. Niuna dręczyło teraz

sumienie. Martwił się, że jego upór może się stać przyczyną śmierci któregoś z

tych

odważnych, starych mężczyzn. Z pewnością, pomyślał, she'pan przewidziała to, lecz on był

zbyt zaślepiiony i zapatrzonej w siebie, by rozważyć możliwość, że mogło jej wcale

nie

chodzić o niego. Był ongiś jak najgorszego zdania o Medaiu i wyraził za to skruchę.

Zaczynało do niego docierać, że w innych sprawach również mógł się mylić.

Teraz jednak, kiedy wyruszyli już w drogę, powrót okryłby tych mężczyzn wstydem.

Sprowadziła ich tutaj jego uparta duma. Z radością witał ból, który wypędzał z

jego mózgu

jasne myśli. Była to pokuta za małostkowość, którą okazał w stosunku do nich i

do zmarłego.

Medai nie był tchórzem ani nie był lekkomyślny. Niun czuł już teraz pewność, że jego kuzyn długo opierał się perfidii swych pracodawców i bogowie wiedzą czemu jeszcze. Dlaczego jednak się to stało, wciąż nie potrafił pojąć.

- Eddanie - powiedział cicho, gdy spoczęli na chwilę w cieniu wysokiej skały, a na piasku poniżej ukazały się zmarszczki uwidaczniające się w czerwonym świetle stojącej w zenicie Arain. Na rozciągającej się dalej równinie miał swe legowisko ryjec. Niun widział, jak na powierzchni pojawiają się wytwarzane przez niego leje, do których osypywał się piasek. Reagował w ten sposób na powiew wiatru, myśląc, że to zdobycz.

- Ai?

- Myślę, że według ciebie regule nie powiedzieli prawdy o przyczynach śmierci Medaia.

Edden, z twarzą skrytą za zasłoną, poruszył dłonią w geście wyrażającym zgodę.

- Sądę - ciągnął Niun - że w Kel rozmawiano już na ten temat i ja jestem jedynym człowiekiem, dla którego było to zaskoczeniem.

Eddan spoglądał na niego przez dłuższy czas. Migotki przesłoniły jego oczy, po czym cofnęły się znowu.

- Niunie - powiedział. - Czynisz nam niesprawiedliwość, jeśli sądzisz, że świadomie ukryliśmy przed tobą swe myśli w podobnej sprawie.

- Być może jednak, panie, mieliście powód.

Dłoń Eddana zamknęła się na nadgarstku jego rozmówcy w mocnym uścisku. To on uczył Niuna yin'ein. Nikt nie potrafił tak sprawnie i delikatnie jak on i Pasev oddzielić ciała od duszy. Nie można było nawet dostrzec ruchu miecza. Ponadto jego dłoń miała jeszcze siłę.

- Nie szukaj służby u reguli, Niunie s'Intel Zain-Abrin. Służysz she'pan. Pewnego dnia znajdziesz się na moim miejscu. Myślę, że ten dzień nadejdzie już niedługo.

- Jeśli miałbym zostać kel'anthem - odparł Niun, którego te wróżebne słowa przeszyły chłodem, niepewny, co miały one oznaczać - to będzie to bardzo małe Kel. Wszyscy pozostali są starsi ode mnie.

- Doczekasz się swoich zaszczytów, Niunie. W naszych umysłach nigdy nie było co do tego wątpliwości, jedynie w twoim. Tak się stanie. Śmiertelna powaga, z jaką Eddan wypowiedział te słowa, wywołała u Niuna głęboki niepokój. - Nigdy nie brałem udziału w walce - sprzeciwił się. - Jak mogę być zdatny do czegokolwiek?

Eddan ponownie wzruszył ramionami.

- My jesteśmy Ręką. Inni układają plany. Bądź jednak pewien, że coś cię czeka i że she'pan uwzględniała cię w swoich zamiarach. Pamiętaj o tym. Rozważono kandydaturę Medaia i odrzucono ją. O tym również pamiętaj. Niun usiadł, oszołomiony. Wszystkie jego wyobrażenia zostały w jednej chwili rozbite i unicestwione.

- Panie - zaczął, lecz Eddan odsunął się od niego, wstał i odwrócił twarz, co jasno wskazywało, że nie życzy sobie dalszej dyskusji na ten temat. Niun podniósł się, szukając jakiegoś sposobu, by zadać mu pytanie, lecz pozwolił, by jego ręka opadła w dół bezradnie.

Jeśli Eddan nie chciał mu odpowiedzieć, to nic tego nie zmieni. Było całkiem możliwe, że usłyszał już wszystko, co kel'anth mógł mu powiedzieć. Wszystko, co potrafił powiedzieć.

„Jego śmierć przyniosła radość she'pan” - oznajmiła mu Melein. Chłód tych słów wciąż przeszywał go dreszczem. Eddan zaś stwierdził: „Rozważono kandydaturę Medaia i odrzucono ją”.

Po raz pierwszy poczuł litość dla swego kuzyna. Wszystko wydało mu się wywrócone do góry nogami.

On sam ze swoją młodzieńczą zazdrością oraz Medai, którego jedyną zbrodnią było to, że spojrzał na Melein, podczas gdy she'pan miała inne plany. Kesrith była twarde, bezlitosnym światem. Matka z Kesrith, podobnie jak jej planeta, nie znała litości.

Jego upór stanął na przeszkodzie jej woli. Niun sprzeciwił się Intel, nic nie wiedząc o jej motywach. Zrobił coś, czego kel'ein nie zwykli robić, by sprawdzić, w jakim stopniu jest zdecydowana go powstrzymać, i to w chwili, gdy Lud absolutnie nie mógł sobie pozwolić na podziały.

Było możliwe, pomyślał, że nie tylko regule przyczynili się do śmierci Medaia, że she'pan i nawet Melein również miały w tym swój udział.

Czuł litość do Medaia i strach o siebie. Żałował, że nie może porozmawiać z kuzynem teraz, gdy obaj już, a nie tylko jeden z nich, byli mężczyznami, aby dowiedzieć się od niego rzeczy, których nie mógł mu przekazać Eddan. Spojrzał na spowitą w czarny całun postać na noszach i ponownie ujął sznury w dłonie, przekonał się jednak, że opuściła go cała pewność.

Nagle pomyślał, że nie musiał być sam przez te wszystkie lata, a Medai nie musiał

umierać. Tak wiele rzeczy nie musiałyby się wydarzyć, gdyby nie zmusił
she'pan
do
dokonania wyboru pomiędzy nimi.
Nie tylko regule przyczynili się do śmierci Medaia.
Był już wieczór, gdy dotarli do świętego miejsca - urwisk i wietrznych nisz,
gdzie
groty Sil'athenu ukrywały tych zmarłych spośród Ludu, których kres zastał z
dala
od
możliwości pochówku w słońcu. Było tu bardzo wiele grobów. Najstarsze z nich
pochodziły z
czasów, gdy Kesrith nie знаła jeszcze reguli, zaś najświeższe kryły tych,
którzy
urodzili się na
Nisrenie i uciekli tutaj w poszukiwaniu schronienia.
Dolina była długa i odludna. Od szczytów urwisk zaczynał się następny poziom
wyżyn. Poczynając od nich, piaski stawały się czerwone, w przeciwieństwie do
jasnych nizin,
a przez krwawą skałę przebiegały od czasu do czasu białe żyły. Tam, gdzie
tworzyła ona
twardą czapę, erozja wywołana wiatrem oraz żrącymi deszczami wyrzeźbiła w
niej
niezwykłe
kolumny oraz ciężkie, niezdarne kształty strzegące drogi przez Sil'amen i
rzucające dziwnie
wyglądające cienie w czerwonym świetle zachodzącej Arain. Jedną z turni
objął
w
posiadanie wietrzny kwiat. Jego witki lśniły niczym szklane nici splamione
czerwienią
zachodu. Po lewej stronie wejścia od wielu lat znajdowało się legowisko ry-
jca.
Ominęli tego
strażnika szerokim łukiem.
Niun wstydził się, że potyka się tutaj, u samego krańca drogi. Poczuł, jak
piasek
osuwają mu się pod stopami. Przewrócił się. W pierwszej chwili obawiał się, że
to
mniejszy
ryjec, którego nie wykryli, była to jednak tylko stara dziura, wypełniona
miękkim piaskiem.
Podniósł się, otrzepując kolana, na które upadł, i pociągnął mocno za sznury,
odtrącając kilka
wyciągniętych ku niemu rąk. Jego pole widzenia przesłaniał czarny cień otoc-
zony
czerwoną
obwódka. Migotki zakryły mu połowę oczu, nie słuchając już nakazów świadomej
woli.
Powietrze, którym oddychał, było słone od jego własnego parującego potu.
Minęli stare groby, tysiące dawnych kath'ein, z przedregulskich czasów, a
następnie
dwanaście mogił ich własnych członkiń tej kasty, pochowanych zgodnie z tra-
dycją
po
zachodniej stronie doliny, z twarzą ku wschodzącemu słońcu, nowej nadziei.
One
były tymi,

które wydawały na świat potomstwo. Obok znajdowała się garstka smutnych grobów dzieci, które były zbyt delikatne, by znieść okrutne wiatry Kesrith. Ich życie można było ocalić dla Ludu, gdyby Intel nie wybrała tej planety na świat ojczysty. Regule oferowali jej wiele światów, pięknych i zielonych, lecz ona chciała tylko Kesrith. Tak im powiedziała. Kuźnia nowego Ludu - wyraziła się o tej planecie. Jednakże delikatna kasta Kath wymarła w tej kuźni, pozostawiając ich w żałobie. Ku zachodzącemu słońcu zwrócone były tysiące mogił Sen oraz dziewiętnaście świeżych grobów ich własnych członków tej kasty. Oni również, na swój sposób, byli delikatni i wrażliwi i nie przetrzymali oczyszczenia Intel, pozostawiając swą służbę jedynie Melein i Sathellowi. W najwyższych urwiskach kryły się groby she'panei oraz kel'ein, którzy strzegły swych władczyń po śmierci. Nie było pewne, ile she'panei mieszkało na Kesrith w jej historii. Niun słyszał o pięćdziesięciu dziewięciu, wiedział też jednak, że żaden kel'en nie znał całej prawdy. Zastanawiał się nad tym, spowity w czerwonej i czarnej mgiełce innych myśli, gdy zwrócili się w stronę grobów Kel. Było ich na Kesrith tylko kilkaset, w przeciwieństwie do tysięcy innych, niemal tak mało, jak grobów she'panei. Zmarli z tej kasty byli znacznie liczniejsi niż zmarli Sen, lecz bardzo niewielu spośród nich miało swe groby w ziemi. Zatrzymali się przy najnowszej grocie, gdzie byli pochowani weterani z Nisrenu. Niun siłą woli zmusił się do utrzymania na nogach, by pomóc pozostałym w jej otworzeniu. Nosił głazy, aż ręce mu zdrętwiały, gdyż ci uparci starcy zrobiliby wszystko sami, gdyby ich nie ubiegł. Cały był obolały i jego własna krew splamiła kamienie, z których usypał miejsce spoczynku dla Medaia. Kel'ein nie chowano tak, jak pozostałych. Inne kasty były zwrócone twarzą ku dolinie Sil'athen, oni jednak spoglądali na zewnątrz, na północ, w kierunku, który tradycyjnie symbolizował zło. Zmarli leżeli w mroku, jeden szereg za drugim. Gdy przybysze zapalili swą jedyną lampę, ujrzeli ich - zbutwiałe, czarne cienie w zasłonach i szatach spróchniałych i zniszczonych. Ich zakryte twarze zwrócone były w kierunku północnej ściany

jaskini.
Powietrze wewnątrz było zimne i przesycone niezwykłym odorem rozkładu. Mrok przygniatał. Niun zatrzymał się, uradowany tym, że może tylko stać, i pozwolił starcom ułożyć Medaia na miejscu, pomiędzy pozostałymi. Następnie zatrzymali się, zwrócili twarzami na północ i odmówili nad nim Shon'jir, rytuał przejścia. Niun powtarzał słowa wypowiedane podczas narodzin i pogrzebów, które oznajmiały przyjście na świat członka Ludu oraz jego odejście z niego.
Od Mroku na początku
Do Mroku na końcu,
W Przerwie między nimi Słońce,
Lecz potem przychodzi Mrok,
A w tym Mroku,
Jeden koniec.
Słowa rozlegały się echem wewnątrz jaskini, w spowijającej ich ciemności. Niun spojrział na zmarłych, a potem na swych towarzyszy. Zadumał się nad kruchością tych, którzy śpiewali o Mroku, oraz delikatnym oddechem stanowiącym różnicę pomiędzy wargami, które się poruszały, a tymi, które nie mogły tego robić. Ogarnęło go przerażenie, bunt, pragnienie ucieczki na zewnątrz, w otwartą przestrzeń. Nie poddał mu się jednak. Jego wargi wciąż formowały słowa.
Od Mroku do Mroku
To jedna podróż.
Od Mroku do Mroku
To nasza podróż.
Ale po Mroku,
O bracia, o siostry,
Przybywamy do domu.
Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad tymi słowami. Jego usta je wypowiadały, lecz jego uczucia nie były poruszone. Teraz, gdy rozejrzał się wokół, sprawa się zmieniła.
Do domu.
Tutaj.
Stał bez ruchu, podczas gdy pozostali wychodzili jeden po drugim na zewnątrz. Zmusił się do tego, by wyjść jako ostatni, zapanować nad swym strachem, nawet jednak gdy nad jego głową zalśniło światło gwiazd oraz pierwszego z księżyców Kesrith, wciąż czuł w sobie ten chłód, którego nie zdoła odpędzić ciepło wielu słońc.
- Zamknij grotę - rozkazał Eddan.
Niun zaczął zbierać kamienie, jeden po drugim, i upychać je ciasno w przejściu, tworząc barierę pomiędzy sobą a Medaiem. Trudno mu było oddychać. Poczul, że po policzkach płyną mu łzy, wywołane wstydem, jakim okrył się przed zmarłym. Nie jestem do ciebie podobny, kuzynie, nie jestem podobny - nie przestawał

myśleć,
gdy z determinacją układał kamienie na miejscu. Mur, który budował, miał
chronić
uświęconych zmarłych przed wiatrem, piaskiem oraz wścibskimi palcami suruin,
które
kręciły się po wysokich wzgórzach, a także samego Niuna, przed skrytą
wewnątrz
prawdą.
Skończyli robotę. Spłacili wszystkie długi. Bracia zdmuchnęli zaczerpnięty w
dłonie
piasek na wiatr. Niun również wziął jego garść i uczynił to samo, w pożeg-
nalnym
geście.
Następnie odpoczywali chwilę, zanim rozpoczęli długą, uciążliwą podróż z
powrotem do
edunu.
Soah dołączyła nad ich głowami do pierwszego księżyca, co sprawiło, że
wędrowka
stała się bezpieczniejsza. Ruszyli w drogę. Eddan szedł jako pierwszy,
posługując się swą
laską, by szukać wietrznych kwiatów w mrocznym powietrzu przed nimi. Zachowy-
wał
ostrożność, jak musiał to robić każdy, kto wędrował po pustkowiach Kesrith,
nie
mając ze
sobą dusa. Niun dotrzymywał towarzystwa Sirainowi, który był na wpół ślepy,
bardzo wątły i
zbyt dumny, by przyjąć pomoc. Sam często przesadnie okazywał zmęczenie, by
zwolnić
tempo ich marszu, zupełnie jakby otarcia na dłoniach, długa wędrowka oraz
brak
snu
doprowadziły go do kompletnego wyczerpania. Duma nagle przestała być dla
niego
istotna.
Liczyło się tylko to, by zachować honor Siraina i by starzec nie umarł. Nie
popisywał się już
przed nimi swoją młodością. Odnalazł łączącą ich więź braterstwa, jak gdyby
tak
oni, jak i on,
zrozumieli wreszcie coś, co powinni zrozumieć już dawno temu.
Podzielili się wodą i jadłem. Usiedli w szóstkę w ciemności, gdy księżyc już
zaszły i
zjedli śniadanie. Bracia litowali się nad jego dłońmi i kierując się własnym
doświadczeniem,
udzielali mu rozmaitych porad, jak je uleczyć. Wreszcie Eddan przeciął łądygę
młodego luina
i wtarł w rany jego sok, uważany za niezastąpione lekarstwo na wszelkie
obrażenia, gdyż
łagodził ból.
Od tej chwili tempo ich podróży spadło jeszcze. Być może Sirain od początku
przejrzał jego starannie ukrywane oszustwo, gdyż wreszcie zacisnął słabą dłoń
na
ramieniu
Niuna i przyznał, że tym razem to on musi chwilę odpocząć.
Takimi etapami posuwali się w stronę domu.
Gdy wrócili, znowu zapadł wieczór i u wejścia do edunu zapalono dla nich
światło.

Przy drzwiach widać było potężne cielsko chorego dusa.
Pod koniec nie trzeba było się już śpieszyć. Niun obawiał się, że będzie mu-
siał
nieść
Siraina, co staremu wojownikowi przyniosłoby porażający wstyd. Ze względu na
niego, a
także Eddana, który już z trudem posuwał się naprzód, szli wolno, mimo że
gorąco
pragnęli
wrócić do edunu, dręczeni obawą, że pod ich nieobecność mogło się wydarzyć
coś
złego.
W drzwiach jednak czekała na nich Melein, która przywitała ich cichym głosem.
Twarz miała odsłoniętą. Oni również zdjęli zasłony, gdyż wracali do domu.
- Czy wszystko w porządku? - zapytał Eddan.
- Wszystko - odparła. - Wchodźcie. Bądźcie spokojni.
Weszli do środka. Byli zmarznięci i stopy mieli obolałe. W pierwszej
kolejności
przeszli długim korytarzem do Kaplicy. Każdy z nich osobiście odmówił mod-
litwy.
Następnie
obmyli sobie dłonie oraz twarze i zrobiwszy to, zwrócili się ku schodom
wiodącym
do wieży
Kel, gdyż byli wyczerpani.
Na zewnątrz Kaplicy czekała jednak Melein.
- Niunie - powiedziała. - Matka w dalszym ciągu chce, byś przyszedł.
Był zmęczony. Obawiał się tego spotkania. Odwrócił się do niej grubiańsko
tyłem
i
wyszedł z sali. Udał się na ganek, by sprawdzić, jak wiedzie się dusowi. Dał
mu
kawalek
mięsa, który zaoszczędził z własnych racji podróżnych. Ktoś inny jednak
wypełnił
już kubek
wodą.
Dus odwrócił się od jego daru. Nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Niun
spodziewał
się tego, podjął jednak próbę. Osunął się, wyczerpany, na ganek i wbił w
zwierzę
bezzadne
spojrzenie.
Dusei nigdy nie mogły go znieść, temu zaś, osieroconemu i cierpiącemu, nie
był w
stanie pomóc.
Wydał z siebie głośne westchnienie, które było niemal łkaniem i spojrzął w
światło na
swe pokrwawione dłonie.
Były tak wrażliwe i delikatne, że mogły władać yin'ein, a teraz zostały
doprowadzone
do podobnego stanu. Nie siedział tu żaden wojownik, nie taki, którego po-
trafiłby
wykryć dus.
Zwierzę postanowiło umrzeć, tak jak Medai. Nie znalazło w Niunie nic, co
mogłoby
przywrócić mu zainteresowanie życiem.
Choć miał on seta'al, broń i czarne szaty, a także posiadał umiejętności, w

głębi serca
był przerażony i rozgniewany. Dus, wrażliwy na podobne rzeczy, nie chciał go zaakceptować.
Ściągnął mez i zaidhe, po czym zatknął je sobie w zagięciu ramienia. W prawa dłoń
nabrał odrobinę piasku z pobliza ganku i natarł nim swe czoło, w charakterze pokuty za zazdrość.
Następnie wszedł do środka i udał się na górę po schodach najgłębiej położonej wieży,
która należała do she'pan. Otworzył ostrożnie drzwi do jej komnaty i ujrzał, że Melein klęczy u lewego boku Intel, poprawiając poduszki.
- Cicho - odezwała się, oskarżając go spojrzeniem. - Właśnie przed chwilą zasnęła.
Dziś przyszedłeś za późno. Bądź cicho.
She'pan jednak poruszyła się, gdy Niun zbliżył się do niej. Jej złociste oczy otworzyły się, a migotka cofnęła, odsłaniając je w całości.
- Niunie - powiedziała bardzo cicho Intel.
- Mała Matko.
Przyklęknął u jej prawego boku i pochylił głowę, pozwalając, by dotknęła jej delikatnie. Członkowie Kel nie pozwalali na podobną poufałość nikomu, jedynie she'pan i partnerkom. Poczul ciepły dotyk jej dłoni na swej zziębniętej skórze.
- Nic ci nie grozi - powiedziała. - Wróciłeś bezpiecznie.
Później, jak gdyby to stanowiło istotę wszystkich jej pragnień, pograżyła się z powrotem w swych snach niczym dziecko zasypiające z ulubioną zabawką pod ręką.
Niun nie poruszył się. Oparł głowę o ramię jej fotela i stopniowo pograżył się we śnie.
Jej dłoń wciąż spoczywała na jego barku. Dręczyły go niespokojne sny. Od czasu do czasu budził się, widząc grotę i ciemność, wtedy jednak dostrzegał otaczające ich złote światło i czuł ciężar dłoni she'pan. To mówiło mu, gdzie się znajduje.
Matce coś się śniło. Ponownie uznała go za swego. Być może myliła go z tamtym drugim. Niun tego nie wiedział. Był kel'eniem, podobnie jak tamten. Siedział u jej boku i od czasu do czasu zasypiał. Wiedział, że jego obowiązki wobec niej sprowadzają się do tego, by ocalić życie i pozostać u jej boku. Odrzuciła Medaia i nigdy nie wyrzekła ani słowa żalu czy smutku nad jego losem.
„Nic ci nie grozi” - powiedziała.
Więzy, z których tak niedawno się wymknał, usidliły go na nowo. Niun zaprzestał wreszcie walki i zrozumiał, że musi pełnić służbę, która przypadła mu w udziale.
Su-she'pani kel'en a'anu.
Kel'en she'pan, taki sam, jak ci spoczywający w urwiskach.
W dawnych dniach, o których już tylko szeptano, gdy nie było jeszcze wojny,

istnieli
podobni kel'ain. Mri walczyli wtedy przeciwko mri, a dom przeciw domowi,
she'pan
zaś
stawała do walki z she'pan.

Jej ostatni kel'en - przewidywał Niun w czymś, co wydało mu się prawdziwym
objawieniem - rzeczywiście nigdy nie pozna Mroku jaskiń Sil'athen. Zamknie
barierę za

pozostałymi i zostanie na zewnątrz jako strażnik.

Rzucił spojrzenie w stronę Melein i ujrzał, że ona również nie śpi. Jej oczy
wpatrywały się w cienie. Zrozumiał jak musiała się czuć, gdy przebywała tu
sama

z Intel.

O nią również się bał.

Rozdział 9

Był to już ich dwudziesty dzień w Nomie.

Wreszcie okazało się, że jest możliwe, by ludzki organizm przystosował się do
dłuższego dnia Kesrith. Duncan wstał i powędrował do swej własnej łazienki.

Ich

naziemne

lokum zapewniało mu przynajmniej ten luksus, choć musiał się zadowalać
przydziałem

ponownie wprowadzonej do obiegu wody, która była dostępna wewnątrz instalacji
Nomu.

Gmach ów był całkowicie zależny od podtrzymujących życie systemów, takich
samych jak na statku. Regułem życie na powierzchni nie odpowiadało zbytnio,
choć

byli w

stanie je znieść.

Duncan podejrzewał, że nie będzie ono łatwe również dla ludzi.

Przepuszczano przez filtry powietrze i ponownie wprowadzano do obiegu wodę,
która

na dodatek uzyskiwano z morza tak przesyconego zasadami, że nic nie mogło w
nim

żyć.

Nieliczne zwierzęce formy życia występowały wyłącznie na wyżynach. Sądząc z
informacji,

które uzyskał z przetłumaczonych regulskich poradników poświęconych temu
zagadnieniu,

niewiele istot narodzonych na Kesrith było nieszkodliwych.

Wewnątrz Nomu kryły się ogrody, które w pewnym stopniu nawilżały powietrze i
czyniły otoczenie przyjemniejszym, jednakże obca chropowatość liści oraz
wyczuwalna woń

reguli sprawiały, że ogrody były mniej miłe, niż mogłyby być.

Jak sądził, przyzwyczał się już prawie do reguli. Nauczył się znosić wiele
rzeczy,

które ongiś uważał za nie do przyjęcia, i to w ciągu zaledwie dwudziestu dni
bliskich

kontaktów.

A kontakty były naprawdę bliskie. Nie mieli ściśle określonego rozkładu
godzin

ani

nie byli zamknięci w kwaterach, zabroniono im jednak opuszczania Nomu o
jakiegokolwiek

porze. Stavros, rzecz jasna, i tak nie zamierzał tego robić, dopóki na Kes-
rith

przebywali

regule. Nie był to zbyt długi okres oczekiwania. Pozostało dziesięć dni do

chwili, gdy miały
przylecieć pierwsze ludzkie statki z załogami, które zastąpią reguli.
Duncan doszedł wreszcie do wniosku, że przez tak krótki czas mogą nie postradać
zmysłów. W jego umyśle ukształtował się obraz ich pierwszego spotkania z
owymi
nadlatującymi ludźmi. Wyobrażał sobie, że przybywającej ekipie oni obaj wydadzą
się
zmienieni, dziwaczni i przeobrażeni przez pobyt na Kesrith. Nie był już tym samym
człowiekiem, który wyruszył w tę podróż. Żołnierz NST Sten Duncan z Przystani
był zdolny
do daleko bardziej impulsywnego zachowania niż Stan Duncan, asystent nowego
gubernatora
Kesrith. Nauczył się cierpliwości i zdolności powolnej kalkulacji, a także co
nieco regulskich
manier, choć ich zwyczaje były niewygodne i niezręczne dla ludzi. „Jeśli
łaska,
mój panie”
oraz „Bądź łaskaw, starszy”, zaczęły przychodzić mu równie naturalnie, jak
„Tak,
sir” i „Nie,
sir”.
Obiecali mu przejście w stan spoczynku po pięciu latach, lecz jeśli spędzi
tak
długi
okres w tym posępnym otoczeniu, nie będzie się potem nadawał do przebywania w
ludzkim
towarzystwie. Było możliwe, że za pięć lat uzna czyste powietrze za rzecz
dziwną, zaś światło
Przystani wyda się jego oczom czymś egzotycznym. Możliwe też, że uzna ludzkie
obyczaje
za miałkie i osobliwe po pobycie w surowej zorientowanej na przeżycie kolo-
nii,
jaką ludzie
będą musieli założyć na Kesrith. Był w trakcie procesu adaptacji. Każdy
świat,
każdy klimat,
każda operacja na nieprzychylnym terenie wymagająca bezpośrednich działań
ludzi
na
powierzchni planety, wszystkoto było naturalnym zadaniem dla żołnierza NST.
Duncan
zaczynał uczyć się Kesrith.
Stavros robił to samo, na swój intelektualny sposób. Przyswajał każdy
osobliwy
fakt
znajdujący się w jego zasięgu. Wydawało się, że podobnie jak regule nigdy nie
potrzebuje
notatek. W czasie rzadkich wycieczek ze swego pokoju do ogrodów po prostu
przyglądał się i
słuchał.
Tego ranka miał umówione spotkanie w gabinecie Hulagha. Było to ważne
wydarzenie.
Na zewnątrz rozległ się jakiś huk, odmienny od dobrze znanego ryku odlatu-
jących

statków. Duncan nacisnął przełącznik, by wpuścić światło do środka przez
czarne
okna
Nomu. Rozciągał się przed nim widok na cały horyzont, od morza po prawej
stronie
aż do
wzgórz po lewej. Nie mogli jednak dostrzec stąd edunu mri ani portu - dwóch
rzeczy, które
interesowały ich najbardziej. Rzecz jasna nie było przypadkiem, że umiesz-
czono
ich akurat w
takim miejscu. W ciągu dwudziestu dni na rozciągającym się przed nimi pust-
kowiu
nie zaszła
żadna zmiana, teraz jednak ponad wzgórzami coś się zmieniło. Nadciągała
burza.
Nad
morzem gromadziły się szare, połyskujące czerwone chmury. Błyskawice uderzały
z
niewiarygodną szybkością.
Pogoda - twierdziły raporty przygotowywane przez personel baia - jest
nieprzewidywalna, niezależna od pory roku i niekiedy staje się gwałtowna.
Deszcz
wywiera
umiarkowane żrące działanie, zwłaszcza podczas ulew następujących po burzach
piaskowych. Jeśli zostanie się przez niego zaskoczonym, dobrze jest się potem
wykąpać.
Nade wszystko konieczne jest jeszcze znalezienie odpowiedniej osłony, gdy
tylko
pojawiają
się pierwsze oznaki burzy. Wiatry mogą osiągać znaczną porywistość. Jeśli
zetkną
się fronty
nadciągające ze strony morza oraz wzgórz, często dochodzi do aktywności
cyklonicznej.
Czerwone światło zamontowane w oprawie na suficie rozjarzyło się, wzywając
go.
Stavros się obudził. Duncan szybko napełnił kubek soi pochodzącą z dozownika
wbudowanego w ścianę. Soi była regulskim pobudzającym napojem. W przeci-
wieństwie
do
większości ich potraw miała łagodny smak. Stanowiła jeden z nielicznych
regulskich
przysmaków, jakie nauczyli się lubić. Z odrobiną słodzika była całkiem smac-
zna.
Duncan
dodał dwie jego krople, postawił kubek na małej tacce, wyciągnął ze szczeliny
poranne
komunikaty i zaniósł to wszystko do kwatery Stavrosa, do której, podobnie jak
na
statku,
można było wejść jedynie przez jego apartament.
- Dzień dobry, sir - powiedział półgłosem. Za tę uprzejmość Stavros regular-
nie
odwdzięczał mu się jedynie grzecznym skinieniem głową, a i z tym czasem się
spóźniał. Dziś
rano był w wyjątkowo dobrym nastroju. Naprawdę się uśmiechnął. Ten gest
sprawił,

że jego wąskie usta wydały się jeszcze szczelniej zaciśnięte.

- Odsłoń okna - polecił Duncanowi. Znowu zaczęło grzmieć. Duncan nacisnął przełącznik i wpuścił do środka posępne światło dnia. Pierwsze krople zaczęły zbryzgiwać pył pokrywający szyby.. Szkło drżało i grzechotało pod wpływem uderzeń gromów. Stavros podszedł do okna, by nacisnąć się

widokiem. Duncan również poczuł, że zmysły mu się wyostrzyły na skutek stymulacji rzadko dostępnej w ich starannie kontrolowanym środowisku. Było to zjawisko, któremu regule nie mogli narzucić harmonogramu ani go ocenzurować - gwałtowność samej natury. Duncan

widział, jak burza opada na morze, gdzie białe grzbiety fal nabrały różowej barwy. Cały dzień spowity był w czerwonym mroku, rozświetlanym kapryśnymi błyskawicami.

- To będzie jedna z najpoważniejszych przeszkód w rozwoju tutejszej kolonii - zauważył Stavros.

Duncan odniósł wrażenie, że tamten oczekuje od niego, by wyraził swe zdanie w tej kwestii. Nie wiedział jednak, co ma powiedzieć. Uczono go, jak zdobywać światy, a nie jak je cywilizować.

- Regule dali nam tu punkt zaczepienia - zauważył. - To miasto posłuży jako baza.

- Powiedziano mi, że stopień zużycia maszynierii na Kesrith jest znaczny, a ponadto z jakiegoś idiotycznego powodu regule podążyli za przykładem mri i wybudowali znaczną liczbę osad z ubitej ziemi połączonej spoiwem. Kosztowały tanio, ale są kompletnie nie przystosowane do klimatu.

- Cóż, jeśli ma się pod dostatkiem siły roboczej, można je budować wciąż na nowo.

- Ludzka kolonia nie może funkcjonować w taki sposób.

Stavros rozmyślał, popijając ciepły napój. Grom ponownie zatrzęsł szybami. Wiatr zadał tak silnie, że ściana wody oddzieliła ich od świata, przesłaniając wszystko. Duncan zaklął, zaskoczony i wstrząśnięty.

- Zasuń osłony przeciwburzowe - polecił mu Stavros. Zaczął padać grad, którego szybki stukot zagrażał całości okien.

Duncan pośpiesznie uruchomił żaluzje, które zasunęły się błyskawicznie, przesłaniając światło dnia. Lamy w pokoju rozjaśniły się, by osiągnąć poprzedni poziom oświetlenia. Duncan wrócił szybko do swojej kwatery, aby zająć się oknami. Był zatrwożony.

Bał się wręcz zbliżyć do okien, w które burza uderzała z taką gwałtownością. W chwili, gdy sięgnął w stronę przełącznika, wprost nad jego głową uderzył grom.

Serce mu waliło, gdy osłona przeciwburzowa nasuwała się na okno. Słyszał w oddali rozbrzmiewający gdzieś w budynku sygnał alarmowy. Syk powietrza w przewodach

ucichł na chwilę. Duncan poczuł Ucisk w uszach, jak podczas startu samolotu. Podszedł do drzwi i otworzył je. Regulskie ślizgi przemykały po korytarzach w szalonym zamieszaniu. Ucisk zelżał. Duncan usłyszał niski dźwięk, niemal na krawędzi słyszalności, pod wpływem którego budynek zadrżał.

- Nai chiug-ar? - „Co to jest?” - zapytał pierwszego wędrującego na piechotę regula, którego ujrzał. - Nai chiug-ar?

- Sak noi kanuchdi hoc-nar - odszczeknęło młode. Miało to coś wspólnego z portem, lecz Duncan nie potrafił zrozumieć nic więcej. - Sa-ak toc dac - syknęło do niego następne.

„Nie opuszczaj kwatery, jeśli łaska.”

Duncan wycofał się, zamknął za sobą drzwi i zwrócił się do dyżurnego o informacje.

Nikt nie odpowiadał na jego wezwania. W końcu zaczęło wyglądać na to, że wszystko na zewnątrz się uspokaja. Pozostał jedynie szum deszczu uderzającego o osłony przeciwburzowe. Wreszcie Duncan odważył się je odsłonić, nie ujrzał jednak nic poza strumieniem wody zniekształcającym wygląd wszystkiego na zewnątrz. Zasunął je ponownie.

Z pokoju Stavrosa przez długi czas nie dobiegało nic oprócz ciszy. Duncan skupił swe nadwerżone władze umysłowe i, czyniąc sobie wymówki za wpadanie w panikę, wszedł do środka, by zobaczyć, co się dzieje ze starym. Spodziewał się cynicznych kpín z żołnierza NST, który boi się burzy.

Kubek leżał na podłodze. Na dywanie widniała brązowa plama. Duncan ujrzał, że Stavros leży niemal w poprzek łóżka, wciąż w nocnym ubraniu.

- Sir?! - zawołał. Podszedł do niego i dotknął z obawą jego ramienia, po czym przewrócił go na drugą stronę, co wywołało słabe poruszenie, westchnienie i drżenie prawej powieki. Lewa pozostała zamknięta. Usta po lewej stronie były osobliwie wykrzywione.

Stavros spróbował coś powiedzieć, lecz jego słowa były całkiem niezrozumiałe. W następnej chwili Duncan wybiegł z pokoju, przebiegł przez swą kwaterę, wypadł na korytarz i pobiegł do biurka dyżurnego. Uciekał się do wszystkich słów, jakie mu przyszły do głowy, by wyrazić swą potrzebę.

- Stavros - powiedział wreszcie. - Stavros!

To na koniec najwyraźniej wywarło wrażenie na młodym. Podniosło się ono i udało za nim ociężałym krokiem.

Przez dłuższy czas stało u stóp łóżka.

- Starszy - powiedziało wreszcie, z regulskim odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

Na łóżku leżał starszy. Wyglądało na to, że nie jest w stanie się podnieść, co w jego wieku było naturalne. Duncan złapał je za masywne ramię.

- Chory - nalegał podniesionym głosem.

Powoli, ostentacyjnie powoli, młode odwróciło się i podeszło do konsoli.

Wcisnęło

odpowiedni numer i porozumiało się z władzą zwierzchnią.

Władza zwierzchnia odpowiedziała oszłamiającym potokiem słów. Duncan osunął się na podłogę i skrył głowę w dłoniach. W żołądku czuł skurcz rozpaczny. Gdy przybyła procesja ważnych reguły, która zaczęła z pośpiechem ładować Stavrosa

na jeden ze ślizgów transportowych, Duncan cały czas trzymał się blisko i pełnymi wyrazu

gestami dawał do zrozumienia, że ma zamiar nie opuszczać przełożonego.

Jeden z reguły złapał go i zatrzymał, stanowczo, lecz bez użycia przemocy, podczas

gdy ślizg ruszył z miejsca i odjechał. Wtedy reguły go puścił. Nie trzeba już było

powstrzymywać Duncana, gdyż nie było sposobu, by mógł on wytropić ślizg w tej pajęczynie torów.

Osunął się na krzesło w swej kwaterze. Dygotał z gniewu i przerażenia. Nie był w

stanie zrobić dla Stavrosa absolutnie nic.

Na zewnątrz burza tłukła jeszcze w osłony przez godzinę czy więcej. W tym czasie

Duncan wychodził z pokoju cztery razy, by podejść do biurka dyżurnego i zażądać

informacji

o stanie Stavrosa. Za każdym razem uzbrajał się w odpowiednie zdania ze swego słownika

oraz notatek.

Pełniący służbę reguły szybko się nauczył, że nie musi zachowywać milczenia, by

okazać swą pogardę. Wystarczyło, by zasypywał go słowami tak szybko, jak tylko

potrafił, co

demonstrowało Duncanowi wyraźnie, że nie jest w stanie go zrozumieć.

- Dał - powiedział wreszcie - seo-gin.

„Odejdź”. Powtórzył to jeszcze kilka razy.

Duncan odwrócił się, lecz nie skierował do swego apartamentu, ale ku zakazanej

dla

niego rampie na parterze, gdzie mieściły się gabinety baia Hulagha. Pomknęły za

nim

wypowiedziane przenikliwym tonem słowa. Trójka reguły zagroziła mu drogę i zaprowadziła

go stanowczo z powrotem pod drzwi jego pokoju, po czym, popychając go, zmusiła,

by

wszedł do środka.

- Stavros chory - powiedział wreszcie jeden z nich. Aż do rana Duncan nie otrzymał

już więcej informacji.

Całą noc nie spał z niepokoju.

O świcie jednak nadeszła znaczna liczba reguły. Przenieśli owinięty w brązową tkaninę tłumok ze ślizgu na łóżko. Duncan - który brutalnie wepchnął się pomiędzy nich -

ujrzał, że Stavros jest przytomny, lecz lewą stronę ciała nadal ma bezwładną.

Nagle wśród młodych rozbrzmiały liczne wyrazy szacunku, gdyż pod drzwiami rozległo się brzęczenie i konsola ślizgu wcisnęła się do środka przez szelki

wejście, by
zatrzymać się pomiędzy nimi.
Bai Hulagh.
Stavros wypowiedział jakieś słowa, zniekształcone i niemożliwe do zrozumienia
w
żadnym z języków.
- Czcigodny Stavrosie. Teraz odpoczywaj. - Bai podniósł się z wielkim
wysiłkiem
ze
swego ślizgu i spojrzał prosto na Duncana. - Młode, to schorzenie dotyczy
układu
nerwowego.
- Baiu - odparł Duncan. - Pomóż mu.
Regul wzruszył ramionami.
- Ludzka budowa jest dla nas obca. Ubolewamy z tego powodu. Znajdujemy się w
samym centrum katastrofy o znacznych rozmiarach. Burza przewróciła wieżę w
porcie. Było
wielu zabitych. Ta sytuacja stanowi poważne obciążenie dla naszych zasobów.
Mamy
bardzo
niewiele informacji na temat ludzkiego organizmu.
- Mogę wam... mogę wam zaoferować siebie, baiu, jeśli wasi medycy zechcą...
- Młode - odparł regul głębokim basem wibrującym tonami pogardy - brak nam
informacji. Nie eksperymentujemy na żywych istotach. Zdołaliśmy osiągnąć to
umiarkowane
przywrócenie funkcji, ale nic więcej. To jest członek starszyny waszego
ludu.
Dostarczymy
mu wszelkich wygód znajdujących się w zasięgu naszych możliwości. Czy po-
dajesz w
wątpliwość moje oświadczenie, młode?
- Bądź łaskaw - szepnął Duncan, pozostawiając decyzję innym. Podszedł do
Stavrosa i
uściskał jego zdrową dłoń. Tamten odwzajemnił mu się słabym uściskiem. Jasne
oczy starego
mężczyzny zalśniły wilgotnym blaskiem. Były żywe i w pełni świadome. Ich
surowy,
karcący
wyraz starał się przekazać mu jakiś rozkaz. Duncan zacisnął dłoń, by go
uspokoić
i podniósł
wzrok na baia.
- Jeśli łaska, wielebny. Niepokoję się o niego.
Bai nakazał mu gestem się zbliżyć. Duncan wypuścił z dłoni palce Stavrosa i
wykonał
polecenie. Pozwolił, by regulski bai go dotknął. Jego szorstkie palce spoc-
zęły
znacznym
ciężarem na ramieniu Duncana.
Bai przemówił krótko do swych przybocznych, którzy pośpiesznie zajęli się
swymi
zadaniami. Następnie jego otoczone zmarszczkami oczy spojrzały prosto w oczy
Duncana.
Palce baia zacisnęły się tak mocno, że człowiekowi trudno było nie skrzywić
się
z bólu.
- Młode, powiadomiono mnie, że zaniedbałeś jedzenie i picie. Czy to wyraz
żałoby?

Kwestia religijna?

- Nie, wielebny. Będę jadł.

- Dobrze.

Wypowiedział to słowo huczącym głosem, tak niskim, że niemal nie można go było

zrozumieć. Ucisk stawał się coraz silniejszy, aż Wreszcie Duncan poczuł, że jego

staw nie

wytrzymuje. Wzdrygnął się. Bai natychmiast opuścił dłoń.

Następnie regul odwrócił się ociężale, dźwignął z powrotem na swój ślizg i usiadł na

nim. Maszyna zapiszczała, cofnęła się, odwróciła i odjechała.

Duncan stał bez ruchu, wpatrując się w odjeżdżający ślizg, a także w pozostałych,

którzy wycofali się niemal równie szybko. Stavros wydał z siebie jakiś dźwięk.

- Sir? - zapytał go natychmiast, starając się, by jego głos zachował naturalne

brzmienie. Odwrócił się i ujrzał, że stary wskazuje ręką w stronę stołu.

Leżały

tam jego

notatki. Duncan zebrał je i wręczył mu, lecz Stavros swą prawą dłonią

poszukiwał

jedynie

bloczka. Duncan zrozumiał jego zamiar, znalazł pióro i dał mu je. Uklęknął

przy

łożu,

podtrzymując bloczek, podczas gdy Stavros pisał, ciężko i niezgrabnie jak dziecko.

Regule nie Zaniepokojeni - odczytał. - Ten stan na starość u nich naturalny. Zdolność

ruchu może powrócić. Nie ma powodów do paniki.

Niezgrabne, pochyłe pismo dotarło do granic kartki. Duncan odwrócił bloczek i umieścił go wyżej.

Ludzie wkrótce przybędą - zaczął na nowo Stavros. - Katastrofa w porcie - prawda.

Harmonogram ewakuacji reguli zaburzony. Hazan uszkodzony. Regule bardzo zaniepokojeni.

Mri - trzeba się dowiedzieć, co robią mri. To najpilniejsze. Słuchaj rozmów reguli, dowiedz

się o mri, unikaj prowokacji.

- Czy mam opuścić Nom, jeśli będzie to konieczne?

Żołnierzu NST - stań się teraz dyplomata. Ostrożność. Korzystaj z moich instrukcji.

Regule zabijają tu młode - wiele. Radź się, zanim cokolwiek zrobisz.

Przenieś'

mnie. Teraz.

Konsola.

Duncan nie chciał go ruszać z miejsca, lecz Stavros zaklął niewyraźnie i wydał

mu

rozkaz na głos. Najwyraźniej był zdeterminowany. Duncan ostrożnie i delikatnie

podniósł

starego mężczyznę i umieścił go wewnątrz konsoli ślizgu stojącego w kącie,

podtrzymał przez

chwilę i poprawił dopasowywujące się do kształtu ciała poduszki, tak by utrzymywały go w

bezpiecznej pozycji. Prawa ręka Stavrosa sięgnęła ku urządzeniom sterującym i dokonała dalszych poprawek. Konsola ślizgu obróciła się, podobnie jak - niezależnie od niej - ekran. Po jego niewielkiej powierzchni przebiegł tekst napisany za pomocą klawiatury. Można się nauczyć nawet tego.

- Tak jest, sir - odparł Duncan, czując ucisk w gardle. Ogarnęła go nagła troska o tego człowieka, o Stavrosa osobiście.

Wędrówka tekstu rozpoczęła się na nowo.

Zamówiłem dla ciebie jedzenie. Idź się położyć.

- A dla pana, sir?

Stavros odwrócił ślizg i rwanymi ruchami doprowadził go w sąsiedztwo łóżka.

Użył ramienia konsoli, by przygasić światła.

Zaczekam - oznajmił ekran. - Niczego mi nie trzeba.

Rozdział 10

- Prawdziwy bracie.

Stojący na ganku obok dusa Niun obejrzał się przez ramię. Rzadko teraz spotykał się z Melein nieoficjalnie, jak brat i siostra, daithen i daithe, jak działo się to ongiś. Zaskoczyła go, gdy był zajęty dusem. Zawstydzził się, że przyłapała go na tym akcie miłosierdzia. Wytworzył się teraz między nimi dystans, choć spędzali ze sobą wiele czasu w komnacie she'pan. W tej chwili nie chciał już przebywać z nią sam na sam. Sprawiało mu ból, że bliskość pomiędzy nimi zniknęła.

Przez chwilę próbował jeszcze skusić dusa kawałkiem jedzenia, gdyż zanim nadeszła Melein, wmawiał sobie, że w ciemnych oczach zwierzęcia dostrzega słaby błysk zainteresowania. Teraz nie chciał on powrócić. Niun jednak oszukiwał sam siebie w ten sposób już wiele razy, odkąd dus przyszedł do edunu. Wzruszył ramionami i od niechcenia rzucił zwierzęciu kasek tak, by wylądował pomiędzy wyposażonymi w masywne pazury przednimi łapami. Niekiedy, po jakimś czasie, dus zjadał to, co otrzymał. Przyjmował akurat tyle, by wystarczyło to do utrzymania się przy życiu. Czasami Niun widział, że rzucony danego wieczoru kasek usychał porzucony, a dus przenosił się w jakieś niedalekie miejsce, dopóki pożywienia nie zabrano, gdyż był bardzo dumnym zwierzęciem i tak naprawdę nie chciał jeść.

Ktoś inny pilnował, by miska stojąca przy ganku była zawsze pełna wody, co było na

Kesrith wielką rozrzutnością. Z reguły chory dus po prostu skarżył się, gdy był spragniony, i otrzymywał to, czego potrzebował, zdrowy zaś uzyskiwał cały niezbędny płyn ze spożywanego jedzenia. Niun podejrzewał, że to kel Pasev jest odpowiedzialna za to marnotrawstwo i dobroczynność. Miała własnego dusa, lecz była zdolna do podobnych uczuć w stosunku do dobrego zwierzęcia. On sam nie potrafił wręczać swych darów równie zręcznie jak Pasev. Niewątpliwie wszyscy w edunie wiedzieli, z jaką desperacją usiłował nakarmić zwierzę i zdobyć je dla siebie i jak ono uparcie mu odmawiało. Niewątpliwie inny kel'en karmiłby je, gdyby Niun tego nie robił. Dus zawstydzili ich wszystkich swą wierną żałobą. Nie uznał żadnego z nich za godnego, by zostać jego panem. Dusei rzadko przenosiły swe uczucia na kogoś innego, lecz Niun wciąż żywił desperacką nadzieję, że ocali życie zwierzęcia.

- Czasami - zauważyła Melein - po prostu nie da się ich uratować. Usiadła na zakurzonym ganku obok niego, nie zważając na swe kastowe szaty. Ziarnisty piasek z terenów otaczających edun nie przylegał jednak do nich tak mocno, jak biały pył z nizin. Wychodząc na zewnątrz, zarzucała na swą jedwabistą grzywę lekki welon, gdyż kasta Sen gardziła zakrywaniem twarzy. Ciało kel'ena samo w sobie jest Tajemnicą Ludu - twierdziły mądrości - i dlatego Kel zakrywa twarz. Ciało sen'ena stanowi zasłonę tego, co kryje się w środku i co jest Tajemnicą Ludu, i dlatego Sen nie zakrywa twarzy. Chyba że przed tym, z czym nie można się pogodzić. Po burzy szalejącej w ciągu ostatnich dni, podczas której klęska i zniszczenie spłynęły w dół z przełęczy, powodując spustoszenie w regulskim mieście, nastąpiła piękna pogoda. Dym z pożarów szalejących na nizinach był widoczny nawet mimo deszczów. Gdy najgorsza burza już przeszła, kel'ein spojrzeli w dół ze szczytu wieży Sen ze świecą, gorzką satysfakcją.

- Ach - powiedział Eddan, gdy zauważyli dym i ogień - Kesrith wciąż jeszcze postępuje z naszymi pracodawcami po swojemu. Było prawdopodobne, że w pożarze zginęło wielu reguli. Ongiś żadnemu mri nie przyszłoby do głowy, by czuć z podobnego powodu satysfakcję. Było to jednak, zanim jeszcze doszło do nie wyjaśnionej śmierci kel'ena na regulskim statku i zanim stało się jasne, że ich świat przejdzie w posiadanie ludzi. Wieczne gwiazdy zaczęły już rozbłyskiwać na czystym niebie. Nie było wiatru, który wzbijałby w górę piasek i sprawiał, by wskazane było założenie mez. Tak

kryształowo
czyste wieczory często zdarzały się po największych burzach, jak gdyby sama planeta
odpoczywała, wyczerpana po wybuchu szaleństwa.
Niun opuścił zasłonę i zawiązał ją sobie pod brodą. Nie było prawdopodobne, by
zjawili się tu tsi'mri, nie potrzebował jej więc.
- Może się przejdziemy? - zasugerowała Melein.
Niun nie planował niczego w tym rodzaju, lecz obecnie Melein rzadko już prosiła
go o
cokolwiek. Wstał i wyciągnął do siostry rękę, by pomóc jej się podnieść.
Następnie ruszyli,
obok siebie, w kierunku wybranym przez Melein, wąskim szlakiem prowadzącym od narożnika edunu ku skałom piętrzącym się w najwyższym punkcie grobli. Niun wspominał
czasy, gdy we troje pokonywali ten dystans biegiem, zwinni niczym pokryte piaskiem
jaszczurki - dzieci bez zasłon, dwaj drobni chłopcy o szczupłych kończynach i jeszcze
drobniejsza dziewczynka. Pędzili, nie zważając na zakazy, ku punktowi obserwacyjnemu, z
którego mogli się przyglądać statkom startującym i lądującym w porcie.
A były to statki o magicznych nazwach, statki mri i reguli: Mlereinei, Kam-rive,
Horagh-no. Przylatywały od odległych gwiazd, okryte chwałą w bitwach. Jako dzieci bawili
się w wojnę oraz pojedynki i wyobrażali sobie, że są wielkimi kel'ein obwieszonymi
lśnjącymi odznaczeniami, podobnie jak przybyli z daleka członkowie tej kasty, którzy
składali w edunie wizyty, schodząc ze swych statków, po czym ponownie odlatywali
w swoją
drogę. Jak ich prawdziwa matka oraz ojciec, którzy wyruszyli na statkach - każde
osobno - i
nigdy już nie odwiedzili ojczystego świata.
Dziś w nocy maszerowali w tamto miejsce - on członek Kel, a ona Sen - obciążeni
swymi kastowymi szatami oraz odrębnymi prawami. Gdy wreszcie dotarli do skały wznoszącej - się ponad doliną, Niun wskoczył na górę jako pierwszy i wciągnął ją
za sobą
jednym szarpnięciem. Wewnątrz tych złotych szat wciąż kryła się dziewczyna Melein, szybka
i zwinna jak kel'e'en, co było niestosowne dla jej poważnej kasty.
Siedzieli razem, gdy czerwone słońce zniknęło za horyzontem i obserwowali całą dolinę, blask światła w miejscu, gdzie znajdował się port, oraz ranę pozostawioną tam przez
burzę - ciemność widoczną pomiędzy światłami w pobliżu Hazana.
- Dlaczego przyprowadziłaś mnie tutaj? - zapytał ją wreszcie.
- Żeby z tobą porozmawiać.
Nie podobał mu się ten jej sposób zachowania. Ostatnie blaski zachodzącego słońca
dotknęły jej twarzy, która przez chwilę stała się dla niego obliczem nieznanym, kogoś, kogo
powinien pamiętać, lecz nie mógł sobie przypomnieć. Nie była to Melein taka,

jaka znał, lecz sen'e'en kryjąca w sobie ciche, tajemne myśli. Nagle pożałował, że skorzystała z szansy, jaka jej dał. Przewidywał, że może go obrabować z jego spokoju, a on nie mógł jej przed tym powstrzymać.

- Już się teraz nie uśmiechasz - powiedziała. - Nawet nie podnosisz wzroku, kiedy wymieniają twoje imię.

- Nie jestem dzieckiem.

- Nie kochasz she'pan.

- Przychodzę. Siedzę. Czekam. Wydaje się, że to wszystko, czego ona ode mnie oczekuje. Ma do tego prawo.

- Rzadko wychodzisz z edunu.

- Dałem za wygraną, Melein. To wszystko.

Podniosła wzrok ku lśniącym gwiazdom. Jej wsparta na wzniesionym w górę kolanie ręka wskazała na tę, wokół której krążył Elag.

- Tam teraz są ludzie - powiedziała. - Kesrith to jednak inna sprawa. To świat ojczysty. Sanktuarium Ludu. Świętość.

Spojrzał na nią, markotny i przerażony.

- Pamiętaj, że jestem kel'enem.

- Kel musi pozostać niewysztalcone, gdyż wyrusza tam, gdzie czyhają nasi wrogowie i gdzie bezużyteczna dla Kel wiedza nie może się przedostać. Wszystkie tradycje, nawet te najdrobniejsze, mają swe uzasadnienie. Jesteś kel'enem ze świata ojczystego i usłyszysz to, czego kel'en zamieszkały gdzie indziej słyszeć nie powinien.

Podniósł się i oparł plecami o skałę. Stał z założonymi rękoma. Wiejący coraz silniej wiatr przeszywał go nieprzyjemnym chłodem. Była już noc. Ostatni fragment słońca zniknął za horyzontem. Nie wiedział, dlaczego Melein zapragnęła przyjść akurat tutaj.

Na wzgórzach pełno było niebezpieczeństw. Ha-dusei, dzikim kuzynom oswojonych towarzyszy kel'ein nie można było ufać. Były tu wietrzne kwiaty, ryjce oraz węże kryjące się pomiędzy skałami.

Jego obowiązkiem było chronić sen'e'en. Fakt, że przebywał po zmroku w tym miejscu, mając pod swą opieką Melein, był wierutną głupotą. Jej wartość dla edunu była nieporównanie większa od jego wartości.

- Możemy porozmawiać później, gdzie indziej - stwierdził. - Nie sądzę, byśmy powinni przychodzić tutaj o tej porze.

- Wysłuchaj mnie!

Jej ostry, okrutny głos ogłuszył go niczym uderzenie. Melein była jego siostrzyczką.

Nigdy nie przemawiała do niego podobnym tonem.

- Dzisiaj - powiedziała - she'pan wezwała mnie na rozmowę na osobności. Dzisiaj dała mi rangę równą z Sathellem. Rozumiesz, co to znaczy.

Następczyni she'pan. Jej Wybranka.

W najbardziej skrytej części swego umysłu Niun wiedział, że to się stanie, gdyż był to

jedyny rozsądny powód, dla którego Intel mogła przenieść Melein z Kel do Sen. Nie miała rodzić dzieci, lecz uczyć się Pana, Tajemnic, nie przedłużać istnienia

Ludu,

lecz rządzić nim.

Intel zatrzymała również jego, by strzegł jej i chronił przed wyzwaniem, by - jeśli

zajdzie taka potrzeba - zabił każdą zbyt niecierliwą następczynię oraz popierającego ją

kel'ena.

Zrozumiawszy to, wyrzucił z siebie krótkie, gorzkie przekleństwo. Ujrzał, że w

oczach

Melein pojawił się wyraz bólu.

- Przykro mi, że tak to przyjęłaś - powiedziała.

- Dlaczego musiała zatrzymać u swego boku mnie, a nie Medaia?

- Tobie ufała, a Medaiowi nie.

Zastanowił się nad tym, jakie mogły być tego powody.

- Tobie ufała - powiedział cicho - wtedy, gdy ja strzegłem jej snu. Gdy mogła użyć

mnie przeciwko tobie.

Ból przeszedł w szok. Wydawało się, że ta myśl nią wstrząsnęła.

- Nie - odparła. - Nie jest możliwe, bym rzuciła jej wyzwanie.

- Dopóki zależy ci na mnie - odparł. - Intel czuje, że zbliża się kres. W przeciwnym

razie nie wyznaczyłaby cię jeszcze. Jakiś kel'en będzie musiał strzec jej grobu.

- Nie wybrałaby ciebie. Eddan albo Sirain - oni pragnęliby tego zaszczytu.

Ale

nie ty.

- Może zresztą to jałowe rozważania. Zbliżają się ludzie. Wychodzę myślą poza chwilę bieżącą, a to nie przystoi mojej kaście. Będziesz musiała się nad tym zastanowić,

prawdziwa siostrzo. Daleko mi do tego, bym znał przyszłość. Mogę się wypowiedać

jedynie o

tym, co jest prawdziwe teraz.

- Ona nie ma zamiaru oddać świata ojczystego bez oporu, Niunie. Jestem młoda. W

porównaniu z doświadczeniem Intel jestem niczym. Inne she'panei zawahałyby się

przed

rzuceniem jej wyzwania. Ona wie zbyt wiele. Zabicie jej obrabowałoby Lud z tak

wielu

rzeczy. Nie wiesz nawet jak wielu. To byłby czyn... Nie wiem, Niunie. Nie wiem.

Gdybym

miała zostać jej następczynią jako she'pan świata ojczystego, taka młoda i niedoświadczona,

jestem pewna, że zjawiłaby się jakaś starsza she'pan, by rzucić mi wyzwanie, i

wtedy na mnie

przyszłaby kolej, aby umrzeć. Pragnę, żeby żyła, rozpaczliwie pragnę, żeby żyła,
ale ona
umiera, Niunie.
Trząsał się cały. Aż do bólu pragnął dodać jej otuchy, nie było to jednak możliwe.
Mówiła o rzeczach wykraczających poza pojmowanie jego kasty, sądził jednak, że
wyłożyła
mu całą prawdę, okradając go w ten sposób z resztek pokoju ducha i nadziei.
Zawsze dotąd
sądził, że siostra go przeżyje.
- Mieliśmy pecha - powiedziała - gdyż urodziliśmy się jako ostatni z Ludu.
Nie
tylko
na Kesrith, Niunie, lecz z całego Ludu. Nie mieliśmy wyboru, po prostu
dlatego,
że jesteśmy
ostatni. Wolałabym, by było inaczej.
Jej słowa podważyły inne rzeczy, których był dotąd pewien. Podniósł ku niej wzrok.
Wiatr smagał ich, przeszywając skórę Niuna takim chłodem, że przestał on już nawet
dygotać.
- Z całego Ludu?
- Edunei upadły - odparła - i dzieci poumierały, a kel'e'ain były zajęte wojną i
nie
miały czasu na nic innego. Nie powinnam ci odpowiadać na to pytanie - dodała -
ale z
naszego pokolenia pozostało ich niewiele. Te, które są starsze, mogą jeszcze mieć nowe
dzieci. Nie jest za późno.
Próbowała dać mu otuchę. Niun przekonywał sam siebie, że Melein wierzy w ich przyszłość. To mu wystarczyło.
- Ale w takim razie - wypowiedział myśl, która właśnie przyszła mu do głowy -
Intel z
pewnością nie ma zamiaru cię utracić. Może się przecież okazać, że jesteś po
niej najlepsza i
jeśli przekaże ci w spadku moje usługi, jeśli rzucisz wyzwanie lub będziesz musiała stawić
mu czoło, Melein, potrafię cię obronić. Nie jestem do tego niezdolny. Dobrze władam yin'ain.
Szkolili mnie przez dziewięć lat. Musiałem się czegoś nauczyć.
Przez długą chwilę milczała. Wreszcie się podniosła.
- Chodź - powiedziała. - Wracajmy do edunu. Zmarzłam.
Gdy schodzili w dół szlakiem i wracali do domu, cały czas pogrążona była w milczeniu. Płakała. Niun ujrzał to w świetle gwiazd. Zdjął swą zasłonę i zaoferował jej w
goście głębokiej czułości.
- Nie - odparła gwałtownie. Skinął głową i przerzucił sobie meż przez ramię, idąc
obok niej. - Masz rację - powiedziała wreszcie. - Nie zrezygnuję z urzędu i nie
umrę bez
walki, jeśli rzuca mi wyzwanie. Będę zabijać, by go utrzymać.
- To wielki zaszczyt dla ciebie - stwierdził, gdyż uważał, że powinien był

powiedzieć

coś w tym rodzaju, gdy po raz pierwszy usłyszał od niej tę wiadomość.

Ciężko westchnęła.

- Cóż to za zaszczyt? Udać się do jakiegoś obcego edunu, do obcego Kel i zabić

jakaś

kobietę, która nigdy nie wyrządziła mi krzywdy? Nie chcę takiego zaszczytu.

- Ale Intel dopilnuje, byś nie była bezbronna - sprzeciwił się. - Przygotuje cię

do tego.

Z pewnością planowała to od wielu lat.

Podniosła ku niemu wzrok. Twarz miała nieruchomą i spokojną.

- Myślę, że nie pomyliłeś się wiele - stwierdziła - sądząc, że pragnęła cię mieć

u

swego boku dlatego, iż wie, że mogę się stać przyczyną kłopotów w Domu. Tobie ufa, a mnie

nie.

Zadrżał, gdy usłyszał w jej głosie tyle gorzkości. Zawsze podejrzewał, że Melein

ja

czuje. Cienie wtargnęły pomiędzy niego a wieżę Sen i she'pan. Przypomniał sobie,

jak

Melein każdego wieczoru przygotowywała kubek napoju, który pomagał she'pan zasnąć, a ta

każdego wieczoru wypijała go, nie zadając pytań. Wyobrażał sobie, jakie paskudne

myśli

musiały lęgnąć się w oszołomionym narkotykiem umyśle Intel - she'pan przewidującej

własną śmierć i nie bez powodu nie ufającej swej następczyni.

Intel chciała rozbroić Melein. Wysłała Medaia na służbę, a jej brata zatrzymała

u

swego boku. Jakiś kel'en będzie musiał strzec jej grobu. W normalnych warunkach

byłby to

jeden z Mężów, a nie syn. Mogła jednak pozostawić inne polecenia na wypadek, gdyby

umarła ze starości, a inne, gdyby stało się to z ręki Melein.

Ponadto, gdyby ta druga chciała rzucić jej wyzwanie, musiałyby wyzwąć Niuna, który

zginąłby przed Intel. Musiałyby też znaleźć kel'ena, który by dla niej walczył,

a żaden z

obecnych na Kesrith by się na to nie zgodził.

Intel podjęła trafną decyzję, gdy wyгнаła Medaia.

Melein jednak nie była zdolna do rzeczy, o które podejrzewała ją she'pan.

Niun

uparcie wierzył, że tak było. Zmiana kasty, pobierane nauki oraz gorzki wywołana

uwięzieniem nie mogły do tego stopnia zmienić jego prawdziwej siostry. Nie chciał uwierzyć,

by obawy Intel były usprawiedliwione.

„Pragnę, żeby żyła, rozpaczliwie pragnę, żeby żyła” - powiedziała mu Melein.

- Ile - zapytał wreszcie - kazała mi przekazać? - Mniej - odparła - niż ci powiedziałam.

- Tak jest - rzekł - tak właśnie myślałem.

Wrócili razem do edunu. Gdy wchodzili do środka, Melein szła przed nim. Niun spojrział w bok, na dusa, który odwrócił od niego wzrok. Gdy uniósł głowę,

jego

siostra

zniknęła już w mroku, udając się w kierunku swej własnej wieży.

Nie obejrzała się za siebie.

Ruszył w kierunku wieży she'pan - tam gdzie było jego miejsce - by objąć swą

władzę.

Rozdział 11

Nad Kesrith zapadła cisza. Po tak wielu niebezpieczeństwach, po dwóch dniach zwłoki, podczas których port pogrążony był w chaosie wywołanym burzą, ostatni wahadłowiec wystartował ze swym ładunkiem w kierunku stacji, na której frachtowiec

Restrivi kompletował ostatni oficjalny cywilny wykaz tych, którzy mieli opuścić

świat. Potem

był jeszcze czas, niezbędny czas, by uporządkować resztę spraw. Pod czerwonym słońcem

Kesrith pozostał jedynie Hazan - uzbrojony i, gdy ukończone zostaną drobne naprawy, zdolny

do międzygwiazdowego lotu. Czekał z załogą pozostającą nieustannie na pokładzie.

Na jego

taśmach zarejestrowana była droga powrotna na Nurag, ojczysty świat reguli.

Miał

zanieść do

bezpieczeństwa i cywilizacji kilkuset tych, którzy wciąż przebywali na Kesrith.

Dziesięć razy każdego dnia bai Hulagh Alagn-ni, pracujący w ogrzewanych gabinetach kompleksu Nomu, podnosił wzrok ku oknom, niepokojąc się o stan Hazana.

Posiadający dwoiste zdolności statek, pod swoimi osłonami wystarczająco mocny,

by

wytrzymać udział w walce, był jednak na ziemi niebezpiecznie kruchą konstrukcją.

Bai od

początku wahał się, czy sprowadzać go na powierzchnię. Przeżywał prawdziwe katusze, gdy

zbliżała się burza, lecz w końcu postanowił, że nie wyda mu rozkazu odlotu na stację.

A potem - potem bezmyślny pilot samolotu próbował prześcignąć żywioł i naraził

się

na podmuch wiejącego z boku wiatru - dobrze znane niebezpieczeństwo kesrithańskiego

ładowiska. Wskutek tego wydarzenia cała misja omal nie zakończyła się klęską.

Hulagh

przeklinał za każdym razem, gdy o tym myślał. Pilotujące młode oraz

pasażerowie

byli, rzecz

jasna, poza zasięgiem kary. Cieszył się, że przynajmniej uszkodzenia ograniczyły

się do

wieży i urządzeń załadowczych, zaś konstrukcja Hazana niemal nie ucierpiała.

Miał

szczęście. Hazana powierzono jego pieczy mimo obiekcji nadzwyczaj wpływowych

czynników na ojczystym świecie. Zaryzykował wszystko, by zdobyć dla siebie i swych kapitałów tę placówkę, na której zastąpił starego Grurana oraz Solgah Holnni. Jego wiek oraz erudycja predysponowały go do objęcia podobnego stanowiska. W ten sposób zdobył dla doch Alagn status, który już od dawna się jej należał. Jednakże w kwestii lądowania statku, podobnie jak przy innych decyzjach, które podjął, trzeba było zdobyć się na ryzyko, by osiągnąć korzyści. Trzeba było zademonstrować tym na świecie ojczystym kompetencję, którą - jak twierdził - posiadał on sam, a także doch Alagn. Tylko w ten sposób można było zdobyć trwałe wpływy. Mógł to uczynić przez ocalenie możliwie największej części dóbr z Kesrith, po utracie tej planety przez Grurana Holnni i jego potomstwo oraz Solgah Holnni. Pomyślał z niesmakiem i pogardą o płodnej samicy, która zarządzała przedsiębiorstwem Holn na Kesrith. Sprawowała ona całkowitą władzę nad strefą oraz wojną, którą sama wywołała. Solgah była teraz w drodze na świat ojczysty, pogrążona w totalnej dezorientacji. Pozbawiono ją dowództwa, a większość jej młodych pozostała na miejscu. Zdziśiatkowano teraz ich szeregi na osobisty rozkaz Hulagha, zaś niedobitki wysłano do wielu różnych kolonii. Doch została kompletnie zdeorganizowana. Solgah będzie miała szczęście, jeśli jej wpływy na świecie ojczystym pozwolą na wymiganie się od przesiewu oraz egzekucji reszty jej młodych. W najlepszym razie Holn czekało sporo lat zepchnięcia na margines. Wciąż napawało go przyjemnością wspomnienie tego, jak Solgah przyjęła szok wywołany nie zapowiedzianym i nie usankcjonowanym lądowaniem Hazana, jak podniecała się i zasypywała go zakazami i sprzeciwami, aż wreszcie uświadomił jej, że posiada upoważnienia ze świata ojczystego, pozwalające mu przejąć władzę. Teraz jego zadaniem było dokończenie ewakuacji, którą rozpoczęła Solgah i zmniejszenie do minimum strat wywołanych ustępstwami, jakie poczynił jej słaby kuzyn Gruran Holnni podczas prowadzonych na Elagu negocjacji, próbując uchronić wewnętrzną część rozległego imperium Holn. To Hulagh miał przygotować Kesrith na przyjęcie ludzkiej okupacji oraz ocalić z niej tyle regulskiego majątku oraz personelu, ile tylko było możliwe, a

także dopilnować, by ludzie wyciągnęli jak najmniej korzyści z tego, co zdobyli drogą wojny i negocjacji. Hulagh kontaktował się pośrednio z ludźmi już od trzech ojczyństwoświatowych lat, a po zastąpieniu Grurana spotkał się z kilkoma osobiście. Wzbudzili w nim oni - w tym również ci dwaj, którzy przylecieli tu na Hazanie - ukryty, lecz łagodny niesmak, w gruncie rzeczy lżejszy niż ten, który czuł do służących regulom mri. Wojna z nimi była, rzecz jasna, całkowitą pomyłką, błędem w kalkulacjach, za który nie była odpowiedzialna doch Alagn. Dla światłej szych regulskich umysłów już od niemal pięciu lat było całkowicie jasne, że kompanie doch Holn zaangażowały się w będące absolutnym fiaskiem przedsięwzięcie, z którego nie potrafili ich wyciągnąć mri. Naprawiono by ten błąd już wtedy, gdyby było możliwe przewyciężenie uporu oraz powstrzymanie militarnej potęgi Holn, która wynajmowała najemników kel'ein oraz była w oczywisty sposób zainteresowana utrzymaniem spornych terytoriów, przez co odwlekała zmianę linii politycznej. Teraz jednak, gdy konsekwencje pierwotnego błędu zostały pomnożone, pociągając za sobą wielkie koszty, gdy regule zaczęli ginać, gdy utracono ich majątek, a nawet ojczyście terytorium, imperium Holn zaś znalazło się na krawędzi katastrofy, jej wojskowi przekazali wreszcie odpowiedzialność za uporanie się z tą skomplikowaną i niebezpieczną sytuacją - i to z oporami - starszym i mądrzejszym umysłem na Nuragu. Ponadto nie przewidziany przez Holn obrót wydarzeń na scenie politycznej oddał wreszcie jej władzę w ręce Alagn i wyniósł tę doch do statusu, który - jeśli odpowiedni jej członek będzie sprawował dowództwo - pozwoli na całkowite zniszczenie doch Holn. Holn pozostawiła za sobą niezły bałagan. Bai Hulagh nie był bynajmniej zadowolony z warunków traktatu, zgodnie z którymi musiał działać, stanowiły one jednak dziedzictwo Holn, opieczętowane, legalne i zarejestrowane. Ich zmiana nie leżała w jego mocy. Z drugiej strony, jeśli odstąpienie trzech skolonizowanych układów, choć kosztowne,

wytworzy trwałą,
pewną granicę między terytoriami ludzi i reguli, może się okazać, że jest to jeden z
mądrzejszych kroków podjętych przez doch Holn w czasie, gdy sprawowała zarząd. Z
pewnością - myślał Hulagh - ludzie wiedzieli już dobrze, że nie mogą, nie przekraczając
granic rozsądku, spodziewać się, że to przedsięwzięcie przyniesie im równie tanim kosztem
więcej korzyści. Musieli zdawać sobie sprawę, że od tej chwili regule będą stawiać bardziej
zaciekły opór. Najwyraźniej byli oni zbici z tropu i zaniepokojeni nagłą zmianą
władzy na
pograniczu, wyglądało jednak na to, że zależy im na dotrzymaniu warunków traktatu. Kesrith
stanowiła realistyczną i rozsądną granicę. Martwa przestrzeń Głębi zniechęcała
do eksploracji
w kierunku światów reguli, chyba że wzdłuż znacznie dłuższego szlaku prowadzącego przez
Hesoghan - planetę, która od dawna spoczywała mocno w regulskich rękach. Wabik,
jakim
były gwiazdy Mgiełki, prędzej czy później poprowadzi ludzi z Kesrith w kierunku
krawędzi.
Tak wyglądały strategiczne plany Hulagha, który sporządził mapę tego, co uważał
za nowe
kierunki regulskiej polityki. Ludzi przyciągnie bogactwo, etapem do zdobycia którego miała
być Kesrith, regulskie gwiazdy jednak również posiadały wystarczająco wiele zasobów
mineralnych, by podtrzymać funkcjonowanie przemysłu bez dogodnego luksusu, jaki
stanowiły najdalej położone kolonie doch Holn. Na ojczystym świecie skutki ekonomiczne
dadzą się odczuć, lecz jedynie w niewielkim stopniu, a dopóki potrzeby tamtejszych starszych
będą zaspokajane w wystarczającym stopniu, będą oni przychylnie spoglądać na działania
Alagn. Ponadto odcięto tylko jeden z kierunków regulskiej ekspansji. Pozostały
jeszcze
dwa. Jeden z nich stanowiły skąpe jak dotąd posiadłości doch Alagn. Kierować, kształtować, rządzić, zapisać się na wieki w pamięci nie tylko doch Alagn,
lecz również centrum na Nuragu - to było marzenie, którym delectował się Hulagh.
Dzięki
swej ogromnej długowieczności przeżył rywali i ujrzał, jak zamienili się w proch. Jego
pamięć i jego plany sięgały daleko. Wytępił młode swych największych nieprzyjaciół.
Zaryzykował teraz wszystko, przejmując osobiście dowództwo na Kesrith. Jeśli coś
się nie

uda, zostanie zapamiętane, że Hulagh z Alagn sprawował kierownictwo, gdy do tego doszło.

Tu na Kesrith znajdowało się jednak bogactwo, którego rozpaczliwie potrzebował.

Warunki ludzko-regulskiego traktatu oddawały ludziom jedynie naga glebę światów, które mieli przejąć. Nie wyszczególniono żadnych żądań odnośnie do wartościowej maszynerii, miast czy zasobów. Naga gleba będzie wszystkim, co znajdą ludzie, gdy już tu wtargną. Ponowne zagospodarowanie nieustępliwych pustkowi Kesrith zajmie im wystarczająco wiele czasu, by rasa reguli miała chwilę wytchnienia. Ponadto łupy z Kesrith w całości legalny sposób trafiają do skarbców doch Alagn i Holn nie będzie mogła zgłaszać do nich żadnych pretensji.

A wszystko to działało się na oczach ludzkich posłów.

Dyskrecja człowieka, którego wysłano, by nadzorował przekazanie władzy, sprawiała Hulaghowi równie dużą przyjemność, jak cała reszta. Nagła choroba ludzkiego starszego i zrozumiała bojaźliwość jego jedyne młodego były dla niego niezmiernym udogodnieniem.

Starszy regul w takiej sytuacji zażądałby, by nieustannie zaopatrywano go w szczegółowe raporty odnoszące się do działań gospodarzy, a gdyby był kompetentny, domagałby się, by dostarczono mu ich tak wiele i w takim tempie, że nic nie mogłoby umknąć jego uwadze, gdyby zaś był zaradny, użyłby oczu swego młodego, by zobaczyć to, czego nie chciano mu pokazać. Ludzki poseł nie zdołał jednak dokonać żadnej z tych rzeczy na większą skalę.

Koncentrował się na niewłaściwych materiałach. Uczył się pilnie języka po to, by wysłuchiwać raportów, które już otrzymał w tłumaczeniu na własną mowę. Ponownie sprawdzał stare informacje, jak gdyby podejrzewał, że może się z nich dowiedzieć czegoś nowego, jak gdyby w prostych komunikatach znajdowały się sprzeczności lub nieprawdy.

Być może ludzie praktykowali podobne oszustwa, lecz regule tak nie postępowali.

To, co się działo, było widoczne jak port i jawne jak startujące z niego codziennie statki.

Gdy za jakies kilka dni przybędą ludzie, znajdą ogołoczone i zrujnowane posiadłości oraz swego delegata zarządzającego jałowym pustkowiec niezdolnym do podtrzymywania życia na jakakolwiek

większą skalę.
Już to samo było triumfem, który zachwyci radę na Nuragu, gdy ta o nim usłyszy.
Hulagh czuł się początkowo zdumiony, że dwaj ludzie nie potrafili znaleźć żadnego sposobu na obejście uciążliwych ograniczeń, które na nich nałożono. Jedyne raz wyrwali się z kwarantanny, której żaden regul z zasady nigdy by nie zaakceptował, a i ten sukces sprawił wrażenie nie zaplanowanego. Ponadto zakłopotany poseł pominął go całkowitym milczeniem. Ludziom udało się go osiągnąć jedynie dlatego, że takie zachowanie było dla nich nietypowe.
Cały incydent stanowił ich drobne zwycięstwo jedynie ze względu na swe nieszczęsne skutki, nie przyniósł im jednak żadnych faktycznych korzyści. W rezultacie ucierpiał jedynie kel'en, a i to całkiem niepotrzebnie, wskutek typowego dla swego rodzaju braku praktyczności. Ów mri był kimś ważnym w swym przeklętym, upartym gatunku. Być może mógłby okazać się wartościowy, lecz spotkała go zguba. Ludzie nie dowiedzieli się jednak nawet o tej niewielkiej zemście, jaką udało im się wyrzucić na swych dawnych wrogach. Siedzieli w zamknięciu, posłuszni i bezradni. Teraz na Kesrith nie pozostało już nic wartościowego, poza towarami, które czekały na załadowanie. Brygady robocze mogły już przystąpić do usuwania gruzów z doków. Trzeba było jeszcze podłożyć ładunki, ogołocić kilka niewielkich instalacji i pozamykać kopalnie, lecz najbardziej cenne materiały czekały już w porcie. Spośród personelu zostali jedynie ci o najniższym priorytecie ewakuacyjnym, którzy mieli odlecieć wraz z nim na Hazanie. Archiwa pozostawione mu w spadku przez doch Holn wskazywały, że w chwili, gdy rozpoczęła się procedura ewakuacyjna, na Kesrith znajdowało się około osiemnastu milionów dorosłych reguli. Była to ongiś ciesząca się nadzwyczajnym dobrobytem kolonia, która utrzymywała własny uniwersytet oraz miała kilku starszych o umysłach pierwszej klasy (nie licząc Holn, których Hulagh miał w pogardzie jako przecenianych). Znał dokładną liczbę mieszkańców oraz rozporządzenia wydane przez Holn, a także te, które ogłosił on sam w

sprawie pozostających na planecie obywateli oraz majątku od chwili, gdy przejął kierownictwo. Wiedział też, jakie zapasy na drogę umieścił na statkach ewakuacyjnych, ile osobistego bagażu będzie można zabrać oraz co zdołał ocalić celem zabrania dla siebie. Znał wagę tego wszystkiego aż do miligramu i wiedział, ile miejsca będzie potrzeba, by to załadować. Pochłoniął wszystkie te dane aż do najdrobniejszych szczegółów. Od czasu do czasu sporządzał notatki na wypadek nieoczekiwanej śmierci lub też nagłej utraty zdrowia i przejęcia władzy nad doch Alagn przez jego bezpośrednich dziedziców. Nie ufał ludziom w pełni. Prowadził jednak te zapiski jedynie z myślą o podobnej sytuacji. Gdy sprawy biegły normalnym trybem, w ogóle nie potrzebował zaglądać do notatek. Było fizycznie niemożliwe, by zdrowy na ciele i umyśle regul zapomniał coś, co kiedykolwiek postanowił zapamiętać. Było też całkiem prawdopodobne, że będzie pamiętał coś, co usłyszał jedynie przypadkowo. Hulagh wierzył bez zastrzeżeń w prawdziwość danych zawartych w aktach otrzymanych przez niego od Solgah Holnni, mimo że była ona jego wrogiem, podobnie jak w to, że nie była ona chora umysłowo. Było niewyobrażalne, by Solgah, choć niezbyt bystra i mająca zbyt wysokie mniemanie o własnych umiejętnościach jako administratorka nie potrafiła sobie przynajmniej dokładnie przypomnieć, ilu reguli zamieszkuje jej świat, a także jaki zgromadzili majątek i jakie wydano w jego sprawie dyspozycje. Hulagh wiedział więc, że oprócz niego poza statkiem przebywało trzysta dwadzieścia siedem regulskich młodych, co stanowiło absolutne minimum niezbędne do przeprowadzenia demontażu i że trzy z nich były niemal dorosłe. Większość stanowiły młode w wieku poniżej dwudziestu pięciu lat, których płeć była jak dotąd nieokreślona (ujawni się ona około trzydziestki). Potrafiły one poruszać się znacznie sprawniej, niż będzie to dla nich możliwe, gdy zaczną już nabierać dorosłej wagi. Mógł je wykorzystywać do wykonywania rozmaitych poleceń, uciążliwych prac oraz obserwowania ewakuacji. Wspomnienia o niej zostaną potem wydobyte z ich pamięci przez uczonych ekspertów na Nuragu. Pamięć ta obecnie -
nie licząc

niepowtarzalnych doświadczeń z ostatnich dni oraz wiedzy o rozgrywających się wokół nich wydarzeniach - nie zawierała jeszcze żadnych danych, które nadawałyby im istotną wartość dla jakiegoś starszego, po prostu dlatego, że nie żyły one wystarczająco długo ani nie podróżowały wystarczająco wiele, by móc się mierzyć z doświadczeniem czy większymi zdolnościami obserwacji starszego. Należały jedynie do doch, w której się urodziły, i nie wiedziały, co mogą w przyszłości osiągnąć. Ponieważ jeszcze przez kilka lat nie będą się zajmować seksem i rozmnażaniem, te sprawy nie odwracały ich uwagi. Jedynie ci, którzy byli w pełni dojrzały i chronił ich dokonany w dorosłym wieku wybór doch (nawet Holn), odlecieli w bezpieczne miejsce z główną falą ewakuacji - oni oraz te niemowlęta, które można było zamknąć w torbach ich matek na czas trwania podróży, co umożliwiło utrzymanie ich przy życiu bez nadmiernego zużycia zasobów zatłoczonych statków ratunkowych. Te ostatnie przebywające na planecie młode miały więcej szczęścia niż masy tych, które należały do Holn i nie zostały zaliczone do żadnej z tych kategorii, wiedziały jednak, że wciąż mogą zostać spisane na straty, a także jaki jest tego powód. Dlatego też okazywały podenerwowanie zbliżaniem się ludzi oraz rozdrażnienie z powodu poniesionych strat. Ich niepokoje świadczyły o bezdennej głupocie, która była nieodłączną cechą młodości. Wprowadzone w błąd przez swe ograniczone doświadczenie, wierzyły, iż są pierwszymi i najważniejszymi młodymi w historii gatunku, które muszą być narażone na podobne rzeczy. Jedno z nich stało teraz niespokojne na zewnątrz, już po raz piąty domagając się dopuszczenia przed jego oblicze. Chciało mu przekazać jakąś pilną wiadomość, niewątpliwie protest przeciwko warunkom, w jakich młode były przetrzymywane w Nomie, temu że zabroniono im wałęsać się po placu w wolnych godzinach lub też przedłużonemu czasowi pracy, jakiego od nich wymagano od chwili kryzysu w porcie. Możliwe też, że chciało dać wyraz narastającemu strachowi młodych wywołanemu zbliżaniem się ludzi oraz faktem, że nie znalazły się jeszcze na bezpiecznym pokładzie Hazana, co stanowiło podłoże niezadowolenia. Hulah odpowiedział już na wystarczająco wiele podobnych interpelacji

zarówno ze strony regulskich młodych, jak i tępogłowych ludzi. Był zajęty. Młode, o którym była mowa, nie pełniło służby w pobliżu ludzkiego delegata, nie chodziło więc o nagłą interwencję w tej sprawie, nic innego zaś, co zaszło w obrębie Nomu, nie mogło go naprawdę zainteresować. Poradził sobie ze zniszczeniami wywołanymi burzą najlepiej, jak potrafił, naprawiając w ten sposób skutki jedyne błędu, jaki popełnił - tego, że zapomniał spytać Solgah, jak wyglądają pory roku oraz klimat na Kesrith. Nie miał wiele czasu dla poirytowanych i wystraszonych asystentów. Młode nie rezygnowało. Wreszcie Hulagh westchnął, nacisnął przycisk i wpuścił je do środka, gdyż podniecenie przybysza osiągnęło krańcowy stopień.

- Bądź łaskaw, baiu.

Było to młode imieniem Suth Harari, wychowane w uniwersyteckiej baidach. Wessało uprzejmie powietrze do płuc. Hulagh odwzajemnił się tym samym. Suth, który w chwili rozpoczęcia służby był niewychowany i bojaźliwy, co było niestosowne w jakimkolwiek wieku, nauczył się przynajmniej trochę dobrych manier. Z pewnością to lata wojny obejmujące sobą całe doświadczenie młodych z Kesrith były odpowiedzialne za ich powszechny brak wychowania. Kesrithańskie młode pozostawione pod jego opieką nauczyły się go w pewnym stopniu. Hulagh pamiętał, by nieustannie udzielać im reprimendy, dzięki czemu po przybyciu na wewnętrzne światy nie będą nie przystosowane i nie okryją się wstydem. To również uważał za część swego zadania polegającego na ocaleniu z Kesrith wszystkiego, co się da. Spodziewał się przy tym, że najlepsze z nich, wyszkolone przez niego osobście, zaciągną się do Alagn, gdy dorosną, i zasila jego prywatny sztab, czyniąc go równym sztabowi gubernatora kolonii.

Dotarł już do miejsca, w którym przerwa w pracy nie byłaby dla niego zbyt niewygodna, pozwolił jednak, by młode poczekało jeszcze chwilę ze swą petycją, podczas gdy on popijał soi. Gdy wychylił już połowę kubka, uznał za stosowne okazać gestem, że jest gotów wysłuchać przybysza.

- Bądź łaskaw - wydyszał Suth, po czym wyrzucił z siebie z rozpaczliwym pośpiechem. - Baiu, stacja zameldowała, że zbliża się statek mri. To przebiło się przez wszelkie uprzejmości czy ich brak, przyciągając uwagę Hulagha.

Bai odchylił się do tyłu, pozostawiając na konsoli zapomniany kubek i spojrzął na młode z nieukrywaną trwogą. Najemnicy Kel - w chwili, gdy ludzie znajdowali się w odległości zaledwie kilku dni od Kesrith. Serca Hulagha zabiły w nagłym podnieceniu. Gniew rozognił jego twarz. Mri jak zwykle byli przyczyną kłopotów. Zawsze zjawiali się w momencie, w którym inne elementy sytuacji osiągały najbardziej niebezpieczny punkt.

- Czy powiadomili nas o swych intencjach? - zapytał Hulagh.

- Zapowiedzieli, że wylądują. Nalegaliśmy, by skorzystali z urządzeń stacji. Nie udzielili na to odpowiedzi. Oznajmili, że przybyli do swych pobratymców na powierzchni i zamierzają wylądować.

- Mri nigdy nie kłamają - powiedział Hulagh, by poinformować o tym młode, jeśli nigdy dotąd nie kontaktowało się ono bezpośrednio z najemnikami. - Ale nie zawsze też mówią prawdę. Pod tym względem przypominają reguli. Suth zamrugał powiekami i wessał powietrze do płuc. Do tego młodego podobne subtelności nie docierały. Hulagh przybrał zasępioną minę i wydmuchał przez nozdrza ogrzane powietrze.

- Czy powinniśmy im udzielić zezwolenia na lądowanie? - zapytał Suth. - Baiu, co mamy im powiedzieć?

- Odpowiedz mi młode, gdzie są statki, które miały bazę na naszej stacji?

- Ależ odleciały, łaskawy panie. Wszystkie oprócz frachtowca i wahadłowców odleciały z ewakuowanymi.

- A więc raczej nie możemy zabronić im lądowania, prawda? Możesz odejść, młode.

- Jeśli łaska - wyszeptał Suth i wycofał się, pośpiesznie i bez uprzejmości. Hulagh, który pograżył się już głęboko w myślach, nie reagował na tę prowokację. Mri. Kłopotliwi niczym uparty kel'en, którego odziedziczył po Gruranie. Mający krew na rękach, porywczy i niezdolni do logicznej argumentacji. Jego pamięć poinformowała go, że na Kesrith nieustannie przebywała garstka mri, co nie było prawdą w przypadku żadnego innego świata od chwili, gdy Nisren wpadł w ręce ludzi, czterdzieści trzy lata temu. Trzydziestoro mri zamieszkiwało tu stale. Nie było żadnych wskazówek mówiących, dlaczego Kesrith spotkało podobne wyróżnienie, poza faktem, że mri mieli tendencję, by wybierać jakiś świat na swą stałą bazę. Nadawali mu nazwę świata ojczystego i od tej chwili odnosili się do niego w irracjonalny, emocjonalny

sposób, jak
gdyby rzeczywiście był on miejscem, w którym się narodzili. Do tej pory w
czasie
związku
reguli z mri istniały trzy takie światy ojczyste. Wszystkie znajdowały się w
obrębie domeny
Holn, ponieważ mri przez cały czas podlegali jurysdykcji tej doch i byli
nieznani na
ojczystych terytoriach reguli. Co ciekawe, najemników nie zaangażowano z
inicjatywy
ziomków Hulagha. To mri wystąpili z podobną propozycją dwa tysiące dwieście
dwa
lata
temu, bez żadnego widocznego powodu i niczym nie przymuszani. Najwyraźniej
podobny
układ spełniał jakąś ich głęboką emocjonalną potrzebę. Regule poszukiwali
wyjaśnienia tej
osobliwej cechy mri, nie znaleźli jednak zadowalającej odpowiedzi. Krążył
wśród
nich żart,
mówiący, że mri poczynili zapiski odnoszące się do swej ojczyzny i po-
chodzenia,
lecz
zapomnieli, gdzie je zostawili, co skazało ich na los koczowników. Fakt, że
mri
nie posiadali
wspomnień, wydawał się śmieszny tym, którzy nie mieli osobiście do czynienia
z
tymi
trudnymi w kontaktach istotami.
Nie można się było z nimi spierać ani dyskutować, skłonić ich do przeniesi-
enia
swej
lojalności na kogoś innego, zaś nade wszystko wpłynąć na ich wyobrażenie o
nakazach
przyzwoitości. Hulagh z drżeniem wspominał samobójstwo Medaia. Nie posiadali
wspomnień, byli uparci i skłonni do przemocy. Było dla nich typowe, że woleli
przelew krwi
od rozsądku, nawet jeśli to ich własna krew miała być przelana. Medai, urod-
zony
na Kesrith,
nie chciał zawrzeć kompromisu: traktat między regulami a mri obowiązywał
tylko
dopóty,
dopóki regule utrzymywali dla nich świat ojczysty, który chronił przed in-
wazją.
Medai
widział to, co widział, i nie potrafił rozumować w inny sposób. Dlatego
postanowił się
sprzeciwić swym prawowitym pracodawcom.
Hulagh przypomniał sobie, że owo samobójstwo miało w jakiś sposób zawstydić,
czy
napiętnować w oczach społeczeństwa tego, kto obraził mri, o którego szła
rzecz.
Ten akt
samozniszczenia miał stanowić wyrzut, czy całkowite wyparcie się zwierzchnika
i
wstrząsnąć

dogłębnie jego emocjami.

Kel'en mri był skłonny uczynić coś podobnego, mimo iż wiedział, że na regulach nie

wywrze to wrażenia. Wolał odrzucić swe cenne życie niż zawrzeć kompromis w jakiejś drobnej, dotyczącej jego obowiązków sprawie, która w ostatecznym rozrachunku była dla niego nieistotna. Mri niewątpliwie wyobrażali sobie, że ma ona jednak jakies znaczenie.

To właśnie ta ich srogość przyciągnęła na początku uwagę reguli, którzy byli zdumieni, że tak barbarzyński, straszliwy gatunek przyszedł w pokoju do regulskich docha i

zaoferował im swe usługi, bez których mogłoby nigdy nie dojść do kolonizacji położonych w kierunku ludzkiej przestrzeni światów oraz rozkwitu Holn, a już z pewnością nie

udałoby się tej doch osiągnąć monopolu. Ta sama srogość jednak powinna też wskazać rozsądnie

myślącym regulom, jaka jest natura mri. Byli oni najemnikami z wychowania i wyboru. Ich

szttywne, tępogłowe kodeksy postępowania uczyniły z nich początkowo godnych całkowitego

zaufania strażników dla pozaświatowych operacji handlowych docha. Nie zmieniali

pracodawców w trakcie służby i nie można ich było przekupić ani nawet zwolnić z

obowiązku wykonania raz wydanego rozkazu, dopóki tego nie zrobili lub nie popełnili

samobójstwa. Byli zbyt nierozsądni, by brać pod uwagę odwrót. Brak im było silnego

instynktu samozachowawczego. Ten fakt równoważył ich niezmierną płodność wywołaną

tym, że wszyscy mężczyźni z Kel mieli prawo swobodnie współżyć z kobietami z różnych

kast. Dlatego mogliby w latach pokoju rozmnażać się w zastraszającym tempie, gdyby nie

ofiary, jakie powodował ich tryb życia, fakt, że odrzucali wiedzę medyczną oraz,

nigdy ich

nie opuszczająca, namiętność do pojedynków. Skąd ci srodzy wojownicy czerpali środki

utrzymania, zanim znaleźli reguli, którzy ich wynajęli, było dla tych drugich kolejną

tajemnicą. Mri nigdy nie zechcieli im jej zdradzić. Nie pracowali fizycznie, nawet po to, by

zdobyć dla siebie żywność. Mri wolał umrzeć z głodu niż dźwigać ciężary czy uprawiać

ziemię dla kogoś innego. Czynili wyjątek od tej zasady jedynie po to, by budować

i

utrzymywać w porządku swe wieże oraz obsługiwać nieliczne statki, które przyznano im do

osobistego użytku. Poza tymi dwoma wyjątkami nie byli jednak gotowi nawet ruszyć

ręką,

jeśli mieli reguli, którzy by im usługiwali. Hulagh pamiętał zdarzenie, gdy

pewien statek z
kel'eniem na pokładzie spotkały kłopoty nie wywołane przez ludzi - awaria
urządzeń
nawigacyjnych, która doprowadziła załogę do paniki. Jej członkowie wezwali
swego
kel'ena -
była to stara kel'e'en, która bez pośpiechu przyszła zobaczyć, na czym polega
trudność,
usiadła za konsolą i dokonała niezbędnych poprawek, po czym - z całkowitą
arogancją -
wróciła do swych pomieszczeń. Nie odezwała się ani słowem, nie zaoferowała
żadnych
uprzejmości ani nie przyjęła podziękowań.
A mimo to owa kel'e'en nie potrafiła odczytać prostego znaku, który pomógłby
jej
trafić do mesy, gdy wychodziła na przepustkę na stację i musiała korzystać ze
wskazówek
swych regulskich pracodawców.
Nic nie mogło się równać z arogancją ani z ignorancją kel'ena mri. Byli
drażliwi. Gdy
obrazili ich regule, popełniali samobójstwo, zaś gdy zrobili to inni mri,
wzywali ich do
walki. Nie sposób było odgadnąć, jakie były prawdziwe pobudki członków tego
gatunku.
Hulagh osobiście sądził, że lepiej zna ludzi niż mri, choć z tymi pierwszymi
kontaktował się
od trzech, z drugimi zaś jego przodkowie mieli do czynienia od dwóch tysięcy
dwustu dwóch
lat. Ludzie posiadali po prostu instynkt terytorialny, jak regule, i choć
podobnie jak mri byli
stworzeniami o krótkiej pamięci i małym mózgu, nie brak im było pracowitości
i
potrafili
zrekompensować niedostatki swych uzdolnień za pomocą godnej podziwu techniki.
Było ciekawe, że w ciągu czterdziestotrzyletniej wojny regule nauczyli się
ufać
ludziom znacznie bardziej niż mri, a także mniej się ich bać. Nieustannie
musieli nakazywać
tym drugim zachowywanie przyzwoitej powściągliwości. Naprawdę byli zmuszeni
interweniować, by zapobiec eskalacji przez mri wojny poza terytorialną strefę
konfliktu, na
obszary znajdujące się daleko poza regulskim zasięgiem, gdzie osiągnęłaby ona
skalę, przy
której regulska technika mogłaby nie wystarczyć do zapewnienia obrony
mających
kluczowe
znaczenie światów ojczystych. Mri, choć byli specjalistami od wojny, nie
potrafili tego
dostrzec. Nawet Holn miała więcej rozsądku i pohamowała eskalację walk, gdyż
w
przeciwnym razie doszłoby do niewiarygodnych zniszczeń oraz ekonomicznego
zakłamania.
Mri mogli tracić jeden świat ojczysty po drugim i przenosić się w inne
miejsce,
lecz byli oni
koczownikami. Być może - jak sądził Hulagh - to właśnie było przyczyną ich
pogardy dla
granic państwowych. Regule nie mogli pogodzić się z myślą o utracie choćby

jednego ze
światów rodzinnej przestrzeni, z ich sztuką, techniką i przebiegającymi
między
nimi szlakami
handlowymi. Ani przez chwilę nie zamierzali angażować się w wojnę z tak to-
talnym
poświęceniem jak mri.
W ostatecznym rozrachunku najpoważniejsze straty ponieśli sami mri. Gdy
rozpoczęła
się wojna, ich liczebność wynosiła, według regulskiego spisu, milion
dziewięciuset
pięćdziesięciu siedmiu kel'ain. Nawet ta niewielka liczba stanowiła znaczny
wzrost w
porównaniu z ich uprzednią populacją. Fakt ten był odbiciem pomyślności, jaką
się cieszyli w
ciągu dwóch tysięcy dwustu dwóch lat swej służby u reguli. Było ich jedynie
sto
tysięcy w
momencie, gdy ich przywódcy zwrócili się do reguli po raz pierwszy, by błagać
o
przyjęcie
na służbę u ich gatunku. Najświeższe dane wskazywały jednak, że w znanym
kosmosie
pozostało przy życiu jedynie pięciuset trzydziestu trzech mri ze wszystkich
kast.
Nie istniała możliwość - biorąc pod uwagę tę małą liczbę oraz niepowstrzymane
gwałtowne skłonności mri - by ich gatunek mógł przetrwać obecny kryzys, chyba
że
- o
ironio - regule wzięliby ich pod opiekę, dopóki nie wróciliby do siebie. Wraz
z
utrata przez
Holn podstaw jej wpływów oraz wyginięciem kel'ain skończyła się pewna era.
Garstkę mri
mogła jeszcze uratować Alagn, gdyby w tej ostatecznej sytuacji pozwolili oni
przemówić
sobie do rozsądku. Hulagh dostrzegał pożytki, jakie mogliby mu przynieść,
choćby
dlatego,
że gwałtowność Kel wzbudzała w regulach przerażenie. Trzeba ich było jednak
usunąć z
drogi marszu ludzi, gdyż w przeciwnym razie nie przestaną oni niczym automaty
rzucić się
na nieuniknione i ginąć w walce z nim.
Na dodatek w samym środku całego zamieszania jeden mri musiał popełnić
samobójstwo, a teraz cała ich grupa przyleciała przeszkadzać w ewakuacji
swego
świata
ojczystego na statku, który z pewnością był uzbrojony. Statki mri, przynajm-
niej
te, które
należały wyłącznie do nich, były małe, lecz mri nie ruszali się nigdzie bez
bronii.
Ludzie przybywający, by objąć w posiadanie Kesrith, również będą mieli broń.
Hulagh zastanawiał się przez pełną szaleństwa chwilę, czyby nie porzucić w
haniałbny
sposób swych obowiązków na Kesrith, załadować się dziś w nocy wraz z oca-
łałymi

młodymi
na pokład Hazana i pozostawić mri i ludzi samych sobie.
Hazan jednak nie był gotowy do lotu. Nie ukończono jeszcze napraw. Nie można
też
było przenieść do jego ładowni cennych towarów, zanim nie wyremontuje się
maszynierii
portowej. Poza tym Hulagh nie chciał uciekać w podobny sposób. Opowiadano by
o
tym na
ojczystym świecie, co by go skompromitowało. Pod tym przynajmniej względem
rozumiał
odczuwany przez mri przymus stawiania oporu.
Sięgnął ręką w lewo i nacisnął guzik kontaktujący go z Hada Surag-gi, kosajem
Nomu, który osobiście wypełniał jego dostatecznie ważne polecenia. Liczący
sobie
dwadzieścia lat Hada wykazywał się nadzwyczajną kompetencją na swym
odpowiedzialnym
stanowisku.
- Hada - powiedział - przyślij mi akta dotyczące osady mri na Kesrith.
- Bądź łaskaw - odpowiedział głos Hady. - Te akta obejmują sobą dwa tysiące
dwieście dwa lata. Kesrith była jedną z pierwszych planet objętych w posia-
danie
przez mri.
Uważa się tutaj, że mieszkali oni na niej jeszcze przed pierwszym kontaktem.
Jakie dokładnie
informacje życzy sobie otrzymać bai? Być może pamiętam coś, co mogłoby się
przydać.
Było przejawem skrajnej zuchwałości, że podobne młode mogło sądzić, iż jego
osobista wiedza wystarczy, by zaspokoić potrzeby starszego.
- O młoda ignorancjo - powiedział poirytowanym tonem Hulagh. Przypomniał so-
bie
jednak, że jest jedynym starszym przebywającym w tej chwili na Kesrith i że
młode, choć
zuchwałe i zarozumiałe, zapewne złożyło tę propozycję w jak najlepszej in-
tencji,
chcąc
zaoszczędzić jego cenny czas i siły. Ostatecznie nie był to Nurag. Czas oraz
cierpliwość
wszystkich - a zwłaszcza jego własne - były ograniczone. - Hada, jak sądzisz,
co
mogło
sprowadzić statek mri na Kesrith w tej chwili?
- To jest - odparł Hada - ich obecny świat ojczysty. - Być może zamierzają go
bronić.
Nie są przyzwyczajeni do odwrotów.
Nie było to pocieszające domniemanie. Hulagh wysunął na własną rękę dokładnie
takie samo przypuszczenie. Ale przecież mri zaakceptowali traktat zawarty z
ludźmi przez
reguli. Przy każdym etapie negocjacji powiadamiano ich, że nie mogą dalej
prowadzić wojny.
- Hada, ilu jest obecnie mri na Kesrith?
- Baiu, jest ich trzynastu. Większość stanowi starszyzna edunu, całkowicie
już
niezdolna do walki.
To go zaskoczyło. Nie interesował go dotąd mały edun, ponieważ nic w nim nie
przyciągnęło jego uwagi. Wiedział dokładnie, ilu ma on członków, lecz nie
jaki
jest stan ich

zdrowia.

- Tak czy inaczej, przyślij akta. Wszystko, co dotyczy osobiście przywódców oraz historii gatunku na tej planecie.

Zatrącenie - pomyślał zdeprymowany Hulagh - mri przebywali na Kesrith zdecydowanie zbyt wiele lat, bym mógł dokonać przesiewu podobnych akt. Nie ma

na

to

czasu. Będzie ich niesamowicie wiele.

- Hada.

- Jeśli łaska?

- Skontaktuj się z ich kel'anthem. Powiedz mu, że chcę, by natychmiast zgłosił

się do

mojego gabinetu.

Nastąpiła bardzo długa przerwa.

- Bądź łaskaw, baiu - odważył się wreszcie powiedzieć Hada. - Kesrithańskim edunem

kieruje she'pan, nie jaka Intel. Na powierzchni planety kel'anth musi wykonywać

polecenia

she'pan. Nie jest przywódcą mri na Kesrith.

Przekleństwo Hulagha przerwało młodemu. Jego jazgot umilkł na chwilę. Zapanaowała

mile widziana cisza. Hulagh wchłonał nową informację, zawstydzony, że musi polegać na

wiedzy młodego. Zdał sobie sprawę, że - gdy chodziło o mri - nikt naprawdę nie

wiedział, jak

wygląda hierarchia wewnątrz ich społeczności. Hada twierdził, że posiada tę wiedzę. Być

może zdobył ją od starszych z doch Holn, którzy od pokoleń sprawowali dowództwo

nad mri.

Zaraza i zatrącenie - pomyślał Hulagh - nie ma czasu. Nie ma czasu. Niech wszystkich

mri trafi szlag.

Wiedział jednak przynajmniej tyle, że nie można wezwać do siebie she'pana.

Nikt

spoza kasty Kel nie reagował na wezwania nakazujące opuszczenie społeczności mri

i

spotkanie z obcymi. Trzeba było stawić czoło procesowi przeszukiwania akt bądź też

zignorować nadlatujący statek, wraz ze wszystkimi wiążącymi się z nim paskudnymi

możliwościami.

Albo też trzeba było porzucić swe biurko, pracę oraz ważne obowiązki i zostawić

je na

łaskę niekompetentnych młodych pomocników w samym środku tak groźnego kryzysu,

by

osobiście udać się z długotrwałą wizytą grzecznościową do religijnej przywódczyni mri,

której pamięć była zawodna, której uprzejmość pozostawiała zapewne wiele do życzenia, i

która stanowiła zawadę w prostych relacjach między regulską doch a keranthem

mri. On i wódz wojowników z Kel mogliby załatwić tę sprawę drogą prostej wymiany zdań, gdy jednak w grę wchodziła jedna z ceremonialnych przywódczyni mri, której władza miała mglisty charakter, a której autorytet oraz kierujące nią motywy były w jakiś sposób powiązane z religią jej gatunku, na czym by ona nie polegała, regułski petent będzie musiał odbyć nudną i bezsensowną dyskusję, która jedynie z pewnym prawdopodobieństwem mogła doprowadzić do pożądaných przez niego skutków.

- Hada - odezwał się Hulagh, dając za wygraną - sprowadź mi mój wehikuł i najbardziej godnego zaufania kierowcę - młode, które nie wystraszy się mri. Zgodził się znieść wiele upokorzeń podczas kontaktów z ludzkimi najeźdźcami oraz negocjacji poprzedzających zawarcie porozumienia. Wyraził zgodę na dopuszczenie dwóch niewygodnych obserwatorów, których obecność - jeśli wyszłaby na jaw - mogłaby spowodować niewyobrażalne komplikacje w sprawie traktatu zawartego z mri. Udało mu się uporać z ludźmi, co uważano za najważniejszą kwestię. Wymanewrował ich w sposób, który zapewni mu wzrost prestiżu. A teraz doszło do tego, że musiał przerwać działania mające na celu ratowanie życia reguli oraz ich majątku, by odbyć konferencję z najmiłymi mri, dla uratowania niewdzięcznego ludu, którego członkowie najprawdopodobniej nie wynagrodzą jego wysiłków uprzejmym traktowaniem.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Hada - powiedział.

- Jeśli łaska?

- Czy jest, czy też nie jest możliwe, by mri wiedzieli, że nadlatuje jeden z ich statków?

- Nasz urząd nie opublikował tej informacji - odparł Hada. Następnie dodał: - Bądź łaskaw, baiu. Mri już uprzednio dowiadywali się o rzeczach, których nasz urząd nie ujawniał. Mają własne środki komunikacji.

- Niewątpliwie - zgodził się Hulagh. Przerwał połączenie i przystąpił do mozolnego i bolesnego procesu wstawania. Już dwieście dziewięćdziesiąt lat dzieliło go od chwili, gdy opuścił klasę młodych. Jego nogi były relatywnie krótsze, zmysły przytępione, zaś ciało wielokrotnie cięższe. Gdy jego pomarszczona skóra stykała się bezpośrednio z suchym, zimnym powietrzem Kesrith, często pękała i pojawiały się na niej owrzodzenia.

Dwa serca

mozoliły się ciężko, by sprostać wysiłkowi, jakim było podźwignięcie ciężaru dorosłego

cielska, mięśnie zaś drżały, nie przyzwyczajone do takiego obciążenia. Jako regulski starszy,

Hulagh zajmował się przede wszystkim kwestiami umysłu i intelektu.

A doszło do tego, że musiał złożyć wizytę mri.

Rozdział 12

Edun Mri pojawił się w polu widzenia - zestaw przyciętych od góry stożków o wspólnej podstawie. Sprawiał złowieszczo obce wrażenie. Rzecz jasna wzniesiono

go w

najbardziej niedogodnym i najmniej dostępnym z możliwych miejsc. Hulagh siedział,

zaniepokojony, na swych poduszkach na tylnym siedzeniu ładowego ślizgu i obserwował, jak

budowla się zbliża. Zbudowano ją z przesyconej minerałami gleby nizin spojonej

cementem.

Jej matowa powierzchnia była tej samej barwy co ziemia, lecz mimo to odpychająco

surowe

zarysy gmachu przyciągały wzrok. Pochyłe ściany powodowały marnotrawstwo przestrzeni,

lecz przecież mri nigdy nie robili niczego w prosty sposób. Wiele to mówiło, pomyślał, o ich

umyśle - nieutilitarystycznym, cechującym się obcymi wzorcami rozumowania oraz

rozmyślnie izolującym się od innych. Ślizg z wysiłkiem piał się w górę grobli,

którą deszcze,

druga z plag powierzchni Kesrith, doprowadziły do stanu bliskiego nieużywalności.

Rozpuściły one sole tworzące w tych okolicach grube pokłady, co stworzyło w ziemi i skale

drogi niebezpieczne kanały. Po obu stronach rozciągała się śmiertelnie groźna przepaść, na

której dnie znajdowała się cienka skorupa pokrywająca niziny. Były one wulkanicznie

aktywne i nieustannie wznosiły się nad nimi bijące z jednego czy drugiego otworu

opary.

Hulagh starał się nie myśleć o głębiach rozciągających się pod gasienicami ślizgu, gdy

torował on sobie drogę przez następujące po sobie koleiny, które niemal pochłonęły trakt.

Mri nie mieli zamiaru go naprawiać. Co prawda byli starzy, lecz nawet gdyby znajdowali się w pełni sił fizycznych, nie raczyliby tego zrobić, dopóki na powierzchni

planety pozostałby choć jeden regul, na którego mogliby zrzucić tę odpowiedzialność. Droga

zostanie kompletnie splukana, zanim mri zechcą się ruszyć, by ją naprawiać, a Hulagh nie

miał najmniejszego zamiaru wyświadczać ludziom podobnej przysługi. Miał jedynie

nadzieję,

że droga będzie wystarczająco dobra, by mógł po niej dotrzeć do celu i z powrotem, a i to

tylko raz.

Pojazd pokonał, podskakując, ostatnie kilka stóp podjazdu i zatrzymał się przed głównym wejściem do edunu. Sama budowla również była zniszczona. Już w tej chwili ustępowała ona pod naporem deszczów, które w końcu ją pochłona i zamienia na powrót w białą ziemię. Na pochyłych ścianach widniały niewyraźne ślady barw, które ongiś musiały być jaskrawe. Hulagh oglądał zdjęcia edunei, nigdy jednak nie widział żadnego w rzeczywistości ani też żadnego, który byłby w podobnym stanie. Z pewnością była to starożytna budowla. Obecnie zamieniała się w smętną ruinę. Mri z reguły mieli więcej dumy. Nawet prowadząca do głównego wejścia ścieżka zryta była erozyjnymi kanałami. Gdy ślizg zatrzymał się ze zgrzytem, bai Hulagh z lękiem spojrział na tę nieregularną powierzchnię. Czekająca go długa, trudna wędrówka po miękkim gruncie. Ponadto wejścia strzegł dus - masywne, brązowe cielsko, całe pokryte zmarszczkami i zwałami tłuszczu. Najwyższym punktem zwierzęcia był garb znajdujący się na wysokości barków, od którego obniżało się ono ku obu swym końcom. Wydawało się, że bestia śpi. Gdy leżała na ziemi, jej grzbiet sięgał jednej czwartej wysokości drzwi. Gdyby się podniosła, znalazłby się on znacznie wyżej. Hulagh żywił jednak gorączkową nadzieję, że zwierzę tego nie zrobi. Dusei można było znaleźć wszędzie, gdzie zawędrowali mri, lecz na statkach siedziały zamknięte w kabinie kel'ena i nie pozwalano im wałęsać się po pokładzie. Hulagh nigdy nie zetknął się z bliska z żadnym z nich. Pozwalał, by ten nieprzyjemny obowiązek spadł na jego młode. Wiedział tylko to, co mu powiedziano: że podczas gdy mri byli oficjalnie uważani za istoty rozumne drugiej klasy w skali, która pierwszą przyznawała regulom, dusei tymczasowo zaliczono do dziesiątej, choć wielu z tych, którzy mieli do czynienia z tymi przyprawiającymi o frustrację stworzeniami, uważało, że powinno sieje sklasyfikować znacznie wyżej bądź niżej. Wiedział też, że były one miejscowym gatunkiem dominującym i Kesrith była ich światem ojczystym, choć żyły w stanie dzikim wszędzie, gdzie mri przebywali przez dłuższy czas, to znaczy na każdym

świecie, na który kiedykolwiek ich dopuszczono. Na szczęście żaden z nich nie leżał w obrębie wewnętrznych terytoriów regulskiej przestrzeni. Stawały się plagą na pustkowiach każdej z planet, na które trafiły. Były niebezpieczne. Z pewnością wśród wzgórz i równin mnożyły się liczne dzikie osobniki. Te powolne, cierpliwie, wszystkożerne zwierzęta stanowiły dar, jaki regule z radością pozostawiali ludziom. Mri drogą swej służby nabywali jedzenie dla dusei, które z tego powodu kręciły się po ich domostwach i towarzyszyły im w kosmos. Dusei jednak nie robiły nic, nie pomagały mri w niczym, nie walczyły, jeśli nie przyparto ich do muru, i nigdy ich nie zjadano. Jediną widoczną korzyścią, jaką przynosiły, był fakt, że swą bliskością sprawiały przyjemność mri, którzy najwyraźniej zdobywali wśród swych pobratymców pewien status przez to, że hodowali i utrzymywali tak bezużyteczne, kosztowne stworzenia. Hulagh osobiście kolekcjonował klejnoty, kamienie oraz geologiczne ciekawostki. Usiłował zrozumieć mentalność mri, którzy gromadzili podobne, żywe i niebezpieczne, okazy. Ten egzemplarz sprawiał wrażenie chorego. Jego skóra pokryta była plamami. Zachowywał się nienaturalnie leniwie, nawet jak na dusa. Nie podniósł nawet głowy, gdy pojazd zatrzymał się przed wejściem. Widok brzydkiego stworzenia urażał estetyczny zmysł Hulagha w większym stopniu niż oznaki upadku samego edunu. Gdy wy dobył już swe okazałe cielsko z ciasnego ślizgu i czekał, aż kierowca, niejaki Chul Naggi, pomoże mu w podejściu do drzwi, przyglądał się zwierzęciu, choć wolałby na nie nie patrzeć. Wyglądało na to, że Chul również spogląda na dusa z niesmakiem, lecz gdy posuwali się razem w stronę ganku, sumiennie kroczył po bliższej zwierzęciu stronie i nieustannie miał na nie oko. Gdy zbliżyli się do drzwi, dus uniósł głowę, by się przekonać, kto idzie. Jego zaropiałe oczy miały niezdrowy wyraz. Zatrącenie - pomyślał zakłopotany Hulagh - to zwierzę umiera z powodu choroby u ich progu, a oni go nie zabijają? Ze względu na higienę, jeśli nawet nie lietość. Dus zbadał ich, węsząc wilgotnym nosem, i wydał z siebie dziwaczny odgłos, niski pomruk i sapanie, które nie wyrażały zadowolenia, nie były też jednak w pełni groźbą. - Z drogi! - zawołała Chul głosem, w którym brzmiała nuta paniki. Hulagh

przemknął
obok dusy z największą możliwą szybkością, podczas gdy Chul odpędził stworzenie
gwałtownym kopniakiem. Młode doгнаło go już w ciemności za drzwiami. Ponownie
pozwoliło mu się wesprzeć na swym ramieniu, po czym wspólnie rozpoczęli długą
wędrówkę.
Jakiś mir ujrzał ich i zniknął - czarny cień pośród cieni.
Nikt nie zaoferował im przewodnictwa. Hulaghowi nie było ono potrzebne. Przed
opuszczeniem Nomu zapoznał się z planem edunei, który miał charakter
uniwersalny.
Wiedział, jak wygląda rozkład parteru i gdzie powinien się wznosić czwarty
stożek, należący
do she'pan. Posuwał się ku niemu powoli, dysząc ciężko. Przywołał wszystkie
swe
siły, gdy
ku jego przerażeniu okazało się, że będzie musiał wspiąć się po krętych scho-
dach
wijących
się w górę ku szczytowi wieży.
Nad nimi rozległ się echem jakiś krzyk. Hulagh nie widział jednak nikogo.
Posuwał
się naprzód, udręczony, własnym tempem, krok za krokiem, mijając pokryte
glina
ściany
tandetnie udekorowane prymitywnymi znakami czy symbolami, namalowanymi w
sposób
tak
nieregularny i stylizowany, że odczytanie ich wydawało się czymś niemożliwym,
nawet jeśli
znało się pismo mri. Czarne, złote i niebieskie desenie wiły się wzdłuż
krętego
korytarza na
jego ścianach i suficie. Mogły mieć naturę religijną - to była kolejna rzecz,
której mri nigdy
nie zdradzali - odwracać zło bądź sprowadzać je na intruzów. Możliwe też, że
po
prostu
wydawały się mri piękne. Trudno było pogodzić coś takiego z nowoczesnym
oświetleniem
oraz innymi dowodami na to, że mri wykorzystują regulską maszynę. Lud,
który
znał
podróże międzygwiazdne, mieszkał w tak prymitywnych warunkach. Drzwi za-
mykające
komnatę, w której she'pan sprawowała urząd - w gruncie rzeczy większość drzwi
w
edunie -
były ze stali, produkcji regulskiej. Zapewne zbrojenia całej konstrukcji z
gliny
i spoiwa
również wykonano ze stali.
- Nie mają nic przeciwko wyposażaniu swych lepiarek w zbrojenia z dobrego,
regulskiego metalu - zauważył Chul półgłosem. Młode zachowało jednak dalsze
komentarze
dla siebie, odkąd Hulagh obdarzył je ostrym spojrzeniem. Ostrość słuchu mri
była
legendarna.
- Otwórz drzwi - rozkazał Hulagh.

Gdy młode spełniło polecenie, wciągnęło ze świstem oddech, gdyż tuż za drzwiami stał mri - kel'en z czarną zasłoną na twarzy. Hulagh sądził, że on również był jeszcze zaledwie młodym. Na to przynajmniej wskazywały pozbawione zmarszczek czoło i jasna, złocista skóra. Wyglądał srogo, zuchwale i barbarzyńsko - złocisty mężczyzna przystrojony czernią i bronią. W skład zestawu śmiercionośnych przyborów wchodził nawet archaizm w postaci długiego noża za pasem. Hulagh natychmiast, z przykrością, przypomniał sobie o Medaiu, który wyglądał tak samo jak ten. Zupełnie jakby spotkał ducha. Młode stanęło naprzeciw młodego i to regul cofnął się nieco. Jego słabość spowodowała, że głowę Hulagha zalała fala palącego gniewu. - Gdzie jest she'pan? - zapytał ostrym tonem, zawstydzony niepewnością okazaną przez swego kierowcę. Starał się odzyskać regulską godność. - Młode mri, wyjdź z tych drzwi i zawołaj kogoś znaczącego. Powiadomiono was, że złożę wizytę she'pan. Mri odwrócił się zgrabnie na pięcie i odszedł w milczeniu, pełen wdzięku i lekceważenia. Wojownik mri. Hulagh nienawidził całej ich rasy. Wszyscy jej członkowie byli całkowicie pozbawieni dobrych manier i zachęcali swe młode do takiego samego zachowania. Młodzieniec, podobnie jak cały edun, cuchnął kadzidłem, którego zapach unosił się w powietrzu. Hulagh starał się powstrzymać przed kichnięciem, które oczyściłoby jego podrażnione przewody powietrzne. Nogi mu drżały od długiego marszu w górę po schodach. Wszedł do środka, ugiął kolana i opuścił swe ciężkie ciało w niewielkim stopniu, niezbędnym do tego, by spocząć na dywanach. Meble mri - w pomieszczeniu znajdowały się jedynie ceremonialne krzesło she'pan oraz dwie ławy w pobliżu wejścia - były zbyt wysokie i łamliwe dla dorosłego regula, nie mógł on też utrzymywać przez dłuższy czas swego ciężaru w pozycji stojącej. Gdyby młode było należycie uprzejme, powinno wezwać kogoś ze swych pobratymców, by przyniósł mebel odpowiedni dla gościa. Wszystko jednak wskazywało na to, że jest to bardzo biedny edun i być może jego mieszkańcy nie byli przyzwyczajeni do regulskich wizyt. Dywany były przynajmniej czyste. Krzyki rozchodziły się echem w głębiach komnaty, za parawanem, który przesłaniał centralną część sali. Hulagh skrzywił się w myśli na to niestosowne zachowanie. Chul poruszył się niespokojnie. Po chwili do pomieszczenia zaczęli wchodzić kolejni wojownicy.

Oni również byli uzbrojeni i mieli zasłonięte twarze.
- Baiu - odezwał się Chul. W jego głosie słychać było strach. Hulagh poradził sobie z tym za pomocą paskudnego spojrzenia. To młode było ignorantem. Mri, choć pozbawieni poczucia przyzwoitości i arogancy, wciąż byli poddanyymi reguli i to nie z przymusu, lecz z wyboru. Można ich było oskarżyć o wiele rzeczy, a także byli niesympatyczni, lecz nie stanowili zagrożenia, przynajmniej nie w bezpośrednim sensie. Nie dla reguli. Do komnaty wlaźło kilka dusei. Trzymały swe głowy o masywnych kościach nisko ponad dywanem. Wyglądały, jakby coś zgubiły i zapomniały, co to właściwie było. Ułożyły swe wielkie cielska w kącie, położyły głowy między przednimi łapami i przyglądały się regulom ze lśnieniem maleńkich, niemal niewidocznych oczek. Jeden z nich wydał z siebie złowieszczy, chrapliwy dźwięk, lecz uspokoił się, gdy kel'en przysunął się do niego, używając jego szerokiego barku jako oparcia dla swych pleców. Kichnięcie wreszcie nadeszło, nieoczekiwane i gwałtowne. Hulagh stłumił je najlepiej, jak potrafił. Żaden z mri nie sprawiał wrażenia, by zauważył to straszliwe pogwałcenie etykiety. Hulagh policzył obecnych. Było ich jedenaścioro, w tym dziewięcioro miało zasłonięte twarze - mężczyźni i być może jedna kobieta z Kel. Inna, młoda kobieta w złotych szatach miała twarz odsłoniętą. Obok niej stał jeden z najstarszych - jak się zdawało mężczyzn, członek ubierającej się na złoto kasty. Byli oni jedynymi mri, których twarze Hulagh kiedykolwiek widział. Nie mógł nie wytrzeszczyć oczu ze zdumienia, wywołanego pełną gracji delikatnością rysów młodej kobiety. To dziwne - pomyślał - że u tego opóźnionego w rozwoju gatunku podział na płcie następuje w młodości, a z wiekiem różnice zanikają. Zachował tę myśl w pamięci, by rozważyć ją później, gdyby miało się zdarzyć tak, że mri przetrwają obecną erę i zachowają znaczenie dla żyjących. Z cichym szelestem przybyła sama she'pan, wsparta na ramieniu młodego kel'ena. Usiadła pomiędzy nimi na swym krześle, z odsłoniętą twarzą. Ona również była bardzo stara, a ponadto, jak się zdawało Hulaghowi, choć nie mógł być tego pewien, jedna strona jej twarzy była zniekształcona. Młodzi mri byli szczupli i mieli gładką skórę, zaś włosy młodej kobiety lśniły w świetle lamp niczym ozdobna powierzchnia naczynia z brązu. She'pan

jednak była zwiędła i krucha, zaś jej skroń po stronie, która zdawała się chora, pociemniała.

Młody wojownik klęknął u jej boku. Jego złociste oczy ciskały na gości spojrzenia pełne nieufności i wrogości. We wzroku she'pan natomiast widać było spokój wywodzący się z wieku i bardzo długiego doświadczenia, które to cechy Hulagh cenił wysoko. Zmienił nagle zdanie i doszedł do wniosku, że być może jednak łatwiej będzie się porozumieć z tą podstarzałą kobietą niż z nieustępliwym wodzem wojowników, pod warunkiem, że rzeczywiście sprawowała ona kierownictwo nad swym ludem w sprawach innych niż tajemnicza religia mri.

Było wyraźnie widoczne, że regule nie wzbudzają w niej wielkiego zachwytu, nie była też jednak wrogo nastawiona czy nierozgarnięta. Oszacowała przybyłych bystrym spojrzeniem swych oczu. Krył się w nich wyraz rozumności wysokiej próby.

- She'pan - odezwał się Hulagh, uznając, że wiek daje prawo do szacunku, nawet w przypadku mri.

- Hulaghu - odparła, odzierając go z tytułów.

Zamknął z trzaskiem nozdrza i wydmuchnął powietrze, poirytowany. Przypomniawsobnie o obecności u swego boku młodego Chule, który w tej chwili nie był szczególnie pożądanym świadkiem. Pałacy gniew kipiał w nim z siłą nie spotykaną od wielu lat, podczas których chroniono go przed podobnymi sytuacjami.

- She'pan - powtórzył Hulagh, upierając się przy dobrym wychowaniu - przygotowaliśmy dla was miejsce na naszym statku. Była to, zasadniczo, prawda. Zarezerwował dla nich przestrzeń, mając nadzieję, że nie będzie ona musiała być zbyt obszerna. Liczył na to, że znajdzie młode, które będzie można ucywilizować i ukształtować na nowo pod przewodnictwem Alagn. Widział ich jednak tylko dwoje. Zmienił szybko opinię. Być może ci starsi potrafią zapanować nad młodymi mri, którzy przebywali w innych miejscach, i sprawić, by stali się oni posłuszni, a być może też zgromadzić kolonię mri na terytorium Alagn. Ponownie pomyślał o młodym kel'enie, który popełnił samobójstwo, i doszedł do wniosku, że mogłoby do tego nie dojść, gdyby na miejscu był starszy mri, który ukazałby owemu młodemu jego czyn w należyтым świetle. Jeśli zaś nawet starsi, tacy jak ci, nie mieli wystarczającej powściągliwości i rozsądku, by wyperswadować młodemu podobny czyn, to w takim razie cała cywilizacja mri

zbankrutowała i nie było sposobu na ocalenie jej przed sobą samą.

- Naszym pragnieniem jest - oznajmił Hulagh - byście znaleźli się na pokładzie

już

dziś w nocy.

She'pan wbiła w niego wzrok. Nie była ani uradowana, ani przerażona tym krótkim

terminem.

- Doprawdy, baiu?

- Jak najszybciej tylko można. Załadunek osiągnął już ten etap.

She'pan wpatrywała się w niego, zastanawiając się nad tym w milczeniu.

- A nasze dusei? - zapytała.

- Dusei też, po jednym dla każdego - zgodził się niechętnie Hulagh. W pamięci odjął

liczbę zapasów dwukrotnie większą, niż byłaby konieczna dla samych mri. Miał nadzieję, że

nie zabierze żadnych dusei, po zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że antypatyczne

bestie mogą sprawić mri zadowolenie, jako symbol ich bogactwa, a bardzo mu zależało na

tym, by mri byli zadowoleni.

- Naradzimy się w tej sprawie - oznajmiła she'pan z dłonią spoczywającą na ramieniu

młodego wojownika, który siedział obok niej. Po drugiej stronie przysiadła w milczeniu

młoda kobieta w złotych szatach.

- Nie ma już czasu na długie narady - sprzeciwił się Hulagh.

- Ach - odparła she'pan - więc słyszeliście o statku.

Krew odpłynęła z twarzy Hulagha. Dopiero po chwili wznowiła należyte krążenie.

Nie

patrzył na młode. Miał nadzieję, że okaże się wystarczająco bystre, by nie rozpowiadać o tej

obeldze i upokorzeniu swym towarzyszom. Szczerze jednak wątpił, by rzeczywiście

tak się

stało.

- Tak - odparł - oczywiście, że słyszeliśmy. Nie mniej gorąco pragniemy odlecieć

jak

najszybciej. Nic nam nie wiadomo o tym nadlatującym statku, ale z

pewnością... -

zająknął

się, wypowiadając nieprawdę. Po raz pierwszy w życiu poczuł się zmuszony do kłamstwa, ze

względu na reguły, dobro młodych powierzonych jego opiece, a nade wszystko z myślą o

własnych ambicjach i ocaleniu posiadanej przez siebie władzy. Czuł się jednak skalany i

splugawiony tym czynem. - Z pewnością, gdy już znajdziecie się na pokładzie, będziemy

mogli zatrzymać ten wasz statek i jego również skierować w bezpieczne miejsce,

ku naszym

wewnętrznym strefom.

- Czy pozwolilibyście na to? - Oschły, stary głos wypowiadający słowa z wyraźnym

akcentem, był pełen ostrożności. Nie dało się w nim usłyszeć żadnych intonacji, które mogłyby zdradzić emocje oraz ukryte znaczenia. - Czy mri będą się wreszcie mogli udać na ojczysty świat reguli? Nigdy nam nie zdradziliście jego lokalizacji, baiu. - Niemniej... - Nie potrafił rozwinąć swego kłamstwa. Nie był w stanie dokończyć tego czynu, tej ostatecznej niemoralności - dokonać fałszerstwa, wprowadzić do pamięci nieprawdę, której nie będzie można się oduczyć. Wiedział, że obcy czynią podobne rzeczy. Przyglądał się, jak to robią, zdumiony i przerażony. Dowiedział się, że wśród ludzi kłamstwo jest powszechnie stosowaną praktyką. Poczuł, że skóra mu cierpnie na myśl o tej potworności. Ścisnęło go w gardle, gdy spróbował nadać dalszy kształt swej fikcji, wiedział jednak, że jeśli jej nie rozwinie, nie uwierzą mu w ogóle, a gdy zostanie przyłapany na kłamstwie, utraci wiarygodność, co będzie miało fatalne skutki dla mri, a także przyniesie niefortunne rezultaty dla reguli znajdujących się pod jego dowództwem i dla jego własnej przyszłości. Gdyby dowiedziano się o tym na Nuragu... To jednak byli tylko mri, mniej wartościowa rasa. Nie mieli pamięci takiej jak regule i kłamstwo nie mogło żyć wśród nich tak, jak żyłoby wśród jego pobratymców. Być może oznaczało to, że ów czyn będzie mniej niemoralny. - Niemniej, she'pan - ciągnął, z uwagą panując nad głosem - taka jest prawda. Sprawy wyglądają teraz inaczej. Nie będziemy czekać tutaj tak długo, jak planowaliśmy. Wsiądziemy na pokład najszybciej, jak tylko można. - Czy obawiacie się, że ludzie mogą pozyskać nasze usługi? Ten strzał był zbyt bliski celu. Hulagh siedział bez ruchu, spoglądając na she'pan. Doszukiwał się w jej słowach ukrytego znaczenia. Mri, podobnie jak regule, byli prawdomówni. Wiedział o tym z przekazów wszystkich swych poprzedników. Sporządzili oni akta, których się nauczył, a od prawdziwości relacji przodków zależała cała przeszłość i w związku z tym również cała przyszłość. Czy przodkowie również odczuwali pokusę, by kłamać, uprawiać drobne gierki z prawdą i rzeczywistością? Czy faktycznie czynili coś podobnego? Sama ta wątpliwość sprawiła, że przeciążone

serca Hulagha zaczęły bić szybciej. Myśl owa burzyła fundamenty jego najbardziej ugruntowanych przekonań i sprawiała, że wszystko pogrążało się w niepewności. Bo przecież, wbrew tradycji pochodzącej od przodków, regulski bai przed chwilą skłamał. Uczynił to po to, by uratować wiele istnień. Działał w słusznej sprawie, dla dobra dwóch gatunków, niemniej jednak prawda została zniekształcona i teraz kłamstwo nadawało kształt prawdzie, by się pod nią ukryć.

- Gorąco pragniemy - ciągnął Hulagh, brodząc coraz głębiej w tym obcym żywiole - zapewnić wam bezpieczeństwo przed ludźmi, a także przyspieszyć odlot ze względu na bezpieczeństwo zarówno nasze, jak i wasze. Zagrożone są nasze młode oraz ja sam i moja reputacja. Ponieważ jestem kimś niezwykle wartościowym w oczach mojego ludu, możecie być pewni, że podejmiemy nadzwyczajne kroki celem zapewnienia bezpieczeństwa tego statku. Jeśli chcecie odlecieć z nami, a radzę wam, byście to uczynili, she'pan, bardzo stanowczo wam radzę, przygotujcie się do natychmiastowego wejścia na pokład.

- Służyliśmy regulom - odparła she'pan - przez dwa tysiące lat. Nasza służba trwała bardzo długo i niewiele otrzymaliśmy za nią w nagrodę.

- Dawaliśmy wam wszystko, o co prosiliście, a nawet więcej. Proponowaliśmy wam usługi naszych techników, którzy podzieliliby się z wami wszystkimi dobrodziejstwami naszego doświadczenia, a także dostęp do naszych archiwów, naszej historii i naszej techniki.

- Nie pożądamy tej waszej wiedzy - odparła she'pan.

- Tym gorzej dla was - odrzekł bai. Spotkał się już przedtem z tą głupotą mriu

Medaia. - She'pan, przebywacie tylko we własnych domostwach i na statkach, lecz te statki są produkcji regulskiej. Nawet waszą broń wytwarzają regule, podobnie jak żywność. Bez nas zginęlibyście z głodu. A mimo to udajecie, że pogardzacie naszą wiedzą.

- Nie pogardzamy nią - odpowiedziała she'pan. - Po prostu jej nie pożądamy. Hulagh odwrócił wzrok od jej barku i zaczął się przyglądać samej komnacie, wyrażając w ten sposób pogardę dla warunków, w jakich she'pan sprawowała swój urząd - w pomieszczeniach zaledwie spełniających wymogi higieny, komnatach pozbawionych wszelkich wygód i udekorowanych tymi przerażająco prymitywnymi, lecz wywierającymi potężne wrażenie symbolami. Hulagh wątpił, by sami mriu pamiętali ich znaczenie.

Byli przesadnym ludem. Jeśli jeden z nich zachorował lub został ranny, odmawiał

przyjęcia
regulskiej pomocy, wołac umrzeć niż przyznać się do słabości. Pragnął jedynie
obecności
innego mri bądź dusa. Tak w praktyce przejawiała się ich religia.
Mimo tej pomocy, na ogół umierali.
Jesteśmy wojownikami - słyszeli często od nich regule - nie nosicielami
ciężarów,
sprzedawcami towarów lub uprawiającymi sztukę zależnie od nadarzającej się
okazji albo
spodziewanych korzyści.
Mri mieli w pogardzie wszystkie takie rzeczy, jak medycyna, inżynieria,
literatura,
rolnictwo, czy praca fizyczna jakiegokolwiek rodzaju, dopóki pod ręką był
choć
jeden regul
mogący wykonać ją za nich.
Zwierzęta - pomyślał Hulagh - zaraza i zniszczenie, to nic więcej jak tylko
zwierzęta.
Uwielbiają wojnę. Tę ostatnią celowo przeciągnęli w swej głupocie. Nigdy nie
powinni byli
wykorzystywać ich na wojnie. Za bardzo ją lubią.
Młodzieńca, aroganckiego, młodego kel'ena, który siedział obok kolana
she'pan,
zapytał:
- Młode, czy nie pragnęłobyś się uczyć? Posiadać rzeczy, które mają regule,
poznać
przeszłość i przyszłość i dowiedzieć się, jak budować z metalu?
Migotki przesłoniły na chwilę złociste oczy, co było u mri wyrazem zaskoc-
zenia.
- Jestem z Kel - odparł młody wojownik. - Wykształcenie nie jest odpowiednie
dla
mojej kasty. Zapytaj Sen.
Teraz z kolei spojrzała na niego młoda kobieta w złotych szatach. Jej
odsłonięta
twarz
stanowiła doskonałą, pozbawioną wyrazu maskę.
- Sen słucha przewodnictwa she'pan. Jej zapytaj, baiu, czy pożąda ona twojej
wiedzy.
Jeśli tak rozkaże, nauczę się wszystkiego, co masz do przekazania.
Bawili się z nim, udając ignorancję. Humor mri. Hulagh dostrzegł jego błysk w
oczach she'pan, która podczas tej okrężnej wymiany zdań siedziała nieruchomo.
- Wiemy - odezwała się wreszcie - że zawsze mogliśmy otrzymać te rzeczy. My
jednak pragnęliśmy innych nagród za służbę niż to, co macie do zaoferowania,
a w
ostatnich
latach dostawaliśmy ich bardzo niewiele.
Zagadki. Mri uwielbiali swe niedopowiedzenia, swą niezrozumiałość. Nie sposób
było
pomóc podobnym istotom.
- Gdyby któryś z was - powiedział Hulagh ze starannie zachowywaną cierpli-
wością
-
raczył kiedykolwiek wyjaśnić, jakiej nagrody oczekujecie, być może
zdołalibyśmy
znaleźć
sposób na to, by wam ją dać.
She'pan jednak nie odpowiedziała nic. Mri nigdy nie udzielali informacji na
ten

temat.

„Służymy w zamian za wynagrodzenie” - mówili niektórzy z nich z pogardą, gdy zadawano

im podobne pytanie, nie uchylali jednak nawet rąbka całej prawdy. Ta she'pan, podobnie jak

jej poprzedniczki, nie odpowiedziała ani słowem.

- Moi ziomkowie czuliby się podniesieni na duchu - stwierdził Hulagh, uciekając się

do starożytniej sztuczki - odwołania się do litery przysięgi oraz sumienia mri.

Była to zresztą

przynajmniej w części prawda. - Jesteśmy przyzwyczajeni do ochrony mri. Nie jesteśmy

wojownikami. Gdyby choć jeden lub dwóch z was znajdowało się na pokładzie w chwili

startu, czulibyśmy się bezpieczniej podczas podróży.

- Jeśli żadasz przydzielenia mri do ochrony - odparła she'pan - muszę jednego wysłać.

- She'pan - powiedział Hulagh. Po raz kolejny spróbował odnaleźć jakiś element

rozsądku, zapominając o własnej godności oraz obserwujących go oczach Chula.

-

Czy

wysłałabyś jednego mri, samego, bez jego pobratymców, na wędrowkę tak długą, w

jaką się

udajemy, bez realnych szans powrotu? To byłoby okrutne. Co w rejonie Kesrith może się

znajdować takiego, by was tu zatrzymać, gdy już odlecimy?

- Dlaczego nie mielibyśmy - zapytała she'pan - podążyć na naszym własnym statku

za

wami aż na Nurag? Dlaczego tak gorąco pragniesz, byśmy wsiedli na pokład twojego, baiu

Hulaghu?

Obowiązują nas pewne prawa - odparł Hulagh. Serca mu waliły. - Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że musimy przestrzegać zasad ostrożności. Będziecie tam

jednak

bardziej bezpieczni niż tutaj.

- Tu przybędą ludzie - zauważyła she'pan. - Czyż nie postaraliście się, by do tego

doszło?

Hulagh w swej rozległej pamięci nie odnalazł niczego, co umożliwiłoby mu zrozumienie tej odpowiedzi. Prześliznęła się ona niepokojąco przez jego

myśli,

wywołując

paskudne podejrzenia.

- Czy - zapytał Hulagh, zmuszony postawić sprawę jasno - pragniecie zmienić pracodawców i pójść na służbę do ludzi?

She'pan wykonała jakiś ledwo widoczny gest, pozbawiony znaczenia dla reguli.

- Naradzę się z moimi Mężami - stwierdziła. - Jeśli uznasz to za stosowne, wyślę

z

tobą jednego z moich kel'ein, o ile tego zażadasz. Pełnimy służbę u reguli.

Byłoby nie na

miejscu i sprzeczne z prawem, gdybym odmówiła wysłania z tobą jednego z nas, jeśli jest ci

potrzebny, o Hulaghu, baiu Kesrith.

Teraz, dopiero teraz padły uprzejme słowa. Choć mri nie potrafili kłamać, w Hulaghu

ta tak późna zmiana zachowania nie wzbudzała zaufania. On również sądził, że nie

umie

kłamać przed tą konferencją i chwilą konieczności. A i tak wszystko poszło na mamę. Mri

faktycznie mogli nie kłamać, nie wydawało się też jednak prawdopodobne, by she'pan nie

była zdolna do żadnych podstępów. Być może śmiała się z niego, ukrywając to pod

tymi

pozorami uprzejmości. Członkowie Kel zaś mieli zasłonięte twarze i byli nieprzeniknieni.

- She'pan - zapytał - co masz do powiedzenia o tym statku, który nadlatuje?

- Co mam do powiedzenia? - powtórzyła jak echo.

- Kim są mri na jego pokładzie? Z jakiej pochodzą rodziny? Czy są z tego edunu?

Po raz drugi dostrzegł ów osobliwy gest dłoni she'pan, która ponownie zaczęła głaskać głowę młodej kobiety opartej o jej kolano.

- Statek ów, baiu, nazywa się Ahanal. Czy składasz formalną prośbę, by jeden z

nas ci

towarzyszył?

- Powiadomię cię o tym, gdy już naradzisz się ze swymi Mężami i odpowiesz mi na

resztę pytań - odparł Hulagh, zauważając, że uchyliła się od odpowiedzi na jego

pytanie.

Narastał w nim gniew.

To byli mri. Niewiele więcej niż zwierzęta. Nie wiedzieli nic i pamiętali jeszcze

mniej, a wazyli się próbować wystrychnąć na dudków reguli.

Znajdował się jednak na ich terytorium, a ponadto był jedynym przedstawicielem

prawa na tym zakazanym świecie.

Po raz pierwszy postrzegał mri nie jako źródło otuchy, nie jako coś interesującego

dziwaczego czy nawet irytującego, lecz jako tępogłową, złowieszczą siłę, taką

jak dusei.

Zauważył u odzianych w ciemneszaty wojowników niewzruszoną obojętność na autorytet

reguli, którzy zawsze wydawali im rozkazy.

Przez cały czas, gdy mri służyli różnym regulskim docha i ośrodkom władzy, nigdy

nie wydarzyło się, by sprzeciwili się woli pracodawców. Nie bezpośrednio. Hulagh

dokonał

przeglądu swej pamięci i nie odnalazł w niej żadnego świadectwa mówiącego o tym,

jak

postępowali mri w przypadku, gdy nie chodziło o tradycyjne posłuszeństwo. To była

najbardziej przykra ze wszystkich możliwych sytuacji - taka z jaką nie zetknął

się dotąd żaden

regul, którego wspomnienia zarejestrowano. Obszerna pamięć Hulagha, pozbawiona wszelkich niezbędnych danych, była w tym przypadku równie bezradna, jak pamięć młodego.

Regule ogarnięci daleko posuniętym uwiadem starczym twierdzili niekiedy, że posiadają wspomnienia o sprawach, które znajdowały się jeszcze w przyszłości, dostrzegają rzeczy, których jeszcze nie było i na ten temat których nie można było mieć żadnych danych.

Czasem wygłaszane na wczesnym etapie sądy tych starców okazywały się w wysokim

stopniu trafne, który to fakt urągał i wymykał się wszelkiej analizie.

Później

jednak proces

ulegał przyśpieszeniu i maćił wszystkie ich wspomnienia. To, co prawdziwe, mieszało się z

tym, co jeszcze nie było oraz z tym, co nigdy nie miało być prawdziwe, aż wreszcie reguli

ogarniało nieodwracalne szaleństwo. Nagle Hulagh poczuł coś w tym rodzaju. Dokonał

projekcji potencjalnych możliwości kryjących się w zaistniałej sytuacji i uzyskał w efekcie

szalone przeczucie mówiące, że te wojownicze stworzenia rzucają się na niego i zabijają jego i

Chula jednocześnie, w akcie wywołanego krwiożerczym szaleństwem buntu przeciwko regulskiemu

docha. Jego dwa serca zabiły mocno z przerażenia spowodowanego nie tylko tą wizją, lecz

również faktem, że w ogóle go ona nawiedziła. Miał trzysta dziesięć lat.

Zbliżał

się już do

chwili, gdy jego zdolności umysłowe zaczęły się zmniejszać, obecnie jednak znajdował się

wciąż u ich szczytu i spodziewał się, że sytuacja ta nie ulegnie zmianie jeszcze

przez całe

dziesięciolecie. Przeraziła go myśl, że schyłek mógł się zacząć tutaj, pod wpływem napięcia

wywołanego tak wielką dozą niezwykłości. Przyjmowanie na jeden raz równie wielkich jej

dawek nie było zdrowe dla starych reguli.

- She'pan - zaczął - podejmując ostatnią, naprawdę ostatnią próbę przełamania jej

nieugiętości. - Zdajesz sobie sprawę, że ta nierozsądna zwłoka może w efekcie doprowadzić

do tego, że żaden z was nie zdoła bezpiecznie wejść na pokład.

- Naradzimy się - odparła. Nie było to ani „tak”, ani „nie”, Hulagh uznał jednak

te

słowa za absolutną odmowę i doszedł do wniosku, że nie otrzyma żadnej wiadomości

od

she'pan, dopóki nie wyląduje ów statek.

Mri coś knuli. Wiązało się to w jakiś sposób z Kesrith. Nie chcieli dopuścić reguli do

tej tajemnicy. Hulagh przypomniał sobie młodego kel'ena, który popełnił samobójstwo, gdy

odmówiono mu pozwolenia na opuszczenie statku. Gdyby mu na to zezwolono, zaniósłby już she'pan wiadomość o obecności ludzi. Mri byli tak przewrotni, że jeśli odebrano by im ich wojnę, mogliby popełnić gatunkowe samobójstwo, broniąc się aż do końca przed ludźmi, którzy nadejdą, by objąć w posiadanie ten świat. Gdyby ludzie spotkali się z czymś podobnym, nigdy by nie uwierzyli, że mri działali na własną rękę. Skończyliby z nimi i przystąpili do akcji przeciw regulom. Było to kolejne przeczucie, o przerażającej naturze. Mri wycofają się jedynie na bezpośredni rozkaz, a jeśli wymknęli się już spod kontroli, żadnego odwrotu nie będzie. Przeklął nagle reguli, którzy byli skłonni uwierzyć, że mri podporządkują się im w tej sprawie - Grurana, który przekazał mu tę informację i sprawił, że Hulagh w nią uwierzył. Przeklął sam siebie za to, że potwierdził te dane i nie uznał mri za problem priorytetowy, lecz zajął się przede wszystkim załadunkiem cennych towarów na pokład Hazana oraz sprawą ludzi. Spróbował wstać, przekonał się jednak, że mięśnie ma nadal zbyt zmęczone po wspinaczce na górę, by mogły z łatwością podźwignąć jego ciężar. Nie oszczędzono mu upokorzenia, jakim był fakt, że młode Chul musiało go uratować przed ponownym osunięciem się na podłogę. Objęło go ono ramieniem i podtrzymało z całą siłą. She'pan strzeliła palcami. Młody, arogancki kel'en siedzący u jej kolana podniósł się z łatwością i podtrzymał Hulagha z prawej strony. - To jest bardzo męczące dla baia - powiedział Chul. Hulagh przeklął młode w myśli. - Jest bardzo stary, she'pan. Ta długa podróż wyczerpała go, a ponadto szkodzi mu tutejsze powietrze. - Niunie - odezwała się she'pan do swego kel'ena - odprowadź baia na dół, do jego pojazdu. She'pan podniosła się bez niczyjej pomocy. Przyglądała się z twarzą bez wyrazu i niewinnymi oczyma, jak Hulagh sapał z wysiłku wywołanego posuwaniem się na przód krok za krokiem. Bai nigdy nie żałował swej dawno utraconej młodości i związanej z nią łatwości poruszania się. Starość miała wiele zalet - rozległe wspomnienia i zaszczyty, wolność od strachu oraz usługi i szacunek ze strony młodych. Wśród mri jednak wyglądało to inaczej. Zdał sobie z palącym oburzeniem sprawę, że she'pan celowo dokonała tego porównania pomiędzy ich sprawnością w zaawansowanym wieku. Urządziła dla swych ziomek

spektakl, demonstrując im bezradność regulskiego starszego pozbawionego swych ślizgów i krzesel.

Mri, którzy poruszali się lekko i szybko oraz zachowywali sprawność nawet w skrajnie zaawansowanym wieku, musieli uważać tę słabość za coś osobliwego. Hulagh

zastanowił się, czy nie stroili oni sobie z tego żartów, podobnie jak regule z inteligencji mri.

Przez całe dwa tysiące dwieście dwa lata nikt nie widział, by jakiś mri wybuchnął otwartym śmiechem. Hulagh obawiał się, że teraz ich zasłonięte twarze były roześmiane. Spojrzał na oblicze Chula, by się przekonać, czy młode to rozumie. Sprawiało wrażenie jedynie oszołomionego i przestraszonego. Dyszało i sapało. Musiało na

dodatek do własnego dźwigać ciężar Hulagha. Młody mri po drugiej stronie nie spoglądał bezpośrednio na żadnego z nich, lecz z szacunkiem odwrócił oczy niczym przykład dobrego wychowania.

Wyrazu jego skrytej za zasłoną twarzy nie sposób było odczytać.

Przeszli przez stalowe drzwi i ruszyli przyprawiającymi o zawrót głowy meandrami

pomalowanych korytarzy. Wędrówka w dół po schodach przyprawiała Hulagha o straszliwe

katusze. Wszystko stało się dla niego jedną plamą cierpienia, kolorów, dławiącego powietrza

oraz możliwości śmiertelnego upadku. Gdy wreszcie dotarli na dół, poczuł błogosławioną

ulgę. Zatrzymał się tam na chwilę, dysząc, po czym ponownie ruszył naprzód, krok

za

krokiem, wspierając się na Chulu i Niunie. Kiedy minęli drzwi, z radością przywitał ostre,

gryzące powietrze oraz nieprzyjemne słońce. Jego zmysły odzyskały ostrość.

Zatrzymał się po

raz drugi i zamrugał powiekami w czerwonym świetle. Odzyskał dech w piersiach,

wsparty

na swych dwóch pomocnikach.

- Niunie - odezwał się, przypomniawszy sobie imię kel'ena.

- Panie? - odpowiedział młody mri.

- A gdybym wybrał ciebie, byś towarzyszył mi na statku?

Złociste oczy spojrzały prosto na niego, szerokie i - jak się zdawało - przestraszone.

Hulagh nigdy nie widział u mri podobnych przejawów uczuć. Zdumiało go to.

- Panie - powiedział młody kel'en. - Mój obowiązek wiąże mnie z she'pan. Jestem

jej

synem. Nie mogę jej opuścić.

- Czy wszyscy nie jesteście jej synami?

- Nie, panie. Większość z nich to jej Mężowie. Ja jestem synem.

- Ale nie synem z jej ciała.

Mri wyglądał, jakby go uderzono. Był wstrząśnięty i oburzony zarazem.

- Nie, panie. Mojej prawdziwej matki już tutaj nie ma.

- Czy odleciałbyś na Hazanie!

- Gdyby she'pan mnie wysłała, panie.

Ten mri był młody. Nie było w nim dwulicowości ani skomplikowanych motywów

kierujących she'pan. Młody, co prawda arogancki, lecz kogoś takiego jak ten Niun można było wyszkolić i ukształtować. Hulagh utkwiał wzrok w jego twarzy, zasłoniętej aż do wysokości oczu, i wydała mu się ona bardziej podatna na atak, niż było to typowe dla mri. Podobne gapienie się było nieuprzejme, lecz Hulagh skorzystał z przywilejów przysługujących bardzo starym regulom, do ostrego i obcesowego obchodzenia się z młodymi.

- A gdybym powiedział ci teraz, w tym momencie, żebyś wsiadł do ślizgu ze mną? Przez chwilę wydawało się, że młody mri nie wie, jak; na to odpowiedzieć. Być może jednak po prostu gromadził „w sobie ową rezerwę, tak ważną dla wojownika z jego gatunku. Oczy widoczne ponad zasłoną pełne były otwartego strachu i cierpienia.

- Mógłbym ci zapewnić bezpieczeństwo - powiedział Hulagh.

- Tylko she'pan może mnie wysłać - odpowiedział młody kel'en - a wiem, że tego nie zrobi.

- Obiecała mi jednego mii.

- Wybór, kto ma odejść, a kto zostać, zawsze był przywilejem edunu. Powtarzam ci, że nie pozwoli mi odejść z tobą, panie. Było to jasno powiedziane, a uzyskanie pozwolenia poprzez dyskusję z pewnością wymagałaby kolejnej, pełnej cierpienia wspinaczki na szczyt budowli oraz następnej debaty z she'pan - długiej, denerwującej i o wątpliwej skuteczności. Hulagh poważnie rozważył tę możliwość, odrzucił ją jednak. Spojrzał na młodą twarz, starając się utrwalić sobie w pamięci szczegóły, które czyniły tego mri innym od pozostałych.

- Jak brzmi twoje imię, twoje pełne imię, kel'enie?

- Niun s'Intel Zain-Abrin, panie.

- Pomóż mi wsiąść do pojazdu, Niunie.

Mri sprawiał wrażenie, że poczuł pełną niepewności ulgę, jak gdyby zrozumiał, że to było wszystko, o co poprosi go Hulagh. Zabrał się z całą siłą do tego zadania i ze znaczną pomocą Chula opuścił powoli, ostrożnie i z wielką delikatnością ciężkie ciało Hulagha na poduszkę. Wyczerpany bai wydał z siebie drugie westchnienie. Na chwilę zamroczyło go, gdy krew napłynęła mu do głowy. Następnie niecierpliwym gestem nakazał mri odejść. Przyglądał się, jak Niun zawraca ku drzwiom po zniszczonej erozją ścieżce. Dus u drzwi podniósł głowę,

by sprawdzić, kto idzie, po czym przekreślił nagle ciało w drugą stronę i położył się z łbem między przednimi łapami. Jego oddech wzbił pył w powietrze. Młody mri przystanął na chwilę, a następnie zniknął w głębi edunu.

- Jedziemy - powiedział Hulagh do Chula, który uruchomił pojazd. Maszyna ruszyła naprzód z turkotem. - Młode, skontaktuj się z moim biurem i dowiedz się, czy wydarzyło się coś nowego - odezwał się ponownie bai.

Z niepokojem myślał o nadlatującym statku, choć niewątpliwie znajdował się on jeszcze daleko. Martwiły go też inne sprawy, które dziś rano wydawały się proste i pewne.

Wciągnął w płuca przyjemne oczyszczone i ogrzane powietrze wypełniające wewnątrz i spróbował uporządkować myśli. Powstała nieznośna sytuacja. Ludzie mieli wkrótce przybyć, a jeśli odkryją obecność mri w pobliżu Kesrith i będą podejrzewać zdradę lub zasadzkę, mogą się zjawić szybciej. Mogą się zjawić znacznie szybciej.

Niewątpliwie dojdzie do konfrontacji pomiędzy mri a ludźmi, o ile Hulagh nie zdoła uwolnić Kesrith oraz jej otoczenia od tych pierwszych - w taki czy inny sposób.

Teraz zaś, gdy nagle został zmuszony do uwzględnienia w swych kalkulacjach she'pan Intel, nie potrafił już określić, jak stoją sprawy między mri a regulami. Albo między mri a ludźmi.

- Baiu - usłyszał przez radio głos Hady Surag-gi - bądź łaskaw. Nawiązaliśmy bezpośredni kontakt z nadlatującym statkiem mri. Nazywa się Ahanal.

- Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem, młode.

Na moment zapadła cisza. Hulagh żałował swego wybuchu, gdyż Hada miał dobre intencje, a jego pozycja nie była godna pozazdroszczenia. Musiał się uporać z arogancją mri i z niecierpliwością baia jednocześnie.

- Baiu - odezwał się bojaźliwie Hada. - Ten statek nie ma bazy na Kesrith, lecz mimo to zamierza lądować. Mri powiedzieli... baiu...

- No gadaj, młode.

-... że wylądują jutro, gdy nad kesrithańskim miastem będzie zachodziło słońce.

Są już blisko. Niebezpiecznie blisko, baiu. Nasza stacja monitorowała regularne trasy podejścia - szlaki kosmiczne - ale oni je zignorowali.

Hulagh wypuścił cicho powietrze z płuc. Powstrzymał się od przekleństwa.

- Bądź łaskaw - powiedział Hada.

- Młode, co jeszcze?

- Z miejsca odrzucili naszą sugestie, by dokowali na stacji. Chcą wylądować w

porcie.
Oznajmiliśmy im, że w myśl traktatu nie mają do tego prawa i wyjaśniliśmy, że nasze
urządzenia portowe zostały uszkodzone na skutek straszliwej pogody. Nie
chcieli
nas słuchać.
Powiedzieli, że potrzebne im zaopatrzenie. Zapewniliśmy ich, że mogą otrzymać
je
na stacji.
Nie chcieli nas wysłuchać. Żądają pełnych zapasów oraz wyposażenia koniecz-
znego
dla statku
pierwszej klasy posiadającego uzbrojenie używane w stanie wojny. Tłumac-
zyliśmy
im, że nie
jesteśmy w stanie spełnić ich żądań, lecz oni nadal się tego domagają, baiu.
Twierdzą...
twierdzą, że na tym statku znajduje się ponad czterystu mri.
Przez grubą skórę Hulagha przebiegł dreszcz.
- Młode - odezwał się bai - w całej znanej przestrzeni - jak nam wiadomo -
ocalało
jedynie pięciuset trzydziestu trzech przedstawicieli tego gatunku, z czego
trzynastu znajduje
się obecnie na Kesrith, a jeden niedawno zmarł.
- Bądź łaskaw - bronił się Hada. - Baiu, jestem całkowicie pewien, że
usłyszałem
to
dokładnie. Poprosiłem ich o powtórzenie tej liczby... Istnieje możliwość -
dodał
drżącym
głosem Hada, sapiąc z niepokoju. - Istnieje możliwość, że są to wszyscy mri,
jacy pozostali
przy życiu w całym wszechświecie.
- Zaraza i zatracenie - powiedział cicho Hulagh, poczym wyciągnął rękę, by
szturchnąć Chula w ramię. - Doportu.
- Baiu - zapytał Chul, mrugając powiekami.
- Do portu - powtórzył Hulagh. - O młoda ignorancjo, do portu. Jedź do portu.
Pojazd skręcił w lewo, skorygował kurs, przez pewien konieczny odcinek
podażał
jeszcze wzdłuż grobli, po czym na umożliwiającym przejazd terenie na skraju
miasta, oddalił
się od niej i pognał, podskakując, między zaroślami. Można było z niego
dostrzec
na
przemian różowe niebo oraz odległe kesrithańskie góry lub białe, jałowe pi-
aski i
cienkie,
poskręcane pnie karłowatych drzew zwanych luinami.
Wszystko to pozostawiali w spadku ludziom.
Niech sobie z tym robią, co chcą.
Ponownie zaczął myśleć o mri, który popełnił samobójstwo, a także - co raz za
razem
przyprawiało go o dreszcze - o pozostałych członkach tego gatunku, zmier-
zających
w tej
chwili w stronę Kesrith. Wszyscy mri, którzy żyli jeszcze, wracali na swój
świat
ojczysty,

który miał przejść pod władzę ludzi.
Aby umrzeć?
Chciałby mieć pewność, że było to tak proste i ostateczne. Powstrzymać ludzi,
tchnąć
nowe życie w wojnę, zniszczyć pokój, a wraz z nim reguli, a potem - jako że
byli
nieliczni -
zginać i pozostawić regulski gatunek na łaskę i niełaskę rozwścieczonych
wrogów:
to było
podobne do mri.
Zaczął się zastanawiać nad tym, jaki wybór mu pozostał w sprawie najemników.
Jego
dwa serca biły ciężko ze strachu. Podobnie jak nigdy nie kłamał, dopóki nie
zadał się z mri,
tak samo nigdy nie rozważał możliwości dopuszczenia się własnoręcznego aktu
przemocy,
bez wynajmowania mri jako pośredników.
Ślizg skręcił gwałtownie w stronę bramy portu, podskakując nieprzyjemnie na
koleinach. Nawet tu wkradało się zniszczenie. Z wszechogarniającym lękiem
dojrzał, że
ponad wzgórzami leżącymi za miastem znowu gromadzą się chmury.
Rozdział 13
Nadszedł deszcz łagodny nieprzyjaciół, który zaczął uderzać o ściany edunu.
Rozpętały się wiatry, lecz bariera gór oraz piętrzących się w pobliżu wy-
sokich
skał odarła je z
mocy i skierowała ze świstem w stronę regulskiego miasta i portu. Przez całe
dwa
tysiące lat
silne wichry ani razu nie tknęły edunu.
Miło było w taką noc spożywać wspólny posiłek, na który wszystkie kasty
gromadziły
się w wieży she'pan. Przez cały wieczór w powietrzu wisiało osobliwe uczucie,
gwałtowne i
przyjemne, dające satysfakcję równie silną, jak huczące wichry. Dusei,
wrażliwe
na podobny
nastrój, stały się tak niespokojne, że trzeba je było wygnać z edunu, by
wałęsały się owej
nocy tam, gdzie zechcą. Zniknęły w mroku wszystkie, oprócz miuk'ko przy
bramie,
któremu
niepokój ogarniający świat nie przysparzał dolegliwości.
Kel'ein byli podniesieni na duchu. Ich stare oczy lśniły. Nie wspomniano o
zbliżającym się statku, znajdował się on jednak w centrum uwagi wszystkich.
Niun, podobnie jak inni kel'ein, poczuł nagły przypływ nadziei wywołany
przybyciem
Ahanala. Nagle otworzyły się przed nim przyprawiające o zawrót głowy możli-
wości
i
perspektywy. Inni. Bracia. Rywale. Wezwanie oraz nadzieja na życie.
Ponadto, choć Niun był niedojrzały i nie miał doświadczenia w walce, przez co
nie był
nikim ważnym, mieszkał na świecie ojczystym i był członkiem jego Kel, zaś
nade
wszystko
był kel'enem she'pan. Nie był przyzwyczajony do tego uderzającego do głowy

uczucia.

Przestał być ostatnim i stał się jednym z pierwszych.

- Nawiązaliśmy kontakt ze statkiem mri - to było wszystko, co she'pan powiedziała im

dziś rano, przed przybyciem regulskiego baia. Poza jego nazwą było to wszystko,

co

wiedzieli. Pani Matka zebrała ich razem o brzasku i przemówiła do nich cicho i

spokojnie.

Było to dla niej wielkim wysiłkiem, gdyż przez większość czasu leżała bez czucia. Na chwilę

jednak, na krótką chwilę, zjawiła się wśród nich Intel, jakiej Niun nigdy nie widział. Poczul

głęboki respekt dla tej nieznanym o spokojnym głosie i jasnym umyśle, która ze

znajomością rzeczy mówiła o słabo monitorowanych przez reguli szlakach i trasach

wiodących wokół Kesrith. Zdarzało się, że przemawiała zagadkami, to jednak nie

była jedna z

tych chwil.

- Już niedługo - powiedziała. - Bardzo niedługo. Nie spuszczaście oka z reguli,

kel'ain.

I szybko, szybciej, niż się spodziewali, zjawił się regulski bai, by przedstawić

im swe

propozycje.

Regule byli zaniepokojeni. Zetknęli się z czymś, co nigdy dotąd się nie wydarzyło,

byli więc zaniepokojeni i zbici z tropu.

- Intel - odezwał się Eddan, jej najstarszy Mąż, gdy skończyli już obiad i Niun

wrócił

do komnaty, odniósłszy naczynia do zmywalni, która - wraz z magazynami - była jedyną

częścią wieży Kath, jaka wciąż pozostawała otwarta. - Intel, czy Kel może prosić

o

pozwolenie na zadanie pytania?

Niun usiadł szybko pomiędzy kel'ain, podenerwowany i zarazem wdzięczny

Eddanowi, że ten zaczekał na niego. Spojrzał na twarz Intel w poszukiwaniu jakiejś nadziei,

której by im nie odmówiła.

She'pan zmarszczyła brwi.

- Czy Kel ma zamiar zapytać o statek?

- Tak - odparł Eddan - albo o cokolwiek, co warto wiedzieć.

She'pan rozpostarła dłonie, udzielając pozwolenia.

- Gdy on już wyląduje - zapytał Eddan - odlecimy czy zostaniemy?

- Kel'ain, powiem wam tyle: dostrzegam, że przydatność Kesrith dobiega końca. Tak

jest, odlecimy. Powiem wam też coś więcej: to, że jestem dłużna regulskiemu baiowi jednego

kel'ena, ale nic więcej. Bardzo też wątpię, by wrócił tu po to, co mu obiecałam.

Stary Liran, który zdjął z twarzy zasłonę, tak jak zrobili to wszyscy podczas

spożywanego w odosobnieniu wspólnego posiłku, uśmiechnął się i poruszył
pokryta
bliznami
ręką.

- Cóż, she'pan, Mała Matko, jeśli wróci, wyślij mnie. Chciałbym się prze-
konać,

czy
wszystko, co opowiadają o Nuragu, jest prawdą, a raczej się nie przydam przy
budowie

nowego edunu. Ten, choć cały popękany, jest moim domem, i jeśli nie mogę w
nim

pozostać,

to, cóż, mogę ponownie przyjąć służbę.

- Czy służba wśród Ludu nie byłaby równie dobra, Liranie?

- Tak, Mała Matko, z pewnością - odpowiedział Liran. W jego starych oczach
błysnęło zainteresowanie. Spojrzał przelotnie na Eddana. Była to prośba: za-
dawaj

pytania,

najstarszy. Całe Kel siedziało absolutnie nieruchomo. She'pan jednak uchyliła
się od

odpowiedzi na ich pytanie, a Eddan nie zadał następnego.

- Sathellu - powiedziała Intel. - She'pan?

- Przytocz na użytek Kel warunki traktatu, który zobowiązuje nas do służby
regulom?

Sathell pochylił głowę, po czym podniósł ją na nowo.

- Słowa układu pomiędzy doch Holn a mri stanowią traktat, który każe nam
służyć

regulom. Istotny fragment brzmi: „Dopóki, dopóty jedynie regule i mri
zamieszkują świat

ojczysty, na którym spoczywa edun Ludu... albo do chwili, gdy regule opuszczą
świat

ojczysty, na którym spoczywa edun Ludu...” Jedynie tak długo jesteśmy
zobowiązani pełnić

służbę u reguli, gdy tylko sobie tego zażyczą. Uważam, she'pan, że regule
pogwałcili już

ducha tego traktatu, jeśli nawet nie jego literę.

- Z pewnością - stwierdziła she'pan - niewiele nas dzieli od tego punktu.

Zawarliśmy

kontrakt z doch Holn i doch Holn mogła powiedzieć, jak należy z nami,
postępować, lecz ten

bai Hulagh najwyraźniej pochodzi z samego Nuragu i nie sędzę, by znał Lud.
Popełnił

poważny błąd, gdy nie zadbał bez zwłoki o to, by ewakuowano nas już dawno.

- Holn postępowała mądrzej - zauważył Sathell.

- Ale Holn nie zechciała przekazać swym następcom wszystkiego, co mogła im
powiedzieć. Stara bai Solgah zachowała milczenie. Ponadto regule na ogół nie
radzą się

pisemnych notatek. Nie są oni dobrymi wojownikami, lecz na swój sposób po-
trafiają

się

sprytnie mścić.

Intel uśmiechnęła się. W tym zmęczonym uśmiechu kryła się pewna satysfakcja.

- Czy Kel - zapytał Eddan - może prosić o pozwolenie na zadanie pytania?

- Pytaj.

- Czy sądzisz, że Holn celowo wyłączyła nas z listy aktywów, jakie przekazała
temu

baiowi Hulaghowi?

- Tak jest, sędzę, że Holn uzna to za akt zemsty, balsam dla swej dumy. Bai

Hulagh

utracił mri. W taki właśnie sposób regule walczą pomiędzy sobą. Cóż to ma dla nas za

znaczenie? Jestem jednak pewna jednego - powiedziała twardym tonem - tego, że Medai był

ostatnim z moich dzieci, które odleciało na regulskim statku, ostatnim, które zginęło za

sprawę reguli. Od tej chwili, od tej chwili kel'ain, nie spodziewajcie się, że

mri będą znowu

walczyć przeciwko mri. Nie. Nie będziemy walczyć.

Przez całe Kel przebiegła wyczuwalna trwoga.

- Czy Kel może zapytać... - zaczął Eddan, niewzruszenie oficjalny.

- Nie - odparła. - Kel nie może zapytać. Powiem wam jednak coś, o czym powinniście

wiedzieć. Liczebność Ludu uległa niebezpiecznemu zmniejszeniu. Był czas, gdy podobne

walki dobrze nam służyły, ale z tym koniec, kel'ain, z tym koniec. Powiem wam coś, o co nie

zapytaliście. Na statku Ahanal znajdują się wszyscy, którzy pozostali z Ludu.

Wy

jesteście

resztą. Więcej nas już nie ma.

W pokoju powiało chłodem. Nikt się nie poruszył. Niun oplótł ciasno ręce wokół

kolan, starając się wchłonąć w siebie wszystko, co powiedziała Matka. Miał nadzieję, że to

alegoria, gdyż Intel często przemawiała zagadkami, nie istniała jednak możliwość, by uznać

to za metaforę.

- Na Elagu - ciągnęła Intel wysokim, twardym głosem - regule ewakuowali swych pobratymców, a jednocześnie raz za razem rzucali przeciwko ludziom swych kel'ain.

Wezwali też tych z edunei na Mlassulu i Seleth i ich również wytracili. To jednak nie było

ważne dla reguli, dla tego nowego baia, Hulagha, dla tego nowego pana przysłanego z

Nuragu.

Nagle rozległ się dźwięk, odgłos uderzenia pięści w ciało. Eddan, który nigdy nie

przeklinał, zaklął.

- She'pan - powiedział później - czy Kel może zapytać...

- Nie ma już o co pytać, Eddanie - odparła Intel. - To właśnie się wydarzyło. Kosztowało to życie dziesięciu tysięcy mri, a także statki. Nie znam ich dokładnej liczby.

Bardzo wiele z nich należało do reguli, lecz nie miało regulskiej załogi na pokładzie, gdyż ich

właściciele bali się tam zostać. Zabili dziesięć tysięcy mri. Przeklinam she'panei, które

użyły swych dzieci na podobne przedsięwzięcie.

Delikatny pot sperlił twarz Intel. Jej skóra przybrała blady kolor. Słysząc było

chrapliwy odgłos jej oddechu przebijający się przez dobiegający z zewnątrz dźwięk deszczu.

Nigdy dotąd łagodna Matka nie przeklinała nikogo. Potworność, jaką była kłątwa

rzucana na

she'panei, przeszywała chłodem serce, lecz na twarzy Intel nie było widać

skruchy. Niun ostrożnie wciągnął powietrze. Wsysał je do płuc, jakby wydobywał je z ogrzanych słońcem południa piasków. Mięśnie zaczęły mu drżeć. Tym mocniej zaciskał dłonie w obawie, że ktoś to zauważy, jak gdyby w tej straszliwej chwili ktokolwiek mógł zwrócić uwagę na coś innego niż bicie własnego serca.

- Mała Matko - błagał ją Sathell. - Starczy tego. Starczy.

- Kel - odparła - uważa za konieczne zadawać pytania. Nie powinny one pozostać bez odpowiedzi. - Przerwała na chwilę, chwytając potężne oddechy, jak gdyby zamierzała za chwilę dokonać czegoś koniecznego, czegoś nie cierpiącego zwłoki. - Kel'ain - powiedziała - zaśpiewajcie mi Shon'jir.

Pomiędzy kel'ain nastąpiło poruszenie. Pojawiły się oznaki otwartej paniki i trwogi.

Ona umiera - brzmiała pierwsza myśl Niuna, następna zaś: O bogowie, cóż to za fatalny omen!

Nie potrafił wypowiedzieć słów, o które ich prosiła.

- Czy jesteście dziećmi - zapytała swych Mężów - by wierzyć, że coś przynosi szczęście lub pecha? Zaśpiewajcie mi rytuał Przejścia.

Popatrzyli na Eddana, który pochylił głowę w geście poddania się i zaczął cicho nucić.

Niun przyłączył się do nich, zdezorientowany tym szaleństwem, w którym kazano im uczestniczyć.

Od Mroku na początku
Do Mroku na końcu,
W Przerwie między nimi Stonce,
Lecz potem przychodzi Mrok,
A w tym Mroku,
Jeden koniec.
Od Mroku do Mroku
To jedna podróż
Od Mroku do Mroku
To nasza podróż.
Ale po Mroku,
O bracia, o siostry,
Przybывamy do domu.
Intel słuchała ich z zamkniętymi oczyma. Gdy skończyli, nastąpiła długa cisza. Wreszcie jej oczy otworzyły się i spojrzała na nich wszystkich, jak gdyby przebywała gdzieś daleko.

- Powiem wam - oznajmiła - rzeczy, które kel'ain wiedzieli ongiś, lecz które od tego czasu wyszły poza zakres wiedzy Kel. Zapamiętajcie je na nowo. Ogłaszam to za dozwolone.

Kesrith jest jedynie przerwą, Arain zaś jednym z wielu słońc. Zbliżamy się do końca. W historii Ludu, kel'ain, było wiele podobnych Mroków, a regule zapewnili nam jedynie ostatni

z wielu naszych domów. Dlatego właśnie nazywamy to Shon'jir, a w pospolitym języku rytuałem Przejścia. Dlatego właśnie odmawiamy go na początku i na końcu życia każdego z członków Ludu, a także na początku i na końcu każdej ery. Aż do chwili, gdy inna she'pan nakaże dzieciom twoich dzieci, Niunie, zapomnieć o tym, co wam powiedziałam, Kel może pamiętać.

- Matko - powiedział, unosząc rękę, by zwrócić się do niej z błaganem. - Matko, czy masz na myśli przeniesienie świata ojczystego? Była dla niego matką zbyt długo. Dopiero gdy wypowiedział swe pytanie, zdał sobie sprawę, że należy się jej więcej uprzejmości. Siedział z bijącym sercem. Spodziewał się, że Intel udzieli mu chłodnej odprawy, zapytując Eddana, czy Kel chce zadać jakieś pytanie.

Ona jednak nie zmarszczyła brwi ani nie odmówiła mu odpowiedzi.

- Niunie, zdradzę ci więcej z prawdy, byś mógł ją rozpatrzyć. Regule uważają się za starych, ale Lud jest starszy. Dwa tysiące lat, o których wiesz, to jedynie przerwa. Jesteśmy koczownikami. Powiedziałam, że Kel nie będzie walczyć, Kel jednak ma inne zadania. Ostatni z moich synów, Kel Mroków jest inne niż Kel Przerwy. Ostatnia z moich córek, she'panat Mroków jest obowiązkiem, którego ci nie zazdroścę.

W jednej chwili przez całe Kel, od jednego do drugiego z zebranych, przebiegła fala pełnej strachu i zdumienia uwagi. Przekazano władzę, nie faktycznie, niemniej jednak w formie deklaracji. Niun spojrział na swych dotychczasowych braci i dostrzegł ich trwogę. Spojrział na Melein i dostrzegł, że jest błada i wstrząśnięta. Zasłoniła twarz i odwróciła się od nich. Nagle poczuł się całkowicie samotny, nawet wśród Kel. Pochylił głowę i pozostał w tej pozycji, podczas gdy Eddan przyciszonym głosem błagał o pozwolenie na zadanie pytania. She'pan mu odmówiła.

- Sen pyta - odezwał się wtedy głos Sathella. Jemu zadania pytania nie można było zabronić. - She'pan, nie możemy czynić takich planów, nie naradzając się ze sobą.

- Czy to pytanie, Sen? - odparła she'pan oschłym tonem. To zderzenie woli z wola sen'antha wywołało szok, po którym nastąpiło milczenie. Niun popatrzył na nich, na jedno, a

potem na drugie, przerażony faktem, że ci, którzy władali jego życiem, nie zgadzali się ze sobą.

- To jest pytanie - odrzekł Sathell.

She'pan przygryzła wargę i skinęła głową.

- Niemniej - odparła - poczyniliśmy te plany, nie naradzając się z nikim. Nie pytałam

nikogo, gdy sprawiłam, że Ahanal nie wziął udziału w szaleństwie Elagu ani wtedy, gdy

zachowałam naszą bazę na Kesrith, mimo że niektórzy nalegali, by ją porzucić. Przygotowałam te plany, nie naradzając się z nikim i nie pozostawiłam Ludowi żadnego

wyboru.

- Co spowodowało śmierć wszystkich z naszego Kath i większości z Kel, podczas gdy

mogliśmy dostać na świat ojczysty Lushain, gdzie jest woda i łagodny klimat.

Mogliśmy mieć

bogata planetę, she'pan.

- To stary spór - odpowiedziała cichym głosem. - Postawiłam na swoim, Sathellu,

ponieważ to she'pan, nie sen'anth, kieruje Ludem. Pamiętaj o tym.

- Sen pyta - odezwał się sen'anth drżącym głosem. - Dlaczego. Dlaczego to musiała

być Kesrith?

- Czy twoja wiedza jest wystarczająco obszerna? Czy znasz ostatnie Tajemnice, sen'anthu?

- Nie - przyznał Sathell z najwyższą niechęcią.

- Kesrith stanowiła najlepszy wybór.

- Nie wierzę w to.

- Powiedziałam wtedy - ciągnęła Intel stanowczym głosem - że podjęłam taką decyzję,

jaką uważałam za trafną. To nadal jest prawda. Nie żądam od ciebie, byś w to wierzył.

- O tym wiem - odrzekł Sathell.

- Kesrith jest surowa. Zabija słabych. Spełniła swe zadanie.

- Ta kuźnia Ludu, jak ją nazwałaś, spełniła swe zadanie zbyt dobrze. Jest nas za

mało.

A Elag nie pozostawił nam nic.

- Elag pozostawił nam grupę podobną do ocalałej z Kesrith - stwierdziła Intel. -

Taką,

która przeszła przez ogień.

- Garstkę.

- Daliśmy Ludowi - powiedziała - miejsce, w którym mógł się zatrzymać.

Pozostaniemy tutaj, dopóki ludzie nie postawią stopy na Kesrith. Później nadejdzie Mrok.

Później decyzję będą podejmować inni niż ty i ja, Santhellu.

Zapadła cisza. Santhell podniósł się nagle. Oparł się o ścianę, by się nie przewrócić.

Pokonała go własna słabość.

- A więc - powiedział - niech inni przejmą to prawo już teraz.

Wyszedł z komnaty. Odgłos jego kroków padał w dół wieży.

Eddan pochylił głowę, podszedł do Intel i ujął jej dłoń.

- Mała Matko - powiedział łagodnym głosem. - Kel udziela ci aprobaty.

- Kel wie mało - odparła. - Nawet teraz.

- Kel zna she'pan - odpowiedział słabym głosem, po czym spojrzął na wszystkich

po

kolei, na samym końcu na Melein.

- Sen Melein. Przygotuj dla niej kubek.

- Dziś w nocy go nie wypiję, Eddanie - odparła Intel. Wyraz jego twarzy nakazywał

jednak co innego. Melein skinęła głową, przystępując do milczącego spisku przeciwko woli

she'pan. Podniosła się i napełniła kubek wodą i komalem, przygotowując napój, który

zapewni Intel odpoczynek.

- Odejdźcie - powiedział Eddan do Kel.

- Niun zostanie - oznajmiła Intel i Niun, który podniósł się wraz z pozostałymi,

zatrzymał się.

Na dole główne drzwi otworzyły się i zamknęły z głuchym łoskotem.

- Bogowie - wydyszała Pasev. Rzuciła spojrzenie na Intel. - On opuszcza edun.

- Pozwólcie mu odejść - nakazała Intel.

- She'pan - w głosie Melein słyszalna była wyraźna nutka bólu. - Nie może spędzić

całej nocy na zewnątrz przy tej pogodzie.

- Pójdę po niego - zaproponował Debas.

- Nie - odparła she'pan. - Pozwólcie mu odejść.

Po chwili stało się jasne, że nic nie zmieni jej zdania. Nie można było w tej sprawie

nic zrobić. Melein usiadła u boku Intel. Twarz wciąż miała zasłoniętą. Odwróciła

wzrok.

- Kel może odejść - powiedziała Intel. - Z wyjątkiem Niuna. Śpijcie dobrze, kel'ein.

Eddan nie miał zamiaru odchodzić. Pozostał w komnacie, gdy inni już wyszli, Intel

jednak odprawiła go gestem.

- Idź już - poprosiła. - Dziś w nocy nie mogę ci już powiedzieć więcej, Eddanie.

Rankiem jednak wyslij jednego z kel'ein, by obserwował port z wysokich skał. Teraz idź

spać. Burza powstrzyma reguli przed wszelkimi działaniami, jutro sprawy mogą

jednak

wyglądać inaczej.

- Nie - odparł Eddan - pójdę za moim bratem.

- Bez mojego błogosławieństwa.

- Wszystko jedno - powiedział Eddan i odwrócił się, by odejść.

- Eddanie! - zawołała.

Spojrzał znów na nią.

- Zaczyna nas być zbyt mało - zauważył - byśmy mogli odbyć wiele podróży do Sil'athen. Sathell nie opuściłby Nisrenu z własnej woli. Ja również. Teraz

nie

opuścimy

Kesrith. Powędrujemy do Sil'amen, on i ja. Będziemy zadowoleni.

- Daję ci moje błogosławieństwo - powiedziała po chwili.

- Dziękuję ci, she'pan - odrzekł.

To było wszystko. Eddan wyszedł. Niun wpatrywał się w mrok komnaty, w którym zniknął kel'anth. Drżał mu każdy mięsień.

Eddan i Sathell byli już praktycznie martwi. Dokonali wyboru. Sathell postąpił

zgodnie ze zwyczajami swej kasty, zaś Eddan w sposób nietypowy dla swojej wyruszył w

długą podróż razem z nim. Niun widział twarz Eddana. Nie było w niej smutku.

Słyszał teraz kroki kel'antha, który schodził szybko i lekko w dół spirali. Potem drzwi zamknęły się również za nim. Było pewne, że edun utracił dwóch spośród swych członków, i to wielkich.

- Usiądźcie przy mnie - rozkazała im Intel.

- She'pan - powiedziała Melein słabym, pełnym napięcia głosem. - Przygotowałam dla ciebie kubek. Wypij go, proszę.

Podawała go jej, trzymając tacę w drżących rękach. Intel przyjęła od niej naczynie, wypijała jego zawartość i odstawiła je z powrotem. Odchyliła się do tyłu w chwili, gdy Niun uklęknął u jej lewej ręki, a Melein u prawej.

W ten sposób spędzili wiele nocy od chwili śmierci Medaia, gdyż Intel spała niespokojnie i nie mogła zasnąć, jeśli w komnacie nikogo nie było.

Tej nocy Niun zazdrościł jej kotnalu. Nie chciał na nią patrzeć w chwili, gdy czekała, aż napój zadziała. Opuścił głowę i wpatrywał się we własne dłonie spoczywające na kolanach. Był wstrząśnięty i zdruzgotany aż do głębi duszy.

Eddan. Eddan i Sathell. Stanowili część całego jego życia. Łkał z odkrytą twarzą. Łzy skapywały mu na dłonie. Wstydził się podnieść rękę, by je otrzeć, gdyż Kel nie wolno było płakać.

- Sathell jest bardzo chory - powiedziała Intel cichym głosem - i dobrze wiedział, co robi. Nie sądz, że rozstaliśmy się w nienawiści. Melein to wie. Eddan również.

Sathell był wiele wart. Nasz spór trwał długo, bardzo długo. Nigdy się ze mną nie zgadzał, a mimo to przez czterdzieści trzy lata służył mi dobrze. Nie mam mu za złe, że na koniec szczerze wyraził swe zdanie. Byliśmy przyjaciółmi. Nie czuj też żalu z powodu Eddana. Byłabym zaskoczona, gdyby postąpił inaczej.

- Jesteś twarda - powiedział Niun.

- Tak - przyznała. Jej lekkie dotknięcie zeszło w dół po jego ramieniu i odchyliło na bok zaidhe. Niun zrzucił ją i zwinął tkaninę w zaciśniętych pięściach. Głowę wciąż trzymał pochyloną, gdyż oczy miał wilgotne.

- Mój ostatni synu - zapytała wtedy she'pan. - Czy mnie kochasz?

To pytanie, zadane tak bezpośrednio, uderzyło w niego niczym grom. W tej chwili nie potrafił odpowiedzieć gładko „Tak, Matko”. Nie mógł się na to zdobyć.

- Matko - wypowiedział z trudem ten z jej licznych tytułów, który był najbliższy

i

najdroższy dla Kel.

- Czy mnie kochasz, Niunie?

Jej delikatne palce przebiegły przez jego grzywę i dotknęły wrażliwego ucha, przeczesując puszyste kosmyki na jego czubku w intymnym geście, zwykle dozwolonym

jedynie dla kuzynek i kochanek.

Oto tajemnica - mówił ten dotyk - coś ukrytego. Słuchaj uważnie.

Brak mu było teraz siły na tajemnice. Nie zniósłby dodatkowego brzemienia.

Podniósł

ku niej wzrok, starając się udzielić jej odpowiedzi. Spokojna twarz she'pan spojrziała w dół na

niego z wyrazem osobliwej tęsknoty.

- Wiem - powiedziała Intel. - Siedzisz tutaj. Wykonujesz swe obowiązki

względem

mnie. Tak czy inaczej, jest to dobry i pobożny uczynek, moje dziecko. Wiem też,

że

pozbawiłam cię i odmówiłam ci wielu rzeczy, a także zmusiłam cię do wszystkiego,

co dotąd

zrobiłeś i co jeszcze zrobisz.

- Wiem, że miałaś ku temu ważne powody.

- Nie - odparła. - Jesteś kel'eniem. Nie wiesz. Wierzysz. Jest jednak

właściwe,

że to

powiedziałaś. Masz zresztą rację. Jutro - jutro się przekonasz, gdy ujrzysz Ahanala. Melein...

- Słucham, she'pan.

- Czy czujesz żalobę po Sathellu?

- Tak, she'pan.

- Czy mi się sprzeciwiasz?

- Nie, she'pan.

- Na Ahanalu przybędzie she'pan - stwierdziła Intel. - Nie jest ona tak godna sprawowania tej funkcji, jak godną uczyniłam ciebie.

- Mam tylko dwadzieścia dwa lata - sprzeciwiła się Melein. - She'pan, mogła-

być

objąć

dowództwo nad Ahanalem, ale jeśli rzucą wyzwanie, gdyby mieli to uczynić...

- Niun mnie obroni i robi to dobrze. Obroni też ciebie, gdy nadejdzie twoja godzina.

- Czy przekazujesz mi jego służbę? - spytała Melein.

- Gdy nadejdzie czas - odparła - zrobię to. Gdy nadejdzie twój czas.

- Nie wiem wszystkiego, co muszę wiedzieć, she'pan.

- Zabijesz - powiedziała Intel - każdą, która spróbuje odebrać ci Pana. Jes-

tem

najstarszą ze wszystkich she'panei i przygotowałam moją następczynię na swój własny

sposób.

- Zgodnie z sumieniem... - sprzeciwiła się Melein.

- Zgodnie z sumieniem - powtórzyła she'pan - słuchaj mnie i nie zadawaj pytań.

Narkotyki zaczął działać. Oczy Intel zaszyły mgłą. She'pan osunęła się na poduszki

i

znieruchomiała.

Po pewnym czasie zasnęła głęboko.

W Kel opowiadano, że w chwili upadku Nisrenu ludzie naprawdę wtargnęli do edunu, ignorując podejmowane przez mri próby wyzwania ich do a'ani. Była to pierwsza i najbardziej gorzka pomyłka, jaką popełnił ich gatunek w swych stosunkach z ludźmi. Żołnierze napastników wpadli do komnat. Przerażone kath'ein próbowały uciekać, Intel zaś stanęła między ludźmi a nimi i własnoręcznie podpaliła pomieszczenie. Nie wiadomo, czy sprawiła to sama Intel czy też ogień, lecz ludzie jej nie zaatakowali. Powstrzymała ich na czas wystarczająco długi, by niektórym spośród Kath udało się uciec. Wreszcie ustawiony w szyku bojowym oddział Kel zdołał dotrzeć do tej komnaty i zabrać she'pan bezpiecznie na regulski statek.

Aż do tej nocy Niun nigdy nie był w stanie uwierzyć, by łagodna Intel mogła się zachować w podobny sposób.

Rozdział 14

Duncan usłyszał brzęczenie maszynerii. Obudziło go ono, mówiąc mu natychmiast,

że

Stavros czegoś potrzebuje. Dźwignął się z tapczanu i skupił swe przytępione ze zmęczenia

zmysły. Nie rozbierał się. Nie położył Stavrosa do łóżka. Ostrzegające przed burzą alarmy

sprawiły, że przez większą część nocy panował chaos. Był moment, w którym przez

komunikatory bez przerwy płynęły instrukcje na temat postępowania podczas burzy.

Usłyszał, że osłony przeciwburzowe w pokoju Stavrosa cofnęły się na swe miejsce.

Wszedł do środka i ujrzał, że alarm odwołano, a ekrany są czyste. Nadszedł świt,

mroczny i

czerwony. Przez szkło napływał jego osobliwy blask. Stavros znajdował się w centrum tego

lśnienia. Sprawiał niezwykle wrażenie, spoczywając w swym ruchomym ślizgu.

Obrócił nagle

maszynę ze swobodnym znawstwem, by skierować ją w stronę Duncana. Rozjarzył się

ekran

komunikacyjny.

Spójrz na zewnątrz.

Duncan podszedł do spryskiwanego deszczem okna i wyjrzał przez nie. Przemknął wzrokiem przez pustkowia z piasków i skał, po czym spojrzał ku morzu oraz

wieżom

systemu

uzdatniania wody. Coś tam było nie w porządku. W szeregu stojących jeszcze wczoraj wież

widoczna była przerwa.

Ponad wybrzeżem ciągnęła się strefa szczególnie ciemnych chmur, spłaszczonych przez wiatr, porozrywanych i porozciąganych nad morzem niczym bandery.

Ekran Stavrosa ożywił się.

Właśnie ogłoszono instrukcję: użycie wody dozwolone jedynie do picia i przygotowywania posiłków. „Drobna naprawa stacji.” Proszą o zachowanie cierpliwości.

- Wkrótce przybędą tu ludzie - sprzeciwił się Duncan.

Podejrzewam dalsze uszkodzenia w porcie. Regule mocno podenerwowani. Bai „nieosiągalny”.

Deszcz osłabł wyraźnie. Na okno padały teraz już tylko pojedyncze krople. Półmrok

stał się na chwilę czerwony, jak gdyby rozjaśniał go ogień. To promienie Arain

przebijały się

przez grubą warstwę chmur. Na długiej grani przebiegającej poza miastem widoczny

był

poruszający się cień. Spojrzenie Duncana wróciło błyskawicznie w to miejsce i skupiło się w

jednym punkcie. Nie dostrzegł już nic.

- Coś tam widziałem.

Tak - powiadomił go ekran, gdy spojrział na niego. - Wiele. Wiele. Może powódź wygnała zwierzęta z ich kryjówek.

Przez chwilę na szczycie grani widoczny był kolejny cień. Duncan przyjrzał się i

dostrzegł następny, następny i następny. Jego spojrzenie obiegiło wokoło otaczające ich

wzgórza. Na tle posępnego światła widać było gromadzący się szereg czarnych kształtów,

które poruszały się i kręciły bezładnie.

Mri - pomyślał ze strachem.

Nie byli to jednak mri, lecz zwierzęta. Przypominał sobie wielkie, niesympatyczne

bestie znajdowane u boku martwych mri, niedźwiedziopodobne stworzenia, które potrafiły

być tak niebezpieczne, jak na to wskazywały ich rozmiary.

- To zwierzęta należące do mri - powiedział Stavrosowi. - Otoczyły cały teren.

Regule nazywają je dusei. Kesrith to ich ojczysty świat. Przeczytaj swoje instrukcje.

- One towarzyszą mri. Ilu ich tu przebywa? Myślałem, że tylko garstka.

Tak zapewnia nas bai. Symboliczna grupka, która zostanie usunięta.

Spojrział na horyzont. Chmury przesłaniały go bez żadnych przerw. Dusei stanowiły

ciągłą linię przebiegającą przez całą grań. Otaczały widocznym kręgiem obszar pomiędzy

morzem a miastem.

Duncan odwrócił wzrok od tego widoku. Zadrżał i ponownie spojrział w tamtą stronę.

Zastanowił się nad deszczem i charakterem terenu, po czym zatarł spocone dłonie

i spojrział

na Stavrosa.

- Sir, chciałbym tam wyjść.

- Nie - szepnął Stavros.

- Proszę mnie posłuchać. - Duncan stwierdził, że niewygodnie mu przemawiać, gdy

jest nachylony pod podobnym kątem, opadał więc na jedno kolano tak, by móc spoglądać

staremu prosto w oczy i oparł dłoń na chłodnym metalu ślizgu. - Mamy tylko słowo reguli na to, że regule nie kłamią. Mamy tam na zewnątrz mri i mamy misję kolonialną, która nadleci za kilka dni. Zabrał mnie pan ze sobą. Zakładam, że przeczuwał pan, iż mogę się okazać panu przydatnym. Potrafiłbym wyjść na zewnątrz, rozejrzeć się i wrócić tak, by nikt tego nie zauważył. Może pan ukrywać fakt mojej nieobecności przez tak krótki czas. Kogo obchodzi jedno młode więcej czy mniej? Nie zauważą mnie. Niech pan pozwoli mi wyjść i przekonać się, jak wyglądają sprawy. Wkrótce przylecą te statki. Nie wiemy, jak zła jest sytuacja z wodą. Nie wiemy, w jakim stanie jest port. Czy jest pan pewien, że zawsze mówią nam prawdę? Pogoda niebezpieczna. Prawdopodobny incydent z regulami. - To jest coś, czego potrafię uniknąć. Na tym polega moja robota. Wiem, jak ją wykonać. Argument przekonujący. Czy możesz zagwarantować brak incydentu? - Daję za to głowę. Ocena trafna. Jeśli do incydentu dojdzie, obowiązuje tu regułskie prawo. Rozumiesz to. Zbadaj urządzenia, stację, port i wróć. Mogę ukryć twą nieobecność do zmierzchu. - Tak jest, sir. Odczuł częściową ulgę. Nie palił się zbyt do tej misji. Zdawał sobie sprawę z ryzyka być może lepiej niż Stavros. Tym razem jednak on i czcigodny Stavros byli tego samego zdania. Lepiej było poznać niebezpieczeństwa niż je ignorować. Podniósł się, wyjrzał na zewnątrz i stwierdził, że ciemna linia dusei zniknęła podczas krótkiej chwili ich rozmowy. Zamrugnął powiekami, starając się zobaczyć coś poprzez mgiełkę deszczu, lecz nie dostrzegł w oddali wiele. - Sir - szepnął do Stavrosa w charakterze pożegnania. Stary pochylił głowę, nakazując mu odejść. Ekran się nie zapalił. Duncan ruszył szybko do swej kwatery i zmienił mundur. Założył nieprzemakalny uniform koloru khaki oraz wodoszczelne buty. Wszystko to wyglądało na tyle zwyczajnie, że nie sądził, by regule dostrzegli różnicę. Włożył do kilku kieszeni ciasno zwinięty zwój sznura, nóż, paczkę koncentratów i kieszonkową latarkę - wszystko co można tam było wepchnąć tak, by nie rzuciło się w oczy z zewnątrz. Założył kaptur, chowając go pod kołnierz,

i pozasuwał
zamki błyskawiczne.
Następnie wyszedł na korytarz, podobnie jak robił to kilka razy dziennie od
chwili,
gdy zbadał rozkład budynku. Podążył nim w lewą stronę, w kierunku okna pomo-
stu
obserwacyjnego. Na korytarzu nie było nikogo. Duncan otworzył drzwi i wyszedł
w
oziębione deszczem powietrze. Obszedł wokoło otoczony niskim murkiem pomost
obserwacyjny i obejrzał się przez ramię, by się upewnić, czy korytarz za
drzwiami nadal jest
pusty.
Był.
Całkiem po prostu usiadł na krawędzi murku, złapał się jej rękoma, zsunął w
dół
i
zwolnił uchwyt. Regulskie kondygnacje były niskie według ludzkich standardów.
Wylądował
na cementowym podłożu na dole. Nie był to groźny upadek. Tylko kolana ugięły
się
pod nim.
Nie pozostawił na cemencie żadnych śladów. Gdy dotarł do krawędzi pokrytego
nim
obszaru
i zniknął w łagodnie pofałdowanym terenie, czuł się już pewien, że nikt go
nie
zauważył.
Ruszył w kierunku stacji uzdatniania wody. Założył po drodze kaptur uniformu,
gdym
słyszał ostrzeżenia dotyczące przesyconych solami mineralnymi deszczów i sta-
rał
się uniknąć
wystawiania na nie skóry. Teraz, gdy zszedł już z pokrywającej drogi w
mieście
nawierzchni,
pozostawiał w mokrym piasku wyraźnie widoczne ślady, nie sądził jednak, by
ktokolwiek
miał go tropić. Czuł spore zadowolenie z powodu tej akcji, o której myślał
przez
wiele dni.
Było to jałowe ćwiczenie jego profesjonalnego umysłu podczas długiej
bezczynności w
Nomie. Fakty wyglądały tak, że żaden regul nie mógłby dokonać tego, co przed
chwilą zrobił
on, i w związku z tym regule nie zabezpieczyli się przed podobną możliwością.
Zeskok z
murku byłby niemożliwy dla ich ciężkich, krótkonogich ciał. Podobnie też
żaden
regul nie
potrafiłby doścignąć go na bezdrożach.
Do tego potrzebny byłby mri.
Była to jedyna ewentualność, która sprawiała, że czuł się nieco mniej
zadowolony
z
siebie, niż byłoby to możliwe w podobnej sytuacji. Na początku podróży
zażądał,
by
wyposażono go w broń, lecz dyplomaci nie wyrazili na to zgody. Uznali, że nie

byłaby mu
ona potrzebna i sprawiałaaby wrażenie prowokacji. Z tego powodu jego jedynym
uzbrojeniem
był wojskowy nóż, który miał w kieszeni i wojownik mri zdążyłby go posiekać
na
drobne
kawałeczki, zanim zdołałby zbliżyć się do niego na tyle, by móc zrobić użytek
z
tego
narzędzia.
Ewidentnym faktem było, że gdyby regule wysłali jego śladem mri, byłby tru-
pem,
sądził jednak, że o ile odważyliby się oni zrobić coś takiego, oznaczałoby
to,
że traktat nie jest
nic wart, a o tym lepiej było dowiedzieć się jak najwcześniej. Istniała też
możliwość, że mri
przebywali tu w wielkiej liczbie i że regule nad nimi nie panowali. Gdyby tak
było, o tym
przede wszystkim należałoby się dowiedzieć.
Z tego powodu posuwał się naprzód ostrożniej, niż robiłby to, gdyby obawiał
się
wyłącznie reguli. Obserwował granie i cienie w rozpadlinach. Nie zapominał
też,
by oglądać
się za siebie. Pamiętał ciemne kształty, które poruszały się na wzgórzach.
Dusei
gdzieś tak się
czaiły. Mijał ślady pozostawione przez ich łapy o długich pazurach - złow-
eszcze
przypomnienie tego, że grasują tu łowcy inni niż regule czy mri. Biuletyny
mówiły, że te
zwierzęta nie zbliżają się do regulskich budynków. Ostrzegały też jednak, że
nie
zaleca się
schodzenia z dróg na obszarze nizin.
Para tryskająca z gejzerów oraz chrzęst cienkiej skorupy pod jego stopami
ostrzegały
Duncana, że istnieją powody tych zaleceń. Musiał posuwać się naprzód krętą
trasą, omijając
strefy gorąca, by dotrzeć na najniższą część nizin położoną nad brzegiem
morza,
nie opodal
stacji uzdatniania wody. Było tam coś w rodzaju drogi prowadzącej wzdłuż
wybrzeża, która
była jednak paskudnie rozmyta. Część jej znajdowała się pod wodą. Regulski
ślizg
lądowy
leżał w rowie, w miejscu, gdzie zsunął się z krawędzi.
Duncan usiadł. Rzadkie, zimne powietrze sprawiło, że zabrakło mu tchu. Bolała
go
głowa i brzuch. Obserwował z oddali, jak regulska załoga usiłuje wydobyć po-
jazd.
Z miejsca,
w którym stał, wyraźnie widział stację uzdatniania. W niej, za otaczającym ją
ogrodzeniem,
również panował chaos. Wieże ciągnęły się daleko w pokrytą białymi bałwanami
wodę, a

kilka z nich leżało w ruinie. Sądząc z tego, co widział, nie było możliwe choćby uprzątnięcie szczątków w stopniu umożliwiającym rozpoczęcie prac naprawczych w ciągu kilku dni pozostałych do przybycia ludzkich statków. Z pewnością nie przy panującej obecnie pogodzie. Co więcej, nie dostrzegał żadnych śladów ciężkiej maszynarii niezbędnej do dokonania podobnych napraw. Oceniając realistycznie, stacja nie zostanie naprawiona w ogóle. Liczne ludzkie siły okupacyjne, które wylądują, będą musiały polegać wyłącznie na urządzeniach uzdatniających znajdujących się na statkach. Będzie to irytujące, lecz możliwe do przeprowadzenia, o ile będą mieli gdzie wylądować. Spojrzał w prawo, wzdłuż linii brzegowej, w stronę miasta i dalej, gdzie mógł dostrzec niskie zarysy Nomu. Nie było tam żadnego budynku wystarczająco wysokiego, by zasłaniał widok na port. Rozpoznał Hazana. Jego obcy kształt otaczała metalowa pajęczyna suwnic bramowych. Nie było sposobu, by posadzić statek na wulkanicznej skorupie, która pokrywała większą część nizin. Jeśli port był w takim samym stanie jak stacja uzdatniania wody, to gdy ludzkie siły spróbują wylądować, zapanuje kompletny misz-masz. A regule nie raczyli ich nawet poinformować o zakresie uszkodzeń urządzeń stacji. Nie okłamali ich, nie zdradzili też jednak dobrowolnie prawdy. Wciągnął w płuca zanieczyszczone powietrze i obejrzał się nagle za siebie. Z trwogą zdał sobie sprawę, że przez kilka sekund myślał o czymś zupełnie innym niż własne bezpieczeństwo. Horyzont był czysty. Widać było jedynie chmury. Człowiek nie zawsze miał tyle szczęścia w chwilach, gdy popełnił błąd. Wypuścił powoli powietrze z płuc i podniósł się. Czuł pulsowanie w głowie oraz walenie serca wywołane rozrzedzonym powietrzem. Wypatrzył trasę, która pozwoliłaby mu ominąć grupę niskich skał oraz piaszczystą mieliznę i w ten sposób przemknąć się pomiędzy miastem a morzem w kierunku portu. Mówiono, że regule mają słaby wzrok, a właściwie, że wszystkie ich zmysły są kiepskie. Miał nadzieję, że tak jest w istocie.

Stavros, siedzący w objęciach swej regulskiej maszyny, powiedział, że potrafi ukryć jego nieobecność. Duncan sądził, że może on dobrze sobie radzić z podobnymi rzeczami, gdyż był biegły w dyskusjach i wprowadzaniu w błąd przeciwnika. Tutaj, na zewnątrz, Duncan znał swoją robotę. Czuł całkowitą pewność, że instynkt trafnie podpowiedział Stavrosowi, by wybrał sobie jako towarzysza podróży na Kesrith żołnierza NST. Stary nie wydał mu rozkazu. Zdał się spokojnie na niego. Czekał, aż Duncan przystąpi do dzieła z własnej inicjatywy. Być może rozumiał, że człowiek wyszkolony w opanowywaniu obcego środowiska potrafi wyczuć odpowiedni moment. Nie mógł sobie pozwolić na popełnienie błędu. Czuł strach, innego rodzaju niż towarzyszący mu w dotychczasowych misjach. Działał już uprzednio sam. Siał zniszczenie, a potem uciekał. Jego własne życie lub śmierć zależały tylko od niego. Nie był jednak przyzwyczajony, by na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za innych - ciężar podjęcia decyzji, czy licząca sobie setki członków ekspedycja, której implicacje polityczne sięgały daleko poza Kesrith, może wylądować tu bezpiecznie. Nie podobało mu się to. Nie podobało mu się to w najmniejszym stopniu. Chętnie przekazałby tę odpowiedzialność komuś wyżej postawionemu, lecz Stavros, przykuty do swej maszyny, musiał zaufać regulom albo własnemu adiutantowi, a ten ostatni rozpaczliwie pragnął udzielić mu właściwej odpowiedzi.

Rozdział 15

Edun przebudził się spokojnie. Lud przystąpił cicho do codziennych czynności. Niun wrócił do wieży Kel. Wydawało się teraz, że panuje w niej pustka. Jej mieszkańcy siedzieli pogrążeni w żałobie. Eddan nie wrócił, zaś oczy Pasev były podkrążone w sposób, który świadczył, że nie zaznała ona wiele snu. Siedziała jednak z odsłoniętą twarzą, panując nad emocjami. Niun podał jej przy śniadaniu specjalną porcję. Zrobiło mu się przykro, gdy nie chciała jej zjeść. Po posiłku bracia Liran i Debas naradzili się ze sobą, podnieśli, założyli pasy ze wszystkimi swymi odznaczeniami, a także mez'ein i zaidh'ein, po czym pożegnali się z pozostałymi.

- Czy wszyscy odejdziecie? - zapytał przerażony Niun, nieroztropnie i niestosownie.

Spojrzał na Pasev, która miała najwięcej powodów, by odejść, lecz nie zrobiła tego.

- Możecie być potrzebni - powiedziała do braci.

- Pójdziemy teraz. Poranek jest piękny - odparł Liran. - Może znajdziemy Eddana

i

Sathella.

- W takim razie powiedzcie Eddanowi - rzekła cicho - że pójde w ślad za nim, gdy

już

uporam się z obowiązkami, które mi pozostawił. Żegnajcie, bracia.

- Żegnajcie - powiedzieli obaj.

- Żegnajcie - powtórzyła jak echo resztką Kel. Bracia wyszli z wieży i ruszyli

razem

ścieżką.

Niun stał w drzwiach i spoglądał w ślad za nimi. Ogarnęła go głęboka melancholia.

Czuł ucisk w gardle na myśl, że już nigdy ich nie zobaczy. Dwa odziane w czerń

kształty

wędrowały ku horyzontowi. Niebo przesłaniały groźnie wyglądające chmury.

Zabrakło im w

tej podróży nawet pociechy płynącej z towarzystwa ich dusei, gdyż żadne ze zwierząt nie

wróciło do domu. Zniknął również miuk'ko spod drzwi. Być może znalazł śmierć w

czasie

burzy. Dusei odchodziły w ustronne miejsce, by umrzeć w samotności, podobnie jak

kel'ein,

którzy nie widzieli już dla siebie żadnej nadziei.

Byli wierni Intel, pomyślał, i wierni Kesrith. Przewidywali, że nadszedł kres ich obu.

Nie mogli już w niczym pomóc, odeszli więc, przypiąwszy swe odznaczenia, nie żądając

pochówku od młodego kel'ena, który był zbyt przeciążony obowiązkami, by zająć się nimi.

W nocy odśpiewali obrządki. Wszyscy wiedzieli, że to zły omen. Było to tak, jak

gdyby odśpiewali je nad samą Kesrith. Niun nagle zdał sobie sprawę, że bardzo niewielu

spośród starych wsiądzie na pokład statku.

Nie chcieli marzenia Intel. Ukazała im prawdę, kryjącą się za obrządkami, a oni

jej nie

chcieli. Rozumieli tylko stare, znajome zwyczaje.

Obiecała im zmianę, a oni ją odrzucili.

Niun został ukształtowany w inny sposób. Uformowały go ręce Intel oraz jej życzenia,

zaś lojalność dla Melein wiąże go z marzeniem starej she'pan. Spojrzał na przesmyk

między skałami, w którym zniknęli bracia. Mógłby teraz rozplakać się w głos,

gdyż nagle

zrozumiał ich, a także siebie. Pojął, że Pasev będzie wolała podążyć za nimi niż

poprowadzić

statek w nieznaną, którego nie pragnęła. Za nią pójdą inni. Nosił jednolicie czarną szatę bez odznaczeń. Nie sprawdził się w boju. Ukształowano go z myślą o innym życiu. „Kel Mroków jest inne” - powiedziała Intel. To Niun już teraz stał w Mroku, oni zaś odeszli od cienia ku temu, co znali. Odwrócił się, by wrócić do edunu w nadziei, że Kaplica przyniesie mu pociechę w tym jego nastroju. Serce zmroziło mu to, co ujrzał na niżej położonych granicach. Posuwał się po nich jeden szereg cieni za drugim. Dusei. Otoczyły regulskie miasto pierścieniem wszędzie, gdzie tylko mogły znaleźć twarde grunt. Ha-dusei, dzikie i niebezpieczne. Dusei z edunu nie wróciły. A ha-dusei było tam za dużo. O wiele za dużo. Na niebie ponad jego głową kłębiły się chmury, splamione czerwienią i ponurą szarością. Dusei, przyjaciele burzy, znały się na pogodzie. W dniach poprzedzających wzniesienie edunu przychodziły tu w dół do wodopoju. Płaskie niziny nazywano Dusową Równiną. Nadeszły, jak gdyby wyczuły zmianę w kierunku wiatrów, jak gdyby czekały na odlot reguli, który odda z powrotem Dusową Równinę w ich władanie. Czekały. Mówiono, iż regule byli tak uparci, że zignorowali ostrzeżenie dawnych mri, którzy powiedzieli im otwarcie, że powinni wybudować swe miasto gdzie indziej, podobnie jak sam edun rozważnie umiejscowiono poza równiną, na znak szacunku dla więzi między mri a dusei. Regule pragnęli jednak mieć skałę, na której mogłyby lądować ich statki, a gdy zbadali całą okolicę znaleźli w pobliżu morza odpowiednie dla budowy portu podłoże jedynie na Dusowej Równinie. Dlatego rozpoczęli swe prace w tym miejscu. Wyrosło tam miasto, a ha-dusei odeszły. Teraz jednak wróciły, wraz z nietypowymi dla tej pory roku deszczami oraz niszczycielskimi wiatrami. Siedziały i czekały. I porzuciły nawet mri. Wzruszył ramionami w geście, który był na wpół drżeniem, i wszedł do środka. Zatrzymał się jednak, nie chcąc przekazywać podobnych wieści Kel ani she'pan. Kel było w żałobie, zaś she'pan wciąż trwała pogrążona w snach. Melein natomiast, jej Wybranka, zasłoniła twarz i zamknęła się sama w wieży Sen. Wysłał ku niebu, poprzez skupione ponad nim spiralne korytarze, pełną tęsknoty myśl, by Ahanal przybył jak najszybciej. Nie sądził, żeby był w stanie znieść nie kończące się

godziny, które dzieliły go od wieczoru. Każda czynność, którą miał zamiar
dziś
wykonać,
stała się teraz bezsensowna, gdyż do tego domu nie mieli już nigdy wrócić, na
zewnątrz zaś
pogoda wytworzyła atmosferę grozy. Błyskawice połyskiwały w chmurach i sły-
chać
było
gromy.
Usiadł więc w wejściu i obserwował rozciągające się w dole niziny, pióropusze
gejzerów, przewidywalne jak upływ godzin oraz chmury niesione i rozrywane
przez
wiejące z
siłą huraganu wichry. Dzień był zimny, jak niewiele dni na Kesrith. Niun
drżał,
obserwując
ciężkie krople spadające w kałuże, w których niebo przeglądało się niczym
ogień
w cynowym
naczyniu.
Po mokrym piasku kroczyło jakieś ciężkie ciało. Dał się słyszeć sapiący od-
dech.
Wielki dus wylazł powoli zza rogu z nisko zwieszoną głową. Za nim pojawiły
się
inne.
Przerażony Niun dźwignął się na nogi, niepewny ich nastroju. Przemoczone
zwierzęta o
ubłoconych łapach odpychały go jednak nosem na bok i wchodziły do wnętrza
edunu,
wydając z siebie ten chrapliwy odgłos, który był typowy dla głodnego i w
znacznym stopniu
zniecierpliwionego dusa. Policzył je, gdy wchodziły: raz, dwa, trzy, cztery,
pięć, sześć.
Ostatni, jako siódmy, przyszedł miuk'ko, przemoczony i wychudzony. Rzucił się
na
ziemię
pośrodku kałuży znajdującej się u podstawy pochyłych ścian i zaczął chłęptać,
potężnymi
poruszeniami szarego języka, wodę znajdującą się pomiędzy jego wielkimi ła-
pami.
Trzy nie wróciły. Niun czekał. Narastały w nim jednocześnie ulga i niepokój -
ulga
dlatego, że osierocony dus był niebezpieczny i godny politowania, niepokój
zaś,
gdyż nie
mógł odgadnąć, w jaki sposób się o wszystkim dowiedziały. Być może zaginiona
trójka
napotkała swoich kel'ein.
A może, dzięki osobliwemu zmysłowi dusei, poznały prawdę i odszukały ich. Być
może były już daleko w drodze do Sil'athen. Miał szczerą nadzieję, że tak
właśnie było.
Rozwiązanie takie byłoby najlepsze zarówno dla kel'ein, jak i dla dusei.
Udał się do magazynów mieszczących się w piwnicach Kath. O dusei trzeba było
zadbać. W pierwszej kolejności zajął się miuk'ko, który wreszcie opuścił swój
żałobny
posterunek, a potem wrócił. Miał nadzieję, że nastawienie zwierzęcia uległo
zmianie. Dus nie
chciał jeść. Być może, pomyślał Niun, najadł się podczas długich godzin

wędrówki. Nie wierzył jednak w to. Zostawił jedzenie na suchej krawędzi ganku i poszedł po porcje dla pozostałych.

Nie licząc upartych i nie okazujących szacunku dusei oraz pogrążonej w żalobie w swej wieży Melein, edun wypełniały już tylko sny. Poczucie nieodwołalności zawisło nad wszystkim: nad dusem u bramy, starymi mężczyznami i starymi kobietami. Niun wykonywał swe zadania ukradkiem, zachowując absolutną ciszę, jak gdyby żyjąc jeszcze wędrował po grotach Sil'athen.

Wieczorem zaś przyleciał statek. She'pan spała, gdy usłyszeli, jak maszyna schodzi do lądowania. Wszyscy, którzy pozostali z Kel, wybiegli na drogę, by go zobaczyć. Na ich zmęczonych twarzach pojawiły się uśmiechy, lecz serce Niuna pełne było złych przeczuć.

Dahacha ujął pod wpływem impulsu jego ramię i ścisnął je mocno. Niun spojrzał prosto w słońce i poczuł, że spływa na nich niewypowiedziane błogosławieństwo.

- Dahacho - szepnął. - Czy przynajmniej ty polecisz?

- My, którzy nie odeszliśmy, polecimy - odparł stary. - Nie wyślemy cię samego,

Niunie Zain-Abrin. Pogodziliśmy się już z tym, co się stało. Gdyby tak nie było,

poszlibyśmy z Eddanem, jak Liran i Debas.

- Tak - dorzucił stojący po drugiej stronie Palazi. - Porozmawiamy też z kel'anth.

Niun zorientował się nagle - jakby uderzono go w obolałe miejsce - że to słowo odnosiło się teraz do Pasev.

Widoczne było poruszenie wywołane lądowaniem statku. Zapalono światła. Blask regulskich reflektorów popęłznał ruchem węża ku przeciwległej stronie lądowiska, tworząc łunę na w pół widoczną w czerwonym świetle zmierzchu. Regulskie oczy nie były przystosowane do widzenia w nocy.

- Chodźcie - powiedziała Pasę v. Podążyli za nią korytarzami ku wieży she'pan.

Była tam Melein. Siedziała u boku Intel. Dotknęła jej dłoni, próbując ją obudzić, lecz to Pasev uścisnęła mocno ramię she'pan i potrząśnięciem wydobyła ją z jej snów.

- She'pan - powiedziała. - She'pan, przyleciał statek.

- Co z regulami? - Ze złocistych oczu she'pan zniknął senny wyraz. Odzyskały bystrość, skupione i walczące o panowanie nad sobą. - Jak zareagowali na to regule?

- Nie wiemy tego jeszcze - odparła Pasev. - Wciąż panuje wśród nich podniecenie.

To wszystko, co zaobserwowaliśmy.

Intel skinęła głową.

- Żadnych kontaktów przez radio. Regule będą podsłuchiwać. Ahanal również zachowa podobną ostrożność.

Szamotała się z poduszkami. Na jej twarzy pojawił się słaby grymas bólu. Melein

poprawiła jej posłanie. Intel westchnęła. Przez chwilę oddychała swobodnie.

- Mała Matko - zapytał Dahacha - czy mamy cię zanieść do statku? Możemy tego dokonać.

- Nie - odparła ze smutnym uśmiechem. - She'pan jest strażniczką Pana. Nie mogę wejść na żaden statek, dopóki nie zostaną wreszcie zwolniona z tego obowiązku.

- W takim razie - zaproponował wtedy Dahacha - pozwól nam przynajmniej wynieść się na drogę, byś mogła popatrzeć w stronę portu.

- Nie - odparła stanowczo Intel. Dotknęła dłoni Dahachy spoczywającej na ramieniu jej fotela i uśmiechnęła się. - Nie obawiaj się. Jestem w pełni władz umysłowych i panuję nad tym edunem i światem. Nie ulegnie to zmianie aż do chwili, gdy będę pewna, że nadszedł mój czas, wasz zaś nie nadejdzie przed moim. Czy mnie słyszycie?

- Tak jest - odparła Pasev.

Intel spojrzała w oczy kel'anth i skinęła głową, usatysfakcjonowana. Później jednak przesunęła wzrokiem po pokoju i - być może - policzyła twarze. Jej oczy zachmurzyły się.

- Liran i Debas odeszli jakiś czas temu - wyjaśniła Pasev. - Pożegnaliśmy się z nimi.

- Udzielam im błogosławieństwa - szepnęła sumiennie Intel.

Pasev pochyliła głowę na znak, że rozumie.

- Służę she'pan - powiedziała - dopóki nie zostaną zwolniona. Jest nas jeszcze wystarczająco wielu, by zrobić to, co pozostało do zrobienia.

- Nie zajmie nam to dużo czasu - odparła Intel. - Niunie, dziecko - powiedziała, wyciągając rękę.

Uklęknął obok jej kolana i ujął podaną dłoń. Pochylił gołą głowę, pozwalając, by jej dotknęła. Poczul, jak jej palce wyślizgują się z jego uścisku i udzielają mu gestem błogosławieństwa.

- Udaaj się do statku na przełaj - powiedziała - i porozmawiaj z gośćmi twarzą w twarz. Wysłuchaj tego, co mają do powiedzenia. Udzielaj mądrych odpowiedzi. Możesz być zmuszony do samodzielnego podejmowania decyzji, młody kel'enie. Nie postępuj nierozważnie. Już niemal przestaliśmy służyć regulom. Coś przesunęło się nad jego pochyloną głową. Poczul ciężar, który zawisł na jego szyi. Gdy dotknął przedmiotu, jego palce zamknęły się na zimnym metalu. Odwrócił zawieszony na łańcuchu amulet, spojrzal na niego i dostrzegł otwartą dłoń - godło Edun Kesrithun. Miękkie jak jedwab palce Intel dotknęły jego brody i uniosły mu twarz tak, że spojrzal jej prosto w oczy.

- Tylko jedno j'tal - powiedziała cichym głosem - ale za to najwyższej rangi.

Czy je
rozpoznajesz, mój ostatni synu?
- To odznaczenie kel'ena, she'pan - odparł.
- Spisz się dobrze - powiedziała. - I pośpiesz się. Czas jest teraz ważny.
Odepchnęła go lekko palcami. Niun wstał. Niemal obawiał się spojrzenia pozostałych
- kel'ein, którzy mogliby zostać zaszczytzeni podobnym j'tal, podczas gdy otrzymał je on,
najmłodszy i najmniej zasłużony z nich. W ich oczach nie było jednak zazdrości,
a jedynie
zadowolenie, jak gdyby było to coś, co do czego wszyscy byli zgodni.
Niun zdjął domową szatę. Tam, w komnacie she'pan, wszyscy pomogli mu w przygotowaniach do podróży. Pośpiesznie przynieśli mu sigę, którą powinien założyć na czas wędrowki przez piaszczysty teren, a także zaidhe i mez. Dali mu własną broń - zarówno yin'ein, jak i zahen'ein - lepszą niż należąca do niego. Palazi uśmiechnął się,
roześmiał, by
zdezawuować przesąd starszy niż pamięć Ludu, po czym odpiął z jednego ze swych pasów
amulet wyobrażający wojownika-dziewicę i wręczył go Niunowi, używając mu swego szczęścia.
- Lat i zaszczytów - powiedział Palazi.
Niun uściskał starego kel'ena, a także pozostałych, po czym powrócił do she'pan,
by
po raz ostatni pokłonić się pośpiesznie u jej stóp. Serce waliło mu z podniecenia. Gdy jednak otrzymał od niej pocałunek w czoło, nie pozwoliła mu odejść natychmiast, lecz wpatrzyła się
w jego twarz w sposób taki, że zmroziło to w nim całą krew.
- Jesteś piękny - powiedziała she'pan. Jej złociste oczy pełne były łez. - Czuję wielki
strach. Bądź ostrożny, najmłodszy synu.
Lud nie wierzył już zbyt w przeczucia. Podobnie też Niun nie pokładał właściwie zbyt wielkiego zaufania w życzeniu szczęścia, jakie złożył mu Palazi. Mimo to zadrżał,
usłyszawszy słowa she'pan. Istniał rozum reguli i rozum mri, a zawsze wierzyć jedynie w to,
co zostało potwierdzone przez doświadczenie, było zwyczajem tych pierwszych, nie drugich.
Kimś, kto przeżył tyle lat, co Intel, mogły kierować przesłanki, których Niun nie rozumiał. Całe życie spędził w obecności rzeczy zakazanych i niepojętych, a większość z nich wiązała się z she'pan Intel. She'pan była strażniczką tajemnic.
- Będę ostrożny - zapewnił. She'pan pozwoliła mu odejść. Wstając, unikał spojrzenia Melein, gdyż jeśli she'pan i jej Wybranka dzieliły ze sobą jakieś tyczące go myśli, nie chciał zabierać ich ze sobą na tę misję.

- Nie ufaj żadnemu z reguli - powiedziała kel'anth. - Przyglądaj się uważnie wszystkiemu, na co patrzysz.

- Tak - zgodził się z przejściem. Ujął dłonie Pasev i ścisnął je delikatnie w geście pożegnania z braćmi i siostrą ze swej kasty. Odwrócił się pośpiesznie i odszedł. Długie kroki zaniosły go szybko w dół po spiralnych schodach, obok napisów mówiących o historii i bohaterach Ludu, a także zawierających prawdę o wszystkich rzeczach, do których czyniła aluzje Intel. Niun nie potrafił ich odczytać, czuł jednak owego dnia znaczenie tej pamiątki po przodkach. Wszystko, wszystko, czego pragnęła Intel, spadło na niego. Potrafiła na koniec pozwolić mu odejść, rzucić go niczym as'ei w sho'nai. Nie utraciła go jednak. Ci starcy wylali w niego zbyt wiele miłości, by mógł zawieść nadzieje Eddana, Intel, Pasev, Debasa i Lirana. Upewnili się, że mu się uda, zanim wysłali go z misją she'pan. Wyszedł w noc przez główne drzwi i zamknął je za sobą. Ujrzał cień spoczywającego obok nich potwornego cielska miuk'ko. Wielka głowa uniosła się. Niewidoczne oczy spojrzały na niego w ciemności. Może - pomyślał z optymizmem, którego nie zniweczyły stukrotnie powtarzane próby - może tym razem. Dobrze byłoby, gdyby wreszcie się udało. On potrzebuje mnie, a ja jego. Dus jednak tylko wydał z siebie pomruk, odwrócił się i ułożył masywną głowę w błocie. Nie można było stwierdzić, czy był samcem, samicą czy też żadnym z nich. Nikt nigdy nie potrafił rozróżnić, rozpoznać płci dusa ani nie odgadł, dlaczego przychodziły one do jednego mri, a nie chciały przychodzić do innego. Niun nie umiał się domyślić, czy ten dus zrozumiał już, że Medai nigdy nie wróci i był pogrążony w żałobie, czy też głodował z czystej głupoty, gdyż czekał, by jego pan go nakarmił. Ruszył przed siebie ze smutnym wzruszeniem ramion. Przeszedł obok dusa, niemal się nie zatrzymując. Tym razem sytuacja wyglądała inaczej niż podczas poprzednich spotkań, gdyż sprawy, których dus nie pojmował, zmieniły się, właśnie się zmieniały, bądź miały się zmienić i odrzucając go, zwierzę wydawało na siebie wyrok. Zapewne ludzie wytępią dusei. Regule chętnie by to zrobili, gdyby nie opieka mri. Rozmiary oraz powolne, znamionujące siłę ruchy dusei przywodziły na myśl reguli, lecz regule żywili instynktowną nienawiść do tych zwierząt. Nie potrafili - w przeciwieństwie do mri - uodpornić się na działanie jadu zawartego w pazurach ani - w przeciwieństwie do mri -

poddać się prostocie dusei. Dlatego uciekali przed nimi.
Niepokój, jaki pozostał w nim po kontakcie z dusem, towarzyszył Niunowi podczas wędrówki ku nizinom, ku upiornym pióropuszczołom gejzerów, wznoszącym się pod rozrywaniem wiatrem chmurami. Czuł zapach wichru oraz jego znajomą moc, jak gdyby był on jakąś żywą istotą.
Złapał się na tym, że gdy patrzy na mijane miejsca, które znał i oglądał przez całe życie, za każdym razem myśli: to już pewnie ostatni raz. W sercu czuł podniecenie, zaś w żołądku niepewne uczucie, które bynajmniej nie było bohaterskie ani radosne. Zmysły miał otwarte na cały świat: zapach ziemi, ciepła i mokry, czy wilgotny gorący oddech gejzerów, z których każdy miał swą nazwę oraz odrębne zwyczaje. Jego świat. Świat ojczysty. Kasta Kel była ulotna jak wiatr, lecz jej członkowie potrafili kochać rodzinne strony ojczyste. Pomyślał nagle, że nie wiedzą, dokąd się udają, że Intel mówiła o Mroku, jak gdyby był on miejscem, jak gdyby posiadał rozmiar, głębię i trwałość, niczym świat. Zdał sobie sprawę, że po opuszczeniu Kesrith może już nigdy nie poczuć ziemi pod stopami. She'pan zapewniała, że w Mroku kryje się obietnica, nie potrafił sobie jednak wyobrazić, co on obiecuje. Od tej chwili będzie miał do czynienia z kel'ein, którzy nie byli starzy i nie zastanawiali się nad wszystkim długo, z kel'ein, którzy znali jedynie wojnę i jeśli obraziło się ich dumę i przywileje kasty, mogli okazać drażliwość w sposób nigdy nie spotykany wśród łagodnych członków Kel z Kesrith. Będzie żył wśród Kel złożonego z obcych, gdzie będą kath'ein, które będą należały do niego, gdy tylko sobie tego życzy, gdzie będzie miał szansę spłodzić dzieci i ujrzeć swą prywatną nieśmiertelność. Będzie synem jednej she'pan i prawdziwym bratem drugiej, otoczonym zaszczytami na równi ze wszystkimi fen'ein, Mężami, jakich sobie wybierze, by spłodzili jej dzieci z kel'e'ein i kath'ein z edunu, pod warunkiem, że przeżyje walkę o sukcesję. Rozpostarła się przed nim oszałamiająca obfitość rozmaitych możliwości. Przyszłość pełna była spraw, które nie były banalne, przewidywalne ani pewne. Maszerował szybko poprzez miejsca, gdzie drogę przesłaniały mu para wodna i opary

siarki, gdzie woda skapywała z niedawno opryskanych przez gejzer skał, a ukryte pod ziemią gorąco przygotowywało następne erupcje. Czas miał wymierzony co do mgnienia oka.

Po prawej stronie rozciągała się cienka skorupa. W wielu miejscach pod powierzchnią kryła się tutaj wrząca woda i błoto. Grań, po której szedł Niun, mogła wytrzymać ciężar mri, ale nie dusa czy regula. Ci ostatni otrzymali gorzką nauczkę od kesrithańskich nizin i nie oddalali się już teraz od swych bezpiecznych wehikułów i samolotów oraz budowanych w starannie wybranych miejscach dróg i lądowisk. Upłynie wiele czasu, zanim ludzie poznają tę krainę, o ile w ogóle odważą się opuścić bezpieczne regulskie miasto. Z pewnością niektórzy z nich zginą. Przytrafiło się to też garstce mri. Mogło go już przestać obchodzić, co zrobią ludzie. Członkowie Ludu zbiorą się i odlecą wszyscy - Dahacha, Palazi i pozostali, a także Intel. Namówią ją do tego, choć była stara i bardzo zmęczona walką. Mogła im towarzyszyć przynajmniej na początku podróży. Będą wtedy w stanie odlecieć, nawet nie pragnąc spoglądać za siebie. Wreszcie spojrzął w dół z długiej, białej grani wznoszącej się nad portem i ujrzał kształt regulskiego statku Hazan, a naprzeciwko niego nowo przybyłego Ahanala.

Ahanal - czyli prędkie. Ześlizgnął się ze skąpanej w świetle księżyców grani, wzbijając w górę obłoki białego piasku, i przeszedł po długim zboczu na niżej położony teren. Wśród skał przemknął jakiś cień, wielki i groźnie wyglądający. Niun odwrócił się z dłonią zaciśniętą na kolbie pistoletu i spojrzął w górę na ociążałą postać, która wspięła się na grań. Ha-dus. Przez chwilę Niun nie oddychał ani nie poruszał się. Pojawiły się jeszcze trzy dusei. Wielkie bestie potrafiły skradać się bezszelestnie, nie podkradały się jednak do niego. Niun zakłócił jedynie ich czuwanie. Wciąż się nie poruszał, na znak szacunku dla ich prawa, by być tutaj. Dusei powąchały powietrze, popatrzyły na niego małymi oczkami, aż wreszcie wydały z siebie ów buchający, pytający dźwięk, który wskazywał, że nie są w wojowniczym nastroju. Wybaczcie, bracia - przemknęło przez jego umysł. Był to najlepszy sposób na postępowanie z nieznanym, narowistym dusem. Cofnął się o kilka kroków, zanim

ponownie
ruszył chyłkiem w poprzednim kierunku. To był język zrozumiały dla dusa,
kwestia
tego,
jakie ruchy się wykonywało, a jakich nie.
Jego ręka przeniosła się z pistoletu na amulet na piersi. Nie był to odpowiedni
moment, by narażać życie w kontaktach z ha-dusei. W najmniejszym stopniu.
Posuwał się
teraz naprzód wolniej i ostrożniej, pamiętając o ostrzeżeniu Pasę v, która
kazała mu robić
użytek z oczu i rozumu.
Pozwoliły mu odejść. Gdy obejrzał się za siebie, już ich tam nie było. Zszedł
z
białej
ziemi na sztuczną nawierzchnię, która pokrywała twardą skałę terenów
otaczających miasto
od północy. Wznosił się tam płot, śmieszna siatka z drutu, która nie mogłaby
powstrzymać
nikogo naprawdę zdeterminowanego. Nie na Kesrith. Wypalił w niej dziurę i
zrobił
sobie
przejście z pełnym lekceważeniem dla przeszkód wznoszonych przez regule na
wolnej ziemi.
Każdy mri postąpiłby w taki sam sposób, zamiast omijać ogrodzenie wkoło.
Regule
reagowali
na podobne zachowanie oburzeniem, lecz takie były zwyczaje mri i pod tym
względem nie
zamierzali oni ustąpić swym pracodawcom.
W mieście słyszał, jak jedno z regulskich młodych nazwało go dzikusiem o
zakrwawionych rękach.
To jednak regule budowali ogrodzenia oraz maszyny, które pokrywały bliznami
ziemię, a nawet starali się podzielić sam kosmos na odgraniczone od siebie
terytoria i parcele,
którymi można handlować jak żywnością, metalami czy sztukami płótna.
Niunowi wydawało się to śmieszne.
Mijał potężną płataninę porzuconego ekwipunku, szkieleatów budowli oraz po-
jazdów.
Tak jak przewidywał, ciągnęło się tu rozległe cmentarzysko wehikułów i
maszyn,
skupisko
metalów stłoczonego tak ciasno, że musiał obejść je całe, stos pojazdów,
ślizgów
oraz
samolotów pomieszanych ze sobą na oślep, jak gdyby zgromadziła je tam jakaś
olbrzymia
dłoń. Maszyny te przywoziły tu mieszkańców wszystkich osad, którymi władali
regule. Tam
zaś, tam dalej znajdował się szeroki, wypalony obszar. Na tle świateł portu
widoczna była
wieża o nadpalonych, wyszczerbionych zarysach, kanciasta płatanina konstruk-
cji
budowlanych oraz jeszcze więcej towarów, które regule wyrzucili jako odpadki.
Wszystko to
było porozbijane przez burzę i popalone. W porcie doszło do znacznych usz-
kodzeń.
Idąc,

Niun rozglądał się wokół, dokonując przeglądu wszystkich rzeczy, które ongiś widział całe, a teraz uszkodzone. Zaczynał rozumieć powody okazywanego przez reguli strapienia.

Hazan stał pośród potężnego nagromadzenia suwnic bramowych, węży oraz delikatnych dobudówek. W pobliżu statku Niun również dostrzegł wyraźnie widoczne zniszczenia. Hazan lśnił od świateł. Oblazły go czarne postacie, pełzające po nim niczym robactwo po padlinie. Ciągnęła ku niemu nieprzerwana linia pojazdów. Niewątpliwie wiozły one towary, które miały być załadowane na pokład bądź materiały wykorzystywane do naprawy.

Niun przemknął się przez ten obszar, uważając, by go nie zauważono. Ominął bryłę Hazana i ujrzał przed sobą następną wieżę, Ahanala. Na jego majaczącym na tle nieba kadłubie lśniło tylko jedno światło. Podeszedł bliżej i dostrzegł, że statek jest stary. Metal jego kadłuba pokryty był dziobami, jakby przeżarły go kwasy, znaki zaś zatarte tak, że niemal nie sposób było je rozpoznać. Długie blizny wskazywały miejsca, w których musiały zawieść osłony. Przywitał ich głosem, choć zdawał sobie sprawę z bliskości regulskich strażników oraz faktu, że w jego stronę ruszył już ślizg.

- Ahanal! - krzyknął. - Otwórzcie właz!

Albo jednak nie byli przygotowani do słuchania albo mieli powody, by obawiać się reguli, gdyż z Ahanala nie dobiegła żadna odpowiedź. Niun ujrzał, że ślizg zakręcił ostro i zatrzymał się nie opodal niego. Regulskie młode otworzyło boczną szybę, by przemówić do niego.

- Mri - odezwał się regul. - Nie wolno ci tu wchodzić.

- Czy to rozkaz baia? - zapytał Niun.

- Odejdź - nalegał regul. - Kesrithański mri, odejdź. Rozległ się zgrzyt metalu.

Otwarto właz. Niun, nie zważając na młode, spojrział w górę na statek, z którego zaczęła opuszczać się rampa. Podeszedł do niej, ignorując po prostu regula. Ślizg ruszył za nim, bucząc. Niun usunął się na bok. Pojazd minął go o włos. Jego błotnik uderzył jednak w bok nogi mri. Ślizg zatoczył krąg i stanął przed nim, blokując mu drogę.

Okno wciąż było otwarte. Regulskie młode dyszało ciężko. Jego wielkie nozdrza otwierały się i zamykały w krańcowym podnieceniu.

- Odejdź - syknęło.

Zaczął okrążyć ślizg. Maszyna ruszyła naprzód. Niun przetoczył się barkiem po jej

niskim dziobie, wylądował po drugiej stronie pojazdu i rzucił się do ucieczki,
zawstydzony i
prerażony. Z rampy przyglądali się temu wszystkiemu mri, którzy niewątpliwie
byli
oburzeni jego upokarzającą przygodą. Nogi uginały się pod nim ze strachu
wywołanego tym,
co uczynił, a czego nigdy dotąd nie zrobił żaden mri bezpośrednio sprzeciwił
się
woli
pracodawców. Był jednak wysłannikiem she'pan, a gdyby marnował czas na rozmowę z
młodym, w sprawę wmieszałyby się regulskie władze, których rozkazów musiałyby
wysłuchać
lub je złamać. Doprowadziłoby to do kryzysu, który mogłaby rozwiązać jedynie
she'pan, a z
którym zwykły kel'en nie potrafiłby sobie poradzić, nie uciekając się do
bezpośredniej
przemocy.
Biegając wpadł na twardą powierzchnię rampy. Jego kroki poniosły się echem,
gdy
pognał nią w górę tak szybko, jak tylko mógł, na spotkanie mri ze statku. Oni
jednak znikali
już we wnętrzu. Nie zczekali na niego. Usłyszał i poczuł, że rampa podnosi się
za nim w
górę. Jej długość była już niewielka, gdy Niun doścignął ostatniego z nich.
Błysnęły
oślepiające światła. Drzwi zatrzasnęły się, zamykając ich bezpiecznie w
środku.
Dziesięciu kel'ein: Mężowie, sądząc po wieku i godności. Światło tu było
chłodne,
powietrze zaś sterylne i ostre w porównaniu z atmosferą Kesrith. Ostatnie
uszczelnienie śluzy
zamknęło się pomiędzy nimi a światem zewnętrznym. Rampa wróciła na miejsce.
Zapadła
cisza.
- Panowie - nie zapomniał powiedzieć. Przestał spoglądać na nieznanym z
ich
licznymi j'tai i srogą postawą, na chwilę wystarczająco długą, by dotknąć
czoła
i okazać
należyte wyrazy szacunku. Ponownie podniósł wzrok i zdjął zasłonę - uprzejmość,
którą z
oporami odwzajemnili.
- Jestem Niun s'Intel Zain-Abrin - powiedział w szlachetnym języku, którego
wszyscy
mri używali do celów etykiety. - Pozostaję w służbie Intel, she'pan Edun
Kesrithun.
- Jestem Sunę s'Hara Sune-Lir - odparł najstarszy z nich, wiekowy mężczyzna,
którego grzywa posiwiiała już na skroniach. Wydawało się, że jest w tym samym
wieku co
Pasev czy Eddan, lecz jego towarzysze byli młodszymi mężczyznami o
potężniejszym
wyglądzie. - Czy she'pan Intel ma się dobrze?
- Edunowi nic nie zagraża.
- Czy she'pan ma zamiar przybyć tu osobiście?

- Jeśli o to chodzi, panie, to nie, dopóki nie powrócę ze słowem od waszej she'pan.
Rozumiał w pewnej mierze ich stanowisko. Kochali i chronili swoją she'pan, która musiała ustąpić miejsca she'pan Intel i oddać jej ich samych. Było naturalne, że z niechęcią spoglądali na wysłannika Intel.
- Zaprowadzimy cię do niej - powiedział Sunę s'Hara ze sztywną uprzejmością.
-
Czy nie jesteś ranny? - dodał cieplejszym tonem.
- Nie, panie - odparł Niun. Zaczerwienił się nagle, przypomniawszy sobie, że nie powinien okazywać uniżoności temu mężczyźnie, że był wysłannikiem, a także kimś więcej.
Zdradził przed nimi, że jest bardzo młodym kel'enem, któremu brak doświadczenia w kwestiach dotyczących władz. - Pomiędzy regulami a mri na Kesrith panuje napięcie - dodał, by ukryć swe zmieszanie. - Padły pewne słowa.
- Użyto przeciw nam broni - odparł Sunę - ale nikt nie zginął.
Szedł wraz z nimi metalowymi korytarzami, mijając sale zaprojektowane dla reguli.
Widział kel'ein i kel'e'ein o zasłoniętych twarzach. Byli równie młodzi, jak on.
Serce zabiło mu szybciej. Wydali mu się wspaniali i piękni. Starał się na nich nie gapić, choć wiedział, że ich oczy dokonują dokładnej oceny obcego, który przybył pomiędzy nich. Niektórzy - gdy ich mijali - odsłaniali twarze w geście braterskiego powitania. Liczna grupa podążyła przez korytarze do głównego pomieszczenia, centrum statku, które służyło teraz jako komnata she'pan.
Była w średnim wieku. Niun podszedł do niej i skłonił głowę pod jej dłonie. Podniósł ku niej wzrok. Poczul niejasny niepokój wywołany tym, że she'pan wita go nie w znajomej bliskości glinianej wieży, lecz w tym metalowym pomieszczeniu, i że jest to she'pan nie należąca do jego rodziny, a na jej białych szatach z niebieskim obramowaniem widnieje godło gwiazdy, a nie dłoń - emblemat Edun Kesrithun.
Była nieznaną, która musiała umrzeć. Albo zrobi to dobrowolnie, albo będzie musiał pokonać jej reprezentanta, jeśli postanowi rzucić wyzwanie. Niun modlił się po cichu do wszystkich bogów, by ta she'pan okazała się odważna oraz łaskawa i wyrzekła się wyzwania.

Jej oczy miały twardy wyraz. Żyła w świetle tak ostrym, że aż sprawiało ból. Świat, który ją otaczał, był zimny i metalowy. Wokół nich stało teraz bardzo wielu spośród tych, którzy przybyli na statku. To była ich she'pan, ich ukochana Matka, a nie jego. On był intruzem, groźbą dla jej życia. Widzieli wysłannika she'pan, który nie miał żadnych j'tai zdobytych w bitwach. Młodzieńca pozbawionego blizn i nie sprawdzonego w walce, któremu łatwo będzie rzucić wyzwanie. Czuł, jak spojrzenie jej oczu przesuwają się po nim od stóp do głów. Obca she'pan brała pod rozwagę to, kim był, a także jego świat i tych, którzy go przysłali. Za nią i wokół niej Niun dostrzegał sen'ein w złotych szatach oraz kel'ein w czarnych. Z wnek dalej położonej sali przyglądały mu się nieśmiało odziane na niebiesko keth'ein, nie noszące zasłon, łagodne i wystraszone. Wokół nich, wewnątrz pozostałych korytarzy, całe szeregi hamaków zwisały ze ścian niczym gniazda kesrithańskich pajaków. Białe sznury i taśmy tworzyły koronkę wypełniająca salę oraz pokrywająca ściany korytarzy. Niun był oszołomiony liczbą tych, którzy tłoczyli się obok, nagle jednak uderzyła go myśl, że jest to cały jego gatunek. Pozostali z niego jedynie ci, którzy przebywali na tym statku, dowództwo nad nim sprawowała zaś aktualnie ta kobieta.

- Wysłanniku - powiedziała. - Jestem Esain z Edun Elagun. Jak się ma Intel? Jej głos był łagodniejszy niż jej twarz. Przeszył Niuna na wskroś, niczym słońce po nocy. Jej łaskawe słowa dla niego i dla Intel stopiły lód jego serca.

- She'pan - odparł - Intel czuje się nie najgorzej. Nadał swemu głosowi życzliwe brzmienie. Mimo to she'pan zrozumiała go. W jej oczach pojawił się na chwilę cień strachu. Była jednak wielką panią i nie wzdrygnęła się.

- Co pragnie mi powiedzieć? - zapytała.

- She'pan - odparł Niun - Intel przekazała mi powitanie dla ciebie i wysłała mnie, bym przede wszystkim wysłuchał twoich słów. Skinęła lekko głową i nakazała gestem dłoni, by jej rada zgromadziła się wokół niej.

Kel'anth, sen'anth i katłTanth podeszli i usiedli obok, podobnie jak fen'ein, jej Mężowie, oraz

grupa Sen. Podczas gdy zajmowali swe miejsca, pozostali wycofali się i zamknęto drzwi.

Niun nadal klęczał przed nią. Zdjął ostrożnie zaidhe i rozpostarł ją przed sobą.

Położył na niej av-tlen, miecz Kel, który pożyczył mu Sirain. Broń była skryta w pochwie i zwrócona rękojeścią w jej stronę, co stanowiło symbol pokoju. Ręce złożył na kolanach. Jej kel'ein uczynili to samo. Zwrócili rękojeści w stronę Niuna, obcego pomiędzy nimi, który został dopuszczony do rady.

- Przesyłamy Intel pozdrowienia - powiedziała cicho Esain. - To dzięki jej mądrości dawno temu Ahanala zatrzymano w rezerwie dla Ludu i dzięki jej mądrości mógł on tu przybyć swobodnie. Odmawiając przyjęcia regulskiej pomocy, obciążyła Kel takim brzemieniem, że nie pozostawiła nam honorowego wyboru. Honor przeważył honor. To był mądry postępek. Wszyscy na pokładzie to rozumieją i są wdzięczni, że dokonano go na czas, gdyż nic innego nie zmusiłoby nas do opuszczenia frontu. Czy prawda jest nasz domysł, że zamierza porzucić służbę u reguli?

- Jej słowa brzmią: „Już niemal przestaliśmy służyć regulom”. Twój fen'ein oraz kel'anth widzieli tego skutki, gdy zbliżałem się do statku. Spojrzała na kel'antha. Ten potwierdził gestem jego słowa.

- Ujrzałem coś, czego nie widziałem dotąd nigdy - powiedział stary mężczyzna. - Regul zaatakował tego wysłannika. Co prawda nie rękoma, niemniej za pomocą swej maszyny. Ci regule są zdesperowani.

- A edun? - zapytała she'pan ze zmarszczonym czołem. - Jak mają się sprawy z Edunem Ludu, jeśli regule są w takim nastroju?

- W tej chwili nic mu nie grozi - odparł Niun i, ponieważ dostrzegł nurtujące ją prawdziwe pytanie, które zawahałaby się zadać byle kel'enowi, dodał: - She'pan, Zabronione znajduje się pod jej opieką, a regule są zajęci naprawą szkód, jakie wyrządziła im zła pogoda. Ludzie są już blisko, a regule obawiają się, że zwłoka opóźniłaby ich odlot. Myślę, że to, co zdarzyło się na zewnątrz, było czynem młodego, któremu nie wydano jasnych rozkazów.

- Co jednak by się stało - zapytała she'pan - gdybyśmy opuścili ten statek całą grupą?

- Jesteśmy mri - odparł Niun z niewzruszoną pewnością siebie. - Regule zeszliby nam z drogi. Nie odważyliby się nic uczynić.

- Czy takie jest twoje zdanie o tym młodym, które usiłowało odebrać ci życie?

- zapytała she'pan.

Gorąco rozlało mu się po twarzy.

- She'pan - powiedział, zdając sobie sprawę ze swej młodości i niedoświadczenia.

- Nie sędzę, by było to poważne zagrożenie. Zastanowiła się przez chwilę, spojrzała na Sen i na pozostałych, a wreszcie westchnęła i zmarszczyła brwi.

- Ciążąca na mnie odpowiedzialność jest zbyt wielka, bym mogła podjąć takie ryzyko. Zaczekamy na decyzję Intel. Mamy tu oddział gotowy na jej wezwanie. Wyślę go do akcji lub zatrzymam w odwodzie, jak sobie życzy. Ponadto, wysłanniku, zapewnij ją, że uznam jej władzę nad Ludem. Poczul szok i ulgę zarazem. Pokłonił się jej bardzo nisko. Usłyszał, jak szeptałoby przebiegł wzdłuż i wszerz po całym pomieszczeniu. Nie był niemal w stanie spojrzeć jej w oczy. Gdy to uczynił, przekonał się, że spoglądają łagodnie i nie ma w nich wyrzutu.

- Powiem jej - oznajmił, przypominając sobie o uprzejmościach, których wyuczono go tak, że stały się częścią jego krwi, ciała i kości - że she'pan z Edun Elagun to wspaniała i odważna pani i że zasłużyła sobie na wielką cześć w całym Ludzie.

- Powtórz jej - dodała cichym głosem - że życzę jej, by dobrze opiekowała się moimi dziećmi.

Wielu zasłoniło twarze, słysząc te słowa. Niun poczul, że szczypią go oczy.

- Powtórzę - odparł.

- Wysłanniku, czy zostaniesz u nas na noc? Kusilo go to, gdyż aby wrócić do edunu, musiałby maszerować przez pozostałą część nocy i zapewne nie wyspałby się potem wiele, Intel bowiem zaczęłaby wkrótce wydawać rozkazy, pomyślał jednak o regulu, który zagroził mu drogę, o pogodzie oraz o panującej wokół niejasnej sytuacji.

- She'pan - odparł - obowiązek nakazuje mi wrócić zaraz, jak najszybciej, zanim regule będą mieli czas na długie narady.

- Tak - zgodziła się - tak byłoby najmądrzej. Idź więc.

Gdy Niun, podniósłszy z podłogi av-tlen i założywszy z powrotem zaidhe, podszedł do niej, by dotknąć jej ręki i okazać jej płynącą z głębi serca uprzejmość, włożyła mu w dłoń pierścień z prawdziwego złota. Jego serce ścisnęło się z bólu na ten gest. Był to miłosierny i odważny uczynek. Ofiarowała mu dar za służbę, jak gdyby przyniósł jej wielką satysfakcję. Ściągnęła go z własnego palca i wcisnęła mu w dłoń. Zanim wstał i odszedł, pokłonił się i ucałował jej palce. Uwiązał pierścień na jednym z rzemyków na odznaczenia, by potem umocować go jak należy, po czym pokłonił się jej na pożegnanie. - Życzę ci bezpiecznej drogi, kel'enie - powiedziała. Powinien jej życzyć długiego życia, lecz nie mógł tego zrobić. Przyszło mu jednak do głowy pożegnanie kel'ein. - Zaszczytów i dobrej pamięci - powiedział. Z zadowoleniem przyjęła jego uprzejmość. Wszyscy w Kel zasłonili twarze. On uczynił podobnie. Gdy prowadzili go ku włazowi, by wypuścić w ciemność, odczuwał wdzięczność za tę odgradzającą ich od siebie barierę. Usłyszał żałobny protest zamkniętego dusa, który wyczuwał nastrój Kel, któremu służył. Ten dźwięk towarzyszył Niunowi, gdy wszedł do służby. Zgaszono światła, by uczynić ich mniej widocznym celem. Przez chwilę ciemność była całkowita. Następnie uchylająca się rampa oraz podwójne drzwi wpuściły do środka światło reflektorów lądowiska. Poczuli dotknięcie gryzącego, wilgotnego wiatru. Gdy odchodził, nie powiedzieli nic. Nie wymienili pomiędzy sobą nawet jednego słowa. To dzięki odwadze ich Pani Matki Niun i jeden z nich nie będą musieli przelać krwi w akcie przekazania władzy. Ta sprawa jednak była już rozstrzygnięta. Gdy na Kesrith pozostanie już tylko jedna she'pan, nadejdzie dla nich czas na uprzejmości i powitania. Nie obejrzał się za siebie, gdy zaczął schodzić z rampy.

Rozdział 16

Niun spodziewał się, że u podnóża rampy będą czekały kłopoty, nie zastał tam jednak nic. Nie było regulskiego strażnika ani pomocy, którą mógłby on wezwać. Nie zastanawiał się ani na chwilę nad swym szczęściem, lecz pochylił głowę i zaczął biec. Miękkie podeszwy butów sprawiały, że odgłos jego kroków był tak cichy, jak to tylko było możliwe. Ponownie zagłębił się w labirynt porzuconej maszynerii. Tam właśnie wypatrzył reguli, których się obawiał - blask reflektorów po drugiej stronie płotu. Wstrzymał oddech i zatrzymał się w pół kroku, by zbadać sytuację. Skrył się w cieniu i zmienił kierunek, gdyż doszedł do wniosku, iż nie ma potrzeby, by dwukrotnie korzystał z tego samego

przejścia.
Przepalił pistoletem ogrodzenie z drutu, odtrącił kopniakiem na bok
oddzielony
fragment i
rzucił się do ucieczki. Płuca miał obolałe od oddychania rzadkim powietrzem.
Gdzieś
rozległo się zawroźnienie dusa, które przebijało się przez łoskot poszukującej
w
ciemnościach
łupu maszynierii.
Dotarł do krawędzi lądowiska i pognał po piasku. Zszokowany i zdumiony
dostrzegł,
że wiązka uderzyła w podłoże, przecinając mu drogę. Wciągnął z wysiłkiem
powietrze i
zmienił kierunek. Okrażył wydmy i pognał naprzód ze wszystkich sił, jakie mu
pozostały.
Po jakimś czasie uznał, że jest już w miarę bezpieczny - na tyle, by móc na
chwilę
odetchnąć. Regule nie potrafili go doścignąć, a hałaśliwe maszyny nie mogły
go
zaskoczyć.
Stłumił kaszel, naturalny rezultat lekkomyślnego sprintu, i zaczął z niepokojem
rozważać
nowy stan rzeczy. Regule wcale nie zamierzali go schwytać, lecz z premedytacją
zabić.
Położył się na stoku wydmy z ręką przyciśniętą do obolałego boku. Starał się
zachować normalny rytm oddechów. Usłyszał, że w pobliżu coś się poruszyło.
Dus,
pomyślał,
gdyż wiedział, że między wzgórzami jest ich tej nocy pełno i jeśli regule
zapuściliby się zbyt
daleko na pustkowia w pogoni za nim, spotkaliby się z przywitaniem, które by
się
im nie
spodobało. Dusei z edunu nie zrobiłyby krzywdy regulom, lecz te tutaj nie
były
oswojone, a
regule mogli się nie połapać w różnicy do chwili, gdy będzie już za późno.
Podźwignął się i ruszył w drogę. W tej samej chwili usłyszał odgłos pośpi-
esnych
kroków, lekkich i szybkich jak kroki mri, które podążały za nim przez wydmy.
Sądził, że to
jeden z kel'ain Esain, któremu po jego odejściu przyszła do głowy jakaś
desperacka myśl. Z
tego powodu zamarł bez ruchu i syknął do cienia słowa ostrzeżenia, gdy ten
stanął z nim
twarzą w twarz, by okazać mu szacunek należny drugiemu kel'ainowi.
Nie był to jednak kel'ain.
Przez mgnienie oka spojrzeli sobie w oczy, człowiek i mri. W tym mgnieniu
oka
Niun wyszarpnął pistolet, człowiek zaś rzucił się rozpaczliwie do ucieczki.
Nie
miał jednak
szans na tym wąskim obszarze pomiędzy wydmy.
W następnej chwili przez umysł Niuna przemknęła myśl - że od martwego człowie-
ka

nie uzyska się odpowiedzi na żadne pytania. Nie strzelił. Popędził za nim.
Gdy
doścignął
zbiega, nakazał mu gestem „chodź tu, chodź tu”. Człowiek, rzucający rozpaczliwe
spojrzenia
na Niuna i poza jego plecy, stanowiłby łatwy cel, gdyby mri postanowił strzelić.
Ścigany wybrał reguli. Odwrócił się i rzucił do ucieczki. Istota, która nie miała prawa
przebywać na Kesrith.
Niun zabezpieczył kciukiem pistolet, wcisnął go do kabury i ruszył w nowym kierunku, w którym regule nie mogli podążać. Przeszedł przez odnogę wydmy i rzucił się
płasko na piasek. Przyglądał się całej scenie, by się przekonać, w jaki rodzaj
pułapki wpadnie
zbieg. Człowiek rzeczywiście trafił prosto w ręce reguli, w osobie jednego przedsiębiorczego
młodego. Zapędziło go ono w pułapkę pod usypiskiem, na które mógłby bez trudu się
wdrapać, gdyby miał tyle rozumu, by na to wpaść. Faktycznie wpadł i zaczął gramolić się ze
wszystkich sił w górę, by dostać się na szczyt. Regul jednak w porę złapał go za
kostkę i
zaczął z nieubłaganą siłą ściągać w dół.
Nie zwracali uwagi na nic innego. Niun cofnął się za usypisko, przebiegł kawałek,
wszedł na jego szczyt i zsunął się w dół jak kamień. Uderzył w masywne cielsko
regula, który
zachwiał się na nogach. Młode zaatakowało go nieudolnie. Popełniło ten błąd, że
wycelowało
broń w kel'ena. Był to ostatni błąd w jego życiu. Niun nie pomyślał nawet o błysku as'ei,
które opuściły jego dłoń i zatopiły się w gardle oraz piersi młodego. Cisnął nimi, zanim myśl
zdążyła zamienić się w zamiar.
Człowiek gramolił się na czworakach w kierunku pistoletu regula. Niun uderzył swym
ciałem o jego ciało. Gdyby w jego zamiarach leżało użycie noża, człowiek zginałby w tej
samej chwili.
Mimo to nie był on godnym pogardy przeciwnikiem. Odbił gołymi rękami ręce Niuna,
gdy ten spróbował go pochwycić. Nie miał już jednak sił. Krew ciekła mu z nozdrzy. Niun
słyszał jego chrapliwy, bulgocący oddech. Wyrwał ręce z uścisku rywala, owinał
ramię wokół
jego gardła i szarpnął głową przeciwnika ku tyłowi. Rozległ się trzask uderzających o siebie
zębów. Tamten nadal nie chciał upaść, lecz szybki cios w brzuch i drugie szarpnięcie głową
sprawiły, że osunął się na piasek, wijąc się z bólu. Niun uderzył go jeszcze raz, co sprawiło,

że jego przeciwnik znieruchomiał.
Związał go wprawnymi ruchami taśmą ze swego pasa, po czym złapał swe as'ei i schował je pośpiesznie w pochwy. Posłyszał zgrzyt maszynerii zmierzającej powoli w tym kierunku. Zarówno on, jak i człowiek pozostawili na piasku ślady, które mogli odczytać nawet ślepi w nocy regule.
Człowiek zaczął wykazywać oznaki powrotu do przytomności. Niun szarpnął go za łokieć. Nie przestawał go ciągnąć, aż wreszcie tamten spróbował zareagować na to nieprzyjemne doznanie. Wtedy dał mu trochę luzu, by mógł podźwignąć się na nogi.
- Cisza - syknął do niego.
Jeśli człowiek myślał o tym, by krzyknąć, zrezygnował z tego zamiaru, gdy ostrze aw-tlen znalazło się obok jego twarzy. Podniósł się z wysiłkiem na kolana, a potem - z pomocą Niuna - na nogi, po czym poszedł w milczeniu tam, gdzie mu kazano. Kasłał, lecz usiłował zdusić nawet ten dźwięk. Jego twarz pokrywała maska krwi i piasku widoczna w słabym świetle dobiegającym z lądowiska. Kroczył tak, jak gdyby kolana miały się pod nim załamać.
Dotarli do krawędzi nizin. Powolne, złowieszcze cienie dusei spoglądały na nich ze szczytów wydm, zwierzęta nie próbowały im jednak w żaden sposób zagrozić. Z tyłu nie dobiegały odgłosy pościgu. Być może regule nie otrząsnęli się jeszcze z szoku wywołanego tym, że kel'en podniósł rękę przeciw swym pracodawcom.
Niun zdawał sobie sprawę, jak straszliwą zbrodnię popełnił. Miał czas, by zrozumieć to dokładnie. Znał reguli. Wiedział, że będzie im potrzebny czas na skonsultowanie się z władzą. Co stanie się później, nie potrafił odgadnąć. Żaden mri nie podniósł dotąd ręki na tych, którym poprzysiągł służyć. Żaden regul nie musiał podjąć decyzji, co uczynić z mri, który tak postąpił.
Złapał człowieka za łokieć i zmusił go, by szedł szybciej, choć jeniec potykał się od czasu do czasu, źle stawiał kroki i krzyczał pod wpływem szoku, gdy skorupa załamywała się pod nim i jego noga stykała się z wrzącą wodą. Zapuścili się już daleko na niziny, gdzie nie docierali regule ani ich pojazdy i gdzie siarkowe opary gejzerów osłaniały ich przed wzrokiem ścigających. Człowiek pokasływał już i odpluwał. Niun sądził, że krwawił on z górnych dróg oddechowych, a nawet z płuc.

Z uwagi na to odnalazł odpowiednie miejsce i rzucił jeńca na glinianą skarpe,
by
mógł
on uspokoić oddech. Sam również się cieszył, że ma okazję odpocząć.
Przez chwilę człowiek leżał twarzą w dół. Jego ciałem wstrząsały torsje wy-
wołane
próbami tłumienia kaszlu. Najwyraźniej trafnie uważał, że Niun nie będzie
tego
tolerował.
Nagle mdłości ustały. Schwytany leżał nieruchomo na boku i wpatrywał się w
niego.
Nie był uzbrojony. Niun wziął pod uwagę ten ciekawy fakt. Zastanawiał się, co
też
opętało ludzi albo co przytrafiło się temu człowiekowi, że stracił swą broń.
Człowiek gapił się
po prostu na niego. Na pokrywający jego twarz piasek wylewały się łzy. W jego
oczach nie
było widać żadnego uczucia. Nie wyrażały nic poza wyczerpaniem i cierpieniem.
Bez żadnej
ochrony zapuścił się w nieprzyjazne środowisko Kesrith i nierozważnie biegł,
przez co naraził
swe tkanki na uszkodzenie.
Ponadto uciekał od reguli, z którymi jego pobratymcy zawarli traktat.
- Jestem Sten Duncan - wyszeptał wreszcie człowiek we własnym języku. -
Towarzyszę ludzkiemu posłowi. Kel'enie, nasza obecność tutaj jest zgodna z
traktatem.
Niun zastanowił się nad zdradzoną przez tamtego informacją. Ludzki poseł,
ludzki
poseł - te słowa niosły się w jego umyśle złowieszczą nutą zdrady.
- Jestem kel Niun - odparł, gdyż ta istota podała mu swe imię.
- Czy jesteś z edunu?
Niun nie odpowiedział, ponieważ wydawało się, że nie ma takiej potrzeby.
- Tam właśnie mnie zabierasz, prawda? - Gdy człowiek po raz kolejny nie
otrzymał
odpowiedzi, najwyraźniej poczuł niepokój. - Pójdę tam z własnej woli. Nie mu-
sisz
używać
siły.
Niun rozważył tę propozycję. Ludzie zwykli kłamać. Wiedział o tym. Brak mu
było
doświadczenia, by ocenić szczerłość słów tamtego.
- Nie puszczę cię wolno - zdecydował.
Ludzie nie mieli w zwyczaju zasłaniać twarzy, lecz mimo to Niun żałował, że w
ten
sposób postąpił z ludzkim kel'enem, odzierając go z godności. O ile ten
człowiek
faktycznie
był kel'enem. Niun sądził, że tak było, gdyż w walce spisał się całkiem do-
brze.
- Pójdziemy do edunu - oznajmił. Wstał i pomógł podnieść się Duncanowi. Nie
włożył
w to zbyt wiele wysiłku, gdyż nie był to jego brat, zczekał jednak, by uzys-
kać
pewność, że
człowiek mocno stoi na nogach. Był ranny. Niun zauważył, że stawia on nie-
pewne i
nierówne
kroki i że porusza się po terenie, nie znając go, ślepy na jego

niebezpieczeństwa.

A także głuchy.

Niun usłyszał, jak z portu wystartował samolot, który skierował się w ich stronę, lecz

człowiek nie podniósł nawet wzroku, zanim Niun nie szarpnął nim, by mu go pokazać. Stał

jak głupi, gapiąc się w tamtą stronę, kierowany złą wolą lub tępotą umysłu.

Niun

nie czekał,

by się przekonać, która z tych ewentualności jest prawdziwa. Złapał swego więźnia i

pociągnął go w kierunku wrzących wód Jieca, z którego para buchała w noc.

Tam,

przy

glinianej skarpie, ukryli się. Ich płuca dławił zapach siarki.

Huk regulskich silników przemknął nad nimi. Reflektory omiotły równiny i oświetliły

pióropusze pary, bezowocnie szukając jakiegoś ruchu. Tutaj, na wulkanicznych nizinach,

czujniki temperatury posiadały ograniczoną użyteczność. Wrzące źródła oraz gotujące się

błoto sprawiały, że regulska nauka nie przydawała się zbyt w ich tropieniu.

- Kel'enie - odezwał się Duncan. - Którego z nas szukają? Mnie czy ciebie?

- W jaki sposób obraziłeś reguli? - zapytał Niun, uważając, że udzielanie informacji

nie przyniesie mu żadnej korzyści, lecz jej uzyskanie to inna sprawa. Przez cały

ten czas

wiązki światła omiatały niziny, rozświetlając jeden pióropusz pary po drugim.

-

Czy byłeś

więźniem?

- Asystentem ludzkiego posła, który przybył... - Eksplozja ognia oblała łuną ich

twarze i spryskała ich wrzącą wodą. Skulili się razem, by się przed nią osłonić.

Ogień nie

ustawał, a woda wciąż pluskała. Pod ziemią rozległo się dudnienie i obok nich wystrzelił w

górze strumień pary, który ich ogarnął. Był nieprzyjemnie gorący, lecz możliwy do

zniesienia.

- Tsi'mri - zaklął półgłosem Niun, zapominając, z kim dzieli schronienie. Gdy ogień

zaporowy nie ustawał, poczuł, że człowiek zaczyna dygotać. Wstrząsały nim długie,

niezdrowe fale dreszczy, jak istotą, której siły zostały niemal całkowicie wyczerpane.

-... który przybył przed całą misją - kontynuował z uporem wciąż drżący człowiek

- by

dopilnować, czy wszystko wygląda tak, jak nam obiecano. Nie sędzę jednak, by...

Pobliska eksplozja oblała ich wodą i błotem. Człowiek krzyknął głośno, zdusił jednak

ten dźwięk.

- Ilu was tu jest? - zapytał Niun.

- Ja i poseł. Dwóch. Przylecieliśmy na Hazanie, który tam stoi.
Niun złapał Duncana za kołnierz i zwrócił jego twarz w stronę światła
bijącego
od
przeszukujących teren wiązek. Nie ujrzał w niej nic, co by mu powiedziało,
czy
była to
prawda czy kłamstwo. Teraz, gdy oblicze człowieka wymyła do czysta wilgoć,
która
ogarnęła
ich obu, dostrzegł, że jest to młody mężczyzna. Ludzki kel'en. Niun wzdragał
się
przed
nazwaniem obcego tym honorowym tytułem, nie znał jednak żadnego innego, który
byłby
odpowiedni dla tej istoty.
- Na Hazanie był kel'en - powiedział Niun - który tam umarł.
Po raz pierwszy wydawało się, że coś przebiło się przez mur otaczający
człowieka.
Zawahał się, zanim odpowiedział:
- Widziałem go. Raz. Nie wiedziałem, że nie żyje.
Niun odepchnął jeńca. Na moment zaślepił go gniew. To tsi'mri - powtórzył so-
bie
- a
także nieprzyjaciel, lecz mniej w tej chwili niebezpieczny niż regule.
„Widziałem go. Nie
wiedziałem, że nie żyje.”
Odwrócił twarz i wbił przygnębiony wzrok w buchającą parę oraz światła
przechesujące równiny w ich poszukiwaniu.
Wybacz nam, Medaiu - pomyślał. - Nasze zdolności postrzegania były zbyt
przędione, nasze umysły zbyt przyzwyczajone do służby regulom. W przeciwnym
razie
zrozumielibyśmy wiadomość, którą próbowałeś nam przesłać.
Nakazał sobie spojrzeć na nienawistną ludzką twarz, która nie była w przyz-
woity
sposób zasłonięta, na nagość tej istoty, która - być może nieświadomie -
zabiła
kel'ena z
Ludu.
Zwierzę - pomyślał. - Zwierzę tsi'mri.
Traktat pomiędzy regulami a mri został zerwany w chwili, gdy to stworzenie
postawiło stopę na Kesrith, a stało się to wiele, wiele dni temu. Przez tak
długi czas Lud był
wolny i nie wiedział o tym.
- Nie ma już wojny - zapewnił go Duncan. Niun naprężył mięśnie. Chciał go
uderzyć,
lecz nie byłby to czyn honorowy.
- Jak sądzisz, dlaczego regule na nas polują? - zapytał Duncana, odrzucając w
jego
stronę zadane przez niego pytanie... - Czy nie rozumiesz, człowieku, że
popełniłeś poważny
błąd, opuszczając Hazana!
- Pójdę z tobą - odparł człowiek, po raz pierwszy okazując coś w rodzaju
godności -
żeby porozmawiać z waszą starszyzną i wytłumaczyć wam, że lepiej będzie, jak
zwrócicie
mnie moim pobratymcom.
- Ach - powiedział Niun, którego te słowa przyprawiły niemal o pogardliwa

uciechę. -

Ale my jesteśmy mri, nie regule. Nic nas nie obchodzą wasze umowy z nimi. Jak zreszta

widzisz, nie pomogły ci one w niczym.

Człowiek znieruchomiał, rozważając te słowa. Nie okazał strachu przed ukrytą w

nich

groźbą.

- Rozumiem - powiedział. W chwilę później dodał spokojnym, opanowanym tonem:

-

Pozostawiłem tam w mieście posła. Jest stary i został sam z regulami, podczas gdy tu dzieją

się takie rzeczy. Muszę do niego wrócić.

Niun zastanowił się nad jego słowami. Zrozumiał je. To ze względu na lojalność

dla

swego sen'antha człowiek znosił to wszystko cierpliwie. Wzbudziło to jego respekt. Dotknął

dłonią serca, by go okazać.

- Doprowadzę cię żywego do edunu - powiedział. Wydawało mu się, że powinien dodać: - Nie jest naszym zwyczajem brać jeńców.

- O tym już wiemy - odparł Duncan.

A więc porozumieli się nawzajem tak, jak to tylko było możliwe.

Niun popatrzył na rozciągające się przed nimi niziny. Zaczął się już zastanawiać

nad

tym, jakie zmiany mogło wywołać bombardowanie na znajomym terenie, jakie przeszkody

mogły się pojawić na niestabilnym gruncie i gdzie mają poszukać następnego, w miarę

bezpiecznego schronienia, jeśli regule wrócą tu szybciej, niż się tego spodziewał.

Dobrze się stało, że on i człowiek osiągnęli porozumienie, że Duncan doszedł do

wniosku, iż jego najlepsza szansa oraz najbardziej honorowe wyjście to w tej chwili

współdziałanie z Niunem. Nie objuczony żadnym ciężarem wędrowiec mógłby dotrzeć

do

edunu rankiem, gdyby wszystko poszło po jego myśli, ponieważ jednak regulskie pociski

zniszczyły szlak, którym wspólnie się posuwali, a światło dnia ukaże ich obu wyraźnie oczom

nieprzyjaciela, nadejdzie wieczór, zanim zdołają dotrzeć do celu, o ile sytuacja

nie ulegnie

zmianie.

Jego żołądek ścisnął narastający, chorobliwy lęk. Mało brakowało, a mimo wszystko

zabiłby człowieka i pognał do edunu ze wszystkich sił. Przeklinał sam siebie za

swą

nadmierną wyrozumiałość, która doprowadziła do tego, że musiał teraz wybierać między

mordem a głupotą. Ścisnął człowieka za ramię.

- Posłuchaj mnie. Jeśli nie zdołasz dotrzymać mi kroku, nie będę mógł cię prowadzić,

a jeśli nie będę mógł cię prowadzić, zabiję cię. Jest też - dodał - bardzo

prawdopodobne, że regule odbiorą ci życie, by uniemożliwić ci dotarcie do twego zwierzchnika. Powiedziawszy to, wyszedł z ukrycia i pociągnął człowieka za sobą, trzymając go za ramię. Duncan podążył za nim bez oporu. Jednakże regulski samolot patrolujący okolicę zawrócił właśnie w ich stronę i po przejściu zaledwie kilku kroków byli zmuszeni rzucić się na ziemię w poszukiwaniu nowej kryjówki. Wznowiono ogłuszający ogień zaporowy. Prysnęła na nich wrząca woda oraz krople błota. W edunie musieli wiedzieć, co się dzieje. Z pewnością coś robili w tej sprawie. Być może - pomyślał Niun - sen'anth Duncana również o tym wiedział i podjął jakieś kroki. Był jeszcze Ahanal, niezależny od Intel. Rozumiał bezsilne przerażenie człowieka. Ze wszystkich na Kesrith, którzy mieli jakiegokolwiek możliwości działania, oni dwaj mogli zrobić najmniej, a regule, którzy nigdy nie walczyli, chwycili za broń, skłonieni do tego złą wola, strachem czy jakimś innym motywem, który mógł połączyć ze sobą brzegi przepaści dzielącej tchórzostwo od interesowności.

Rozdział 17

Słychać było strzały. Człowiek, którego większość życia wypełniała wojna, nie mógł pomylić ich dźwięku z niczym innym. Stavros odwrócił swój ślizg, by wyjrzeć przez okno. Ujrzał światła samolotów zataczających kręgi poniżej poziomu chmur. Jego palce odszukały klawiaturę konsoli i dostroiły osłony z dużą sprawnością, której zdążył już nabrać. Urządzenia kontrolne były proste, lecz wymagały nieprawdopodobnych serii sygnałów kodowych, z których każdej trzeba było nauczyć się na pamięć. Regule dostarczali mu kodów z pełną zarozumiałością pogardą: zapamiętaj je - zdawali się mu mówić, przybierając tę swą minę, która świadczyła, że zaliczają istoty o krótkiej pamięci do kategorii podrozumnych. Stavros nie był pod tym względem typowy. Nigdy nie był typowy: od dzieciństwa na odległej Kiluwie, poprzez lata gdy związany był z Urzędem Ksenologii, aż po okres sprawowania funkcji dyrektora na Helleyu podczas pierwszego kontaktu. Nie sprawiała mu żadnych trudności nauka języków ani obcych obyczajów, podobnie jak rozpoznanie prowincjonalnej krótkowzroczności, czy to występującej u ludzi, czy u innych. Był z przekonania kiluwańskim patriotą. Znaczenia tego faktu nie rozumieli regule ani większość ludzi. Tę odległą kolonię zaludniali religijni tradycjoniści.

Pisanie było dla nich
grzechem, a wykształcenie stanowiło ich obsesję. Urodził się na tej planecie
sto
lat temu,
zanim pokojowa, ekscentryczna Kiluwa padła ofiarą wojen z mri.
Wielu Kiluwan wyróżniło się w służbie. Już ich nie było. Znaleźli się wśród
ofiar
odwetu za Nisren, czterdzieści lat temu. Stavros ocalał. Było charakterystyc-
zne
dla jego
kiluwańskiego wychowania, że poczuł się zmuszony do zrozumienia gatunku,
który
nakazał
zniszczenie jego rodzinnej planety. To regule wydali rozkaz, nie mri. Dlatego
zajął się
badaniem zjawiska, jakim był ten gatunek. Ich umysły przypominały
doskonałość,
do której
zmierzała Kiluwa, lecz to oni zniszczyli wszystko, co ów świat stworzył. Był
w
tym, jak
powiadali ongiś uniwersyteccy wykładowcy, „rytm sprawiedliwości”, połączenie
znoszących
się nawzajem sił. Teraz Kiluwanin przyleciał tutaj, by przepędzić reguli.
Rytm
nie ustawał,
wiążąc ich ze sobą.
Nauczył się regułskich zwyczajów w poszukiwaniu rozwiązania tego interesu-
jącego
problemu. Dostrzegł cechującą ich nikczemność, chłód oraz samolubną ambicję,
podobnie jak
żywiony przez nich szacunek dla umysłu. Przeszedł od strachu przed regulami
do
podziwu
dla nich - w niemałym stopniu z powodu żalu za Kiluwa, której marzenie
obrócone
w ciało
okazało się podobnie niedoskonałą rzeczywistością. Pod tym wszystkim, co
zdołał
do tej pory
pojąć, kryły się dalsze prawdy - przywary i zalety nieodłączne od biologii
reguli. Dostrzegął
je. Zaczynał przynajmniej rozumieć ograniczenia dotyczące przedłużania ga-
tunku
oraz
kontroli przyrostu naturalnego, podział na przypominające mrowiska grupy,
rozdzielenie
między zdolnymi do rozmnażania starszymi oraz młodymi, a także docha
stanowiące
mniej
więcej odpowiednik państw. Nabrał podejrzeń odnośnie do wartości traktatów,
które były i
zarazem nie były wiążące dla docha nie uczestniczących w porozumieniu.
Zawarli kontrakt z Holn, lecz nagle stwierdzili, że mają do czynienia z Alagn
i
Alagn
honorowała umowę.
Na pozór.

Nadeszła chwila prawdy. Stavros przez długie godziny dnia i nocy, która nadeszła później, ukrywał nieobecność Duncana. Dopuszczał się każdego możliwego fortelu, z wyjątkiem otwartego kłamstwa, którego regule by nie wybaczyli. W miarę upływu godzin nabierał pewności - z początku, że Duncan znalazł coś podejrzanego, gdyż w przeciwnym razie wróciłby szybko, a już na pewno, gdy tylko ciemność dała mu możliwość ukrycia się - potem jednak, gdy zapadnięcie nocy nie sprowadziło go z powrotem, był niemal całkowicie pewien, że coś podejrzanego znalazło Duncana. Coraz trudniej było utrzymać pozory poprawności stosunków z regulami. Mogli oni zamordować żołnierza NST i po prostu zapomnieć poinformować o tym w swych porannych komunikatach. Żaden zaś człowiek nie wylądował na Kesrith bez zapewnienia Stavrosa, że zostały zlikwidowane wszystkie możliwości oporu. Przynajmniej nie na stopie pokojowej. Regule z pewnością to rozumieli. Stavros siedział i przysłuchiwał się strzałom. Wiedział, że dopóki nie umilkły, istniało duże prawdopodobieństwo, że Duncan jeszcze żyje. W swoim czasie Stavros nadawał kształt linii politycznej, kierował zasiedlaniem nowego świata i zakładał uniwersytet. Sporządzał plany dyplomatyczne i wojenne i rzucał na szalę życie tak wielu ludzi, że całe statki wraz z załogami uważano za możliwe do poświęcenia. W takich sytuacjach podobni Stenowi Duncanowi ginęli setkami. Gdy jednak słyszał strzały, zaciskał prawą pięść i cierpiał, próbując rozpaczliwie poruszyć oporną lewą rękę z choć minimalną siłą. Był przykuty do ślizgu. Był zmuszony do cierpliwości. W porcie doszło do nowej katastrofy. Wykrył w regulskich komunikatach, które udało mu się podsłuchać, wzmiankę, że wylądował statek i że nie należał on do przyjaciół reguli. Ludzie, konkurencyjna grupa reguli albo mri. Łatwo potrafił odgadnąć, co skłoniło Duncana do przedłużenia swej nieobecności. Nie wywołał żadnego incydentu - powiedział chłopakowi, choć wiedział, że Duncan nie mógł mieć na to większego wpływu. Incydent nadciągał. Zbierał się wszędzie wokół nich. Stavros wyczuwał to coraz wyraźniej, w milczeniu reguli oraz napiętej atmosferze panującej w Nomie. Regule próbowali dokonać czegoś niedozwolonego. Zagrożone były ludzkie interesy.

Bez względu na to, jakiemu naciskowi go poddadzą, nie zamierzał udzielić ludzkiej misji -
gdy ta już przybędzie - pozwolenia na lądowanie.
O ile już do niego nie doszło.
Stavros nie był człowiekiem skorym do pośpiesznych czynów. Musiał się najpierw zastanowić. Gdy jednak doszedł do wniosku, że szansę wynoszą pięćdziesiąt procent, dojrzał do brawurowej akcji. Nie widział potrzeby dalszego podporządkowywania się gospodarzom, którzy albo ich zabijają, albo nie odważą się tego zrobić. Nadszedł czas, by sprawdzić ich bluff. Dotknął palcami konsoli, ruszył ślizgiem naprzód i otworzył drzwi. Przeprowadził maszynę przez pokój Duncana, po czym za pomocą płynnej, dobrze wyćwiczonej serii komend skręcił nią w prawą stronę i wprowadził w biegnące po korytarzu tory. Regulskie młode, ujrawszy go, wytrzeszczały oczy i szwargotały słowa protestu, które Stavros ignorował. Znał należyte komendy. Obliczył odpowiednie ruchy i przemknął na stronę budynku zwróconą ku portowi. Tam zatrzymał się i wcisnął klawisze kierujące ruchem okien. Rozjaśnił je i nakazał schować osłony przeciwburzowe. Rzeczywiście stał tam jeszcze jeden statek. Ponadto całą okolicę zalewał blask reflektorów lśniących jaskrawo na tle obłoków dymu i pary. To samoloty badały grunt wiązkami swych świateł. Ach, Duncan - pomyślał Stavros z głębokim żalem. Jakieś młode podeszło, sapiąc, do niego. - Ludzki starszy - odezwało się. - Żałujemy, ale... Bai Hulagh? Gdzie? - zapytał za pośrednictwem ekranu, co w wyraźny sposób zdeprymowało reguła. - Młode, znajdź mi baia. Młode uciekło z największym pośpiechem, na jaki tylko mogli się zdobyć regule. Stavros obrócił ślizg i skierował go w lewą stronę. Wjechał na szyny i pognał w dół rampy. Ominął narożnik i znalazł się na dolnym piętrze Nomu, na które stanowczo zabroniono im wstępu. Tam opuścił szyny i przeszedł na sterowanie ręczne, przepychając się przez tłum trajkoczących młodych. „Mri”, dosłyszał, a także: „statek mri” i „alarm”. Ustępowały mu z drogi, aż wreszcie jedno z nich zauważyło, że w ślizgu, stanowiącym dla nich symbol autorytetu dorosłego, znajduje się człowiek. - Wracaj - prosiły go. - Wracaj, starszy. Bai Hulagh. Zaraz - upierał się. Nie chciał się wycofać i młode nie odważyły się nic w tej sprawie zrobić. Gdy zaczęły szeptać, wielce zdezorientowane, przejechał ślizgiem przez ich grupę i przystąpił do powolnego objazdu parteru, choć w powietrzu odczuwalne były wibracje wywołane atakiem na nizinach, a budynek drżał pod wpływem wstrząsów. Zanotował w umyśle, gdzie są rozmieszczone drzwi, a gdzie podjazdy i w które miejsca można dotrzeć za pomocą ślizgu.

Na jego ekranie rozbłysła wiadomość.

Była to pieczęć Hulagha. W ślad za nią ukazała się jego twarz.

- Szanowny ludzki starszy - odezwał się regul - proszę, by natychmiast wrócił pan na

swą kwaterę.

Nie potrafię uwierzyć, że jest tam bezpiecznie - wystukał cierpliwie Stavros.

-

Gdzie

jest mój asystent?

- Zlekceważył nasze rady i wplątał się w pewien incydent - odparł Hulagh z godną

uwagi szczerością, co sprawiło, że Stavros poczuł przypływ nadziei. - Z żalem pana

informuję, czcigodny pośle - ciągnął regul - że wylądowali mri. Są oni wyjęci spod prawa i

zdecydowani narobić kłopotów. Pańskie młode znajduje się gdzieś pośrodku tego wszystkiego, mimo że je ostrzegaliśmy. Proszę pana o ułatwienie nam zadania poprzez

powrót do swej bezpiecznej kwatery.

Odmawiam - Stavros nacisnął klawisz czyniący okno przejrzystym. - Będę się przyglądał stąd, przez okna.

Nozdrza Hulagha zatrzasnęły się, a potem rozwarły ponownie.

- Ta niechęć do współdziałania zasługuje na potępienie. Nadal sprawujemy tu władzę.

Nie utracimy jej aż do chwili przybycia waszej misji. Przebywa pan tu jedynie jako

obserwator, za naszą zgodą.

A więc będę obserwował.

Ponowne gniewne rozdarcie nozdrzy.

- Niech więc pan to robi, na własne ryzyko. Jeśli odnajdziemy pańskie młode, poinformuję je, że brak panu jego usług i że lepiej będzie, jak wróci do pana.

Byłbym za to wdzięczny - wystukał powoli Stavros. - Poinformuję mych pobratymców,

gdy już przybędą, że nie jesteście odpowiedzialni za żadną zwłokę w wycofaniu się, o ile

stanie się tak, że mój adiutant wróci do mnie bezpiecznie, a ponadto żadnym uszkodzeniom

nie ulegną wybrane przez nas lądowisko oraz niezbędne instalacje, takie jak ten

budynek,

stacja uzdatniania wody czy elektrownia. Gdyby jednak doszło do którejś z tych

rzeczy, mogą

zostać wyciągnięte odmienne wnioski.

Zapadła cisza. Bai Hulagh wciąż był widoczny na ekranie. Zastanawiał się nad tą

deklaracją intencji. Stavros spodziewał się gniewu, groźby czy pokrzykiwania, lecz zamiast

nich pod stanowiącą kościstą maskę twarzą przemknęło jakieś trudniej rozpoznawalne

uczucie zdradzone jedynie nagłym rozwarciem się nozdrzy.

- Jeśli ludzki poseł zapewni nas, że rzeczywiście tak mają się sprawy i że będzie

można dojść do kompromisu, dokonamy wszelkich wysiłków, by uchronić owe urządzenia

oraz doprowadzić do odnalezienia ludzkiego młodego żywego. Będzie jednak konieczne

ostrzeżenie ludzkiego posła, że w porcie dojdzie do niezbędnych operacji i -
ze
względu na
bezpieczeństwo Nomu oraz wszystkich znajdujących się wewnątrz - byłoby
korzystniej,
gdyby czcigodny ludzki starszy dokonywał obserwacji za pośrednictwem zdalnych
urządzeń,
a nie przez okna. Proszę to wziąć pod uwagę, jeśli łaska, panie.
Rozumiem. Jeśli łaska, panie. Jestem w obecnej chwili przekonany, że robicie
wszystko, co w waszej mocy.
Nie miał ochoty rezygnować z możliwości wyglądania przez okno, gdyż nie żywił
zauwania do niekompletnych obrazów przekazywanych przez reguli, lecz ogień
zaporowy był
intensywny, a okna grzechotały złowieszczo. Zaczynał poważnie traktować
ostrzeżenia baia.
Regulskim budynkiem targał jeden wstrząs za drugim. Stavros wiedział, że bai
go
nie
oszukuje.
Pytaniem było tylko, co takiego wywołało tę wymianę ognia. Regule, powtórzył
sobie,
zasuwając osłonę przeciwburzową, nie kłamali.
Zatem prawdą było, że wylądowali mri i że Sten Duncan znajdował się gdzieś na
nizinach. Z regulami jednak nigdy nie można było być niczego pewnym.
Nagle zatrzęsa się podłoga. W całym budynku zawyły syreny.
Stavros wprowadził ślizg w tor i pomknął z powrotem do głównego holu, gdzie
grupa
młodych zaczęła gorączkowo machać do niego rękoma. Wszystkie jednocześnie
starały się
przekazać mu instrukcje.
- Do schronu, wielebny, do schronu! - wołały, wskazując na kolejne
pomieszczenie,
do którego prowadziła zbiegająca w dół rampa. Stavros zastanowił się nad tym
i
doszedł do
wniosku, że tym razem mądrzej będzie ich posłuchać.

Rozdział 18

Duncan był doszczętnie wyczerpany. Stanowił obciążenie i zwiększał
niebezpieczeństwo. Niun chwycił go rękoma i zepchnął w dół zbocza, by poszu-
kać
schronienia pod nawisem, w pobliżu kipiącej sadzawki. Wepchnął go jeszcze
głębiej, gdy
wcisnął w ślad za nim własne ciało.
Ledwo zdażył na czas. Pobliski impuls ognia przemknął z sykiem przez wodę, po
czym skruszył skałę obok nich. Ostrzał prowadzono na oślep, bez celowania.
Wiązki światła
nie przestawały przeszukiwać okolicy. Niun dostrzegł w ich odbitym blasku
wynędzniałą
twarz Duncana. Oczy człowieka były opuchnięte. Nie chroniły ich migotki,
które
przesłaniały
wzrok Niuna, gdy tylko dym stawał się gęsty. Po górnej wardze Duncana
ściekała
strużka
krwi, która w słabym świetle wydawała się czarna. Ciągle się sączyła. Stało
się
to już czymś

więcej niż tylko drobną dolegliwością. Człowiekiem wstrząsał bulgoczący kaszel, mimo że usiłował on go zdusić. W powietrzu unosił się gęsty, dławiący odór, zarówno wywołany strzałami, jak i pochodzący z naturalnych źródeł: pary i siarki. Niun wykręcał ciało w ciasnej przestrzeni, brzydząc się dotknięcia zakrwawionego i spoconego człowieka. Wreszcie, wyczerpany, doszedł do wniosku, że w tak niewielkim schronieniu nie warto być wybrednym. Leżeli razem w jamie, która zapewne stanie się ich grobem, jeśli któryś z następnych strzałów spowoduje osunięcie się nawisu, pod którym się kryli. Kości człowieka i mri mieszają się ze sobą, dostarczając przyszłym posiadaczom Kesrith powodu do zastanowienia. To był obłąd. Umysł nie mógł funkcjonować prawidłowo w warunkach takich powtarzających się wstrząsów, do jakich dochodziło nieustannie wokół nich. Niunowi nieudolność reguły wydała się zdumiewająca. Obaj z Duncanem zginęliby już wiele razy, gdyby ich wrogowie posiadali choćby cząstkową znajomość terenu. Nie mieli oni jednak żadnej. Ostrzeliwali na oślep okolicę równie dla nich obcą i nieznaną, jak dno morza. Świat bez ustanku rozświetlały białe i czerwone flary. Spowijała go mgła, para, dym oraz obłoki kurzu. Wyglądało to zupełnie jak piekło znane mu z ludzkich przekleństw. Piekłem mri był nie kończący się Mrok. Woda pluskała ze świstem i bulgotaniem. Niun opuścił chustę zaidhe. Znajdował się na zewnątrz i osłaniał człowieka swym ciałem. Była to, jak na ironię, sytuacja, spowodowana przypadkiem. Natychmiast zamieniłby się na miejsca, gdyby było to możliwe. Ziemia podźwignęła się pod wpływem kolejnej eksplozji, która sparaliżowała ich zmysły i sprawiła, że ich bezwładne ciała ogarnęły ponowne konwulsje przerażenia. Przebijając się przez to wszystko, na skały padł nagle ostry, biały blask, który narastał, pochłoniął ich, aż wreszcie pożarł cały świat. Towarzyszyła mu niemożliwa do zniesienia fala ciśnienia. Niun pojął, że ich trafiono. Spróbował się poruszyć, by wytoczyć się na otwartą przestrzeń, zanim nawis się osunie. Ogarnęła go fala uderzeniowa i była ona czerwona... .. wicher, wicher o wielkiej mocy, który rozpędził dym i mgłę, tworząc czerwony wir

przed jego skrytymi za migotkami i chustą oczyma. Niun poruszył się. Zdał sobie sprawę, że się poruszył i że żyje. Ze wszystkich stron otaczało ich posępne światło o kolorze paskudnej czerwieni. Podniósł się na nogi. Źródło tego blasku miał za plecami. Odwrócił się w jego stronę i ujrzał port. Nie było w nim nic. Stał, choć nogi pod nim drżały. Zdawało mu się, że krzyknął w głos, tak wielki był jego ból. Zacisnął oczy, po czym otworzył je, usiłując dostrzec coś poprzez płomienie, aż wreszcie łzy spłynęły mu po twarzy. Po Ahanalu i po Hazanie nie zostało jednak ani śladu. W samym mieście gorzały pożary. Ku niebu wznosiły się kłęby dymu. W tej samej chwili z miejsca w pobliżu horyzontu wystartował samolot, który zatoczył krąg nad morzem i zawrócił w ich stronę, mrugając leniwie światłami. Niun podążał za nim wzrokiem. Maszyna zatoczyła jeszcze jeden krąg, przeleciała nad miastem, poprzez dym, i zaczęła kierować się w stronę wzgórz. W stronę edunu. Pragnął odwrócić od tego twarz. Wiedział, wiedział już jaki będzie koniec. Obserwował samolot. Śledził go wzrokiem. Jego gardło ścisnął potężny skurcz. Ciało miało zimne i odrętwiałe, lecz ośrodek jego umysłu był w pełni świadomy tego, co zaczęło się dziać. Pierwsza z wież edunu, należąca do Kel, eksplodowała z jasnym blaskiem, po czym osunęła się powoli w gruzy. Dotarł do niego dźwięk, przyprawiający o odrętwienie wstrząs, a w ślad za nimi powiew. Wieże zawaliły się. Cała struktura edunu zawisała w powietrzu, po czym zamieniła się w ruinę. Statek zatoczył krąg, lekki i wolny, mrugając leniwie światłami w ciemności, po czym wzniósł się ponad dym i przeleciał beczelnie nad ich głowami. Pistolet znalazł się w jego rękach. Niun odwrócił się, uniósł go i wystrzelił jeden bezowocny impuls w ślad za tymi oddalającymi się światłami. Na niebie nie było widać żadnych innych. Rozmazały mu się one przed oczyma - zdradzieckie migotki albo łzy. Trzecia powieka poruszyła się i oczyściła jego oczy. Niun wystrzelił ponownie. Światła posuwały się naprzód jeszcze przez moment. Nagle rozkwitł czerwony blask i odłamki poleciały, wirując, po różnych trajektoriach, zniszczenie dodane do

zniszczenia.

Mógł to wywołać strzał z pistoletu lub turbulencja, która z pewnością otaczała port.

Nie zmieniło to już niczego. Niun odwrócił się i ponownie spojrzął na edun, gdzie nie zostały już nawet płomienie. W żołądku chwycił go skurcz, szarpiący ból, który osłabił jego stawy i sprawił, że zakręciło mu się w głowie. W tej chwili pragnąłby stracić czucie, stać się słabym, opaść, osunąć się na ziemię, zrobić cokolwiek, by nie sterczeć tu tak bezradnie.

Zginęli. Wszyscy zginęli.

Stał tam, nie wiedząc, czy wracać do zgłiszcz w porcie, czy też iść przed siebie, tak jak poprzednio. Nie wiedział nawet, czy jest powód, by iść dokądś czy robić cokolwiek innego niż siedzieć tutaj aż do rana, kiedy to przybędą regule, by zakończyć sprawę.

Przekonał się, że nie ma granic tego, co mogą wchłonać zmysły. Nadal czuł. Nie był

całkowicie odrętwiały. Pragnął tylko, by tak było. Uderzał w niego wiatr, który

ukradł nocy

wszelkie dźwięki. Szarpał on jego szatami, wywołując nieustanny szelest materiału, który w

tym miejscu był głośniejszy od ciszy, jaka zapadła ponad wszystkim.

Lud zginął.

On pozostał przy życiu. Ocaleni mieli pewne obowiązki. Trzeba było okazać zmarłym

szacunek i dokonać rytuałów. Różnił się usposobieniem od Medaia.

Schował pistolet do kabury, wcisnął lodowate dłonie pod pachy i przystąpił do rozważań nad tym, co go czeka w życiu.

Kel'en był Ręką Ludu. Musiał pochować swych kuzynów, o ile nie zrobili tego regule,

zabijając ich. Potem nadejdzie wojna, której, być może, regule się nie spodziewali.

Spojrzął w stronę nawisu. Zobaczył swego ludzkiego więźnia i popatrzył mu w oczy.

To także był ktoś, kto czekał na śmierć, i kto, w małym zakresie, również wiedział, czym jest nieutulony żal.

Mógł go zabić i zostać od tej chwili sam w przeraźliwej, niezmiernej ciszy.

Byłby to

mikroskopijny akt przemocy w porównaniu z działaniem sił, które rozszalały się

na niebie

Kesrith i zniszczyły cały jego świat. Mikroskopijny i nędzny atak. Zemsta za świat powinna

być równego kalibru.

- Wstawaj - powiedział cicho. Duncan podniósł się, oparł barkiem o skałę i wbił

w

niego wzrok.

- Pójdziemy na wzgórze - ciągnął Niun. - Do domu mojego ludu. Nie sądzę, by nadleciały następne samoloty.

Duncan odwrócił się i spojrział w tamtą stronę. Bez sprzeciwu i bez pytań ruszył naprzód jako pierwszy. W otaczającym ich świecie zaszła zmiana. Punkty orientacyjne, które znajdowały się na Dusowej Równinie od niepamiętnych czasów, zniknęły. Grunt pokryty był bliznami wypełnionymi wrzącą wodą. Duncan, który - związany i oślepiiony - szedł jako pierwszy, źle postawił nogę. Zapadła się ona aż po kolano. Nie wydał z siebie nic więcej niż ochrypły jęk wywołany szokiem. Niun złapał go i pociągnął w górę, pomagając mu odzyskać równowagę. Człowiek stał, chwytając ciężko powietrze. O tej chwili Niun trzymał rękę na ramieniu Duncana, kierując jego krokami. Znał drogę i dzięki temu chronił człowieka przed następnym upadkiem. Pojawiło się światło, czerwone światło Arain, brzydkie i mroczne. Niun ponownie spojrział w stronę portu i zobaczył w pierwszych promieniach słońca pełną prawdę o tym, co już i tak wiedział: że nic nie ocalało. Ani Ahanal, ani Hazan. Gdy zaś popatrzył na wzgórze, na którym wznosił się uprzednio Edun Ludu, dostrzegł, że stał się on jednym z piaskiem i skałami, jak gdyby nigdy nie stało tam nic, co wybudowały czyjeś ręce. Widział także w tym świetle zdobyte przez siebie trofeum - wyczerpane stworzenie, któremu z trudnością przychodził każdy prowadzący w górę krok, i którego twarz, usta i pierś zbryzgane były krwią ciekącą nieustannie z jego nosa, nie wiadomo czy na skutek obrażeń, czy wpływu atmosfery. Oczy miał niemal zaciśnięte. Płynęły z nich łzy, jak się zdawało nie pod wpływem uczuć, lecz uszkodzenia tkanek. Twarz, nieprzyzwoicie odsłonięta przed słońcem, wyrażała raczej oszołomienie niż złość. Niun nie wiedział, dlaczego człowiek nie przestaje posuwać się naprzód takim kosztem, choć czekała go za to tak niewielka nagroda. Znacznie łatwiej byłoby zginać na skutek działania sił natury niż w akcie tego, czym ludzie i mri obdarzali się wzajemnie od czterdziestu lat. Był jednak punkt, poza którym nie sposób już było się zastanawiać. Liczył się tylko fakt, że się żyło, i trzeba było trwać, bez względu na to, czy się tego chciało

czy nie.

Niun potrafił zrozumieć podobne stanowisko, ów głęboki szok, który nie pozwa-

łał

na

żadne decyzje. On sam nigdy nie przypuszczał, że zastygnie bez ruchu w chwili

kryzysu, a

jednak tak zrobił. Chłód momentu, w którym zginał Lud, wciąż dławił jego

umysł i

serce.

Wydawało się, że nigdy nie minie, choćby Niun zdołał wyrzucić zemstę, choćby

nawet zabił

każdego oddychającego regala i dorzucił na stos zniszczenia również ludzkość.

Wobec takiego szoku życie ich obu miało jednakową wartość - żadną.

Popychał człowieka przed sobą. Nie czuł teraz nienawiści ani litości. Nie

widział

powodu, by oszczędzać jeńca, gdy sam musiał stawić czoło zniszczeniu edunu.

Pomyślał, że

być może Duncan również opłakuje swój niespełniony obowiązek, gdyż nie udało

mu

się

zapobiec spustoszeniu Kesrith, że on również rozpacza z powodu klęski i jest

podobnie

nieszczęśliwy jak on.

Duncan miał jednak kuzynów - mieszkańców wszystkich ludzkich światów - i

wiedział, że oni ocaleli. Niun był w stanie obudzić w sobie nienawiść do

człowieka, gdy przez

chwilę o tym pomyślał. Nie odda go jego pobratymcom. Dopóki on żyje, Duncan

będzie żył.

Dopóki będzie musiał stawić czoło temu, co stało się z Kesrith, człowiek Dun-

can

będzie robił

to samo.

Dotarli do edunu w pełnym świetle dnia. Nie niepokoiły ich żadne statki. Na

niebie

nie było widać śladu życia. W mieście mogło się ono jeszcze tlić, nie sięgało

jednak do

miejsca, w którym się znajdowali. Gdy Niun o tym myślał, wyobrażał sobie, że

podąży tam i

pozabija ich systematycznie i bez radości - regali, którzy nie posiadali

umiejętności

prowadzenia wojny, a którzy na koniec, w jednym tchórzliwym akcie, unicest-

wili

Lud.

Była w tym ironia warta gorzkiego śmiechu. Niun spojrział na hałdę gruzu, w

którą

zamienił się edun i poczuł, że musi się roześmiać albo rozplakać. Duncan,

którego nikt już nie

zmuszał do marszu, osunął się po prostu na kolana i oparł o poboczne grobli.

Niun

usłyszał

jego głuchy kaszel i kopnął go lekko. Gdy to nie wystarczyło, by skłonić go

do

podźwignięcia

się na nogi, sięgnął ręką w dół, złapał go za ramię i podciągnął w górę.

Mieli robotę do wykonania, przynajmniej w takim zakresie, na jaki pozwolą ich

siły.

Niuna wstrętem napawała myśl o tym, by ręce tsi'mri dotykały ruiny, nie był

jednak w stanie

sam uporać się z zadaniem. Wyciągnął av-tlen i rozluźnił jego czubkiem węzły na nadgarstkach Duncana, po czym ostrożnie rozwiązał rzemienie, które wpiły się w opuchnięte ludzkie ciało. Następnie zawiesił je na pierścieniu u jednego ze swych pasów. Duncan spróbował rozmasować sobie dłonie, by przywrócić je do życia. Spojrzał na edun, po czym przeniósł pytający wzrok na Niuna. Mri szarpnął głową w odpowiedzi. Duncan zrozumiał go i ruszył naprzód. Brnęli przez gruz, stawiając ostrożnie stopy pomiędzy fragmentami ścian, które spadły w dół i roztrzaskały się. Tutaj szalał zwykły ogień, a nie promieniowanie, które z pewnością skaziło miasto i uczyniło je niezdatnym do zamieszkania. Niun pchnął stertę gruzu, która blokowała im drogę, i ujrzał że pod stosem ciężkich kamieni i delikatnego pyłu spoczywa przynajmniej jeden z członków Kel. Nie było sensu przenosić tej masy ani nadziei, że uda się tego dokonać w całości. Niun brał w rękę kamienie i układał je wokół widocznego fragmentu ciała na wzór mogiły. Duncan, widząc, jakie są jego zamiary, również zaczął zbierać kamienie odpowiednich rozmiarów i podawać je Niunowi. Dla tego drugiego dotkliwą obrazą było, że człowiek robi to dobrowolnie, a nie pod przymusem, lecz jego pomoc była potrzebna, w zadyż zaś razie nie pozwoliłby mu dotknąć samego grobu. W tej samej chwili przyszło mu do głowy, że Duncan mógłby rozwalić mu czaszkę jednym z tych właśnie kamieni, gdy tylko odwróci się do niego całkowicie plecami, i że takie właśnie mogły być zamiary człowieka, pilnował się więc, by w trakcie pracy nie tracić go z pola widzenia. Gdy skończyli, ruszyli dalej w głąb riun, w miejsca mroczne i niebezpieczne, gdzie nad ich głowami wznosiły się sterty gruzu, z których osypywał się na nich pył i małe kamienie. Najgłębiej, w samym sercu ruin, znajdowała się kaplica, do której zmierzał Niun. Została pogrzebana zbyt głęboko. Gdyby było to możliwe, odnalazłby wszystkie zwłoki, które zdołałby wydostać i zaniósłby je do sanktuarium Sil'athen, gdzie pochowałby swych kuzynów. Być może jednak ludzie nigdy nie będą na tyle ciekawi, by sprofanować to miejsce swymi maszynami i przeszukiwać gruzy oraz pozostałości po gatunku, który nie miał już znaczenia we

wszechświecie.

W tym właśnie momencie świadomość katastrofy dotarła do owej centralnej cytadeli

jego jaźni, która dotąd jej nie odczuła. Niun zadrżał. Omal nie zemdłał.

Wyciągnął rękę, by

się oprzeć, i dotknął niewłaściwego kamienia. Zbudził w ten sposób lawinę, która

zasypała

grunt u ich stóp i pokryła ich obu pyłem. Jediną rzeczą, którą widział

dokładnie, była twarz

Duncana. W jego oczach czaiło się przerażenie, gdyż przez chwilę wydawało się prawdopodobne, że pokryje ich swym ciężarem gruz i ziemia. Potem pył przestał się

osypywać i wokół zapadła cisza.

Gdzieś przesunął się jakiś kamień, a w ślad za nim następny. Doszło do kolejnej

lawiny. Potem ponownie nastała cisza, w której usłyszeli upadek kilku kamyków.

I w tej ciszy dobiegł ich wysoki, odległy krzyk.

Duncan usłyszał go. Gdyby nie rzucone przez niego potwierdzające spojrzenie w bok,

Niun uznałby ten dźwięk za złudzenie. Nadbiegał on jednak z kierunku, w którym

uprzednio

wznosiła się wieża Kath i gdzie znajdowały się najgłębiej położone magazyny.

Odwrócił się i zaczął torować sobie drogę przez ruiny. Uważał, uważał teraz na

życie

własne, a także tej, która krzyknęła głośno w ciemnościach na dole.

- Melein! - zawołał. Zatrzymał się, nasłuchując, i po raz drugi usłyszał ten sam

wysoki

głos.

Ocenił, skąd on dobiega i po chwili dotarł do tego miejsca. Zawaliła się tam ściana, a

na szczycie osypiska leżał drobniejszy gruz, lecz stalowe drzwi regulskiej konstrukcji

wytrzymały. Aż za dobrze. Bronił do nich dostępu ciężar, którego nie sposób było

przemieścić, gdyż brak im było narzędzi, które rozkruszyłyby gruz, oraz maszyn,

które

przeniosłyby go w inne miejsce. Niun kaleczył sobie na nim ręce. Mięśnie odmawiały mu

posłuszeństwa. Duncan wspomagał go swoją siłą, lecz gruz nie chciał się poruszyć. Wreszcie

obaj usiedli na podłodze, dysząc ciężko i kaszląc. Z nosa Duncana ponownie zaczęła

wypływać krew. Wytarł ją, pozostawiając rdzawą plamę. Ręce drżały mu w nieopanowany

sposób.

- Czy tam na dole jest wentylacja? - zapytał człowiek.

Nie było. Stanowiło to jeszcze jeden powód do obaw.

- Melein! - zawołał Niun. - Melein, czy mnie słyszysz?!

Usłyszał coś w rodzaju odpowiedzi. Był to głos kobiety, i to młodej, wysoki, cienki i

wyraźny. To była Melein. Niun uznał, że znajduje się ona pod nimi. Spróbował określić

dokładne położenie i zaznaczył piętą miejsce na podłodze.
Następnie wyszarpnął z gruzu pręt zbrojeniowy i zaczął kuć ostrożnymi uderzeniami.
Nie był tak nierozważny, by wystrzelić z pistoletu w dół, ku jej schronieniu. Posługiwał się prętem oraz własnymi palcami. Duncan zobaczył, co robi Niun, i zaczął mu pomagać.
Uderzali na przemian, wykuwając coraz głębszy otwór w grubej na łokieć podłodze.
Od czasu do czasu przerywali pracę, by wygrzebać dłońmi pył zbierający się w zagłębieniu.
Słońce prażyło coraz mocniej. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był teraz nieustanny brzęk stali uderzającej w spojona cementem ziemię. Przez bardzo długi czas Niun nie słyszał ani jednego słowa od Melein. Dręczył go strach. Wiedział, jak mała jest znajdująca się pod nimi przestrzeń i jak niewiele musi być w niej powietrza. Bał się też, że otwór, który wykuwali, nie trafi w maleńkie pomieszczenie, w którym przebywała Melein, oraz tego, że cała podłoga zawali się pod nimi.
Przebili się. Powietrze wypłynęło z ciemności, stęchłe, zubożone i zimne. - Melein! - krzyknął w dół, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Zaczął kuć jeszcze mocniej. Odłupywał odłamki z krawędzi otworu, poszerzając go, wpuszczając do środka coraz więcej i więcej powietrza wraz ze snopem światła słonecznego.
Natrafili na stalowe pręty i zaczęli kuć z drugiej strony otworu, gdzie mogli uczynić go szerszym. Od czasu do czasu Niun wołał do niej, lecz nie usłyszał odpowiedzi. Wreszcie otwór stał się wystarczająco szeroki, by można się było przez niego przecisnąć. Niun zaczął się zastanawiać. Człowiek będzie musiał pozostać na górze, a oni wspiać się jakoś z powrotem. Zastanawiał się gorączkowo nad zabiciem Duncana, nie byłby jednak w stanie wdrapać się na górę z Melein w ramionach, a przynajmniej nie byłoby to łatwe. Nie miał też pewności, czy tkanina jego szat utrzyma ich ciężar, a nie wiedział, czego innego mógłby użyć.
- Ja zejść na dół - zaproponował Duncan. Otworzył jedną z kieszeni i wyciągnął z niej kawał sznura, z następnej zaś małą latarkę. Wręczył mu te cenne przedmioty z naiwną otwartością, która na moment rozbroiła Niuna.
- Różnica poziomów - zaczął Niun, drżąc wewnątrz na myśl, że człowiek znajdzie się w pobliżu Melein - jest równa półtorej mojej wysokości.
Nie dodał, jaką zemstę szykuje, jeśli Duncan będzie nieostrożny, jeśli zrobi krzywdę

Melein lub nie wydobędzie jej żywej. Byłoby to bezcelowe. Siedział i przyglądał się bezradnie, jak Duncan precyzyjnie przesuwał swe ciało, które było odrobinę masywniejsze niż jego, przez otwór, po czym opadł z ciężkim łoskotem w ciemność. Przysłuchiwał się, jak człowiek poszukuje jej na dole, wśród rzeczy, które przesuwają się z grzechotem, oraz przemieszczających się gładko. Nachylił się nisko nad otworem, starając się dostrzec słabiutkie światło latarki, którą tamten trzymał w ręku.

- Znalazłem ją - oznajmił głos Duncana dobiegający z owego chłodu. - Ona żyje -

dodał po chwili.

Niun rozplakał się, pewien, że tutaj człowiek go nie zobaczy. Po chwili otarł oczy i usiadł nieruchomo z dłońmi zaciśniętymi w pięści na kolanach. Wiedział, że człowiek może ją wziąć na zakładnika, zrobić jej krzywdę, zemścić się lub zmusić go do złożenia jakiejś straszliwej przysięgi. Nie przemyślał tych możliwości dokładnie, co świadczyło o jego zmęczeniu i o tym, jak rozpaczliwie pragnął dotrzeć do niej na czas. Teraz jednak mógł już myśleć i przysunął się do krawędzi czeluści, by skoczyć w dół.

- Mri! Niunie! - Duncan stał w świetle z jasnym brzemieniem w ramionach. Kłębuszek złotych szat spoczywał nieruchomo na jego piersi. - Opuść sznur! Spróbuj pomóc ci wciągnąć ją na górę!

W tej samej chwili Melein poruszyła się. Jej oczy otworzyły się w świetle, w którym mogła dostrzec stojącego na górze Niuna jedynie jako cień.

Melein! - zawołał do niej. - Melein, podciągniemy cię na górę! To jest człowiek!

Melein, ale nie bój się go! Zaczęła się szarpać, usłyszawszy to, Duncan opuścił więc jej stopy na ziemię. Niun ujrzał w mrocznym świetle, jak spojrzęła na twarz człowieka i cofnęła się przerażona.

Później jednak pozwoliła, by położył ręce na jej talii i podźwignął ją w górę, co było dla niej zdecydowanie najłatwiejszym i najmniej bolesnym sposobem, by się stamtąd wydostać. Nie mogła jednak unieść rąk w górę, aby schwycić za dłonie Niuna. Zawołała, że ją boli - ona, która ongiś była kel'e'en.

- Zaczekaj - sprzeciwił się Niun. Zawiązał na sznurze węzeł i uformował pętlę, którą opuścił na dół. Owinął sobie sznur wokół ręki i ramienia i podźwignął ostrożnie ciężar, gdy Melein wślizgnęła się już w wykonaną przez niego pętlę. Duncan pomagał mu ją

podnieść,
lecz przez chwilę cienki, ostry sznur naprężony pod wpływem jej ciężaru wpi-
jał
się w dłonie
Niuna. Starał się nie otrzeć jej o nieregularne brzegi otworu, ciągnął więc
bardzo ostrożnie.
Zaparł się mocno stopami, nie zważając na ból w dłoniach. Melein przecisnęła
się
przez
dziurę i podciągnęła ku górze na oświetlony słońcem pył. Spróbowała się
podźwignąć. Złapał
ją, złapał ją bezpiecznie, przycisnął do siebie i pomógł się podnieść.
Obejmował
ją tak, jak nie
obejmował żadnej żywej istoty od czasów dzieciństwa, nie zwracając uwagi na
opłatający ich
oboje sznur. Otarł pył i łzy z jej twarzy. Melein wciąż wciągała z wysiłkiem
do
płuc świeże
powietrze.
- Statek został zniszczony - powiedział, by skończyć z całym okrucieństwem,
dopóki
rany były jeszcze znieczulone. - Wszyscy poza nami zginęli, chyba że ktoś
jeszcze pozostał
przy życiu tam na dole.
- Nikt. Nikt nie ocalał. Nie mieli czasu. Byli zbyt starzy, by uciekać. Nie
chcieli tego
zrobić. Siedzieli bez ruchu, razem z she'pan. A potem Dom...
Zaczęła dygotać, jak gdyby ogarnął ją straszliwy chłód. Nie załamała się jed-
nak.
Była
ongiś jedną z Kel. Zapanowała nad sobą i po chwili zaczęła oswobadzać ich
oboje
ze sznura.
- Nie jest możliwe - powiedział, by się upewnić, że zrozumiała wszystko - by
ocalał
ktokolwiek ze statku.
Usiadła na krawędzi fragmentu ściany, który blokował drzwi, przeczesła jedną
ręką
grzywę i pochyliła głowę. Znalazła na barku swą rozdartą chustkę, wygładziła
ją
i zakryła
starannie włosy tym lekkim, przejrzystym welonem. Przez chwilę milczała.
Twarz
wciąż
miała odwróconą do niego.
Wreszcie wyprostowała ramiona i wskazała na otwór wśród gruzu, przy którym
czekał
Duncan.
- A kim jest on? - zapytała.
Niun wrzucił ramionami.
- To dla nas nieważne. Człowiekiem. Gościem reguli. Próbowali go zabić, gdy
się
spotkaliśmy, a potem... - Podejrzanie, że to właśnie ów incydent, który w
części
sam wywołał,
zabił cały Lud i uczynił ich sierotami, było zbyt straszliwe, by mógł je
wypowiedzieć. Jego

głos ucichł. Melein wstała i odeszła od niego, by przyjrzeć się ruinom. Nadal była zwrócona do niego plecami. Jej ręce zwisały bezwiednie u boków. Widok jej rozpaczy był dla niego niczym rana.

- Melein - odezwał się. - Melein, co mam robić?

Odwróciła się ku niemu i wykonała drobny, bezradny gest. - Jestem niczym.

- Co mam robić? - nalegał.

Sen i Kel: Sen musiało przewodzić. Ona jednak stała się czymś więcej niż Sen. Spoczywało to na niej ciężarem, którego, jak widział, nie pragnęła. Musiała jednak go

podźwignąć. Niun stał i czekał. Wreszcie Melein zacisnęła powieki i rozchyliła

je na nowo.

- Zjawia się tu wrogowie - powiedziała. Najwyraźniej zaczynała obejmować funkcję,

do której przygotowywano ją od lat - sprawować dowództwo i układać plany.

Stała

się tym,

czym musiała się stać. She'pan Ludu, która nie miała ludu.

- Odszukaj wszystko, co będzie nam potrzebne wśród wzgórz - ciągnęła. - Tam dziś

w

nocy rozbijemy obóz. Daj mi tę noc, prawdziwy bracie. Nie powinnam cię tak nazywać, ale

daj mi tylko tę noc, a potem zastanowię się, jaka droga będzie dla nas najlepsza.

- Odpocznij sobie - nalegał. - Zajmę się tym wszystkim.

Gdy ujrzał już, że usiadła tam, gdzie nie docierały bezpośrednio promienie słońca,

nachylił się nad otworem i spuścił w dół linę.

- Duncanie.

Na środku oświetlonego obszaru pojawiła się biała twarz człowieka, zaniepokojona

i

przestraszona.

- Wyciągnij mnie - powiedział, dotykając ręką sznura, którego Niun nie chciał naprężyć. - Mri, pomogłem ci. Teraz mnie stąd wyciągnij.

- Poszukaj rzeczy, które wymienię. Wydobędę je na górę za pomocą sznura. Potem

zrobię to samo z tobą.

Duncan zawahał się, jak gdyby myślał, że mri może kłamać, podobnie jak ludzie.

Potem jednak się zgodził. Szukał, posługując się swą maleńką latarką, wszystkich

rzeczy,

których zażądał od niego Niun, aż wreszcie je znalazł. Każde małe zawiniątko przywiązywał

do sznura, by Niun mógł je wciągnąć na górę: żywność i manierki z wodą, a także

osznurowanie i cztery sztuki niepozszywanego czarnego materiału, gdyż nie mogli

odnaleźć

nic lepszego, nie poświęcając czasu na wykucie nowego otworu, a Duncan przestrzegwał, że

nie uważa tego za bezpieczne. Sznur po raz ostatni powędrował w górę, z belą materiału, i

Niun po raz ostatni cisnął jego koniec w dół, tym razem dla Duncana, obwiązując sobie linę wokół ciała i ramienia.

Nie było to takie trudne, jak podźwignięcie ciężaru Melein, która w niczym mu nie pomagała. Niun pochylił się i zaparł mocno nogami, Duncan zaś wdrapał się w górę, złapał za krawędź otworu i podciągnął w bezpieczne miejsce. Zgiął się w pół. Dyszał, kasłał i usiłował powstrzymać krwawienie. Jego kaszel nie ustawał. Wreszcie Melein wstała z miejsca, w którym siedziała, by przyjrzeć się człowiekowi z mieszaniną niesmaku i litości.

- To powietrze - wyjaśnił Niun. - Biegł, a nie jest przyzwyczajony do klimatu Kesrith.

- Czy jest kimś w rodzaju kel'ena? - zapytała Melein.

- Tak - odparł Niun. - Ale nie stanowi żadnego zagrożenia. Regule polowali na niego.

Teraz zapewne przestał ich już obchodzić, chyba że jego zwierzchnik żyje jeszcze. Co mamy z nim zrobić?

Duncan najwyraźniej wiedział, że mówią o nim. Być może znał kilka słów z mowy Ludu, rozmawiali jednak w szlachtetnym języku i z pewnością nie mógł ich zrozumieć.

Melein wrzuszyła ramionami i odwróciła do niego głowę.

- Zrób, co zechcesz. Ruszamy w drogę.

Zaczęła posuwać się powoli naprzód, z uwagą odnajdując drogę pomiędzy ruinami.

- Duncanie - rozkazał Niun - weź zapasy i chodź z nami.

Człowiek obrzucił go wściekłym spojrzeniem, jak gdyby miał zamiar sprzeciwić się temu poleceniu jako obrażającemu jego godność. Niun spodziewał się tego i czekał na to.

Potem jednak Duncan przyklęknął, powiązał zapasy sznurem i dźwignął je sobie na bark, gdy się podniósł.

Niun nakazał mu gestem, by ruszył naprzód. Człowiek poniósł ciężar tam, gdzie skierował go mri, śladami Melein. Jego kroki były chwiejne i niepewne. Wzgórza w ogóle nie ucierpiały od ostrzału. Dotarli w osłonięte miejsce, które wyglądało dokładnie tak samo, jak przed atakiem, przed waśniami reguli, mri czy ludzi - schronienie bezpieczne przed samolotami, skryte głęboko pod nawisem z piaskowca.

Z głębokim westchnieniem Melein osunęła się na piasek w tym zimnym cieniu. Pochyliła się z głową opartą o kolana, jak gdyby było to wszystko, co miała siłę uczynić, ostatni krok, jaki mogła podjąć. Była ranna. Niun przyglądał się jej, gdy szła, i wiedział, że cierpi ona wielki ból, umiejscowiony - jak sądził - w boku, nie w kończynach. Gdy uznała, że mogą się już zatrzymać, Niun zabrał zapasy od Duncana i rozłożył pośpiesznie

materiał, który
posłużył Melein jako koc i osłona przed słońcem. Dał jej wody oraz kawałek
suszonego
mięsa. Przyglądał się, kucając na piętach, jak piła i jadła, po czym oparła
się
o skałę, by
odpocząć.
- Czy mogę się napić?
Ciche pytanie człowieka przypomniało mu, że ma jeszcze jednego podopiecznego.
Odmierzył nakrętkę wody i przekazał ją w drżące dłonie Duncana.
- Może jutro uda nam się spuścić wodę z luina - powiedział. - Wtedy będziemy
jej
mieli pod dostatkiem.
Przyjrzał się człowiekowi, który pił wodę kropla za kroplą. Sądząc z wyglądu,
to
wynędzniałe i brudne stworzenie nie powinno było utrzymać się przy życiu tak
długo. Nie
było prawdopodobne, by w obecnym stanie Duncan pociągnął wiele dłużej.
Dolatywał
od
niego smród potu i siarki zmieszany z odorem człowieka. Niun wiedział jednak,
że
sam nie
jest wiele czystszy.
- Czy dasz radę... - zwrócił się do Melein, niemal zapominając, że nie wolno
mu
już
swobodnie nazywać jej po imieniu. Wręczył jej swój pistolet. - Czy dasz radę
powstrzymać
się od snu na tyle długo, żeby popilnować przez chwilę tego człowieka?
- Czuję się nie najgorzej - odparła. Podciągnęła w górę jedno kolano i oparła
na
nim
nadgarstek wraz z pistoletem w pozie bardziej odpowiedniej dla kel'e'en niż
she'pan.
Zgodnie z prawami kastowymi nie powinna dotykać broni, lecz wiele rzeczy pow-
inno
wyglądać inaczej, a nie mogło.
Zostawił ich tak i skrył się za występem. Tam rozebrał się i wykapał, tak jak
robili to
mri na pustynnych światach, w suchym piasku - całe ciało wraz z grzywą,
która,
gdy
wytrząsnął z niej piach, szybko odzyskała swój połysk. Zrobiwszy to, poczuł
się
lepiej. Ubrał
się i skierował po swych śladach do jaskini.
Poruszyło się za nim jakieś ciężkie cielsko. Usłyszał buchający oddech oraz
żałosny
jęk. Dus. Odwrócił się ostrożnie, gdyż zostawił pistolet w rękach Melein, a
nic
innego nie
powstrzymałoby ha-dusa.
To był miuk'ko, wymizerowany, opuszczony i pokryty strupami. Pysk jednak miał
suchy i posuwał się naprzód z pełną swobody żywiołowością.
Serce Niuna zabiło szybciej. Sytuacja mogła okazać się niebezpieczna, gdyż
wszystkie
dusei były nieprzewidywalne. Ten jednak podszedł do niego, uniósł głowę i

szturchnął go w klatkę piersiową, wydając z siebie ów głos, którym dus zwracał się do swego pana, błagając go o jedzenie i schronienie, czy inne rzeczy, jakie mri i dus dzielili ze sobą. Niun przyklęknął, gdyż chwila tego wymagała, i objął skrofuliczną szyję. Uścisnął spokojnie zwierzę, dotykając go i pozwalając mu dotykać siebie. Ogarnęło go poczucie ciepła, głębokie i niemal wyczuwalne zmysłami. Niższe, zwierzęce funkcje umysłu dusa mogło zadowolić coś bardzo niewielkiego. Tego właśnie użyczyło mu zwierzę. Niun podniósł wzrok, zdając sobie sprawę z czyjejś obecności. Dostrzegł dwa obce dusei na grani z piaskowca ponad sobą. Nie bał się. Ten dus je znał i przez to one znały jego. To uczucie, podobnie jak ciepło, odbierał na poziomie tak niskim, że rozum tam nie sięgał, Był to fakt, równie pewny jak skała, na której stali obaj, mri i dus. Zwierzę wchłonęło w siebie jego ból, przetworzyło go i oddało mu w zamian siłę, równie powolną i potężną jak jego własna. Gdy Niun wrócił do jaskini, wielka bestia poczłapała za nim - potulny towarzysz, śmieszny, sympatyczny stwór, który - ujrawszy człowieka - przestał nagle być śmieszny i sympatyczny. Nieufność: to uczucie dotarło do umysłu Niuna za pośrednictwem impulsów emitowanych przez dusa. Jego fala opadła jednak, gdy zwierzę poczuło nagłe przerażenie człowieka. Bał się go on, nie był więc niebezpieczny. Dus odłożył na bok myśl o nim i legł w poprzek wejścia, emitując odpychające i ochronne impulsy. - Przyszedł do mnie - powiedział Niun, wyjmując pistolet z dłoni Melein. - Jest ich tam więcej, ale żaden z nich nie wydaje się choćby w najmniejszym stopniu znajomy. - Stare przymierze pomiędzy nami a nimi wciąż obowiązuje - odparła. Niun wiedział, że nie mogli znaleźć lepszego strażnika i że dziś w nocy będzie mógł spokojnie zasnąć, pewien, że nic nie przemknie się obok dusa, by skrzywdzić Melein. Czuł z tego powodu przeogromną wdzięczność. Wyczerpanie, któremu dotąd się opierał, ogarnęło go niczym powódź. Dus uniósł głowę i wydał z siebie jęk przyjemności. Uchylił paszczę w szczelinowatym uśmiechu i wywalił język. Śmignął nim i schował go z powrotem z dusowym samozadowoleniem. Niun przemówił do niego w cichych, bezsensownych słowach, które dusei uwielbiały.

Dotknął jego masywnej głowy, co sprawiło zwierzęciu przyjemność, po czym ujął je za łapę. Obrócił ją, gdyż była zbyt wielka, by można ją było swobodnie trzymać w dłoniach. Pazury podkurczyły się odruchowo, przyciągając jego nadgarstek do ostrogi. Ta przecięła skórę, wpuszczając pod nią jad. Niun zrobił to celowo. Tak mała dawka nie wyrządzi mu szkody. W ten sposób mógł się uodpornić na truciznę tego dusa, dzięki czemu już nigdy nie będzie się musiał go bać. Cofnął dłoń i popieścił płaską czaszkę. Zwierzę wydało z siebie głęboki pomruk zadowolenia. Potem, ponieważ nie mógł znieść myśli o spaniu obok ohydnie brudnego człowieka, wziął zwój tkaniny, kazał Duncanowi pójść za sobą i zaprowadził go na występ. - Wykap się - rozkazał mu. Ponieważ Duncan zrobił przerażoną minę, rzucił tkaninę na ziemię, pochylił się, nabrał w garść piasku i na własnym ramieniu zademonstrował mu, jak ma to zrobić. Następnie usiadł ze złożonymi rękoma i odwrócił cokolwiek wzrok, podczas gdy człowiek oczyszczał swe ciało. Ciekawskie ha-dusei przyglądały się temu z góry, skupiając się w grupy i krążąc, zaniepokojone widokiem dziwnego stworzenia o bladej skórze. Duncan sprawiał nieco przyjemniejsze wrażenie, gdy zdrapał sobie z twarzy zaskorupiałą krew oraz usunął ślady łez, pozostawiając jednolitą, pokrytą pyłem powierzchnię. Wytrząsnął sobie piasek z włosów. Podniósł odrzucone na bok ubranie i zaczął je zakładać, lecz Niun oderwał fragment przyniesionej tkaniny i nadał mu taki kształt, by można się było w niego ubrać. Rzucił człowiekowi, który założył go na siebie niepewnie, jak gdyby podejrzewając, że mri chciał go w jakiś sposób tym zawstydzić. Niunowi przyszło wtedy do głowy, by przeszukać ubranie, które zdjął tamten. Znalazł w kieszeniach wiele rzeczy, o których Duncan nie wspomniał. Otworzył dłoń, by pokazać znaleziony przez siebie nóż. Człowiek wzruszył ramionami. Niun poczuł dla niego uznanie za to przynajmniej, że nie próbował uczynić zeń użytku, lecz czekał na odpowiednią okazję. Duncan rozegrał tę rundę dobrze, mimo że ją przegrał. Rzucił mu drugi kawałek czarnej tkaniny. - Zasłoń sobie twarz - powiedział. - Twoja nagość obraża she'pan i mnie. Duncan założył sobie zasłonę na głowę, nieudolnie próbując osadzić ją na

miejscu.

Nie posiadał niezbędnych do tego umiejętności. Niun pokazał mu, jak zwinąć tkaninę, by sformować z niej taśmę, a potem złożyć zasłonę. Duncan, z przyzwyczajenia zasłonięta twarzą,

prezentował się teraz lepiej. Nie nosił szaty kel'ena, gdyż nie byłoby to odpowiednie, lecz

miał na sobie czerń Kel i był przyzwyczajony odziany - jak mężczyzna, nie jak zwierzę. Niun

spojrzał na niego i skinął głową na znak aprobaty.

- To będzie dla ciebie lepsze - powiedział. - Osłoni twoją skórę. Zakop swoje ubranie.

Kiedy będziemy wędrować za dnia, przekonasz się, że nasz ubiór jest najlepszy.

- Czy wyruszymy w drogę?

Niun wzruszył ramionami.

- She'pan podejmie tę decyzję. Ja jestem tylko kel'enem. Wykonuję jej rozkazy.

Duncan opadł na kolana i wygrzebał dziurę w piasku, na sposób zwierząt. Zakopał

w

niej swe zrzucone ubranie. Gdy już je ukrył, zatrzymał się i spojrzał w górę.

- A gdybym mógł zaoferować wam możliwość bezpiecznego opuszczenia tej planety...

- A możesz?

Człowiek dźwignął się na nogi. Z zasłoniętą twarzą nabrał pewnej godności.

Niun

nie

zauważył dotąd, jaki kolor mają jego oczy. Były jasnobrazowe. Nigdy jeszcze podobnych nie

widział.

- Mogłbym znaleźć sposób - zaczął Duncan - by nawiązać kontakt z moimi pobratymcami i sprowadzić tu dla was statek. Myślę, że masz coś do stracenia, jeśli nie

przyjmiesz tej propozycji. Myślę, że bardzo byś chciał ją stąd wydostać.

Niun zbliżył dłoń do swej broni na znak ostrzeżenia.

- Tsi'mri, nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Jeśli przygotujesz jakieś plany, przedstaw je

jej, a nie mnie. Powiedziałem ci już: jestem tylko kel'enem. Jeśli ona uważa coś

za stosowne,

robię to. Jeśli coś jej dokucza, usuwam to.

Duncan nie poruszył się. Zapewne zastanawiał się nad tym, w jaki sposób okazał

brak

poszanowania.

- Nie rozumiem - powiedział wreszcie. - Najwyraźniej nie pojmuję, jaki związek

łączy

was ze sobą. Czy to twoja żona?

To obcesowe pytanie było zadane w tak naiwny sposób, tak zakłopotanym tonem, że

Niun niemal nie roześmiał się z zaskoczenia.

- Nie - odparł. - To moja Matka - dodał, żeby jeszcze bardziej zbić człowieka z

tropu.

Następnie nakazał mu gestem, by zaprzestał zwlekania. Zaczynał się niepokoić
o
Melein, a
ponadto otaczały ich ha-dusei, które węszyły intensywnie i wydawały ciche
krzyki, stojąc na
swych wyżej położonych stanowiskach. Gdy opuścili okolicę, jeden z nich zlął
na
dół.
Niewątpliwie ubranie nie pozostanie zagrzebane, nie ocaleje jednak z niego
wiele
fragmentów, które mogłyby przyciągnąć wzrok poszukiwaczy.
Dus siedzący przy wejściu do ich schronienia uniósł głowę i nastawił maleńkie
uszy,
gdy się zbliżali, emitując radość przywitania. Niun, który czuł już w sobie
działanie trucizny i
wiedział, że w ciągu nocnych godzin poczuje je mocniej, podsunął palce pod
nos
zwierzęcia i
przesunął się obok niego, oddzielając je swym ciałem od Duncana.
Melein zauważyła zmianę w wyglądzie człowieka i skinęła głową na znak, że ją
aprobuje. Przez całą noc nie okazała już jednak żadnego zainteresowania
Duncanem. Usiadła,
by spokojnie odpocząć, skoro już wrócili. Niun wypił bardzo małą porcję wody
i
położył się.
Przyglądał się człowiekowi, który również rozciągnął się na ziemi, tak daleko
od
nich obojga
i od zwierzęcia, jak tylko było to możliwe na tej małej przestrzeni.
Z czasem Niun pozwolił swym oczom się zaniknąć. Jego umysł był pełen, tak
przeciążony, że na koniec nie mógł już zrobić nic innego, jak porzucić wszel-
kie
myśli i
uspokoić się. Opanowała go dusowa gorączka. Odpłynął w stronę snów wy-
wodzących
się z
niskiego umysłu, które były mrocznymi, niekiedy przerażającymi impulsami
płynącymi od
dusa. Niun nie obawiał się, że wyrządzą mu one krzywdę, gdyż w zakres wiedzy
Kel
wchodziła informacja, że żadnemu kel'enowi nigdy jego własny dus nie zrobił
nic
złego, o ile
był zdrowy na umyśle.
Należał już do tego zwierzęcia, podobnie jak ono do niego. Jego świat w tej
chwili
ograniczał się do tego faktu oraz do Melein. Rankiem był pogrążony w absolut-
nej
rozpaczy,
wieczorem zaś odpoczywał, nieświadomy na sposób Kel, miał dusa, który strzegł
jego snu i
dotykał jego umysłu i miał też znowu she'pan, która zdjęła z niego ciężar
układania planów.
Serce go bolało na myśl o tym, że Melein musi dźwigać to brzemień, nie próbo-
wał
jednak
przejać go od niej. Będzie miała swoje zaszczyty. Jemu przypadło inne, znac-
znie

prostsze

zadanie.

Słuchać she'pan. Pomścić Lud.

Gdy od czasu do czasu się budził, spoglądał na człowieka. W jednej z tych chwil

dostrzegł w ciemności, że tamten nie śpi i przygląda się jemu. Nie odezwali się

ani słowem.

Rozdział 19

Dzień zaczął się spokojnie. Słysząc było jedynie zawroźnienie wiatru oraz oddech

dusa.

Niun podniósł wzrok i dostrzegł, że Melein już nie śpi. Siedziała po turecku u

wejścia. Zarys

jej ciała widoczny był w świetle brzasku. Była spokojna, jak gdyby siedziała tak

już od

dawna, porządkując swe myśli w odosobnieniu w ciągu ostatnich godzin nocy.

Podniósł się, podczas gdy Duncan wciąż leżał bez czucia, podszedł do niej i usiadł na

zimnym piasku, w pobliżu gorącego ciepła drzemającego dusa. Nogi wciąż miał

niepewne od trucizny, a ramię zesztyniałe i gorące aż do barku, wiedział jednak, że to

minie. Jego umysł nadal był spokojny. Muskały go splątane myśli dusa. Niun nie

czuł strachu,

nawet gdy zastanawiał się nad ich sytuacją. Zdawał sobie sprawę, że ta odwaga pochodzi od

dusa i że opuści go ona, gdy nadejdzie kryzys i gdy będzie musiał myśleć, to jednak była

chwila odpoczynku i Niun cieszył się tym wrażeniem. Pomyślał, że być może Melein

również

odczuwa w pewnym stopniu tę radość, gdyż jej twarz była spokojna, jak gdyby pogrążyła się

ona w medytacji nad jakimś swym snem.

- Czy spałaś długo? - zapytał.

Wystarczająco. Wczoraj byłam wstrząśnięta. Myślę, że długa wędrówka wciąż będzie

dla mnie uciążliwa, niemniej jednak dzisiaj ruszymy w drogę. Usłyszawszy to, Niun

zrozumiał, że podjęła jakąś ostateczną decyzję, byłoby jednak brakiem szacunku,

gdyby ją o

to zapytał, gdyby zachowywał się tak, jakby nadal był jej kuzynem, choć nie było

to już

możliwe.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił.

- Wyruszymy w kierunku Sil'athen - powiedziała - i dalej pomiędzy wzgórz.

Odnajdziemy tam kaplicę, o której nasze pokolenie Kel nie wiedziało. Zanim nas

dwoje się

urodziło, nakazano Kel o tym zapomnieć. Pana, Niunie, nigdy nie spoczywały w edunie. To

był czas wojny. She'pan nie uważała za wskazane, by Pana znajdowały się w

edunie. Miała
rację.
Dotknął czoła na znak szacunku. Sam fakt, że słuchał jej słów, powodował, że
jego
skórę przeszywał dreszcz, czuł się też jednak podniesiony nimi na duchu. Nic
to
nie
zmieniało, nie poprawiało w niczym ich mizernych szans, lecz Święte istniało
i
nawet gdyby
mieli je zniszczyć własnymi rękoma, nie zostałyby unicestwione przez wrogów.
Była to więc misja prowadzona w imieniu bogów, coś czego warto było dokonać i
co
potrafił dobrze zrozumieć.
- Dowiedz się też - ciągnęła Melein - że odzyskamy Pana dla siebie i we
dwójkę
przeniesiemy je w miejsce, gdzie będziemy mogli znaleźć bezpieczeństwo. Potem
będziemy
czekać. Będziemy czekać tak długo, aż znajdziemy sposób na opuszczenie Kes-
rith
albo też
przekonamy się, że nie ma takiego sposobu. Czy Kel pragnie wyrazić opinię?
Zastanowił się nad tym. Pomyślał o propozycji Duncana i o tym, czy nie
przedstawić
jej Melein, lecz odłożył to w myślach na później. Nadejdzie jeszcze odpowied-
nia
chwila, o ile
przeżyją tę pierwszą sprawę.
- Sądzę - stwierdził ostrożnie - że skończy się na tym, iż będziemy zabijając
ludzi, a oni
w końcu nas dopadną. Jeśli o mnie chodzi, byłbym gotów zgłosić się do ludz-
kich
władz i
zawrzeć kontrakt na służbę przeciwko regulom. Jestem aż tak rozgoryczony.
Przysłuchiwała się z uwagą jego słowom, przechyliwszy głowę na bok. Zmarszc-
zyła
brwi.
- Ale - zauważyła - między regulami a ludźmi panuje spokój.
- Nie sądzą, by miał się utrzymać. Nie na zawsze.
- Ale czy ludzi by to nie rozśmieszyło, gdyby jeden kel'en chciał w pojedynkę
zaciągnąć się do walki przeciwko wszystkim regulom?
- Reguli by nie rozśmieszyło - odparł Niun nieubłaganym tonem. Melein skinęła
głową, uznając prawdziwość tych słów.
- Nie pozwolę na to - oznajmiła. - Nie. Wiem, co planowała Intel. Chciała nas
poprowadzić z powrotem w Mrok. Odbyć długą podróż i w tym Mroku odnowić Lud.
Nie
wynajmę cię na służbę w zamian za żadne obietnice bezpieczeństwa. Nie.
Pójdziemy
we
dwoje własną drogą
- Nie mamy Kath ani kel'e'ein - krzyknął, lecz natychmiast ściszył głos do
półszepu,
gdyż nie chciał, by Duncan się obudził. - Dla nas nie będzie już nowych pok-
oleń
ani żadnej
odnowy. Nigdy nie wyjdziemy z tego Mroku.
Podniosła z niezmaconym spokojem wzrok ku jutrzence.
- Jeśli jesteśmy ostatni, wybierzemy cichy koniec, jeśli jednak tak nie jest,

najpewniejszą drogą wiodącą do zagłady Ludu byłoby zmarnowanie naszego życia na wojny i zaszczyty tsi'mri - wszystkie te rzeczy, którymi zajmował się Lud w owej nieszczęśliwej epoce.

- A cóż może być jeszcze innego? - zapytał. Było to zabronione pytanie i Niun zrozumiał to, gdy tylko je wypowiedział. Wycofał je za pomocą gestu odrzucenia.

- Nie, zrób co uważasz za stosowne.

- Jesteśmy wolni - powiedziała. - Jesteśmy wolni, Niunie. Nie powierzę nam żadnego innego zadania, jak tylko odnalezienie Pana i przekonanie się, czy żyją jeszcze jacyś nasi pobratymcy.

Niun podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. Skinieniem głowy wyraził uznanie dla jej odwagi.

- Nie jest możliwe, byśmy tego dokonali - stwierdził. - Kel ci to mówi, she'pan.

- Kel Mroków - odparła cicho - nie jest w pełni nieświadome i dlatego jest to trudniejsza służba. Tak, być może nie jest to możliwe. Nie mogę jednak zgodzić się na nic innego. Czy nie wierzysz, że bogowie wciąż darzą Lud swą łaską? Wzruszył ramionami, skrępowany swą ignorancją, bezradny, jak każdy kel'en, wobec słownych gier. Nie potrafił określić, czy w słowach Melein kryje się ironia.

- Rzucam nas oboje - powiedziała wtedy. - Shon'ai.

To potrafił zrozumieć. Była to tajemnica łatwa do zgłębienia przez Kel. Zaciśnął pięść, naśladowując chwyt stosowany w shon'ai. Zrobiło mu się lżej na sercu.

- Shon'ai - powtórzył. - To mi wystarczy.

- W takim razie ruszajmy w drogę - zdecydowała.

- Jesteśmy gotowi - odparł. Dźwignął się na nogi, podszedł do Duncana i potrząsnął nim. - Chodź - rozkazał. Gdy człowiek zaczął się poruszać, Niun sporządził pakunek z ich pozostałych rzeczy. Wodę zamierzał nieść sam. Chciał też dać małą, lekką manierkę Melein, gdyż nie byłoby rozsądne czynić Duncana niezależnym pod tym względem bądź sprawić, by ona była zależna, na wypadek, gdyby miało dojść do kłopotów, choć ani on, ani ona - gdy mieli całe członki i nie niepokoiłi ich wrogowie - nie potrzebowali manierek w okolicy, gdzie znali każdą roślinę i każdy kamień.

Rzucił zawiniątko z zapasami pod stopy Duncana.

- Dokąd idziemy? - zapytał człowiek, nie poruszając się, by je podnieść. Było to uprzejme pytanie. Niun wzruszył ramionami, udzielając mu, z podobną uprzejmością, jedynej odpowiedzi, jakiej zamierzał mu udzielić.

- Nie jestem waszym jucznym zwierzęciem. - Duncan zdobył się na słaby, wymamrotany pod nosem akt sprzeciwu. Kopnął zawiniątko, odtrącając je z pogardą.

Niun, nie spiesząc się, popatrzył na nie, a potem na niego.

- She'pan nie pracuje rękami, a ja, jako kel'en, nie dźwigam ciężarów, kiedy mam innych, by robili to za mnie. Gdybyś był martwy, ja bym je poniósł. Ponieważ żyjesz, ty to zrobisz.

Duncan najwyraźniej zastanowił się nad tym, jak poważna jest ta groźba.

Doszedł do właściwego wniosku. Podniósł zawiniątko i wsunął ramiona między jego sznury. Niun poczuł wtedy dla niego odrobinę litości, gdyż był on czymś w rodzaju kel'ena i twierdził, że nie należy do niższej kasty, nie chciał jednak stanąć do walki o swe uprawnienia.

Musiał to być jednak być honorowy pojedynek, a'ani, przy użyciu yin'ein, a Niun doszedł do wniosku, że w walce na broń mri człowiek byłby równie bezradny jak kath'en. Być może, pomyślał, postąpił źle, upierając się przy tym punkcie. Wzięcie na małej części brzemia nie byłoby nadmiernym obciążeniem dla jego dumy.

Toczenie wojny przeciwko całemu gatunkowi kel'ena tsi'mri było jednym, a zmuszanie go do morderczego wysiłku w surowym środowisku Kesrith czymś całkiem innym. Niemniej jednak Niun nie powiedział nic. Nadal czuł się tym zakłopotany, gdy wyruszyli we troje w drogę, a dusz człapał u ich boku. Pytanie, jak w honorowy sposób postępować z człowiekiem podczas bliskiego kontaktu, było trudne. Fakt, że ludzie odrzucali a'ani i woleli walkę prowadzoną w masie, stał się zgubą Ludu. Niun zaczynał teraz pojmować, że ludzie po prostu nie potrafili walczyć jak należy.

Tsi'mri.

Czuł się zbrukany i głęboko strapiony tym, co odkrył. Pragnął odwołać wypowiedziane słowa, nie mógł jednak tego zrobić, ze względu na własną dumę. Zaczął się zastanawiać nad tym, jak zaciekle była wojna i jak wielu mri w niej zginęło, nie znając nawet natury nieprzyjaciela.

Nie miał jednak prawa tego zmienić, nawet teraz. Nie należał do kasty, która podejmowała ostateczne decyzje. Powtarzał to sobie, zastanawiając się, jak wiele wiedziała Intel.

W pobliżu moczarów Deog'hal weszli pomiędzy wysokie wzgórza. Nie podążali zwykłą trasą wiodącą do Sil'athen, gdyż jakieś niedobitki z mia- sta

mogłyby ich na niej łatwo odnaleźć i dokończyć roboty rozpoczętej w edunie.

Była

to trudna

wspinaczka i kosztowała ona wiele sił Melein, a także Duncana, który musiał dźwigać swoje

brzemie.

- Zbyt długo siedziałam w wieży she'pan - wydyszała Melein, gdy dotarli już na

szczyt. Usiłowała zdusić kaszel. Duncan osunął się bezwładnie na ziemię, uwolnił

od sznurów

i położył na pakunku. Niun dał Melein odrobinę wody, by złagodzić ból w jej gardle. W głębi

serca obawiał się o nią, gdyż zwykle nie męczyła się tak łatwo. Zauważył, że utyka i czasami

przyciska ramię do boku.

- Chyba coś ci dokucza - powiedział cichym głosem.

Melein wykonała lekceważący gest.

- Upadłam, zamykając drzwi do magazynu. To nic groźnego.

Miał nadzieję, że się nie pomyliła. Ponownie dał się jej napić. Rozrzutnie obchodził

się z wodą, było jednak prawdopodobne, że wkrótce znajdą jej więcej. Sam napił

się tyle, by

zwilżyć usta. Ujrzał, że człowiek wpatruje się w niego intensywnie, nie chcąc go

błagać.

- Tylko żeby zwilżyć usta - powiedział, dając mu pół miarki. - Pij wolno.

Człowiek wypił wodę tak samo, jak zrobił to Niun, pod zasłoną, nie odsłaniając

twary. Oddał nakrętkę ze skinieniem głowy, które zaczęło się już upodabniać do

uprzejmego

gestu.

- Dokąd idziemy? - zapytał Duncan po raz drugi. Jego głos zaczął nabierać ochrypłego

brzmienia.

- Człowieku - odezwała się Melein, zaskakując ich obu. - Po co ci potrzebna ta

wiadomość?

Duncan zaczerpnął tchu, by odpowiedzieć jej natychmiast. Niun wyciągnął rękę i

złapał go mocno za ramię.

- Zanim coś powiesz - zwrócił się do niego - zrozum, że ona jest she'pan. Kel utrzymuje stosunki z obcymi, ale she'pan tego nie robi. To dla ciebie zaszczyt,

że w ogóle na

ciebie patrzy. Jeśli powiesz choć jedno słowo, które ją obrazi, z pewnością zaraz cię zabiję.

Być może poczujesz się pewniej, kierując swą wypowiedź do mnie, żeby jej nie znieważać.

Duncan patrzył na nich tak, jak gdyby myślał, że robią sobie z niego kpiny albo

grożą

mu w jakiś sposób, którego nie potrafił zrozumieć.

- Mówię bardzo poważnie - ciągnął Niun. - Skieruj swą odpowiedź do mnie.

- Powiedz jej - odparł wreszcie Duncan - że bardziej mnie interesuje to, by wrócić

żywym do moich współbraci. Powtórz jej to, co powiedziałem ci w nocy. Ta propozycja wciąż jest aktualna. Może mi się uda wydostać was z tego świata.

- Duncanie - powiedziała Melein. - Wiem już, o co chciałbyś mnie zapytać. Nie powiem ci tego teraz. Możesz nas jednak powiadomić, kiedy przybędą tu twoi pobratymcy. Z pewnością to wiesz.

Duncan zawahał się, w oczywisty sposób strapiiony. Niewątpliwie zastanawiał się nad ich zamiarami.

- To kwestia dni - odrzekł cichym głosem. - Bardzo niewielu dni. Mogą się zjawić szybciej, niż mi się zdaje. W mieście znajdują ruiny oraz reguli, którzy będą im mogli opowiedzieć co tylko zechcą na temat tego, co wydarzyło się wczorajszej nocy.

- Tsi'mri - stwierdziła z lekceważeniem Melein. Duncan tego nie zrozumiał.

- She'pan chce powiedzieć - wytłumaczył mu Niun w odpowiedzi na jego spojrzenie

-

że nie obchodzi nas, co robią obcy. Nie mamy już braci ani panów. Przeszliśmy służyć regulom. Być może tego nie rozumiesz, Duncanie, ale jesteśmy ostatnimi mri. Na statku Ahanal znajdowali się wszyscy, którzy ocaleli z wojny, a w edunie przebywała reszta. Regule znają nas i wiedzą, że jeśli nie dokończą tego, co zaczęli w porcie, zapewne przysporzymy im szkód. Co dla nich typowe, nie będą chcieli stawić nam czoło osobiście, by tego dokonać, lecz zapewne spróbują przekonać twój gatunek, by wykonał robotę za nich. Sam widzisz, jak mają się sprawy. Lepiej nie nękać nas pytaniami. Są rzeczy, o których trzeba będzie pomyśleć we właściwym czasie, jeśli zdarzy się to albo tamto, lepiej jednak teraz nas o nie nie pytaj, byśmy nie musieli o nich myśleć.

Duncan wchłonał całą tę odpowiedź w milczeniu. Usiadł z ramionami oplecionymi wokół kolan, a dłońmi zaciśniętymi tak mocno, że zbieleły mu kostki.

- Duncanie - odezwała się wtedy Melein - wśród nas istnieje porzekadło mówiące: „Powiedziane znaczy zrobione”. Dlatego też nie mówimy, byśmy nie byli zobowiązani robić.

Nie zastawiamy z słów pułapek, tak jak regule. Nie zadawaj już więcej pytań. Wyciągnęła rękę do Niuna na znak, że chce, by pomógł jej wstać. Sprawilo jej to ból, mimo że Niun był bardzo ostrożny.

- Zbierają się chmury - zauważyła, spoglądając na wschód. - Oby zstąpiły na reguli.

Po południu niebo było już całkowicie zasnuwane, co chroniło ich przed gorącym

bezpośrednio padających promieni słońca. W powietrzu powiało chłodem. Stało się jasne, że chmury robią to, czego zażyczyła sobie Melein, i że nad ruiny miasta oraz portu nadchodzi burza.

Raz, gdy spojrzała przez ramię w stronę równiny i popatrzyła na błyskawice przeszywające ten skryty w cieniu fragment nieba, nawiedziła ją jakaś myśl, która sprawiła, że dus jęknął ze zdumienia i odsunął się od niej, spłoszony. Była to wina Melein, gdyż Niun wiedział, że w niczym nie zawinił, a dus trzymał się od tej pory tylko jego boku.

Chmury jednak nie wylały na nich ani kropli wody. Gdy dotarli do końca długiego, wznoszącego się w górę stoku i znaleźli na płaskiej wyżynie, w ich manierkach pozostała tylko jedna czwarta zawartości. Późnym popołudniem Duncan chwiał się już na nogach ze zmęczenia i z radością zatrzymałby się natychmiast. Niun jednak pomyślał o tym,

że mogą ich poszukiwać samoloty i nie chciał urządzać postoju na otwartej przestrzeni, a już na pewno nie ze względu na Duncana. Często spoglądał na Melein, zaniepokojony o nią, ta

szła jednak naprzód, nie sprawiając wrażenia, że cierpi zbyt wiele.

Gdy zbliżał się zachód słońca, wypatrzyli na horyzoncie kępę luinów. Ich powykręcane pnie sprawiały na tle czerwonego słońca wrażenie mirażu. Z nagich gałęzi

jedynie na samych końcach wyrastały pęki liści.

- Tam jest woda - powiedział Niun do Duncana. - Dzisiejszy nocleg będzie przyjemniejszy. Będziesz miał do picia pod dostatkiem.

Duncan, który zaczął już pozostawać w tyle, zdobył się na ostatni wysiłek i wytrzymał

tempo, jakim oboje mri - nie będąc obciążeni - szli w stronę drzew.

I maszerował razem z nimi, nie myśląc o ostrożności.

- Uwaga! - krzyknęła Melein, ujrawszy - w tej samej chwili, co Niun - szkliste

włókna rozwijające się w wieczornym świetle.

Niun wyszarpnął pistolet i wystrzelił, zanim Duncan zdążył się zorientować, co

mu się

przydarzyło. Wietrzny kwiat zginał. Poczuli smród, a szkliste witki poczer- niały.

Tam jednak,

gdzie dotknął on ciała Duncana, na jego dłoniach i czole, pojawiła się natychmiast czerwień.

Człowiek upadł na piasek, wijąc się z bólu, z ubraniem pokrytym witkami.

- Ch'au! - przeklął Niun jego głupotę. - Nie ruszaj się! Leż spokojnie!

Usłyszawszy to, Duncan przestał się ruszać. Drżał, gdy sztych av-tlen odrywał witki

od jego ciała. Niun ściągnął je również z ubrania, po czym nakazał człowie- kowi

stanać na

nogi i poddał oględzinom czarną tkaninę w poszukiwaniu przezroczyстых resztek.

Później

Duncan oddalił się o kilka stóp i przez parę chwil wstrząsały nim suche nudności.

Niun oczyścił av-tlen piaskiem i naciął nim pień luina, którego nie zatrął wietrzny

kwiat. Wydobył z za pasa małą, stalową rurkę i wbił ją z łatwością w miękkie drewno, z

którego zaczął płynąć słodki płyn, czysty i wolny od kesrithańskiego pyłu.

Napełnił pierwszą manierkę i wręczył ją Melein, by mogła nasycić pragnienie do

woli.

Luinów było wiele. Sam wypił drugą, którą pośpiesznie upuścił z drugiego drzewa,

trzecią

zawsze zaniósł Duncanowi, który nie wymiotował jednak aż tak bardzo, jak niewątpliwie miałyby

na to ochotę po przeżytym szoku. Człowiek leżał po prostu na ziemi i dygotał.

- Warto sobie zapamiętać - Niun powtórzył słowa, które przekazał mu kiedyś Eddan,

po mniej bolesnym spotkaniu - że wszędzie na Kesrith, gdzie jest woda, są też wrogowie i

drapieżniki. Skończyło się na bólu. Masz szczęście. Przejdzie ci. Gdybyś był sam, wpadłbyś

całkowicie w sidła wietrznego kwiatu i to byłby twój koniec.

- Nic nie widziałem - stwierdził Duncan. Przełknął łyk wody, próbując przewyciężyć

ból.

- Gdy wędrujesz wśród luinów, idź tak, by słońce świeciło ci w twarz. Wówczas włókna wietrznego kwiatu będą lśniły w jego promieniach i staną się widoczne,

Uważaj też,

gdzie stawiasz nogi. - Pokazał człowiekowi, gdzie znajduje się legowisko małego

ryjca.

Miejsce to znaczył płaski obszar oraz maleńka depresja. Niun rzucił kamykiem. Piasek

ekspoldował. Na chwilę zabłysnął jasny grzbiet, który zniknął, gdy zwierzę zanurkowało i

zatrzepotało swym płaszczem, ponownie przykrywając się piaskiem.

- Są jadowite - poinformował go Niun - i nawet mały osobnik może sprawić, że będziesz bardzo chory. Jednakże od chwili, gdy wyrastają do takich rozmiarów, że

moga

pochłonąć dusa w całości, jad przestaje być dla nas decydujący. Ryjce budują swe

legowiska

pomiędzy luinami, w ocienionych miejscach i wśród skał, gdzie jest wystarczająco

wiele

piasku, by mogły się w nim skryć. Wielkich sztuk nie ma zbyt dużo. Ha-dusei zjadają je,

zanim wyrosną do znacznych rozmiarów, o ile one wcześniej nie zjedzą dusei. W miejscu,

obok którego będziemy przechodzić jutro, żyje bardzo wielki, stary ryjec.

Myślę,

że był tam

przez całe moje życie. One są podobne do reguli; kiedy wyrosną do wielkich

rozmiarów, nie poruszają się zbyt wiele. Mały ryjec, zaniepokojony i rozgniewany, przemknął pod powierzchnią piasku, wywołując w niej ruchomą falę, i znalazł sobie nowe miejsce, głębiej wśród luinów. Doszło do generalnej zmiany miejsc pomiędzy innymi przedstawicielami tego gatunku. Jo, całkowicie nieszkodliwy, oderwał się od kory luina, którą skutecznie imitował, i oddalił się, trzepocząc skrzydłami w półmroku.

- Napij się do syta - poradził Niun strapionemu człowiekowi, ogarnięty li- tością dla niego. Duncan uczynił to powoli, w czasie gdy Niun przygotowywał im kolację z zapasów, które przynieśli ze sobą. Mogliby sporządzić sobie wiele posiłków z samych ryjców, choć ich mięso było nieprzyjemne w smaku i twarde jak guma, dzisiaj jednak Melein była chora, poprzedniej zaś nocy, jak i przez większą część minionego dnia, głodowali. Był rozrzutny i dał Duncanowi taką samą porcję jak im, biorąc pod uwagę, że skonfiskował z jego ewkipunku wszystkie użyteczne rzeczy, wliczając w to racje żywnościowe. Po drugiej stronie nieba, ponad nizinami, nieustannie widać było błyskawice. Regule nie mieli szczęścia. Gdy się położyli, dus ich ogrzewał, a jego impuls odpychający utrzymywał na dystans ha-dusei, mogli więc spać bezpiecznie w minowym gaju. Rankiem ponownie zebrali swój ekwipunek. Niun zastanowił się, przygryzając wargę i marszcząc brwi, po czym obcesowym gestem złapał kilka zwojów tkaniny oraz część żywności dźwiganej przez człowieka i załadował je sobie na plecy.

- To na wypadek, gdybyś nie patrzył, gdzie idziesz - stwierdził chrapliwym głosem. - W ten sposób ryjec, który cię złapie, nie pozbawi nas schronienia i żywności. Człowiek spojrział na niego. Jego czoło przecinała krwawa pręga pozostała po spotkaniu z wietrznym kwiatem. Niun nie sądził, by tamten zapomniał o wypowiedzianych przez niego poprzedniego dniasłowach, że nie zamierza dźwigać ciężarów. Spojrział spode łba, by go zniechęcić do wspomnienia o tym.

- Uczę się szybko - powiedział tamten. Niun pomyślał, że wśród rzeczy, których Duncan się nauczył, znajduje się też umiejętność uprzejmego odpowiadania kel'enowi.

Rozdział 20

Powietrze cuchnęło w niewyobrażalny sposób, splugawione przez cały tłum przerażonych reguli. Wszędzie panowała ciemność rozjaśniana tylko światłami na dwóch konsolach ślizgów oraz czterech napędzanych długożyciowymi bateriami lamp, w które wyposażony był schron. Nigdzie nie było prądu. Stacje uzdatniania wody przes- tały

działać.
Mówiono o rozpoczęciu jej poszukiwań na pustyni, na sposób kesrithański, lecz żadne z młodych nie było pewne, czy potrafi tego dokonać, a poza tym nie paliło im się do wychodzenia na zewnątrz, na skażony teren, czy zapuszczania się na pełne kipiących gejzerów niziny.
Hulagh nie wydał im dotąd takiego rozkazu. Stavros nie wątpił, że bai to zrobi, gdy sam zacznie odczuwać pragnienie.
Ślizgi napędzane były akumulatorami. Ich pojemność również była ograniczona, lecz Stavros i Hulagh, jako starsi, zużywali mającą witalne znaczenie energię, podobnie jak żywność i wodę, bez żadnych ograniczeń, ponieważ uważano za oczywiste, że młodzi muszą utrzymywać starszych. Stavros zdobył się na litość dla udręczonego sekretarza, Hady, który rozdzielał pozostałą żywność i wodę trzystu młodym, a ponadto dbał o Hulagha i niego. Byli stłoczeni w schronie tak ciasno, że najmłodszy i najmniej ważni z nich nie mogli się położyć, by zasnąć, lecz ślizgom pozostawiono miejsce niezbędne do manewrowania. Młode odsuwały się z ich drogi z szacunkiem graniczącym z czcią. W gruncie rzeczy ich jedyna nadzieja na ocalenie opierała się na obecności pomiędzy nimi starszych. Mówiły mało. Wszystkie wpatrywały się w Hulagha - szereg za szeregiem pokrytych kostnymi osłonami twarzy oraz tępo zakończonych głów. Ich oczy lśniły w niemal całkowitej ciemności. Stavrosowi wydało się, w chwilowym przypływie dziwnego humoru, że zmierza on w stronę unisona.
W ciągu długich, mijających godzin zauważył coś jeszcze - że całkiem sporo młodych zasypiało i już się nie budziło.
Baiu, jeśli łaska - zasygnalizował, wypisując powoli regulskie znaki na ekranie.
-
Mam wrażenie, że niektóre z młodych są chore.
Wielkie cielsko Hulagha podźwignęło się. Regul spojrział we wskazaną stronę i opuścił się z powrotem na miejsce z sykiem rozbawienia.
- Nie, ludzka wielebność, one śpią. Mają to robić, dopóki nie nadejdzie pomoc. W tym stanie zużywają mniej zapasów.
Coraz większa liczba młodych, poczynając od najmłodszych, zaczęła pogrążyć się w tym letargu, aż wreszcie ogarnął on niemal wszystkie.
Również sam bai Hulagh zaczął drzemać. Wzdrygnął się nagle z basowym

przekleństwem, po czym zawołał Hadę.
- Jeść - rozkazał. - Pośpiesz się, głupku.
Stavrosowi również zaoferowano gęstą zupę o skwaśniałej woni, ten jednak odmówił jej spożycia. Omal nie wymiotował. To wprawiło Hadę w zakłopotanie, lecz mimo to podał on jego porcję Hulaghowi. Papka zniknęła szybko między cienkimi wargami regula.
- Nic pan nie je - zauważył Hulagh.
Nie jest mi to potrzebne - odparł Stavros. - Wasze jedzenie mi nie służy - dodał szczerze. - Napiłbym się jednak soi.
Hada pognał spełnić jego życzenie z gorączkowym, niemal maniakalnym pragnieniem przy podobania się. Włożył naczynie z gorącym płynem do zdrowej ręki Stavrosa, ze słomką dla jego wygody, po czym stanął niepewnie blisko niego.
Hulagh roześmiał się - basowe dudnienie i seria syków.
- Idź sobie, jajokradzie. Usiądź z resztą młodych.
Hada skulił się zauważalnie i odsunął chyłkiem na bok, drobnymi, chwiejnymi kroczkami.
- Hada wie - wyjaśnił głosem, który stał się niemal uprzejmy pod presją ich długiego oczekiwania, podczas którego musiał okazywać sympatię dla ludzi i ludzkich zwyczajów - że jeśli pobędziemy tu znacznie dłużej, racje zostaną zmniejszone, a on jest żarłoczny.
Rozpieszczam to młode. Zatrzymam je, jeśli nadal będzie mi sprawiało przyjemność. Może zatrzymam wszystkie. Straciłem - dodał smutnym tonem - swoje własne.
Razem ze statkiem - zrozumiał Stavros.
Wyraży współczucia, wielebny.
- Moje również, za utratę pańskiego młodego.
Wielki, odziany w cienką jak pajęczyna tkaninę potwór westchnął i pograżył się w długiej zadumie.
Stavros, którego ślizg stał nos w nos ze ślizgiem Hulagha, skierował cały swój gniew na słabe palce lewej dłoni. Drgnęły tylko lekko. Prawa dłoń zacisnęła się. Przestał już się obawiać, że paraliż się rozszerzy lub porazi jego umysł, zaczynał jednak tracić nadzieję, że kiedykolwiek ustąpi całkowicie. Był wdzięczny regulskiej technice, jeśli nawet nie samym regulom.
Kondolencje Hulagha były niewątpliwie szczerze, nie znaczyło to jednak, że ma on w tej sprawie czyste ręce. Stavros przyjrzał się drzemiacemu baiowi spod przymrużonych powiek. Teraz, gdy był zamknięty w schronie razem z regulami, moment z pewnością nie był

odpowiedni, by wspominać o oczywistej fakcie, że Hulagh miał wiele wspólnego ze zniknięciem Duncana, zaś Stavros, z drugiej strony, w niczym nie przyczynił się do zniszczenia statku baia wraz ze znajdującymi się na jego pokładzie młodymi. W myśl zasad regulskiej moralności pozbycie się młodego stanowiło poważne wykroczenie, lecz jedynie ze względu na afront wyrządzony w ten sposób jego starszemu lub doch. Regul mógł łatwo stawić czoło gniewowi starszego wywołanego utratą młodego, jak na przykład wykrytymi przez niego podejrzanymi transakcjami handlowymi. Stavros doszedł do wniosku, że ta sama bezlitosna logika mogła mieć zastosowanie w przypadku konieczności wyeliminowania samotnego starszego, którego doch mogła wrogo zareagować na znajdujące się w jego posiadaniu informacje. Nadal wierzył, że regule nie kłamią. Byli oni jednak całkowicie zdolni do morderstwa, dzięki któremu kłamstwa mogły się okazać zbyt skuteczne. Z jednej strony bali się go, a z drugiej liczyli na jego pomoc. Podtrzymywał w nich ową nadzieję z uwagi na własne życie. Zaczął dochodzić do wniosku, że bai Hulagh z doch Alagn jest w rozpaczliwej sytuacji. Poniósł, w oczach swych pobratymców, bardzo niebezpieczną dla siebie stratę. Dlatego, gdy wydawało się, że może to przynieść mu korzyść, jak każdy dobry handlowy, zabiegał o kompromis. Mógł on przynieść ludzkości bardzo wiele zysków. Stavros zdecydował jednak, że jeden z elementów zawartej umowy będzie musiało stanowić wyjaśnienie losów pewnego zaginionego żołnierza NST, którego darzył większym uczuciem niż się do tego przed sobą przyznawał. Nie kochał własnych dzieci. Widywał je rzadko, zarówno gdy prowadził samotnicze życie kiluwańskiego uczonego, jak i później, gdy był zajęty pracą w rządzie oraz na uniwersytecie. Uważał, że ma wiele zajęć ważniejszych niż zwracanie sobie głowy owocami kilku młodzieńczych namiętności, które obdarzyły go najpierw zestawem synów, a potem wnuków i prawnuków. Większość z nich zresztą nawiązywała z nim kontakty jedynie dlatego, że pokrewieństwo z Kiluwaninem dodawało prestiżu. Wiedział, że niektórzy nienawidzili go z namiętną pasją, równą tej, z jaką pragnęli uzyskać awans dzięki jego wpływow. Za Duncanem jednak tęsknił. Jego, podobnie jak innych, przyciągała reputacja Stavrosa jako człowieka mogącego zapewnić bogactwo. Jego motywacje były takie same jak pozostałych, pełnił jednak swą służbę wiernie i gorliwie, a także szczerze pragnął przebić się

przez mur kiluwańskiej etykiety, dlatego tylko, że leżało to w jego naturze. Stavros nigdy nie nauczył się, jak na to reagować. Nie przyznawał się też przed regulami do żalu, którego nie potrafiliby zrozumieć. Jednakże do długu, jaki będą musieli spłacić za Kiluwę, doszedł następny - za pozbawionego znaczenia żołnierza NST.

Mimo to nie żałował, że wysłał Duncana, nawet takim kosztem. Doszło do wypadków, które przysporzyły regulom strat, co stanowiło część spłaty długu, a także zdało ich na łaskę i niełaskę ludzi. Stavros czuł z tego powodu wielką satysfakcję. Była to częściowa zapłata za Kiluwę. Zadośćuczynienie będzie pełne, gdy uda mu się wyrwać ster z rąk baia Hulagha i zacząć kierować doch Alagn ku porozumieniu z ludźmi. Była to zemsta, jaką potrafiliby docenić zarówno Hulagh, jak i Kiluwa. Zwłaszcza, gdy już się upewni, kto z reguli był bezpośrednio odpowiedzialny za los Kiluwy i znajdzie sposób, by porachować się z winnymi.

Jako Kiluwianin, Stavros żywił nienawiść konkretną i logiczną. Istniał gatunek zwany regulami, ale to nie ten gatunek zniszczył Kiluwę. Zrobiła to jedna doch. Jej nazwa brzmiała Holn. Nie miała ona swych reprezentantów na tej planecie. Gdy tu wylądowali, doszło do zdziesiątkowania członków Holn. To nie usatysfakcjonowało Stavrosa, który nie był zainteresowany rozlewem krwi. Pragnął zmierzchu Holn, utraty przez nią znaczenia między regulami. Hulagh zaś, gdy znajdzie się pod jego kontrolą, jako sojusznik ludzi, mógł stać się narzędziem tej polityki.

- Starszy - zahuczał wreszcie bai - czy jest pewne, że sprawuje pan władzę nad swoimi ziomkami?

Jeśli mri się nie wtrąca i nie zaczną niczego na szerszą skalę - odparł Stavros

- mam władzę nad sitami, które przybędą na Kesrith.

- Jeśli łaska - powiedział Hulagh - mri nie będą już odgrywać żadnej roli w stosunkach pomiędzy nami. Nie ma ich. Mri już nie istnieją. To była nowość. Stavros wprowadził na ekran znak zapytania, nie upięszony słowami.

- Na statku - wyjaśnił Hulagh - znajdowali się wszyscy żyjący mri. Uwolniliśmy się od tej plagi, która nie pozwalała zakończyć wojny między naszymi gatunkami. Hulagh nie śpieszył się z ujawnieniem tej informacji. Gdy Stavros ją usłyszał, z początku przeraziła go myśl o unicestwieniu całego rozumnego gatunku. Potem zaczął być

podejrzliwy. Regule jednak nie umieli kłamać. Zadumał się nad możliwościami, jakie niósł ze sobą wszechświat bez mri, i doszedł do wniosku, że może to zapewnić ludziom ogromne zyski.

- Jest jasne - ciągnął Hulagh - że należy dokonać całkowitej przebudowy ludzko-regulskich stosunków. Doch Alagn może uznać za korzystne dopomożenie w doprowadzeniu do tego.

Stavros po raz drugi przeżył szok. Rozpoznał w swej trwodze ludzką reakcję, opartą na moralności, której Hulagh w żaden sposób nie mógł wyznawać. Nie było żadnego

powodu, dla którego doch Alagn miałyby się powstrzymać od postawienia propozycji, która w ludzkim

państwie równałaby się zdradzie. Przeżywała ona trudności finansowe i polityczne. Hulagh poszukiwał porozumienia z siłami sprawującymi kontrolę nad zasobami, których pożywał.

Ludzie żywią pretensje do doch Holn - odparł Stavros po należyтым zastanowieniu.

-

Będzie możliwe dojście do nowych, obopólnie korzystnych ustaleń.

Wargi Hulagha rozchyliły się w regulskim uśmiechu. Powolny syk świadczył o odczuwanej przez niego przyjemności.

- Zbadamy tę sprawę - powiedział. - Zrobimy to, najświetniejszy Stavrosie. Obudził Hade i zamówił soi. Tym razem pamiętał, by kazać mu ją posłodzić, z myślą o smaku Stavrosa.

Zanim jednak przygotowano napój, Hada zdażył powrócić. Sapał i wymachiwał rękoma z podniecenia.

- Statek - wydyszał. - Bądźcie łaskawi, starsi, ludzki statek, przyleciał wcześniej...

nadszedł komunikat...

Gest Hulagha przerwał nagle młodemu. Wargi regula wciąż były rozchylone, nozdrza

zaś otwarte. Stavros wiedział już, że jest to wyraz niepokoju. Bai zachowywał się niczym

nerwowo uśmiechnięty człowiek, na zewnątrz demonstrujący dobre maniery, lecz w

głębi

ducha przerażony.

- Z pewnością zapragnie pan - powiedział Hulagh - przywitać tych przedstawicieli

swego ludu i wyjaśnić im sytuację. Proszę im przekazać wyrazy naszego żalu z uwagi na stan

portu, wielebny.

Damy sobie radę - zapewnił Stavros, który nie posiadał się z niepokoju.

Panował

jednak nad tym uczuciem, wiedząc, jak ważne jest, by rozproszyć wątpliwości Hulagha. -

Niech pan będzie pewien, wielebny, że nie macie się czego obawiać, jeśli wasze

młode

pozostaną spokojne i nie będą przeszkadzać w operacjach.

Zwrócił swój ślizg w stronę sekcji kontrolnej i podażył za maszerującym kołyszącym się krokiem Hada Surag-gi, który według regujskich standardów niemal biegł. Wielkie drzwi schronu otworzyły się. Mroczne wnętrza rozjaśniły wiązki światła reflektorów trzymanyh w rękach przez fantastyczne postacie odzianych w skafandry ludzi, którzy przemaszerowali ciężkim krokiem między szeregami pogrążonych w śpiączce młodych. Drzwi zamknięto ponownie, na wszelki wypadek. Drugi z idących posiadał licznik, którym sprawdzał, czy do schronu nie przedostało się promieniowanie. Przytomne młode zeszły pośpiesznie przybyszom z drogi, szczebiocząc z przerażenia. Stavros przesunął swój wehikuł ku przodowi i znalazł się twarzą w twarz z odzianą w skafander postacią. Ujrzał, że skryta za szybą ochronną głowa zatrzymała się w pozie wyrażającej zdumienie.

- Konsul Stavros?

Na plakietce skafandra było napisane G ALE Y. Mężczyzna miał stopień porucznika.

- Tak - odparł na głos Stavros. Odwrócił zdalnie ekran komunikacyjny i wypisał na nim wiadomość za pomocą podstawowego modułu alfabetycznego, gdyż nie był pewien, czy jego bełkotliwa mowa zdoła przekazać skomplikowaną treść. Mam trudności z powodu wypadku. Trudno jest mi mówić, ale to urządzenie znakomicie spełnia swą rolę. Niech pan przemawia do mnie normalnie i patrzy na ekran.

Proszę odnosić się z szacunkiem do tych reguł. Będzie trzeba ich przetransportować w bezpieczne miejsce, jeśli nie może pan zagwarantować normalnego funkcjonowania urządzeń tego budynku.

- Sir - powiedział Galey, najwyraźniej zbity z tropu tą sytuacją. Wciągnął w płuca powietrze i wypuścił je w długim oddechu. - Pan sprawuje dowództwo tu na powierzchni. Jakie są pańskie instrukcje? Obawiam się, że dopływ mocy będzie poważnym problemem. Moglibyśmy w zasadzie sprowadzić tu ekipę remontową i wydaje się, że nikt z was nie uległ skażeniu, lecz w kierunku portu rozciąga się kilka gorących plam o pokaźnych rozmiarach. Stacja jest za to nietknięta. Wolelibyśmy ewakuację. W budynku można mieszkać? Życ?

- W tym budynku? Tak, sir. Na to wygląda.

W takim razie zostaniemy. Niekorzystna pogoda to tutaj problem. Nad resztą panuję.

- Mri, sir... - powiedział Galey. - Nie wiemy dokładnie, co się tu wydarzyło. Mamy problem, poruczniku Galey, ale rozwiązujemy go. Proszę łaskawie rozlokować swoich ludzi tak, byśmy mogli przywrócić normalne funkcjonowanie budynku. Do stacji łączności można się dostać przez te drzwi. Wybacz pan, że nie pójde z panem.

- Tak jest, sir - odparł Galey. Pokłonił się również regulom, sztywno i od niechcienia.

Towarzyszący mu komandosi przystąpili do realizacji rozmaitych zadań. Bez wątpienia porozumiewali się między sobą przez radiotelefony w skafandrach, by regule nie mogli podsłuchiwać wymiany uwag oraz instrukcji.

- Ma pan tu do czynienia z młodymi - zauważył Hulagh. - Jeśli łaska, czy w grę wchodzi jeszcze inni starsi? Chodzi mu o władze - pomyślał Stavros - władze, które mogłyby skomplikować zawarte między nami porozumienia. Przepraszam pana, baiu Hulaghu. To było młode o wyższej randze. Starszy, który nimi dowodzi, musi, jak pan z pewnością pamięta, w myśl traktatu podporządkować się moim poleceniom w sprawach dotyczących zarządzania Kesrith i otaczającą ją przestrzenią. Jest jednak pewna sprawa, w której może dojść do konfliktu między naszymi pełnomocnictwami.

- Cóż to za sprawa, ludzki baiu? Mój zaginiony asystent jest wojskowym. Bai z nadlatującego statku może uznać, że on potrafi najlepiej rozwiązać tę sprawę. To dostarczyłoby mu okazji, by wtrącić się w zakres moich pełnomocnictw. Rzecz jasna nie życzę sobie tego. Uważam, że ułatwiłoby nam zadanie, gdyby było możliwe wyjaśnienie tej kwestii. Nozdrza Hulagha zatrzepotały pod wpływem nagłego podniecenia.

- Jeśli łaska, wielebny. Możemy zasugerować poszukiwania na Dusowej Równinie, gdzie doszło do konfliktu pomiędzy moimi młodymi a wyjętymi spod prawa mri. To nieprzyjemne przypuszczenie, ale gdyby udało się odnaleźć szczątki... Stavros spojrział bez litości na podenerwowanego regula. Czy więc uważa pan, baiu, że owo młode nie żyje?

- To najbardziej prawdopodobne, wielebny. Gdyby jednak tak nie było, wydaje się możliwe, że ktoś z pańskiego sztabu mógłby pokierować poszukiwaniami z większym skutkiem niż jeden z oficerów ze statku. To nie jest wykluczone, prawda, baiu? Znacznie zwiększyłoby to zakres mojej władzy tutaj i ułatwiłoby negocjacje pomiędzy nami, gdyby możliwe okazało się odzyskanie tego zaginionego młodego.

Jest on, rzecz jasna, jedynie młodym, a doświadczenia podczas starcia z mri z pewnością doprowadziły jego umysł do hysterii i zmaciły rozsądek, przez co żadnych zeznań, jakie złoży, nie będzie można traktować poważnie. Sprawiliby mi jednak przyjemność, gdyby odnaleziono go żywego.

Bai zastanowił się nad tymi słowami oraz zawartym w nich ukrytym znaczeniem.

- W rzeczy samej - odrzekł - wśród mojego sztabu znajduje się tego rodzaju ekspert.

Osoba znająca okolicę. Przy współpracy pańskiej ekipy można będzie natychmiast zająć się tą sprawą.

Jestem wdzięczny, wielebny. Dopilnuję załatwienia niezbędnych formalności ze statkiem.

Stavros odwrócił swój ślizg, by odszukać Galeya. Jednocześnie usłyszał, że bai Hulagh nagłaço wzywa Surag-gi.

Zaczynał odczuwać skutki szoku. Przez chwilę trudno mu było skupić się na sygnałach cyfrowych, które aktywowały rozmaite programy ślizgu. Poczul, że oczy zachodzą mu mgłą. Coś takiego na ogół mu się nie zdarzało. Opanował już jednak emocjonalny wstrząs, gdy z niedbałą nonszalancją zatrzymał ślizg obok Galeya. Porucznik najwyraźniej nie wiedział, czy przekazać mu wyrazy ubolewania, czy gratulować ocalenia życia.

- Jest pan tu sam, sir? - zapytał Galeya.

Jak pan z pewnością zauważył, trudności jest pod dostatkiem. Żadnej zwłoki. Czy Koch sprawuje dowództwo tam na górze?

- Tak jest, sir.

Proszę więc skontaktować mnie bezpośrednio z nim. Mogę połączyć tę konsolę z główną tablicą rozdzielczą. Czy dacie radę sprowadzić tu na dół statek z wystarczającą liczbą ludzi, by skompletować brygady robocze oraz personel dla mojego biura?

- Nie od razu. Port uległ całkowitemu zniszczeniu. Stacja jednak jest w dobrym stanie.

Wszystko działa na serwomechanizmach.

Galey pochylił się nad konsolą komunikatora, dotykając bezradnie regulskich urządzeń sterujących.

- W ten sposób - poinstruował go na głos Stavros z niejaką satysfakcją. Nacisnął odpowiednie klawisze i rozpoczął sekwencję zmian, która połączyła ich ze statkiem wojennym Szabla, który przywiózł tu całą gromadkę ludzi mających rozpocząć przekształcanie Kesrith w nadający się do zamieszkania dla ich gatunku świat: ekspertów od gleby oraz uczonych.

A także broń.

On pełnił dowództwo na Kesrith, tylko on. Żaden oficer medyczny nie ogłosi, że jego

zdrowie nie pozwala mu na sprawowanie rządów. W głębi serca Stavros wiedział, że potrzebuje tego ociężałego magnata handlowego z Alagn w równym stopniu, jak w tej chwili doch Alagn potrzebowała jego.

Ujrzał wyraz szoku malujący się na twarzy oficera łącznościowego Szabli, która natychmiast zniknęła, zastąpiona obliczem wojskowego odpowiednika Stavrosa, Kocha. - Stavros? - zapytał Koch.

Drobne trudności w mówieniu - odpowiedział za pomocą klawiszy, zastępując obraz tekstem. - Mamy tu na dole regulskich rozbitków. Bądźcie gotowi do wspomożenia nas w operacjach na powierzchni. Potrzebujemy jedzenia i wody pitnej.

- Nie byliśmy przygotowani na przyjęcie regulskich obywateli. Nieprzewidziane okoliczności. Wszystkie decyzje dotyczące Kesrith i reguli należą do mnie. Sytuacja na dole jest obecnie pod kontrolą. Aktualnie poszukuję mojego adiutanta, który mógł paść ofiarą ataku mri. Jak zameldowano, skażenia ograniczają się do obszaru portu. Domagam się, by odkomenderowano część wojskowego personelu z Szabli pod moje dowództwo, dopóki nie zrobimy tu porządku.

- Ekscelencjo - powiedział Koch - medyczne urządzenia Szabli są do pańskiej dyspozycji, jeśli zechce pan przybyć na stację. Odmawiam. Regulskie urządzenia są adekwatne. Sytuacja jest zbyt pilna. Mój stan jest dobry, biorąc pod uwagę sytuację. Kontynuuję prace zgodnie z pełnomocnictwami przyznanymi mi jako gubernatorowi Kesrith. Niech pan ześle na dół uczonych, wojskowych asystentów oraz wszelki odkomenderowany personel i sprzęt, gdy tylko teren zostanie oczyszczony.

- Może rozsądniej byłoby poczekać. Proszę wysłać na dół personel zgodnie z moim życzeniem. Nastąpiła długa przerwa.

- W porządku - odparł Koch. - Ekipie będzie towarzyszył medyk. Na Kesrith - odparł Stavros - medyk zaczeka, aż znajdę dla niego czas. Koch przełknął również i to. Skinął wreszcie głową na znak zgody.

- Ma pan pełnomocnictwa, to fakt. Ale załoga statku pozostaje pod moim dowództwem. Dostanie pan cywilów, gdy tylko znajdziemy kawałek twardego gruntu, żeby na nim wylądować. Statek kosmiczny Kwiat przydzielono do pańskiej dyspozycji, Gratuluję, sir. To jednak jest sonda, a nie jednostka bojowa. Czy sytuacja wymaga natychmiastowego udzielenia zbrojnego wsparcia? Zaprzeczam.

- Macie tam na dole kiepską pogodę. To najwyraźniej typowa sytuacja. Proszę poczekać. Prowadzimy tu działania przy

użyciu dostępnego personelu. Zapraszam pana na planetę celem wymiany
uprzejmości, gdy
tylko uprzątniemy szczątki.
Stavros usłyszał brzęczenie zbliżającego się ślizgu. Pozwolił swemu rozmówcy
przez
chwilę odebrać obraz. Z satysfakcją przyglądał się temu, jak Koch po raz
pierwszy w życiu
ujrzał regulskiego starszego.
To jest bał Hulagh - poinformował go Stavros i ponownie wyłączył wizję. -
Nadzwyczaj wpływowi regul, sir, za pozwoleniem. Osiągnęliśmy tu pewien
niezbędny
stopień
współdziałania, co jest korzystne dla obu gatunków.
- Rozumiem - powiedział powoli Koch. Sprawiał wrażenie, że całkowicie zapom-
niał
języka w gębie. Był wojskowym z urodzenia i wychowania. Stanął wobec
sytuacji, z
którą nie
potrafił sobie poradzić i na szczęście zdawał sobie z tego sprawę.
- Otrzyma pan swoją pomoc - obiecał. Stavros przerwał połączenie, czując
skrytą
satysfakcję, i rzucił spojrzenie na Galeya.
Niech pan zbada okolicę - polecił porucznikowi. - Gdy już się pan upewni,
gdzie
jest
bezpiecznie, zaczniemy kierować te młode z powrotem do normalnych obowiązków.
To
jest
sztab baia. Proszę się do nich odnosić z należyty szacunkiem, poruczniku
Galey.
- Otrzymujemy już raporty - powiedział oficer. - Wydaje się, że cały teren
jest
nie
skażony i bezpieczny. Uszczelnienia budynku okazały się bardzo skuteczne.
Stavros odetchnął z ulgą.
- Moje młode - odezwał się Hulagh - znajdą sposób na przywrócenie dopływu
wody
oraz naprawienie urządzeń poboru prądu - pomachał masywną ręką. - Hada zajmie
się
pozostałymi sprawami, jeśli będzie miał środki transportu. Sądzę, że niektóre
z
wehikułów ze
stacji uzdatniania wody mogły zostać nienaruszone.

Rozdział 21

Przy wejściu Sil'athen czekał na nich dus, który odpychał ich z taką siłą, że
zwierzę
Niuna spłoszyło się. Tam, wśród skał, na wpół pochowane w piasku, leżały
szczątki Eddana.
Niedaleko spoczywała sterta czerni, która była ongiś Liranem i Debasem, a
także
złoto, które
było Sathellem.
Melein zasłoniła twarz i odsunęła się na bok, gdyż jako she'pan nie mogła
patrzeć na
śmierć. Niun jednak podszedł bliżej i z uszanowaniem poprawił chustę na
twarzy
Eddana.

Upłynęło wiele czasu, zanim był w stanie podnieść wzrok i spojrzeć na człowieka,
który
kręcił się niepewnie w pobliżu.
Oczyścił dłonie w piasku, uczynił znak wyrażający cześć i podniósł się.
Człowiek
również wykonał podobny znak, na swój sposób. Niun zaakceptował ten wyraz szacunku.
- Sami wybrali taki koniec - powiedział Duncanowi - i był on lepszy niż to, co spotkało tych, którzy zostali.
Wylał z manierki odrobinę drogocennej wody, odwrócił się plecami, by umyć dłonie
i
twarz, po czym ponownie założył zasłonę. Gdy spojrział w górę, na skały, ujrzał
dwa inne
dusei, które zaczęły schodzić w dół. Wycofał się natychmiast.
Jego własny dus wszedł pomiędzy nich a tamte i spróbował zbliżyć się do trzech emitujących impuls odpychający zwierząt, które utworzyły przeciwko nim wspólny front.
Zataczały kręgi w obie strony, wyciągając nosy. Nagle wielkie, łagodne stworzenie, które należało do Eddana - a przynajmniej tak Niun sądził - dźwignęło się na tylne łapy i krzyknęło głośno, odpędzając jego dusa. Najmniejszy z trójki zawahał się jednak w połowie drogi pomiędzy nimi i podążył za nowo przybyłym dusem Niuna. Jego towarzysz poszedł za jego przykładem. Największy, należący do Eddana, wydał z siebie płaczliwy jęk i oddalił się od tych zdradzieckich dusei, których nie chciał już więcej znać. Niun wyczuł jego gniew i zadrżał, gdy jednak zaczął się stamtąd oddalać, podążył za nim nie tylko jego dus, lecz również dwa, które należały uprzednio do Lirana i Debasa. Uformowały ciasny trójkąt z jego własnym zwierzęciem. Krzyczały i jęczały, nie pozwalając jeszcze Niunowi zbliżyć się do siebie, lecz pomimo to porzuciły swe obowiązki, pozostawiając straż dusowi Eddana, który położył się obok swego zmarłego i pozostał mu wierny.
- Lo'a-ni dus - oddał mu cicho honory Niun z głębokim szacunkiem. Zamknął jednak przed nim swe serce, gdyż impuls odpychający był zbyt silny, by można go było znieść.
Ponownie założył sobie ciężar na plecy i ruszył w drogę. Trasa, którą podążali wraz z Duncanem, zbiegała się z trasą Melein.
Nie było potrzeby rozmawiać o tym, co znaleźli. Dusei szły przed nimi. Od czasu

do
czasu któryś z nich próbował zawrócić w stronę Duncana, lecz dus Niuna na to
nie
pozwalał.
Nieustannie krążył z tyłu małej kolumny, by pokrzyżować im te zamiary.
Wkrótce
najwyraźniej zrozumiały, że ten tsi'mri znajduje się pod ochroną i zrezyg-
nowały
z prób
dobrania się do niego.
Dotarli do wylotu wewnętrznej doliny Sil'athen, gdzie oczekiwał innego
rodzaju
strażnik. Niun ujrzał go po drugiej stronie rozległej, piaszczystej płasz-
czyzny.
Dotknął
ramienia człowieka, nachylił się i podniósł niewielki kamyk. Rzucił nim
daleko,
daleko ponad
ławicą piasku, ku centralnej depresji.
Ta eksplodowała, na obszarze o obwodzie równym dwudziestu długościom dusa.
Chmura piasku wzbiła się w powietrze z krawędzi płaszczaka ryjca, który
podźwignął
się i
ponownie zagłębił o kilka długości dalej.
Człowiek zaklął tonem grozy.
- Pokazałem ci go - wyjaśnił Niun - żebyś zrozumiał, że ten, kto nie zna tych
terenów i
nie ma dusa, który by mu towarzyszył, nie zdoła tu znaleźć drogi. Po drugiej
stronie wielkich
piasków można podobno znaleźć egzemplarze większe niż ten, który widziałeś.
Dusei potrafią
je wywęszyć, podobnie jak inne niebezpieczeństwa. Nawet mri nie lubią chodzić
po
tej
krajnie samotnie, chociaż potrafimy to robić. Nie sędzę, byś ty to umiał.
- Rozumiem cię - powiedział Duncan.
Od tej chwili wędrowali cicho. Szli blisko ściany urwiska, gdyż tamtędy
wiodła
bezpieczna trasa. Mijali groby zamknięte i oznaczone za pomocą kamieni.
Niezwykle kształty
skał Sil'athen po kolei pozostawały za nimi, otaczając ich wokół i
zasłaniając
drogę, którą tu
przyszli.
- Co to za miejsce? - zapytał Duncan ściszym głosem, gdy mijali wysoko
położone
groby she'panei.
- Nla'ai-mri, - odparł Niun. - Sil'amen, cmentarz naszego rodzaju.
Od tej chwili Duncan nie odzywał się już. Spoglądał tylko niepewnie to na
jedną,
to na
drugą stronę doliny. Raz obejrzał się przez ramię do tyłu, gdzie wiatr zaci-
erał
ich ślady,
usuwając wszelkie pozostałości po tym, że ktoś kiedykolwiek tędy przechodził.
Prowadziła ich teraz Melein. Szła jako pierwsza z dłonią na grzbiecie dusa
Niuna,

który kroczył powoli obok niej. Wydawało się, że zwierzęciu ten kontakt sprawia przyjemność. Zapuscili się głęboko w kaniony ścieżką, którą Niun nigdy nie wędrował.

Minęli przejście pomiędzy skałami, w których mieściły się grobowce she'panei. Na skałach wryte były znaki - być może imiona starożytnych she'pan lub drogowskazy. Melein czytała je i Niun ufał jej przewodnictwu. Wierzył, że zna drogę, choć sama nigdy tu nie była.

Odczuwała coraz większe zmęczenie. Od czasu do czasu wydawało się, że z pewnością będzie musiała się zatrzymać, nie robiła jednak tego. Przystawała tylko czasem na chwilę, by zaczerpnąć tchu, po czym ruszała w dalszą drogę. Blask południa przeszedł w gorejącą lunę godzin popołudniowych. Słońce stało teraz niżej, dzięki czemu mogli wędrować w chłodnym cieniu urwisk. Byłoby to niebezpieczne, gdyby nie chroniące ich dusei, które badały drogę przed nimi.

Zapuscivszy się głęboko w cień, dotarli do ślepego końca wąwozu. Niun spojrział na Melein. Zastanowił się nagle, czy mimo wszystko zgubiła drogę, czy też chciała w tym miejscu urządzić postój. Ona jednak popatrzyła w górę, na szlak, którego Niun nie dostrzegł, dopóki nie podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Z miejsca innego niż to, w którym stali, w ogóle nie można było go dojrzeć. Prowadził w górę pomiędzy czerwone skały, ku labiryntowi kolumn z piaskowca sterczących ku niebu niczym potężne palce.

- Niunie - powiedziała wtedy Melein, rzucając spojrzenie za siebie. Popatrzył w tym samym kierunku, w stronę Duncana, który, wyczerpany rzadkim powietrzem, osunął się w dół, by spocząć na ziemi, oparty o swój bagaż. Dusei zmierzały w jego stronę. Jeden z nich wyciągnął łapę. Duncan zamarł bez ruchu, z głową wciąż wspartą na pakunku.

- Yai! - skarcił Niun dusa, który z poczuciem winy cofnął ciekawską łapę. Cała trójka dusei wycofała się, emitując uczucie zmieszania.

Niuna dręczył niepokój na myśl o wejściu w towarzystwie człowieka w ten stromy, splątany labirynt, gdzie jeden źle postawiony krok mógł spowodować ich koniec.

- Co mam z nim zrobić? - zapytał Melein w szlachetnym języku, by Duncan nie mógł go zrozumieć. - Nie powinno go tu być. Czy mam znaleźć sposób, by się go pozbyć?

- Dusei dadzą sobie z nim radę - odparła. - Zostaw go w spokoju.

Zaczął się sprzeciwiać, nie ze względu na siebie, lecz z obawy o Melein, ta nie
sprawiała jednak wrażenia, by była gotowa go wysłuchać.
- Gdy będziemy się wspinać, on pójdzie jako ostatni - powiedział. Mimo to
poczuł
w
brzuchu skurcz strachu. Intel jasno widziała przyszłość. „Czuję wielki
strach”
powiedziała
owej nocy, gdy wszyscy zginęli. Niun odczuwał teraz podobny lęk - zimne,
jasne
poczucie, że
osiągnęli punkt, poza którym nie będzie już można się cofnąć, że traci jakąś
szansę bądź też
przechodzi obok czegoś. Myśl o człowieku wkradała się coraz głębiej w jego
umysł. Nie
chciał takiego towarzystwa. Obecność człowieka ciążyła jego myślom, nie-
możliwa
do
wyrzymania, niczym wspomnienie o ataku. Spojrzał na Duncana i zadrżał nagle
pod
wpływem gwałtownej odrazy. Przypomniał sobie, że niesie ciężar, który pow-
inien
dźwigać
tamten, i nie ma pojęcia co dalej z tym wszystkim zrobić. Dotknął palcami
pistoletu.
Uczyniono go jednak kel’enem po to, by przynosił Ludowi zaszczyt, a nie
dopuszczał
się ordynarnych mordów. Ponadto Melein wydała inny rozkaz, co uspokoiło jego
sumienie.
Nie był władny podjąć decyzji w podobnej sprawie. Należała ona do niej i to,
co
zadecydowało, zgadzało się z nakazami jego sumienia.
Duncan spojrział na niego nagle i Niun wsunął palce za pas, starając się ukryć
swe
myśli i swój ruch zarazem.
- Chodź - powiedział. - Chodź, pójdziemy teraz w górę.
Ruszył wąską ścieżką jako pierwszy i natychmiast zauważył, że Melein nie jest
niemal
w stanie wspiąć się w górę po tym zerodowanym, nie używanym szlaku. Znalazł
jakieś
oparcie dla stóp i sięgnął ku jej ręce. Melein jednak ujęła jego palce drugą
dłonią, by
oszczędzać zraniony bok. Za każdym razem, gdy musiał ją podciągnąć delikat-
nie,
by jej
pomóc, robił to bardzo ostrożnie, gdyż widział jej twarz i wiedział, że ci-
erpi
straszliwy ból.
Duncan szedł za nimi, zaś na samym końcu posuwały się niezgrabne dusei.
Zwierzęta
strącały po drodze kamienie, które spadały ze stukiem do głębokiego kanionu,
lecz ich pazury
oraz wielka siła sprawiały, że stapały one pewniej niż się mogło wydawać.
Gdy byli w połowie drogi, dobiegł ich dźwięk silników samolotu.
To wrażliwe uszy Melein usłyszały go jako pierwsze, gdy odpoczywała w pół
kroku.

Odwróciła się i wskazała palcem na krążącą nad główną doliną maszynę. Jej pilot nie mógł ich dostrzec ani wykryć gdzie się znajdują, podczas gdy oni byli w stanie swobodnie obserwować ów maleńki punkcik w różowym półmroku, który pozostał jeszcze z dnia. Niun widział nie tylko samolot, lecz również plecy Duncana. Człowiek stał, trzymając się wielkiego głazu, i spoglądał w stronę maszyny. Niun nie mógł nie pomyśleć z jaką wielką radością Duncan pobiegłby w tamtą stronę, by dać znak, i jak łatwo może to zrobić, jeśli będzie miał w przyszłości okazję. Nie byli już sami na świecie. - Ruszajmy dalej - powiedziała Melein. - Zejdźmy z tego urwiska, zanim zawróci w naszą stronę. - Chodź - rozkazał ostro Duncanowi Niun z nienawiścią brzmiącą w głosie. Człowiek odwrócił się i ruszył za nimi w górę, oddalając się od tego, co według wszelkiego prawdopodobieństwa niosło mu nadzieję na ratunek. Gdy następnym razem spojrział w dół, by okazać pomoc Melein, Niun rozejrzał się wkoło i nie dostrzegł już samolotu. Nie uspokoiło go to w najmniejszym stopniu. Maszyna mogła równie dobrze pojawić się bezpośrednio nad ich głowami, przelatując ponad urwiskami i kolumnami z piaskowca, które zapewniały im jedynie częściową osłonę. Ku jego uldze, gdy wspięli się na szczyt urwiska, nie ujrzeli przed sobą kolejnej równiny, lecz zeszli nieco w dół, posuwając się krętą ścieżką między kolumnami z piaskowca, które - na tle purpurowego nieba - nabrały teraz koloru płonącej czerwieni. Wiał silny wiatr, przeganiający między kolumnami małe chmurki, który zacierał za nimi ślady. Ponownie dał się słyszeć cichy kaszel Duncana. Nie uspokoił się on, dopóki człowiek nie odzyskał tchu po wspinaczkę. Znajdowali się na dużej wysokości i powietrze było znacznie suchsze niż na nizinach. Tu, na terenach położonych wyżej niż większa część ładu, nie było deszczów, a jedynie burze piaskowe. Po drugiej stronie wyżyny rozciągało się morze, The'asacha, było ono jednak małe i martwe, podobnie jak Morze Zasadowe, nad którym leżało regulskie miasto. Jeszcze dalej wznosił się łańcuch górski, Dogin. Były to

jedynie szkielety zerodowanych gór, zachowały jednak wysokość wystarczająca,
by
zawracać
wiatry w tę bądź w tamtą stronę po kręgosłupie kontynentu oraz wywoływać
burze,
które
nigdy nie opadały na wyżynną równinę, lecz tylko na płaskie niziny.
Chmury widoczne na obrzeżach nieba pędziły teraz nad te niziny, by zrzucić
tam
swój
ładunek wilgoci. Oszczędzały im przez to zarówno obawy przed burzą, jak i
nadziei, że da im
ona wodę. Jedynym jej skutkiem będzie dla nich ciemne niebo oraz trudna i
niebezpieczna
wędrówka bez światła gwiazd.
Do uszu Niuna dotarł nagle dźwięk silników samolotu. Zapędził w zapadającym
zmroku człowieka oraz dusei w najbardziej ocienione miejsce. Melein ukryła
się
natychmiast.
Jeśli z samolotu dostrzegą cokolwiek, będzie to obraz dusa - dla ich
instrumentów gorąca,
masywna sylwetka - coś, co na pustkowiu widziało się często. Gdyby mieli
strzelać do
każdego dusa na Kesrith, ich poszukiwania potrwały długo.
Samolot odleciał. Niun rozluźnił pięść, którą trzymał zaciśniętą na szatach
człowieka
od chwili, gdy spędził wszystkich w gromadę, po czym po raz pierwszy
odetchnął
spokojnie.
- Możemy tu odpocząć przez chwilę - powiedziała Melein słabym, zmęczonym
głosem. - Czeka nas jeszcze daleka droga... potrzebny mi odpoczynek.
Niun popatrzył na nią i dostrzegł jej cierpienie, które tak długo starała się
ukryć.
Podczas wspinaczki za każdym razem gdy skrzywiła się z bólu odczuwał to we
własnych
trzewiach. Nie mogli odpoczywać długo. Gryzł się tym. Miał wrażenie, że ta
nie
dająca jej
spokoju potrzeba zmierzania do celu odziera ją z resztek sił.
A bez niej nie pozostanie mu już nic.
Wziął kawał tkaniny, by zrobić z niego posłanie. Ułożył Melein przy boku
dusa,
by
ogrzała się w jego przyjaznym cieple. Uradował się, gdy odprężyła się, leżąc
wygodnie, a
bruzda bólu wryta na jej czole wygładziła się i zaczęła znikać.
- Nic mi nie będzie - pocieszyła go, dotykając jego dłoni.
Nagle jej oczy rozszerzyły się. Niun odwrócił się błyskawicznie. Ujrzał cień,
który
porwał jednym ruchem manierkę z wodą. Duncan zniknął w mroku w labiryncie
skał.
Niun zaklął i pognał za nim. Natychmiast usłyszał za sobą jękliwy ryk dusei.
Ominął z
jednej strony kolumnę, na wpół spodziewając się zasadzki, co byłoby ze strony
człowieka
idiotyzmem, nie natknął się jednak na nią.
Nie widział też Duncana ani żadnego śladu po nim.
Zostawił Melein. Zalał go nagle pot, gdy pomyślał, co się może stać, jeśli

Duncan

zatonczy krąg i zaatakuj ją. Była przecież ranna.

Nagle usłyszał głos polującego dusa - unoszący się na wietrze jęk. Oznaczał on,

że

zwierzę dostrzegło zdobycz. Niun pobłogosławił kilku bogów swej kasty i pognął w

kierunku,

z którego dobiegał dźwięk, z pistoletem w dłoni.

Po drodze napotkał Melein, bladą zjawę w ciemności, z dusem u boku. Wspólnie odnaleźli ślepy zaułek, w którym pozostałe dusei osaczyły Duncana.

- Yai! - zawołał Niun do zwierząt, zanim zdążyły rzucić się na człowieka, by go

zabić.

Cofnęły się, pochylając barki w zadzierzystym odwróceniu, na tyle tylko, by pozwolić

Duncanowi wstać z występu, na którym został osaczony. Nie chciał tego zrobić.

Skulił się

tam, z twarzą odsłoniętą podczas przedzierania się przez skały. Jego nagie oblicze było

wykrzywione z wyczerpania i gniewu. Dręczył go kaszel. Z nosa ciekła mu krew.

- Zejdź na dół - powiedziała Melein.

Człowiek nie chciał jednak tego zrobić i Niun poszedł po niego, odpychając na bok

dusei. Wtedy Duncan spróbował się poruszyć, lecz osunął się ponownie na ziemię.

Siedział

nieruchomo z głową opuszczoną na złożone ramiona.

Niun złapał za ramię manierki i wyrwał ją z dłoni Duncana. Pozwolił mu odpoczywać przez chwilę, gdyż wszyscy byli zdyszani.

- To była dobra próba - powiedział - ale następnym razem cię zabiję. To cud, że

dusei

nie uczyniły tego przy tej okazji.

Duncan uniósł twarz. Zacisnął szczęki z gniewu. Wzruszył ramionami w geście wyzwania, który jednak zepsuł atak niepowstrzymanego kaszlu.

- Dałbyś znak samolotowi - powiedziała Melein - i sprowadziłbyś go na nas.

Duncan ponownie wzruszył ramionami i podniósł się na nogi. Opuścił ślepa niszę i

poszedł za nimi z własnej woli. Dusei wciąż pragnęły krwi. Były zbite z tropu tym, że

najpierw kazano im ścigać zwierzynę, a potem je od niej odciągnięto. Dlatego Niun

maszerował pomiędzy nimi a człowiekiem. Melein podążała z tyłu. Ruszyli ku miejscu, w

którym porzucili swój ekwipunek, gdy przystąpili do pościgu.

Tam osunęli się na ziemię, w tym samym punkcie, gdzie rozpoczęli odpoczynek. Byli

teraz podwójnie wyczerpani. Niun przyjrzał się z uwagą Duncanowi, zastanawiając

się nad

tym, co mogło się być wydarzyć i jaką szkodę mogło im to wyrządzić.

Musiał pamiętać o Melein, delikatnej z uwagi na jej obrażenia. A także o krążącym w

pobliżu samolocie, który czekał tylko na to, aż popełnią najdrobniejszy błąd, w

nieodpowiednim momencie pokażą się choć na chwilę na otwartej przestrzeni, by ich

zlokalizować i skończyć z nimi.

- Zakryj sobie twarz - powiedział wreszcie Niun.

Duncan spojrział na niego spode łba, jak gdyby chciał się sprzeciwić temu rozkazowi,

na koniec jednak opuścił oczy i poprawił zasłonę. Nie przestał się jednak na niego gapić.

Dus zajęczał i podniósł się na tylne łapy.

- Yai! - rozkazał mu Niun i zwierzę opadło na cztery kończyny, kołysząc się nerwowo. Dusowy gniew pobudził również krew Niuna. Stłumił go i zapanował nad nim,

gdyż ten, kto wędrował w towarzystwie dusei, musiał mieć więcej od nich rozsądku.

Duncan odsunął się na bok, oderwał wzrok od nich dwojga i od zwierząt i wbił go

w

skałę przed sobą.

- Ruszamy w dalszą drogę - zdecydowała po pewnym czasie Melein. Dźwignęła się na

nogi, ostrożnie i z bólem. Zachwiała się i Niun musiał jej natychmiast pomóc, by

się nie

przewróciła. Potem jednak dotknęła dłonią dusa i zwierzę wysunęło się spokojnym

krokiem

na czoło, dzięki czemu mogła posuwać się naprzód powolnym, ostrożnym krokiem, idąc u

jego boku. Dus stanowił dla nich jedyną ochronę, gdy wędrowali w ciemności ciasnym

przesmykiem wśród skał.

Niun zabrał manierki z wodą, całą zaś resztę pozostawił do dźwigania człowiekowi.

Pogonił go ciężką ręką, każąc mu iść pomiędzy dwoma pozostałymi dusei, by nie stracili z

oczu jasnej postaci Melein.

Tylko dzięki dusei, których przesycone tłuszczem skóry odporne były na jad wietrznych kwiatów i których wrażliwe zmysły ostrzegały je przed innymi niebezpieczeństwami, mogli się odważyć wędrować w tej okolicy po zapadnięciu zmroku.

Melein z pewnością sądziła, że ciemność, sprzyjająca im, nie będzie przychylna

tym, którzy

ich ścigali.

Długa wędrówka zawiodła ich na bardziej otwarte tereny. Przechodzili przez preraźliwie odkryte ławice piasku pod postrzępionymi chmurami, gdy usłyszeli odgłos wciąż

krającego w pobliżu samolotu; zdołali się jednak ponownie skryć między formacjami z

piaskowca.

Przeleciał blisko. Duncan podniósł wzrok ku niebu, jak gdyby w przypływie nadziei,

lecz odwrócił gwałtownie spojrzenie, gdy Niun wyszarpnął z pochwy av-tlen ze szczękiem

zaostrzonego metalu.

Patrzyli sobie nawzajem w twarze, on i Duncan, stając bez ruchu, aż samolot oddalił

się ponownie poza zasięg ich słuchu. Niun wyćwiczonym gestem schował broń do pochwy.

- Ktoś - zauważył Duncan głosem zmienionym niemal nie do poznania wskutek bólu w gardle - ktoś wie, gdzie was szukać. Jakoś nie wydaje mi się, by moi współbracia mogli to wiedzieć.

Słowa te przeszyły chłodem serce Niuna. Spojrzał na Melein.

- Nie możemy urządzić kolejnego postoju - stwierdziła. - Nie mogą nas znaleźć, nie tutaj. Musimy dotrzeć na miejsce, zanim zrobi się jasno i zdążyć stamtąd odejść.

Niunie, pośpieszmy się.

Popchnął delikatnie człowieka.

- Idź - powiedział.

- Czy to o nią chodzi? - zapytał Duncan. Nie ruszając się z miejsca, w którym stał, wskazał głową na Melein. - Czy fakt, że regule wciąż was ścigają, w jakiś sposób wiąże się z nią?

- To niemożliwe - zapewnił go Niun. Potem jednak inna myśl zaczęła do niego docierać ze straszliwą jasnością. Procesy mentalne wznowiły swą działalność tam, gdzie przez długi czas panował całkowity szok. Spojrzał ponownie na Melein i przemówił w hal'ari, szlachetnym języku. - To niemożliwe, by ścigali nas. Nie mogą wiedzieć, że istniejemy. Jakie znaczenie ma dla nich dwoje mri, kiedy pozostali nie żyją? Poza tym, w jaki sposób regule mogliby dotrzeć do edunu, by się przekonać, że ktoś z niego ocalał? Nie potrafiliby się wspinać pomiędzy ruiny. To przez człowieka, tego przeklętego człowieka. Ma w mieście kontakty. Jest tam jego pan. To ze względu na niego regule ścigali mnie przez niziny. Jeśli to są oni, nadal podążają tym tropem. Współpracują w tej sprawie z ludźmi. W jej oczach pojawił się wyraz niepokoju.

- Chodźmy - powiedziała nagle. - Chodźmy teraz, szybko. Nie wiem, co z nim zrobimy, ale nie możemy rozstrzygnąć tej sprawy teraz.

- O czym mówicie? - zapytał nagle Duncan ochrypłym głosem. Być może zrozumiał z ich rozmowy pojedyncze słowa, czy rzucone na bok spojrzenie. Niun popatrzył na niego i pomyślał z niepokojem, że ich jeniec może podejrzewać, jak małe znaczenie ma dla nich jego życie.

- Ruszaj się - powiedział ponownie. Popchnął człowieka brutalnie. Duncan zapomniał o swych pytaniach i poszedł bez sprzeciwów tam, gdzie mu kazano. Jeśli to człowieka poszukiwano i regule ścigali ich ze względu na niego, to w takim razie, pomyślał Niun, nieprzyjaciel będzie musiał prędzej czy później odnaleźć

Duncana w
taki sposób, by zakończyło to poszukiwania i by człowiek nie mógł zdradzić
wrogom tego, że
she'pan Ludu żyje jeszcze.
O bogowie - pomyślał ogarnięty przygnębieniem Niun. Był popychany do
morderstwa
oraz hańby i nie widział żadnego innego rozwiązania.
Samolot nie pojawił się już jednak więcej i Niun mógł zapomnieć o tym za-
grożeniu
w
nawale pilnych myśli towarzyszących ich obecnej wędrowce - nie zastanawiać
się
nad tym,
co, być może, będzie musiał uczynić, jeśli poszukiwania zostaną wznowione.
Dwukrotnie, wbrew życzeniom Melein, musieli przez wzgląd na nią odpoczywać.
Za
każdym razem, choć Niun chciał się zatrzymać na dłużej, na jej naleganie
wznawiali
wędrowkę. Na koniec musiał podtrzymać ją za ramię. Jej szczupłe palce zacis-
kały
się na jego
dłoni. Chwiała się na nogach.
Po północy weszli do wąskiego kanionu, który najpierw wił się w dziwny,
przyprawiający o zawrót głowy sposób, a następnie zaczął opadać w dół. Jego
ściany zbliżały
się niebezpiecznie do siebie nad ich głowami, pogrążając ich w ciemności
głębszej niż
panująca za zewnątrz noc.
- Włącz latarkę - powiedziała Melein. - Myślę, że skały osłaniają nas już od
góry
całkowicie.
Niun włączył kieszonkową latarkę Duncana, by oświetlić drogę jej nadzwyczaj
wąską
wiązką. Schodzili wciąż w dół ciasnym, spiralnym przesmykiem, aż nagle nad
ich
głowami
rozwarł się szyb, w którym widoczne było otwarte niebo. Noc wydawała się tam
jaśniejsza
niż absolutna ciemność, przez którą wędrowali uprzednio. Ściany oddaliły się
od
siebie.
Pokryte były symbolami podobnymi do tych, które ongiś przyozdabiały sam edun.
Idący na przedzie dus dźwignął się na tylne łapy i wydał z siebie ryk, który
poniósł się
straszliwym echem w górę i w dół przejścia. Niun skierował wiązkę światła w
lewo, w stronę
zwierzęcia. Widniała tam nisza, w której spoczywała sterta czarnych łachmanów
i
kości.
Grób strażnika.
Dotknął czoła na znak czci dla nieznanego kel'ena. Ponieważ ujrzał, że Duncan
stoi
zbyt blisko tego świętego miejsca, odciągnął go w tył za ramię. Następnie
skierował światło
latarki na wejście, przed którym stała Melein. Było ono zamknięte kamieniami
oraz
zapieczętowane odciskiem dłoni strażnika, który wznosił ten mur i uświęcił go
własnym

życiem.

Melein oddała gestem dłoni cześć temu miejscu, po czym zwróciła się nagle w stronę

człowieka i spojrzała na niego srogo.

- Duncanie, nie możesz pójść dalej niż grób strażnika. Gdybyś to zrobił, musiałbyś

umrzeć. Stój tu i czekaj. Niczego nie dotykaj, niczego nie rób i niczego nie zauważaj -

zwracając się do Niuna powiedziała: - Otwórz je. To zgodne z prawem.

Oddał jej latarkę i przystąpił, zaczynając od górnych kamieni, do odsłaniania tego,

czego strażnik pilnował przez tak wiele lat, relikwiarza tak świętego, że kel'en

musiał go

strzec aż do śmierci. Wiedział, jakiego wyboru dokonał tamten. Miał żywność i wodę. Wolno

mu było zapuszczać się na odległość wzroku od strzeżonego przez siebie miejsca

celem

polowania, które pozwalało mu przeżyć. Gdy jednak w okolicy zabrakło

zwierzyny,

choroba,

zła pogoda lub też zaawansowany wiek zmogły samotnego kel'ena. Wycofał się on do

tej

wybranej przez siebie niszy, by tu umrzeć, wierny powierzonemu zadaniu. Jego duch krążył

po okolicy, pełniąc nieustanną straż.

Być może to sama Intel stała tutaj, błogosławiła zamknięcie tych drzwi i ucałowała

czoło odważnego strażnika, gdy powierzała mu tę misję.

Był to jeden z kel'ein, którzy przybyli wraz z nią z Nisrenu, czterdzieści lat

temu, gdy

Pana dotarły na Kesrith.

Kamienie ze stukiem osuwały się z przejścia z narastającą łatwością, aż wreszcie

Melein mogła przejść nad tym, co pozostało, i postawić stopę w zimnym wnętrzu.

Światło

latarki, którą trzymała w ręku, padło na ściany, dotykając napisów

stanowiących

tajemnice

Kaplicy kaplic, poskręcanych symboli pokrywających wszystkie powierzchnie.

Niun

ujrzał je

przelotnie, po czym opadł na kolana i odwrócił twarz, by nie zobaczyć tego, czego nie

powinien oglądać. Przez pewien czas słyszał, jak Melein stawia w tym świętym miejscu swe

delikatne kroki. Potem nie było słyszać już nic, lecz Niun nie odważył się poruszyć. Na tle

przeciwległej ściany szybu dostrzegwał Duncana. Dusei stały obok niego. Nawet one

zamarły

w bezruchu. Niun zmarzył podczas długiego oczekiwania. Zaczął dygotać ze strachu.

Jeśli Melein nie wróci, on i tak będzie musiał czekać. A z wnętrza jaskini nie dobiegały żadne odgłosy życia, nawet dźwięk kroków. Jeden z dusei zajęczał. Napięcie oczekiwania szarpało mu nerwy. Zwierzę umilkło i przez długi czas Niun nie słyszał zupełnie nic. Nagle rozległ się jakiś słaby, powtarzający się dźwięk, który dobiegał ze środka kaplicy. Wreszcie Niun rozpoznał odgłos cichego łkania, które stawało się coraz bardziej gorzkie i gwałtowne. - Melein! - krzyknął głośno, kierując wzrok ku temu zakazanemu miejscu. Wewnątrz, za drzwiami, poruszały się cienie i przepływały łagodne światła. Jego głos rozległ się świętokradczym echem wzdłuż ścian i przestraszył dusei. Niun podźwignął się na nogi. Bał się tam wejść i bał się tego nie zrobić. Dźwięk ucichł. Zapadła cisza. Niun podszedł aż do przejścia i położył na nim dłoń, próbując zdobyć się na odwagę, by wejść do środka. Nagle usłyszał jej lekkie kroki gdzieś głęboko we wnętrzu. Dobiegły do niego odgłosy życia. Nie wezwała go. Czekał, dygocząc. W środku coś się ruszało. Dobiegł do niego dźwięk uruchomionej maszynerii. Nie milkł on, lecz od czasu do czasu Niun wyraźnie słyszał kroki Melein. Przypominał sobie, ogarnięty nagłą paniką, że stracił z oczu Duncana, i odwrócił się błyskawicznie, by sprawdzić, co robi człowiek. Ten jednak stał bez ruchu, nie bliżej niż pozwoliła mu Melein. Nie podjął żadnej próby ucieczki. - Usiądź - rozkazał ostrym tonem Niun. Duncan siadł w tym samym miejscu, gdzie stał. Nadal czekał. Niun przeklął sam siebie za to, że myślał tylko o Melein i zapominał o zadaniu, które mu wyznaczyła - by pilnował tego, co dzieje się na zewnątrz. Zdał ich oboje na łaskę i niełaskę Duncana, gdyby ten skorzystał z jego nieuwagi i stawiał czoło dusei. Usiadł sam na piasku, w takiej pozycji, by móc obserwować człowieka, a jednocześnie od czasu do czasu spoglądać w stronę kaplicy. Oplótł sobie ramiona wokół kolan, zacisnął splecione dłonie ze znieczulającą siłą i czekał, nasłuchując. Było to nadzwyczaj długie oczekiwanie, w czasie którego wiele razy odczuwał ból i

zmieniał pozycję. Jego poczucie czasu mówiło mu, że chyba zbliża się już
świt,
choć
zachmurzone niebo widoczne nad nimi wciąż było ciemne. Przez bardzo długi
czas z
wnętrza
kaplicy nie dobiegał żaden dźwięk.
Wreszcie zerwał się na nogi, zniecierpliwiony, i podszedł ponownie do
wejścia,
potem
jednak wytłumaczył sobie, że nie ma prawa wkraczać do wnętrza. Chodził,
unieszczęśliwiony, po małym obszarze, jaki miał do dyspozycji, i od czasu do
czasu spoglądał
w dół na człowieka, który czekał tak, jak mu kazano. Wyraz oczu Duncana był
niemożliwy
do odczytania w niemal całkowitym mroku. Ponownie rozległ się odgłos kroków.
Niun
odwrócił się natychmiast i ujrzał w drzwiach biały blask latarki. Zobaczył
Melein, cień
trzymający w palcach ów maleńki przedmiot. Ramiona miała ciasno owinęte wokół
czegoś.
Zbliżył się tak bardzo, jak tylko się odważył, i dostrzegł, że to, co niosła,
było jakimś
rodzajem osłony o jajowatym kształcie, wykonanej z lśniącego metalu. Z jed-
nego
końca
wystawał uchwyt, ale Melein niosła przedmiot tak, jakby trzymała niemowlę,
coś
drogocennego, choć chwiała się pod jego ciężarem i dźwigając go, nie mogła
przejść ponad
kamieniami.
- Weź to - powiedziała słabym, pełnym napięcia głosem. Niun uwolnił się od
paraliżu
woli i wyciągnął ramiona, by chwycić przedmiot. Przeraziła go waga tego, co
Melein zdołała
udźwignąć. Był zimny i dziwnie wyważony. Niun zadrżał, gdy poczuł jego dotyk.
Po raz kolejny ogarnął go chłód, gdy ujrzał jej twarz. Wilgoć lśniła tam w
czerwonawym świetle, które rozprzestrzeniało się za jej plecami. W kaplicy
zaczęły poruszać
się rzucane z różnych stron cienie. Melein odwróciła się raz, by spojrzeć w
tamtą stronę, po
czym skierowała spojrzenie ku niemu, jak gdyby z jakiejś ogromnej dali.
Melein - pragnął się do niej odezwać, lecz okazało się to niemożliwe. Nadal
była
Melein i jego siostrą, lecz teraz było w niej też coś innego. Nie wiedział, w
jaki sposób
przemówić do tego czegoś, by przywołać ją z powrotem. Wyciągnął rękę,
zaniepokojony
pełzającym za nią ogniem. Ujęła ją i przeszła nad kamieniami w wejściu, po
czym
poszła za
nim. Skórę miała zimną. Jej dłoń wyslizgnęła się bez życia z jego dłoni, gdy
już
przestała go
potrzebować.
Oczekujący Duncan cofnął się lekko przed nimi. Nie przestawał się wpatrywać w
łunę, która rozjarzyła się za ich plecami. Być może rozumiał, że coś o
wielkiej

wartości ulega
zniszczeniu. Wyglądał na oszołomionego i zbitego z tropu. Pozostało jedynie
niezwykle,
zimne jajo. Niun dźwigał je w obu ramionach, podczas gdy Melein ruszyła w
kierunku
przesmyku prowadzącego na zewnątrz. Wiedział, że z pewnością dźwiga
najważniejszą część
Pana, którego nazwy jego kasta nie mogła nawet wypowiadać bez strachu,
którego
kel'en nie
powinien nigdy oglądać, a co dopiero dotykać.
Ten, który je tu przyniósł, ofiarował się potem na śmierć, by zachować tajem-
nicę
i
zapewnić Pana spokój. To był honorowy wojownik, wychowany w dawnych zwycza-
jach
Kel
Przerwy. Postępowanie Niuna s'Intel przyprawiłoby kogoś takiego o zgorszenie.
Czerpał jednak odwagę z faktu, że trzyma ów przedmiot, gdyż dzięki niemu Me-
lein
osiągnęła swą władzę. Czuł to z całą pewnością. Do tej pory jedynie w połowie
była w jego
oczach she'pan. Tym tytułem obdarzyły ją przemoc i konieczność. Teraz jednak
wierzył, że
przekazano jej to, co najważniejsze, że Intel dała jej wszystko, co było jej
potrzebne. Mógł ją
od tej pory tytułować „she'pan”, wierząc bez zastrzeżeń, że zna ona Tajem-
nice.
Stała twarzą
w twarz z Pana i zrozumiała to, czego kel'en nie mógł pojąć. Nie zazdrościł
jej
tego. Wciąż
prześladowało go wspomnienie jej łkania.
Ona jednak posiadała wiedzę i prowadziła, a on od tej chwili bez zastrzeżeń
ufał
jej
przewodnictwu.
Uciekli - oni, człowiek i dusei - z szybu, w którym zaczął kłębić się dym,
zdradzając
przed niebem ich położenie, a płomienie oświetlały ściany czerwienią i ści-
gały
ich żarem.
Wkroczyli w chłodną ciemność, na prowadzące ku górze zakręty ścieżki, która
tu
przyszli.
Rozdział 22
W ciągu pierwszego dnia nowych operacji Nom pełen był ludzkich techników.
Stavros delektował się odgłosem ich pośpiesznych ruchów po tak długim okresie
spędzonym
wśród powolnych reguły. Nadciągały raporty. Krzątający się ludzcy eksperci
łączyli swą
zręczność z regułą techniką, by dokonać naprawy uszkodzonych urządzeń oraz
usunąć
szczątki pozostałe po burzy i walce.
W miejscu, które uznano za wystarczająco pewne, by mogło utrzymać ciężar
statku,
po przeciwnej stronie miasta niż zniszczony port, sonda Kwiat posadziła na
ziemi

swe
sprowadzone z przestworzy, przysadkowate ciało. Była niewielkich rozmiarów,
jak
na statek
zdolny do międzygwiazdnych lotów, i nie potrzebowała dużego, bezpiecznego
ładowiska. Jej
konstrukcja umożliwiała całkowicie niezależne funkcjonowanie.
Okazało się trafną decyzją, że na tę misję zabrano kilka takich sond z myślą
o
podobnych, trudnych lądowaniach, mimo że nie były one zdolne do obrony przed
atakami.
Szabla wciąż znajdowała się na stacji. Zbudowano ją w przestrzeni kosmicznej
i
tylko tam
mogła przebywać. Miała kilometr długości i nie była w stanie nigdzie
wylądować.
Kwiat, wbrew swej nazwie, był niezdarną skorupą pozbawioną delikatnych części
czy
wystających brzechw. Niepotrzebne mu były do lądowania doki i suwnice bra-
mowe.
Był to
brzydki statek, przeznaczony do prostych, roboczych zadań.
Przylecieli na nim technicy i uczeni, którzy rozpoczęli już przegląd oca-
lonych
kesrithańskich akt, pobieranie próbek powietrza i wody, a także wykonywanie
tysięcy innych
zadań, które spowodują, że ten świat stanie się zdatny do zamieszkania przez
ludzkich
kolonistów.
- Jeśli łaska - powiedział bai Hulagh, widząc rozpoczynające się operacje - w
światle
świeżo osiągniętej wzajemnej życzliwości bolejęmy nad tym, że podczas katas-
trofy
w porcie
doszło niestety do zniszczenia naszego sprzętu. Gdyby nie to, moglibyśmy
udzielić wam
znacznej pomocy.
Regulskie młode na ogół nie przystosowywały się tak łatwo. Denerwowała je
bliskość
ludzi i wolały pracować we własnych grupach. Nie czyniły tajemnicy z tego, że
chętnie
opuściłyby już Kesrith i schroniły się bezpiecznie wśród swoich, w regulskiej
przestrzeni.
Hulagh jednak wezwał kilka z nich do swego gabinetu w Nomie i po wyjściu
stamtąd
młode uśmiechały się do ludzi oraz okazywały im wielką uprzejmość, czując
potężny strach
przed baitem.
Dopóki nie nadciągnęły burze i nie wróciły dusei.
Raporty dotarły najpierw ze stacji uzdatniania wody. Grupa Galeya poinformo-
wowała
Kwiat, że z wyżyn nadciągają wielkie grupy zwierząt. Statek potwierdził ten
meldunek i
przekazał wiadomość biologom, a przez to również i Stavrosowi.
Ten wprowadził swój ślizg w szyny, które prowadziły na przeciwległą stronę
Nomu,
po czym pomknął, zmieniając kilka razy tor, na pomost obserwacyjny. Tam
wyprowadził

ślizg z torów, przeszedł na sterowanie ręczne i wyjechał przez drzwi w wiatr
o
gryzącej woni.
Zbliżała się czerwona ławica chmur, a tam, wokół całego widocznego horyzontu,
siedziały dusei.
Przeszył go dreszcz, który nie miał nic wspólnego z wiatrem czy ostrym aro-
matem
kesrithańskich deszczów. Siedział na ślizgu. Wicher smagał jego rzadkie
włosy.
Widział
Kwiat przycupnięty na wzgórzu, odległą stację uzdatniania wody, a także we-
hikuły
szukające
pośpiesznie schronienia przed nadciągającą burzą i samoloty gnające ku
prowizorycznym
lotniskom, zanim zdąży ona w nie uderzyć. Będzie cudem, jeśli załogom uda się
zabezpieczyć
je na czas. Zacisnął pięści z wściekłości. Przewidywał, że dojdzie do usz-
kodzeń.
Kesrithańskie wiatry uniosą maszyny w górę i będą nimi ciskać po lądowisku
jak
zabawkami,
a był to ludzki sprzęt, drogi i niemożliwy do zastąpienia.
Przełączył się na długość fali Kwiatu i usłyszał płynące ze statku gorączkowe
instrukcje. Załoga ostrzegała samoloty przed lądowaniem, szukała możliwości
wyznaczenia
dla nich omijających burzę tras ku tymczasowym lądowiskom w innym miejscu.
Stavros
przyglądał się, jak błyskawice oświetlały chmury, które mnożyły się i
rozrastały, gnając
naprzód z przerażającą szybkością, oświetlone czerwonym blaskiem Arain.
Dusei zaś siedziały w nie kończących się szeregach i obserwowały to, pełniąc
swą
straż. Zaczął padać deszcz.
Stavros zadrżał, gdy pierwsze krople zmoczyły dziób ślizgu. Nie było to
miejsce,
w
którym bezpiecznie było siedzieć w metalowym zamknięciu, podczas gdy nad
głową
uderzały
błyskawice. Cofnął się, otworzył drzwi, wjechał do Nomu i zamknął wejście za
sobą, wciąż
słyszac dobiegający z Kwiatu jazgot. Na jego receptorze widoczne były
przekazy
radaru
meteorologicznego, ukazujące półkole burzy zaciskające się wokół brzegu morza
oraz
samego miasta.
Kwiat - zaczął nadawać, przerywając prowadzone przez statek rozmowy. - Kwiat:
Stavros.
Potwierdzili odbiór - słaby, metaliczny dźwięk, który przerywały zakłócenia.
Kwiat, dusei, dusei...
- Zauważyliśmy je, sir. Niestety jesteście zajęci...
Przerwał im ponownie: Kwiat, odpędźcie dusei. Rozproście je i odpędźcie.
Potwierdzili odbiór rozkazu. Stavros siedział w ślizgu, czując się, jakby
stracił rozum,
jakby opuścił go wszelki rozsądek. Niewątpliwie na Kwiecie sądzili, że tak
właśnie było.

Niemniej złowieszcze napięcie unoszące się w powietrzu nie ustępowało. Poczul dreszcze.

Nie mógł znieść wrażenia obecności dusei, które przyglądały się, siedząc na krawędzi burzy.

Odpowiedzialne za nią?

Nie chciał w to uwierzyć, lecz mimo to, ogarnięty paniką, odciągnął Kwiat od jego

zajęć, by statek załatwił się z nimi. Słyszał, jak członkowie jego załogi dyskutują nad tym

zadaniem. Byli zbyt mądrzy, by debatować nad jego sensownością, gdy Stavros mógł

ich

słyszeć. Siedział, czując że pokrywa go gęsia skórka. Niemal zaczął dzwonić zębami.

Jestem rozdygotanym, chorowitym starcem - pomyślał - który zbyt długo przebywał

wśród obcych.

Mógł odwołać własny rozkaz, ponownie włączyć się na ich falę i kazać im zająć się

ważniejszymi sprawami. Nie potrafił jednak uwolnić się od strachu przed dusei.

Wszystkie ekrany pokryły zakłócenia, które nie ustępowały. Nie leżało już w jego

mocy połączenie się z kimkolwiek. W jego receptorach rozbrzmiała przenikliwa, dręcząca

uszy nuta, która szybko wyszła poza zasięg słyszalności. Stavros wyłączył moc szybkim,

rozpaczliwym gestem. Ogarnął go nagle strach, że ślizg mógł ulec uszkodzeniu, a

on sam

znaleźć się w pułapce, niezdolny się poruszyć ani wezwać pomocy.

Obserwował, poprzez zasłonę deszczu omywającą szkło, jak szereg dusei zaczął się

załamywać. Zwierzęta rozpierzchły się. Mimo to Stavros nie przestawał drzeć, przerażony,

gdyż ujrzał, że wiele z nich pognało nie w kierunku wzgórz, lecz ku miastu, by

wkroczyć na

jego ulice, gdzie dusei nie zwykły przychodzić.

I zaatakować.

Zakłócenia nie znikwały.

W megafonie zabrzmiał regulski głos, zniekształcony przez nie do tego stopnia,

że nie

można było zrozumieć słów. Urządzenia głośnikowe włączały się i wyłączały sporadycznie.

Grad uderzał głośno w okna, wstrząsając nimi groźnie. Stavros pośpiesznie spróbował

opuścić osłony przeciwburzowe na pomoście obserwacyjnym, te jednak nie zadziałały. Wpadł

na pomysł, by przełączyć ślizg na akumulatory. W ten sposób udało mu się skłonić

go do

działania, lecz ekrany nadal były martwe. Gdzieś rozległ się trzask, ciężkie uderzenie

spadającego na podłogę szkła plastycznego. Przez korytarze Nomu przemknęły wiatr

i zapach

deszczu.

Stavros cofnął ślizg, spróbował wprowadzić go w tory, lecz pomylił ciąg kodowy.

Zaczął od nowa.

Udało się. Oddalił się stamtąd pośpiesznie. Gdy minął róg, ujrzał że korytarz pełen

jest szczątków. Pozbawione osłon okna leżały na dywanie u jego końca, zasłony zaś

trzępotały na wietrze, powyrywane z ram. Regulskie młode kuliły się ze strachu w

jego

wnętrzu. Pozbawiony ekranu, nie mógł się z nimi porozumieć. Otoczyły go ci- asno,

zadając

mu pytania. Poszukiwały jakiegoś starszego, choćby i człowieka, który udzieliłby

im rady.

Przepchnął pomiędzy nimi ślizg i skierował się ku prowadzącej w dół rampie, która

poprowadziła go na bezpieczniejszą stronę budynku, gdzie znajdowały się gabinety.

Urządzenia głośnikowe nie przestawały trzeszczeć. Stwierdził, że gabinet Hulagha

jest

otwarty, wprowadził z trudnością pojazd do środka i znalazł tam swego baia, który

gorączkowo usiłował zamknąć osłony przeciwburzowe.

Na zewnątrz znajdował się dus. Stał na dwóch łapach, oparty o cienkie szkło plastyczne, które uginało się i drżało pod naciskiem drapiących je pazurów.

Hulagh cofnął swój ślizg, rozpaczliwie manipulując urządzeniami kontrolnymi.

Stavros siedział nieruchomo, z przerażeniem przypatrując się atakowi. W Nomie nie było ani

jednych drzwi, które by działały. Jeśli zwierzęta wedrą się do środka, nie będą

moгли uczynić

właściwie nic. Okna drżały.

- Pistolet! - krzyknął do Hulagha, mając nadzieję, że ten zrozumie. - Pistolet!

Wycofał się. Hulagh albo go zrozumiał, albo wpadł na ten sam pomysł. Ruszyli naprzód, tak szybko, jak pozwalały im na to ślizgi. Hulagh okrążył biurko,

znalazł pistolet i

ujął go w drżące dłonie.

Dus jednak umknął. Brązowa, powłócząca łapami postać zniknęła szybko w strugach

deszczu po drugiej stronie placu. Były tam też inne, niewyraźne, brązowe kształty. Zebrały się

w grupę i ruszyły naprzód, przepychając się powoli i nerwowo, jak gdyby zapomniały, o co

im chodziło. Wreszcie zniknęły w oddali na ulicach miasta.

Z czasem deszcz osłabł, pozostawiając jedynie zraszane kroplami kałuże.

Osłony

przeciwburzowe zadziałały wszystkie jednocześnie, burza się już jednak skończyła.

Urządzenia głośnikowe także odzyskały sprawność. Popłynął z nich nieustanny jazgot

instrukcji. Obraz na ekranach Stavrosa odzyskał klarowność.

- Stavros, Stavros, czy pan mnie słyszy?

Wyraźnie - odpowiedział. - Bardzo wyraźnie.

Przerwał natychmiast połączenie, gdyż przed oczyma zrobiło mu się czarno.
Przez chwilę zadawała się tym, że siedział nieruchomo i oddychał, czekając, aż uspokoi się przyspieszone bicie serca oraz szum w uszach.
Na piętrze uległo rozbiciu okno. Chyba są ranni - powiadomił Stavros Hulagha.
- Młode się tym zajmą.
Żaden z nich nie wspomniał o dusie. Kwiat wciąż usiłował go powiadomić o przebiegu swych operacji. Stavros słyszał, jak statek rozmawia z samolotami, które wylądowały, by uratować się przed burzą, kierując swych zaginionych poszukiwaczy z powrotem do domu, do miasta.
Jeden z samolotów odpowiedział. Dał się słyszeć ochrypły, przemawiający z silnym akcentem głos Hady Surag-gi.
- Jeśli łaska, jeśli łaska, chcę powrócić do misji, biau Kwiatu, chcę powrócić do poszukiwań.
Ludzki głos, również dobiegający z samolotu, zaklął i zażądał wytłumaczenia źródła tych zakłóceń.
Stavros otarł twarz, wyłączył cały ten jazgot i spojrział na baia.
- Nigdy za mojej tu władzy - zapewnił ten. - Nigdy, wielebny. - Hulagha nacisnął odpowiedni guzik i wezwał młode pełniące funkcję przybocznego. Rozkazał przynieść soi oraz zapiski, przeklinając tępotę młodych. Oddychał alarmująco szybko. Upłynęło kilka chwil, zanim zdołał odzyskać panowanie nad sobą. - Te zwierzęta poszalały - powiedział.
Ich świat - odparł Stavros. - Ich, przed mri.
Zjawiała się soi, którą przyniosło młode tak podniecone, że kubki tańczyły po tacy.
Stavros wypił swój napój nie posłodzony. Z radością przywitał jego ciepło w swym przemarzniętym brzuchu.
Wreszcie zdobył się na odwagę, by dotknąć urządzeń kontrolnych i ponownie odsunąć osłony przeciwburzowe. W chwili, gdy to robił, przypomniał sobie o zwierzęciu, plac był jednak pusty. Z pewnością żadni regule ani ludzie nie wyjdą na zewnątrz, dopóki nie będzie wiadomo, dokąd odeszły dusei.
Miał wrażenie, że zawsze odtąd jego koszmary będzie nawiedzało widziadło, które zaatakowało okno! Jeśli regule miewali złe sny, z pewnością to samo dotyczyło baia.
- Jestem bardzo stary - odezwał się Hulagha gderliwym tonem. - Za stary na podobne przeżycia, biau Stavrosie. Regule, którzy objęli w posiadanie ten świat, byli szaleni. - Popił łyk soi. - Mri panowali nad tymi bestiami. Teraz nikt tego nie robi.

Można wybudować bariery - odparł Stavros. - Potrafimy tego dokonać.
Hulagh milczał dłuższy czas. Wypił większą część zawartości kubka soi. Jego nozdrza poruszały się szybko. Wreszcie wydał z siebie westchnienie i zwrócił ślizg w stronę okna.
- Holn - powiedział.
Wielebny?
- Holn ukryła dane. Nie pytałem ich, a oni nic mi nie powiedzieli. Teraz to wiem. -
Jego nozdrza poruszały się, wciągając do płuc potężne oddechy. - Baiu Stavrosie,
obaj nie
pomyśleliśmy o zadaniu właściwych pytań. Otóż, otóż baiu Stavrosie, przekazano
nam obu
jedynie fragmenty tego, co powinniśmy wiedzieć o Kesrith. Obaj mamy trudności.
Mamy też
wspólnego wroga, baiu Stavrosie.
Holn.
- Holn - potwierdził Hulagh. - Okazali się sprytni, ludzka wielebność, a ja nie
będę w
stanie stawić czoła gniewowi mojej doch, jeśli powrócę zrujnowany. Statek, sprzęt, wszystko,
wielebny Stavrosie. Straciłem wszystko. Holn jednak oszukała również pana. Baiu Hulaghu, miał pan pewien cel w przekazaniu mi tej informacji.
- Fortuna doch Alagn - odparł Hulagh - znajduje się tutaj, wraz ze mną i tymi ocalonymi młodymi. Nie zamierzam wrócić, okryty hańbą, na ludzkim statku. Zawrzemy umowę.
Sojusz, wielebny?
- Sojusz, baiu Stavrosie. Handel. Wymiana. Pomysły... Zemsta.
Stavros spojrział w ciemne, lśniąco oczy swego rozmówcy.
Za Kesrith rozciągają się terytoria, które trzeba zbadać.
- Najpierw należy utrzymać Kesrith - zauważył Hulagh.
Tak, jak utrzymywali ją Holn i mri. Korzystając z jej zasobów. Nawet z dusei. Nawet z nich - odpowiedział Stavros.
Zaczął wyglądać przez okno na pokryte kłębiącymi się chmurami niebo. Ujrzał ruiny portu oraz deszcz i zastanowił się nad tym, jakimi zasobami mogą dysponować. Po raz pierwszy w jego nadziejach pojawiła się nuta wątplenia.
Gdy zaciskał powieki, wciąż widział bestię u okna, bezrozumną i nieposkromioną niczym żywioly. Nienawidził tych zwierząt. Być może to uczucie wzmacniał jeszcze fakt, że były one pozbawione rozumu i, niczym burza, reprezentowały pierwotne moce. Dusei były siłą wroga wszystkiemu, co regulskie i kiluwariskie. Stanowiły jednak część Kesrith, której nie można było ingerować ani zniszczyć.
Świat ten był kombinacją przypadkowo dobranych składników, które - jak przewidywał - od tej chwili nie znajdowały się już pod kontrolą George'a Stavrosa. Utracili panowanie nad sytuacją. Dzielił Kesrith ze zwierzętami i regulami.

Zacisnął dłonie na urządzeniach kontrolnych i ponownie włączył się na fale Kwiatu.
Usłyszał głosy dobiegające z samolotów poszukiwawczych, które po raz kolejny wyruszyły na swą powtarzającą się trasę, usiłując odnaleźć jedną zaginioną osobę na całym tym pustkowiu, gdzie krążyły oszalałe dusei, a burze wstrząsały gwałtownie ziemią.
Omal nie nakazał im przerwania poszukiwań.
Wydał już jednak Kwiatowi wystarczająco wiele irracjonalnych rozkazów. Nie poruszył się. Ujrzał, jak jeden z samolotów zatoczył krąg ponad ruinami edunu i poleciał dalej na zachód - punkcik, który szybko zniknął w delikatnej mgiełce.

Rozdział 23

Melein wreszcie zasnęła. Niun przetarł zmęczone oczy, położył sobie ciężkie metalowe jajo na kolanach i oparł głowę o ciepły, poruszający się w rytm oddechów bok dusa. Duncan leżał rozciągnięty na piasku, spoczywając na brzuchu. Jego prowizoryczne, postrzępione szaty nie mogły zapewnić mu wiele osłony przed zadrapaniami wywołanymi tarciem piasku. Jego skóra, naga powyżej cholewek butów, była pocięta i poparzona przez słońce. Z oczu, których nie chroniła zasłona, a ich bólu nie łagodziła migotka, ciekły łzy, przecinające smugami nigdy nie znikającą warstewkę pyłu. Wyglądał jak dus, którego ogarnęło miuk.

Duncan był w tej chwili wyczerpany i nie mógł sprawić im żadnych kłopotów. Niun zauważył, że na skale przysiadł jo. Jego dostosowany do luinów kamuflaż był odrobinę zbyt ciemny na czerwonym piaskowcu, do którego przyczepiał się przez najgorętszą część dnia w poszukiwaniu cienia. Jego nazwa znaczyła „imitator”. Było to całkowicie nieszkodliwe stworzenie. Czatowało na węże, które stanowiły jego naturalny pokarm. Jo nie był złym towarzyszem dla obozujących.

Niun zaczął drzemać nad swym skarbem, który otoczył ciasno ramionami. Oparł głowę o dusa. Wreszcie, skoro Melein już się położyła, uspokoił się na tyle, by móc na chwilę przysnąć. Zanim zatrzymali się w tym schronieniu, dziewczyna omal nie zemdląła.

Dźwigała zbyt wielki ciężar i cierpiała ból większy niż chciała przyznać. Oddaliła się od nich, szukając odosobnionego miejsca pomiędzy skałami. Zabrała ze sobą tkaninę podartą na długie paski.

- Myślę, że to pomoże mojemu bokowi - stwierdziła. Ponieważ nie mieli kath'en czy

kel'en, która by ją obsłużyła, Melein zrobiła to sama. Niun obawiał się bardzo, że jej żebra są złamane, a przynajmniej pęknięte. Martwił się o nią. Odczuwał głęboki, zimny strach, który nie chciał go opuścić. Melein jednak wróciła, przyciskając dłoń do boku, uśmiechnęła się z wysiłkiem i oznajmiła, że czuje się trochę lepiej i że sądzi, iż zdoła zasnąć. Napięcie w trzewiach Niuna złagodniało, gdy dostrzegł, że rzeczywiście zasnęła i jej ból jest mniejszy. Strach jednak nie chciał odejść. Tolerował obecność Duncana. Wszystko, co mógłby on ewentualnie mu zrobić, wzbudzało w nim lęk znacznie mniejszy od obaw, jakie czuł z powodu Melein. Bał się, że ją straci i zakończy życie sam. Ostatni mri. Śnił mu się edun, jego rozpadające się, ogarnięte pożogą wieże. Obudził się, przyciskając do siebie gładki kształt pan'en, ogarnięty przerażeniem, że on również opada w Mrok. Siedział jednak na piasku ze spoczywającym nieruchomo dusem za plecami. Jo, pikując zgrabnie, schwytał jaszczurkę i zaniósł ją na swą skalną grzędę. Uczepił się jej i zaczął połykać zdobycz kawałek po kawałku, wykonując drobne, skrzętne ruchy. Niun postawił pan'en obok siebie tak, by nieustannie czuć jego dotyk, po czym oparł głowę o dusa. Ponownie pogrążył się w drzemce. Obudził się, gdy ciepło zaczęło mu doskwierać. Spojrzał na posuwającą się naprzód linię światła słonecznego, która wpełzła na Duncana, i ujrzał, że sięga mu ona już do pasa. Blask padał na nagą skórę jego kolana oraz dłoni. Człowiek nie poruszył się. - Duncanie - odezwał się Niun. Nie spotkał się z żadną reakcją. Ruszył się z niechęcią z miejsca, pochylił do przodu i potrząsnął człowiekiem. - Duncanie. Brązowe oczy spojrzały na niego, zdeorientowane i oszołomione od gorąca. - Słońce, głupi tsi'mri, słońce. Przenieś się w cień. Duncan przeszedł, powłócząc nogami, w inne miejsce i ponownie osunął się na ziemię. Zerwał zasłonę i położył nagą twarz na chłodniejszym piasku. Jego powieki zamrugały. W oczach, gdy Niun wrócił już na miejsce, pojawił się wyraz rozsądku. - Czy jesteśmy gotowi do wyruszenia w drogę? - zapytał słabym głosem. - Nie. Śpij. Duncan uniósł głowę i spojrzał w drugą stronę, na Melein, po czym położył się ponownie, z twarzą zwróconą ku Niunowi. - Zapewne - powiedział słabym szeptem - gdzieś na Kesrith są już moi współbracia. Ona potrzebuje pomocy medycznej. Wiesz o tym. Gdybyśmy byli pewni, że ci na gorze to

ludzie, moglibyśmy nawiązać kontakt z samolotem. Posłuchaj: wojna się skończyła.

Nie

sadzę, byś znał nas wystarczająco dobrze, by w to uwierzyć, ale my na tym poprzestaniemy.

Nie pragniemy żadnej zemsty ani dalszej wojny. Chodź ze mną. Skontaktuj się z moimi

współbraćmi. Ona otrzyma pomoc. I nie będzie żadnego odwetu. Żadnego.

Niun słuchał cierpliwie tych słów. Był przekonany, że Duncan wierzy w to, co mówi.

- Być może to nawet jest prawda - powiedział. - Ale ona nigdy się na to nie zgodzi.

- W takim razie umrze. A gdyby udzielono jej pomocy...

- Jesteśmy mri. Nie przyjmujemy żadnych lekarstw poza naszymi własnymi. Zrobiła

wszystko, co można uczynić zgodnie z naszymi zwyczajami. Czy obcy mieliby jej dotykać?

Nie. Żyjemy albo umieramy, zdrowiejemy albo nie zdrowiejemy. - Niun wzruszył ramionami.

- Być może nasz sposób postępowania nie jest zbyt mądry. Czasami odnosiłem takie

wrażenie. Jesteśmy jednak ostatni i będziemy się trzymać zwyczajów, których przestrzegali

nasi przodkowie przed nami. Teraz nic innego nie ma już sensu.

Zamyślił się nad tym, jak zgodnie z planem ułożonym przez Melein odnieśli to ostatnie małe zwycięstwo nad tsi'mri - zabrali dla siebie świętość i historię swego rodzaju.

Jego palce przebiegały po gładkiej powłoce pan'en, - które trzymał przy sobie.

- Złamałem dwie tradycje - przyznał wreszcie. - Wziąłem cię do niewoli i dźwigałem

ciężary. Ale w sprawie honoru she'pan nie pójdę na kompromis. Nie. Nie wierzę w

waszych

doktorów. Nie wierzę w wasz lud i w wasze zwyczaje. One nie są dla nas.

Duncan przyglądał mu się długo z poważną miną.

- Nawet żeby ocalić życie?

- Nawet po to.

- Jeśli wrócę do moich pobratymców - powiedział na koniec Duncan - dopilnuję, by

się dowiedzieli, co uczynili regule tej nocy w porcie. Nie wiem, czy to cokolwiek da. Zdaję

sobie sprawę, że nic się od tego nie zmieni na lepsze. Powinno się jednak powiedzieć prawdę.

Niun pochylił głowę na znak szacunku dla tego gestu.

- Regule - stwierdził - zabijają cię, by nie dopuścić do tego, byś o tym wszystkim

opowiedział. Jeśli zaś masz nadzieję, że z tego powodu pozwolę ci opuścić nasze

towarzystwo i udać się do nich, to muszę ci powiedzieć, że tego nie zrobię.

- Nie wierzę, byś wiedział, co oni robią - czy to twoi pobratymcy czy regule.

Duncan pogrążył się od tej chwili w milczeniu, wpatrzony w pustkę. Wyglądał na

bardzo wycieńczonego i zmęczonego. Potarł linię skrzepłej krwi przebiegającą po

nie

ogolonej twarzy, po czym uspokoił się ponownie. Wydawało się jednak, że nie może zasnąć.

- Nie myśl o ucieczce - poradził mu Niun, któremu nie podobał się ten nastrój człowieka. - Nie próbuj tego. Obchodziłem się z tobą zbyt łagodnie. Niech ci się nie zdaje, że tak musi być.

Jego oczy - brązowe oczy tsi'mri o niepokojącym wyrazie - spojrzały w górę na niego.

Duncan podźwignął się do pozycji siedzącej. Poruszał się tak, jakby bolał go każdy mięsień.

Podrapał się w głowę z grymasem cierpienia na twarzy.

- Wolałbym ocalić życie - powiedział. - Podobnie jak ty.

Te słowa zabolowały Niuna. Były zbyt bliskie prawdy.

- Nie tylko to się liczy - powiedział.

- Wiem o tym - odrzekł Duncan. - Zawrzyjmy rozejm. Rozejm: pokój pomiędzy nami

przynajmniej do chwili, gdy doprowadzisz ją w jakieś bezpieczne miejsce.

Dopóki

nie

wyzdrowieje. Wiem, że jesteś gotów dla niej zabić, ale wiem też, że w innej sytuacji możesz

tego nie zrobić. Zdaję sobie sprawę, że bez względu na to, kim ona jest, jest dla ciebie kimś

bardzo szczególnym.

- She'pan - odparł Niun - jest Matką Domu. Ona jest ostatnią z nich. Kel'en stanowi

jedynie instrument wykonujący jej decyzje. Nie mogę składać żadnych obietnic oprócz tych,

które dotyczą moich postanowień.

- Czy nie może być następnego pokolenia? - zapytał nagle Duncan w swej niewinności. Niun poczuł się zawstydzony, nie oburzył się jednak. - Czy nie moglibyście...

gdyby sprawy wyglądały inaczej... - ciągnął człowiek.

- Jesteśmy ze sobą spokrewnieni, a poza tym jej kasta nie zawiera związków - odpowiedział cicho. Człowiek skłonił go do wyjaśnienia tego, czego mri nigdy nie

wyjawiali

obcym, była to jednak tylko wiedza Kel i zdradzanie tego nie było zabronione.

Ponowne

potwierdzenie rzeczy, które zawsze były stałe i niezmiennie, dodało mu odwagi.

-

Kath'en

albo kel'en mogłyby urodzić mi dzieci dla niej, ale my nie mamy już żadnej.

Dla

nas nie ma

innej drogi. Albo przetrwamy tacy, jacy byliśmy zawsze, albo nie uda się nam przetrwać.

Jesteśmy mri, a to coś więcej niż nazwa gatunku, Duncanie. To bardzo, bardzo stary sposób

życia. To nasz sposób. My się nie zmienimy.

- Nie chcę stać się przyczyną - odpowiedział Duncan - dokończenia dzieła reguli.

Zostanę z wami. Dokonałem już jednej próby. Być może zrobię to jeszcze, może kiedyś, ale

tak, by nie wyrządzić nikomu krzywdy, ani jej, ani tobie. Mam czas. Mam mnóstwo

czasu.

- Ale my nie mamy - odparł Niun. Z nagłym skurczem strachu pomyślał, że Duncan, mądrzejszy od niego pod pewnymi względami - jako że ludzcy kel'ein byli w stanie przekraczać granice kast - podejrzewał, że Melein nie wyżyje. Korespondowało to z lękiem w jego własnym sercu. Spojrzał na nią, by się przekonać, jak się czuje. Wciąż spała. Jej regularny oddech uspokoił go nieco.

- Jeśli będzie miała czas i spokój - powiedział Duncan - to może wyzdrowieje.

- Zgadzam się na twój rozejm - oznajmił Niun. Straszliwie znużony, odwiązał swą zasłonę i zamocował sobie koniec mezu na ramieniu, odsłaniając twarz przed człowiekiem.

Było to trudne i zawstydzające. Nigdy nie pokazał jej żadnemu tsi'mri, tego jednak wziął sobie na sojusznika, choćby i tymczasowego, i zgodnie z wszelką sprawiedliwością zasługiwał on na to, by ujrzeć jego prawdziwe oblicze. Człowiek przypatrywał mu się długo, aż wreszcie poczucie zawstydzienia stało się ostre i Niun uchylił się przed jego spojrzeniem.

- Mez jest koniecznością w gorącym, suchym klimacie - powiedział - ale ja nie wstydzę się patrzeć ci w twarz. Pomiędzy nami mez nie jest konieczna. Przycisnął swe ciało do pan'en oraz do masywnej miękkości dusa i spróbował odpocząć, korzystając z tej chwili spokoju, gdyż z nadejściem wieczoru, który przyniesie chłód i osłoni ich przed oczyma ścigających, mieli ruszyć w drogę. Regule z pewnością byli przekonani, że o tej porze nawet mri nie odważyłby się wspinać po urwiskach. Dobięgl do nich odległy dźwięk samolotu, przypominający o obecności obcych w okolicach Sil'athen. Niun usłyszał go i zerwał się na nogi, by wsłuchać się w niego dokładniej i przekonać się jak blisko lub jak daleko znajduje się maszyna. Melein nie spała. Również Duncan poruszył się, spoglądając natychmiast w kierunku, z którego dochodził dźwięk.

Był wieczór. Kolumny, oświetlone płonącym blaskiem zmierzchu, przybrały barwę czerwieni. Pomiędzy nimi widoczna była Arain - złowieszczy, szkarłatny dysk, falujący pod wpływem bijącego z piasków gorąca.

Melein spróbowała się podnieść. Niun szybko wyciągnął do niej rękę, by służyć jej pomocą. Nie była już zbyt dumna a by z niej nie skorzystać. Spojrzał na jej wychudłą twarz i pomyślał o własnym brzemieniu, którego nie mógł porzucić. Przygniotło go poczucie bezradności. Nie był w stanie jej pomóc.

- Musimy ruszać w drogę - powiedziała. - Musimy zejść z powrotem do Sil'athen.

Nie znam stąd żadnego innego wyjścia, ale te samoloty... - Jej twarz skurczyła się w wyrazie gniewu i frustracji. - Obserwują Sil'athen. Sądzą, że tam właśnie się kryjemy...

i jeśli wyśła
pieszych poszukiwaczy...
- Mam nadzieję, że tak zrobią - odparł Niun. - To przyniosłoby mi satys-
fakcję.
Przypomniał sobie Duncana i ucieszył się, że mówi w hal'ari, w którym Melein
przemówiła do niego. Było jednak całkiem prawdopodobne, że mieli do czynienia
z
regulami,
którzy nie będą ich ścigać na piechotę.
- Zejście w dół... - zaczęła -... myślę, że najlepiej będzie wyruszyć w
ostatnim
świetle
wieczoru, byśmy widzieli drogę przed sobą. Księżycy pokażą się dopiero w
jakiś
czas
później. Da nam to pewien okres ciemności, podczas którego będziemy mogli
pokonać
otwartą przestrzeń na początku drogi.
- To najlepsze, co możemy zrobić - zgodził się. - Zanim ruszymy, pożywimy się
i
napijemy. Możemy nie mieć następnej możliwości postojów.
Myśl o tym, ile podobna droga będzie kosztowała Melein, ciążyła mu okrutnym
brzemieniem.
- Duncanie - odezwał się cicho, gdy zjedli wspólnie posiłek, obaj z
odsłoniętymi
twarzami. - Nie będę w stanie zrobić nic więcej niż dźwigać to, co muszę
dźwigać. Podczas
zejścia...
- Pomogę jej - zgodził się Duncan.
- W dół jest łatwiej - wtrąciła się Melein i popatrzyła krzywo na Duncana,
jak
gdyby
ich wzajemne porozumienie nie podobało się jej w najmniejszym stopniu.
Zjedli już resztki żywności, którą zabrali ze sobą. Od tej chwili będą
musieli
polować.
Będzie też trzeba szybko znaleźć wodę, a w tej okolicy luiny nie występowały
zbyt często.
Niun wybiegł myślą przed siebie, ku tym rzeczom. Czekwały ich nieustające
trudności,
przyjemniejsze jednak od tych, którym będą musieli stawić czoło natychmiast.
Ruszyli w kierunku szlaku, którym przyszli. Gdy wreszcie stanęli nad tą
głęboką
przepaścią, mroczną i nierealną w przygasającym świetle i przechodzącą w dole
w
czarny
cień, Niun mocno przycisnął do siebie pan'en. Obawiał się tego zejścia nawet
dla
siebie. Gdy
pomyślał o Melein, ogarnął go chłód.
Jeśli spadnie - chciał ostrzec Duncana, lecz pohańbienie niewielkiego zau-
fania,
jakie
nawiązało się pomiędzy nimi, nic by nie dało, a zresztą sądził, że człowiek z
pewnością zna
jego zamiary. Duncan odwzajemnił spojrzenie Niuna, w zrozumiałym sposób
akceptując
odpowiedzialność, jaką mu powierzono.

- Idź pierwszy - rozkazał mu Niun. Człowiek założył sobie na twarz powiewającą za nim mez i przywiązał ją pewnie, tak samo jak uczynił to Niun ze swoją. Następnie postawił ostrożnie stopy na prowadzącym w dół szlaku i wyciągnął rękę w górę, ku Melein.

- Niunie - powiedziała ta, spoglądając na niego z wyraźnym niepokojem. Po raz pierwszy okazała strach, gdyż miała powierzyć swe bezpieczeństwo człowiekowi, podczas gdy już cierpiała wielki ból. Następnie, z ręką przyciśniętą do boku, wyciągnęła palce ku dłoni Duncana i ostrożnie, bardzo ostrożnie, postawiła stopę na prowadzącym w dół szlaku. Zaczęła schodzić. Ręka człowieka pomagała jej utrzymać równowagę. Duncan stawiał mocno stopy, gdzie tylko mógł znaleźć dla nich oparcie. Jego wyciągnięte ramię podtrzymywało ją mocno na wypadek, gdyby się pośliznęła. Schodzili w dół krótkimi etapami. Niun stał, trzymając w rękach zimny i nie przynoszący pociechy ciężar pan'en i przyglądał się, jak zniknęli razem w cieniu. Dusei czekały za nim, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Nagle jakiś dźwięk, dobiegający z tyłu, zaatakował jego słuch. Był to samolot, mknący tuż nad kolumnami. Złapał za uchwyt pan'en, co było jedynym sposobem na to, by nieść je w dół, syknął na dusei i zaczął schodzić, bojąc się, że sprawi, iż ich zauważą, bądź w swym pośpiechu ześliznie się ze zbocza i spadnie na Melein i Duncana. Samolot przeleciał wprost nad jego głową. Potężny ryk odbił się echem od wąskich ścian. Niun skulił się przy ziemi, oparty o skałę. Drżał z wysiłku, jakiego wymagało utrzymanie podobnej pozycji na tym stoku. Kamyki osuwały się spod jego wysuniętej na zewnątrz stopy. Gdy samolot zniknął z pola widzenia, podjął ryzyko opuszczenia się w dół o kilka długości ciała. Skrył się w cieniu. Wielkie cielska dusei podążały za nim. Zwierzęta podzielały jego strach. Nadawały ku niemu fale niepokoju, pod wpływem którego zbierało mu się na mdłości. Zaczął myśleć, że nie zdoła utrzymać pan'en. Miał wrażenie, że uchwyt przeciął mu ciało aż do kości. Gdy pokonał jeszcze pewien odcinek, nie mógł już czuć wiele bólu, a jedynie narastające odrętwienie palców. Przestał nad nimi panować. Oparł się mocno o skałę i przełożył ciężar do drugiej ręki, odwracając całą swą pozycję na zboczu. Z góry

spadł na niego deszcz kamyków i piasku osuwających się spod pazurów dusei. Znajdowali się teraz w takim miejscu, że nie mogli się zatrzymać. Osunął się w dół w rozpaczliwym ześlizgu, aż wreszcie skrył się w najgłębszej ciemności. W miejscu postoju doścignął Duncana i Melein. Twarz człowieka zwróciła się w górę ku niemu w tym słabiutkim świetle. Melein nadal trzymała się jego ręki, oparta na moment o głaz. Po chwili ruszyła niepewnie naprzód, wspierając się mocno na Duncanie. Niun stanął w bardziej równym miejscu, które zwolnili, oparł się mocno, by utrzymać dzwiganą przez siebie ciężar, i czekał w tej niewygodnej pozycji, aby zatrzymać dusei, dopóki Melein nie zejdzie bezpiecznie na dół. Gdy nadeszły i otarły się o niego barkami, powstrzymał je spokojnym, intensywnym wysiłkiem woli, nakazując im nie ruszać się, być cicho, zatrzymać się. Były cierpliwe, nawet w tym niezręcznym stanie połączenia z jego zmysłami. Samolot przeleciał po raz kolejny. Jego światła zamrugały na ciemnym niebie ponad nimi. Niun spojrział na niego, dygocząc z napięcia, pozostał jednak na miejscu, bezradny i coraz mocniej przeświadczony, że są zgubieni. Z pewnością ich zauważono, w najgorszej z możliwych chwil i w najgorszym z możliwych miejsc. Maszyna zatoczyła kolejny krąg. Przełożył sobie pan'en z powrotem do prawej ręki i ruszył naprzód z nadzieją, rozpaczliwą nadzieją, że Melein i Duncan mieli wystarczająco wiele czasu, gdyż - o ile pamiętał - po drodze nie było już żadnych miejsc, w których można by się zatrzymać. Nie przestawał schodzić, choć buty ślizgały się mu po szlaku, uderzając o kolejne skały z siłą, której jego zmęczone mięśnie nie były w stanie osłabić. Posuwał się ciągle w dół, aż wreszcie przestał już niemal panować nad swym ruchem. Wypadł z ostatniego zakrętu prosto w piasek. Siła uderzenia przewróciła go na jedno kolano. Dusei przybyły za nim. Ich złażeniu z urwiska towarzyszyło mnóstwo drapania pazurami oraz rozrzucania piasku. Wreszcie dotarły bezpiecznie na dół. Siedziała tam Melein - jasny kłębuszek szat pośród cienia. Duncan klęczał przy niej. Jedną dłoń trzymała przyciśniętą do warg, a drugą do boku. Jej szaty były splamione krwią. Niun opadł na kolana obok niej, trzymając w ramionach pan'en. Nie mogła opanować

kaszlu, który starała się powstrzymać swą zasłoną. Popłynęła krew. Gdy to ujrzał, migotki przesłoniły mu oczy, oślepiając go. Drżał, nic przez chwilę nie widząc. Potem odzyskał wzrok.

- To się zaczęło podczas zejścia - powiedział Duncan. - Chyba żebra nie wytrzymały.

Samolot zatoczył krąg nad szczytem rozpadliny.

Niun spojrział na niego ze ślepa wściekłością.

- Możesz odejść swobodnie - powiedział Duncanowi, po czym dźwignął się na nogi,

pozwalając, by pan'en upadło na piasek. Spojrział po raz ostatni na Melein.

Oczy

miała

zamknięte, a twarz spokojną. Jej ciało spoczywało w ramionach Duncana. Nie

miała

nawet

sen'ena, który by się nią zaopiekował.

Zawołał ostrym głosem swe dusei i zaczął szybko iść w kierunku końca małej dolinki,

ku głównej kotlinie Sil'athen.

- Niunie! - krzyknął za nim Duncan.

Nie zareagował na to.

Ujrzał samolot unoszący się w powietrzu u końca doliny. Sięgnął do sznurów na końcu długich rękawów sigi i przywiązał je do ich miejsc u pasów na odznaczenia,

na

barkach. Uwolnił w ten sposób ramiona od krępującej ruchy tkaniny.

Roztarł odciśnięte przez liny i znieczulone od dźwigania pan'en dłonie, by przywrócić

w nich życie.

Duncan zaczął biec, usiłując go doścignąć. Niun słyszał człowieka, którym wstrząsał

kaszel - natychmiastowa kara za podobną nieroztropność w rzadkim powietrzu Kesrith.

Ujrzał, że samolot wylądował na piasku. Na opuszczającej się w dół rampie stał

regul. Dus

biegnący u boku Niuna wydał z siebie jękliwy ryk groźby. Dwa pozostałe pognały w

różne

strony, by oskrzydlić przeciwnika. Była to typowa taktyka stosowana przez dusei

na

polowaniu.

Ujrzał, że regul podniósł broń i za chwilę wystrzelił. Nie znajdował się na linii

ognia,

gdy pistolet wypalił. Kiedy jednak sam oddał strzał, oczy miał czyste i dłoń pewną.

Przeciwnik osunął się na ziemię. Masywne cielsko drgało jeszcze. Regule nie umierali łatwo,

gdy postrzelono ich w tułów. W chwilę później rampa uniosła się, przewracając rannego.

Tchórz - przeklął Niun regulskiego lotnika.

Pognał między skały, szukając tam schronienia. Samolot wzbił się w górę, przeleciał

nad nim i oddalił ponownie. Niun znajdował się teraz na otwartej przestrzeni,
w
główniej
dolinie. Krążyło tu więcej maszyn.
Prędzej czy później go dopadną. Biegł pochyłony między skałami, które graniczyły
z
otwartymi piaskami. Ścigały go samoloty wyposażone w czujniki. Wreszcie,
doprowadzony
do desperacji, stanął pewnie i zaczął strzelać do najbliższego z nich. Kilka
pierwszych
strzałów nie przyniosło żadnego rezultatu. Później jednak maszyna zaczęła
mieć
trudności.
Zboczyła z trasy i zniknęła w wielkiej chmurze piasku w dolinie.
Nadleciały inne. Niebo pełne było ich huku. Przelatywały nisko i oddalały
się,
ostrzeżone losem poprzedniczki.
Biegł i odpoczywał. Powietrze nabrało posmaku miedzi wywołanego nadmiarem
wysiłku w rozrzedzonej atmosferze. Niun nie widział już na tyle wyraźnie, by
móc
ostrzeliwać samoloty. Skały, wśród których się ukrywał, rozpryskiwały się pod
wpływem
strzałów. Zachwiał się na nogach, gdy jeden z odłamków stał się szrapnelem i
rozdarł mu
ramię. Popłynęła ciepła krew.
Światła tańczyły na urwiskach, czyniąc ukrycie się niemożliwym. Nie miał zbyt
wielu
osłon, a ostrzał niszczył je wszystkie. Zaczął biec, przewrócił się, dźwignął
na
nogi i pognał w
kierunku następnej skały. Nie wiedział, co się stało z dusei. Ta furia ognia
i
światła nie była
ich sposobem walki.
Dolina zamieniła się w zgliszcza. Ekspozycje obróciły stela i naturalne for-
macje
w
perzynę. Była to ostateczna zemsta reguły na jego rodzaju. Zniszczyli ostat-
nią
świętość Ludu,
a wraz z nią samą ziemię, na której się znajdowała, tak jak niszczyli
wszystko,
czego się
tknęli.
Bliskie chybienie cisnęło nim na ziemię. Oszołomiony oraz oślepiiony przez
migotki,
które chroniły jego oczy, podniósł się na nogi i znów zaczął biec. Był już
zbyt
udręczony, by
strzelać. Mógł tylko biec i biec, aż wreszcie stanie się łatwym celem.
Samolot leciał tuż za nim. Zanurkował nisko. Podmuchał w górę piach. Na-
gle
Niun z wyraźną i oślepiającą satysfakcją wpadł na pewien pomysł. Skręcił w
lewo,
w stronę
końca doliny, ku bardzo staremu miejscu znajdującemu się w pobliżu nie
widzących

oczu

Eddana, Lirana i Debasa, jego nauczycieli.

Używaj do walki terenu. Uczyń go swym sojusznikiem - mawiali mu często.

Słyszał

ich wyraźne, spokojne głosy przebijające się przez ryk samolotu.

Padł jak długi na ziemię. Samolot przemknął nad nim i zawisł w powietrzu, wzbijając

w górę piasek. Niun leżał zupełnie nieruchomo, gdy maszyna opuszczała się na ziemię,

oświetlając reflektorami powierzchnię, na której spoczywał.

Dotknęła gruntu. Ten eksplodował. Olbrzymi, jasny kształt uniósł się w górę i podźwignął samolot, chwytając go konwulsyjnymi ruchami płaszcza. Ryjca i maszynę

ogarnęła chmura piasku. Ich walka wstrząsnęła ziemię. Niun przetoczył się na bok

i próbował

uciekać, lecz krawędź płaszcza lub podmuch powietrza obalił go na ziemię. Potem

nadszedł

następny wstrząs i Niun ujrzał, jak cały świat wylatuje w powietrze w eksplozji

samolotu.

Później nastąpiła ciemność.

- Niunie!

Ktoś wołał do niego z tej ciemności. Nie był to znajomy głos któregoś z braci,

lecz

mimo to skądś go znał.

Ponad nim rozblysło światło. Poruszył kończynami, które były zagrzebane w piasku.

Usłyszał głos silników.

- Niunie!

Uniósł głowę i dźwignął się na nogi, które ugiwały się pod nim. Ramieniem osłonił

oczy przed światłem.

Czekał.

- Niunie! - to był głos Duncana, dobiegający od widocznej na tle światła sylwetki o

zamazanych zarysach. - Nie strzelaj. Niunie, mamy na pokładzie Melein. Ona żyje,

Niunie.

Ten straszliwy szok odebrał mu zdolność myślenia. Jego umysł nie funkcjonował należycie. Niun omal nie upadł. W głowie odezwało mu się echo prawa Kel,

przypominając,

że istnieje she'pan, której musi służyć i że nade wszystko nie może zostawić jej

samej w

rękach obcych.

- Czego ode mnie chcesz? - krzyknął. Jego głos załamywał się z wściekłości, gniewu

na Duncana, zdradę i hańbę. - Duncanie, przypominam ci twoją przysięgę...

- Chodź tu - powiedział człowiek. - Niunie, chodź z nami. Zapewniam ci bezpieczeństwo. Przysięga wciąż jest ważna.

Zawahał się, lecz siły go opuściły. Wykonał gest poddania się i zaczął powoli wlec się

w stronę światła, ku sylwetkom, które czekały na niego, wysokim i należącym do

ludzi.

Lepsi przynajmniej oni niż regule.
Kąciakiem oka dostrzegł ciemną, przysadzistą postać. Ujrzał ją, zobaczył, że się porusza, i pojął, że to zdrada.
Złapał as'ei, odwrócił się błyskawicznie i rzucił nimi. Dosięgnął go ogień. Nie zdażył poczuć piasku.
- Hada Surag-gi nie żyje - powiedział Galey. - Mri się trzymają.
Duncan otarł twarz i tym samym ruchem zdjął z głowy tkaninę. Przeczesał palcami mokre od potu włosy. Przeszedł na chwiejnych nogach przez ciasne wnętrze samolotu i przepchnął się obok medyka, który już dwukrotnie kazał mu siedzieć na miejscu.
Spoczął na pokładzie. Nie mógł stać pewnie w poruszającym się samolocie. Spojrzał na dwoje spowitych w biel mri. Otaczała ich płatanina rur oraz połączeń z monitorującymi urządzeniami automedu. Podtrzymywano ich życie w sposób, który wydałby się im wstrętny, gdyby o tym wiedzieli.
Będą jednak mieli szansę się dowiedzieć.
- Wyjdą z tego oboje - oznajmił medyk, po czym, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na pokryte prześcieradłem cielsko leżące z tyłu samolotu, dodał: - Ten regul był wyższym urzędnikiem z Nomu. Miał stosunki. Nie uniknie się pytań.
- Nie uniknie się pytań - powtórzył Duncan cichym głosem, po czym spojrzął na mri, zapominając o medyku. Siedział z podwiniętymi nogami. Wciąż miał na sobie wystrzępione, prowizoryczne szaty, jego myśli zaś przebywały gdzieś indziej. Wreszcie medyk zostawił go samego, by pomówić z załogą.
Jej członkowie nie rozmawiali z nim wiele, po pierwszej chwili radości wywołanej faktem, że odnaleźli go żywego. Być może odstraszył ich niezwykle wygląd człowieka, który wrócił żywy z pustyni Kesrith, przebywał w towarzystwie mri i z wielką gwałtownością upierał się, że posiada należący do nich skarb.
Dotknął czoła Melein i wygładził metaliczny brąz jej włosów. Dostrzegł na monitorach stały puls, co upewniło go, że oboje żyją. Złociste oczy dziewczyny otworzyły się. Migotki cofnęły się powoli. Wydawało się, że bada ona dziwne otoczenie, które dostrzegała w ciągu krótkich chwil przytomności, odkrywa na nowo niezwykłość, wśród której odnaleźli schronienie. Była dziwnie spokojna, jak gdyby pogodziła się ze swą obecnością w tym miejscu. Duncan ujął jej długie, szczupłe palce w dłoń. Uścisnęła ją słabo.
- Z Niunem wszystko w porządku - poinformował ją. Nie był pewien, czy go zrozumiała, gdyż nawet nie mrugnęła. - Tutaj jest przedmiot, o który ci chodziło

- dodał. Nie
spojrzała jednak w ową stronę. Zapewne wszystkie te troski były dla niej
odległe, gdyż oboje
znajdowali się pod silną narkozą.
- Kel'enie - szepnęła.
- She'pan? - odparł. Być może pomyliła go z Niunem.
- Dostaniemy statek - powiedziała - który zabierze nas z Kesrith.
- Dostaniecie - zapewnił ją. Doszedł do wniosku, że powiedział prawdę.
Wojna się skończyła. Uwolnili się od reguli. Ludzki statek - na pewno jakiś
się
znajdzie - będzie dla nich szansą. To było wszystko, o co mri kiedykolwiek
prosilili tsi'mri.
- Dostaniecie go - powtórzył. Ponownie zamknęła oczy.
- Shon'ai - szepnęła ze słabym, wymuszonym uśmiechem. Duncan nie znał tego
słowa, pomyślał jednak, że chciała wyrazić zgodę.
Pokład się pochylił. Schodzili do lądowania.
Powiedział ją o tym.